

DAN SIMMONS

— FAZY —
GRAWITACJI

Przełożył S. Ko



Dan Simmons

FAZY GRAWITACJI

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

CZEŚĆ PIERWSZA PUNA

CZEŚĆ DRUGA GLEN OAK

CZEŚĆ TRZECIA UNCOMPAGRE

CZEŚĆ CZWARTA LONEROCK

CZEŚĆ PIĄTA NIEDŹWIEDZIE WZGÓRZE

POSŁOWIE AUTORA

CZEŚĆ PIERWSZA

PUNA

Samolot linii Pan Am – lot 001 – zostawił za sobą księżyc, po czym zagłębił się w ciemność i chmury podchodząc do lądowania w Nowym Delhi. Patrząc przez okienko na lewe skrzydło maszyny, Baedeker poczuł, jak znane mu od dawna uczucie zwiększania się siły ciężenia miesza się z typowym napięciem, towarzyszącym starym pilotom zmuszonym do zajęcia pozycji pasażera. Koła dotknęły nawierzchni i samolot perfekcyjnie usiadł na płycie lotniska. Baedeker spojrzął na zegarek. Była 3:47 czasu miejscowego. Za oczami poczuł drobne szpileczki bólu, gdy poprzez pulsujące światelka na końcówkach skrzydeł patrzył na mijane wieże ciśnień i zabudowania portu lotniczego. Olbrzymi boeing 747 gwałtownie skręcił w prawo i potoczył się do końca pasa kołowania. Silniki zawyły po raz ostatni, po czym ucichły, zostawiając Baedeckera sam na sam z uporczywym pulsowaniem w uszach. Nie spał od dwudziestu czterech godzin.

Zanim poruszająca się wolno kolejka pasażerów dotarła do wyjścia na dziobie, Baedeker poczuł na twarzy uderzenie gorącej fali wilgotnego powietrza. Schodząc po trapie na lepki asfalt płyty lotniska zdał sobie sprawę z ogromnej masy znajdującej się pod jego stopami planety, obciążonej dodatkowo setkami milionów nieszczęsnych istot zaludniających ten subkontynent i aż się ugiął pod nieubłaganym ciężarem ogarniającej go depresji. „Trzeba było wystąpić w tej reklamówce kart kredytowych” – pomyślał stojąc wraz z innymi pasażerami w ciemności, w oczekiwaniu na mały białoniebieski mikrobus, który zbliżał się ku nim przez osnutą mrokiem powierzchnię płyty. Budynek terminalu stanowił odległą plamę światła na horyzoncie. Chmury odbijały równoległe linie lamp wzdłuż pasa startowego. Nie wymagano od niego wiele. Należało jedynie usiąść przed kamerami w świetle reflektorów, uśmiechnąć się i powiedzieć: „Pamiętacie mnie państwo? Szesnaście lat temu byłem na Księżycu. To jednak nie wystarczy, aby móc zarezerwować lot lub zapłacić za obiad we francuskiej kafejce”. I jeszcze ze dwie linijki takiej paplaniny, a na koniec klasyczne zbliżenie na identyfikator z imieniem i nazwiskiem – RICHARD E. BAEDECKER.

Budynek odprawy celnej był ogromnym magazynem, w którym panował potężny pogłos. Żółte światło lamp sodowych zwisających z metalowych krokwi sprawiało, że skóra ludzi wydawała się przezroczysta i tłusta, jakby zrobiona z wosku. Baedeker czuł, że koszula lepi mu się do ciała. Długie kolejki pasażerów wolno posuwały się do przodu. Od dawna znana mu była nadgorliwość celników, ale najwyraźniej grupa przysadzistych, czarnowłosych typków w brązowych koszulach zamierzała pobić wszelkie rekordy biurokratycznej bezduszości. Trzy miejsca przed nim w ogonku stała stara Hinduska z dwiema córkami, cała trójka ubrana w tanie bawełniane sari. Zniecierpliwiony wyjaśnieniami kobiet, stojący za odrapaną ladą urzędnik zwałił należące do nich dwie liche walizy na podłogę hangaru. Z wnętrza bagażu wysypała się kupa jaskrawych ciuchów, staników i podartych majtek. Celnik odwrócił się do swojego kolegi i powiedział coś szybko w hindi. Na twarzach obu mężczyzn pojawił się pogardliwy uśmieszek. Baedeker już niemal zasypiał na stojąco, gdy zdał sobie sprawę, że jeden z celników coś do niego mówi.

– Słucham pana?

– Pytałem, czy to wszystko, co ma pan do oclenia? Nie wwozi pan nic innego?

Śpiewny akcent celnika wydał się mu dziwnie znajomy. Takim angielskim posługiwało się tysiące hinduskich praktykantów w hotelach na całym świecie. Tylko że na ogół nie towarzyszył mu ton podejrzliwości i zniecierpliwienia.

– Tak, to wszystko. – Baedeker kiwnął głową na widok różowego formularza, który, podobnie

jak pozostałym pasażerom, podano mu do wypełnienia przed lądowaniem.

– Nic więcej pan nie ma? Tylko jedna torba? – Celnik ważył w rękę starą torbę lotniczą Baedeckera, jakby spodziewał się, że zawiera kontrabandę lub co najmniej środki wybuchowe. – Nic więcej.

Celnik skrzywił się gniewnie i z pogardliwym wyrazem twarzy podał torbę następnemu funkcjonariuszowi w brązowej koszuli. Tamten przeszył ją promieniami rentgenowskimi z taką zawziętością, jak gdyby gwałtowność wykonywanych przez niego ruchów miała dopomóc w ujawnieniu wszelkich zakazanych przedmiotów, które znajdowały się w środku.

– Dalej! Do przodu! – wymachiwał rękami pierwszy celnik. – Dziękuję – powiedział Baedeker. Wziął torbę i podążył w kierunku ciemności otaczających hangar odprawy celnej.

* * *

Przed sobą mieli tylko ciemność. Dwa czarne trójkąty. Podczas opadania nie było widać nawet gwiazd. Stojąc w bufiastych skafandrach ciśnieniowych, unieruchomieni systemem pasów i klamer, nie widzieli nic prócz jednostajnego czarnego nieba. W ciągu całej sekwencji opadania ładownik był odchyłony w tył, w związku z czym w ogóle nie widzieli Księżyca. Jedynie przez ostatnie kilka minut Baedekerowi udało się rzucić okiem na oślepiającą blaskiem, nieregularną powierzchnię.

„Identycznie jak w symulatorze” – pomyślał. Zgodnie z tym czego ich uczono, spodziewał się czegoś więcej. Wiedział, że powinien mieć więcej wrażeń, więcej doznań. Ale podczas gdy automatycznie odpowiadał na pytania płynące z Houston, posłusznie wklepywał odpowiednie cyfry do komputera i głośno przekazywał dane Dave’owi, ta sama bezsensowna myśl kołatała mu się po głowie: „Identycznie jak w symulatorze”.

– Panie Baedeker!

Dopiero po dobrej chwili zarejestrował dobiegający go głos. Już od jakiegoś czasu ktoś wołał go po nazwisku. Baedeker stanął na środku alejki wtodącej z hangaru odprawy celnej do terminalu i rozejrzał się dokoła. W blasku reflektorów wirowały roje owadów. Jacyś ludzie owinięci w długie białe szaty spali rozłożeni na chodniku lub siedzieli w kucki, oparci o ściany spowitych mrokiem budynków. Ciemni mężczyźni w jasnych koszulach stali obok żółtoczarnych taksówek. Odwrócił się w drugą stronę, dokładnie w chwili gdy jakaś dziewczyna podeszła do niego.

– Pan Baedeker? Witam pana!

Zatrzymała się z gracją w pół kroku, odrzuciła głowę do tyłu i wzięła głęboki oddech.

– Dzień dobry – odparł Baedeker.

Nie miał pojęcia, kim mogła być ta młoda kobieta – lecz miał dziwne uczucie, jakby już ją kiedyś spotkał. Kto, u diabła, mógł czekać na niego w Nowym Delhi o wpół do piątej rano? Ktoś z ambasady? Nie mieli przecież pojęcia, że przyjeżdża, a nawet gdyby wiedzieli, i tak mieliby to w nosie. Przynajmniej obecnie. Bombay Electronics? Wątpliwe. Raczej nie w Nowym Delhi. Poza tym ta młoda blondynka z pewnością była Amerykanką. Baedeker, który nigdy nie miał głowy do zapamiętywania twarzy i imion, poczuł zmieszanie i poczucie winy. Przeszukał najdalsze zakamarki pamięci. Na próżno.

– Nazywam się Maggie Brown – odezwała się dziewczyna wyciągając rękę w jego stronę.

Uścisnął jej dłoń, dziwiąc się, jaka jest chłodna. Jego własna skóra nawet jemu samemu wydawała się rozpalona. Maggie Brown? Dziewczyna odgarnęła do tyłu opadający kosmyk długich włosów i Baedekerowi znów wydało się, że gdzieś już ją widział. Pomyślał, że może także pracowała dla NASA, aczkolwiek wyglądała zbyt młodo, żeby kiedykolwiek mogli...

– Jestem przyjaciółką Scotta – powiedziała z uśmiechem. Miała szerokie usta i niewielką szparę pomiędzy przednimi zębami, jednakże ten drobny defekt dodawał jej tylko uroku. – Przyjaciółka Scotta. No jasne. Czołem! – Baedeker po raz drugi uściśnął jej dłoń. Ponownie rozejrzał się dokoła. Kilku taksówkarzy podeszło proponując swe usługi. Pokręcił głową, ale to tylko jeszcze bardziej podnieciło natrętów. Baedeker ujął dziewczynę pod ramię i odciągnął ją od gestykulujących w podnieceniu kierowców.

– Co tu robisz? Mam na myśli tu, w Indiach. No i, rzecz jasna, tu, na lotnisku. – Baedeker machnął ręką w kierunku wąskiego podjazdu, na którym kładł się długi cień terminalu pasażerskiego. Już ją sobie przypominał. Joan pokazywała mu jej zdjęcie, kiedy ostatnio był w Bostonie. Zielone oczy utkwily mu w pamięci.

– Jestem tu od trzech miesięcy – odparła. – Scott rzadko ma czas, by się ze mną widywać. Ale kiedy ma wolne, zawsze jestem pod ręką. To znaczy tam, w Punie. Znalazłam pracę jako guwernantka... no, nie całkiem guwernantka, ale coś w tym rodzaju... w bardzo miłej rodzinie pewnego lekarza, w starej brytyjskiej dzielnicy... W każdym razie byłam ze Scottem w dniu, kiedy dostał od pana telegram.

– Aha – powiedział Baedeker. Przez kilka chwil nie przyszło mu do głowy nic mądrzejszego. Nad ich głowami mały samolot nabierał wysokości. – Scott jest tutaj? Miałem nadzieję, że zobaczę go tam... jak się nazywa ta miejscowość?... O właśnie, w Punie. – Scott ma teraz rekolekcje na farmie Mistrza. Nie wróci do wtorku. Prosił mnie, bym to panu przekazała. Ja przyjechałam tu odwiedzić starą przyjaciółkę z Fundacji Oświatowej w Starym Delhi. – Na farmie Mistrza? Masz na myśli tego guru Scotta? – Tak go wszyscy nazywają. W każdym razie Scott prosił mnie, żebym to panu przekazała, a wydawało mi się, że nie będzie się pan zatrzymywał w Nowym Delhi.

– Więc przyszedł tu przed świtem tylko po to, żeby mi to przekazać? – Baedeker z troską przyjrzał się idącej obok niego młodej kobiecie. W miarę jak oddalali się od oślepiających świateł reflektorów punktowych, coraz bardziej wydawało mu się, że jej skóra rozsiewa tajemniczy blask. Zauważył, że niebo na wschodzie zaczyna się rozjaśniać.

– Niewielki kłopot – powiedziała chwytając go pod ramię – Przyjechałam pociągiem kilka godzin temu. I tak nie mam nic do roboty, dopóki nie otworzą biura USEFI.

Kiedy stanęli przed głównym wejściem do terminalu, Baedeker zauważył, że okolica przypomina raczej wieś niż miasto. W oddali widniały kontury wieżowców, lecz otaczające ich dźwięki i zapachy przywodziły na myśl wioskę. Kręty podjazd do lotniska łączył się z szeroką autostradą, ale odchodzące od niego przecznice były zwykłymi polnymi drogami, ocienionymi indyjskimi figowcami o wielu pniach.

– O której ma pan lot, panie Baedeker?

– Do Bombaju? Najwcześniej o wpół do dziewiątej. Mów mi Richard.

– Dobrze, Richard. Może byśmy tak przeszli się kawałek, a potem wstąpili gdzieś na śniadanie?

– Dobra myśl – odparł Baedeker. W tej chwili oddałby wszystko za pusty pokój, łóżko, chwilę drzemki. Która godzina mogła być teraz w St. Louis? Był tak zmęczony, że nie radził sobie nawet z najprostszymi rachunkami. Podążył za dziewczyną, która ruszyła w dół lśniącej od deszczu szosy. Przed sobą mieli wschodzące słońce.

Gdy wylądowali, słońce wschodziło już trzeci dzień. Na całej powierzchni widać było najdrobniejsze szczegóły. Tak zostało zaplanowane.

W kilka lat później Baedeker niewiele pamiętał z tej chwili, gdy ostrożnie opuszczał się po

drabince, schodząc z pokładu ładownika. Długie lata treningów, symulacji i oczekiwań doprowadziły go do tego momentu, małego punktu na przecięciu czasu i przestrzeni, ale jedyną rzeczą, która utkwiała mu w pamięci, był nieustanny nerwowy pośpiech. Mieli już dwadzieścia trzy minuty spóźnienia, gdy Dave w końcu zaczął schodzić na dół. Wszystkie niezbędne przygotowania, przejrzenie pięćdziesięciu jeden punktów listy kontrolnej oraz dekompresja zajęły im więcej czasu niż podczas wszystkich symulacji.

A potem uwijali się na powierzchni Księżyca, testując swoją równowagę, pobierając próbki i starając się nadrobić stracony czas. Przed lotem Baedeker spędził długie godziny, starając się ułożyć krótkie, zgrabne zdanie, które miał wypowiedzieć zaraz po pierwszym postawieniu stopy na Księżycu – „Twoja stopka w podręczniku do historii”, śmiała się Joan – ale Dave zrobił jakiś głupi kawał zaraz po zeskoczeniu z drabinki, ci z Houston prosili o potwierdzenie odbioru i wiekopomną chwilę diabli wzięli. Poza tym z tamtego pierwszego spaceru po Księżycu pozostały mu jeszcze dwa wspomnienia. Na zawsze zapamiętał cholerny skorowidz procedur, który miał przytwierdzony do nadgarstka. Z niczym nie zdołali zmieścić się w wyznaczonym czasie, chociaż zrezygnowali z pobrania trzeciej próbki skalnej i z ponownego przejrzenia pamięci sterującej „Rovera”. Nienawidził tego skorowidza.

Drugie wspomnienie wciąż wracało do niego w snach. Grawitacja. Siła ciężenia sześciokrotnie mniejsza niż na Ziemi. Pełne swobody radosne brykanie, wielkie susy i szybowanie nad błyszczącą, pokrytą skałami powierzchnią. Wystarczyło lekko się odbić. To wszystko przywoływało w pamięci jeszcze wcześniejsze wspomnienie z czasów, kiedy jako mały brzdąc uczył się pływać w jeziorze Michigan. Ojciec podtrzymywał go za ramiona, podczas gdy on zawzięcie wymachując nogami brnął przez wodę, odbijając się od piaszczystego dna. Silny uścisk ojcowskich ramion dający mu poczucie nadzwyczajnej lekkości, łagodne falowanie zielonej wody, perfekcyjna synchronizacja równoważących się sił przyciągania i wyporności spotykających się gdzieś na wysokości jego stóp.

Wciąż o tym śnił.

Słońce wznosiło się jak ogromny pomarańczowy balon o falującej powłoce, co było efektem odbicia się jego promieni w nagrzanym powietrzu. Baedeker przypomniał sobie kolorowe zdjęcia z „National Geographic”. Indie! Owady, ptaki, kozy, kury i krowy, a wszystko to w rosnącym hałasie dobiegającym z niewidocznej autostrady. Nawet ta kręta polna droga, którą szli, pełna już była ludzi jadących rowerami, wozów zaprzęzonych w woły, wielkich ciężarówek pełniących tu rolę publicznego środka transportu oraz czarnożółtych taksówek przypominających rozżłoszczone osy, przemykających gdzieś wśród ciżby.

Baedeker i dziewczyna zatrzymali się przy małym zielonym budynku, który mógł być zarówno zwykłym gospodarstwem, jak też tutejszą świątynią. A może i jednym, i drugim. W środku słychać było dzwony. Zapach kadzidła i nawozu dolatywał z wewnętrznego dziedzińca. Słychać było pianie kogutów i jakiegoś mężczyznę śpiewającego łamiącym się falsetem. Inny mężczyzna, ubrany w tani niebieski garnitur, zatrzymał rower, stanął na skraju drogi i wysikał się, kierując strumień moczu na dziedziniec świątyni. Obok nich, turkoczając i skrzypiąc oškami, przejechał wóz ciągnięty przez woły uginające się pod wykrzywionym jarzmem. Baedeker powiódł za nim wzrokiem. Kobieta siedząca na tyle wozu uniosła sari, by zakryć twarz, ale siedzące wokół niej dzieciaki wlepiły w niego ciekawe oczy. Mężczyzna siedzący z przodu wrzasnął na utrudzone woły i uderzenie długiego kija spadło na pokryty bliznami bok zwierzęcia. Nagle wszelkie hałasy utonęły w potężnym ryku boeinga 747 linii Air India, który przeleciał nad ich głowami, połyskując złościście w promieniach wschodzącego słońca. – Co tak pachnie? – spytał Baedeker. Wśród atakujących ze wszystkich stron

zapachów – mokrej gleby, odpadków z rynsztoka, spalin, przyzmi kompostowych i smogu napływającego z niewidocznego miasta – dała się wyraźnie wyodrębnić słodkawa, wszechobecna woń, która zdawała się przesiąkać jego ubranie i skórę. – Właśnie gotują śniadanie – odparła Maggie Brown. – W całym kraju gotują śniadanie na otwartym ogniu. Większość ludzi używa jako opału wysuszonego krowiego łajna. Osiemset milionów ludzi gotujących śniadanie. Gandhi napisał kiedyś, że jest to odwieczny zapach Indii.

Baedecker pokiwał głową. Słońce powoli skrywały gromadzące się coraz niżej monsunowe chmury. Przez krótką chwilę drzewa i trawa błyszcząły czystą, fałszywą zielenią, którą zmęczenie Baedeckera czyniło jeszcze bardziej intensywną niż w rzeczywistości. Ból głowy, który dręczył go od Frankfurtu, przesunął się spoza oczu w okolice szyi. Każdy krok odbijał się przykrym echem w obolałej czaszce. Pomimo to ból wydawał się czymś dalekim i nieistotnym, docierającym przez mgłę niewyspania i zmęczenia podróżą. Stanowił jedno z nowych doznań – mieszał się z tajemniczymi zapachami, przedziwną kakofonią odgłosów miasta i wsi, wrażeniem, jakie wywierała ta atrakcyjna młoda kobieta, idąca obok, podczas gdy blask słoneczny obrysowywał kontur jej twarzy i zapalał iskierki w zielonych oczach. Kim właściwie była dla jego syna? Czy myśleli o sobie poważnie? Baedeckertałował, że nie wypytał o to Joan, ale wizyta przebiegała w niezbyt miłej atmosferze i ogólnym pośpiechu.

Baedecker przyjrzał się Maggie Brown i pomyślał, że nie powinien patrzeć na nią tylko jak na uroczą laleczkę. Robiła wrażenie osoby, która dokładnie wie, do czego dąży, co Baedecker uznawał za cechę ludzi prawdziwie dojrzałych, w odróżnieniu od takich, którzy po prostu osiągnęli pełnoletniość. Zgadywał, że Maggie ma około dwudziestu pięciu lat, nieco więcej niż Scott. Czy Joan nie mówiła mu czasem, że przyjaciółka jego syna była już po dyplomie i odbywała praktyki nauczycielskie? – Czy przyjechałeś do Indii tylko po to, by spotkać się ze Scottem? – spytała Maggie Brown. Znów byli na podjeździe, kierując swe kroki w stronę lotniska.

– Tak. To znaczy... nie – plątał się Baedecker. – Właściwie przyjechałem zobaczyć się ze Scottem, ale udało mi się tak wszystko załatwić, aby odbyło się to w ramach podróży służbowej. – Pracujesz dla rządu? Dla ludzi od lotów kosmicznych? Baedecker z uśmiechem przywitał „ludzi od lotów kosmicznych”, którzy nagle pojawili się w tej porannej rozmowie. – Od dwunastu lat już nie – odparł i opowiedział jej o firmie z St. Louis, zajmującej się produkcją elektroniki lotniczej i kosmonautycznej, dla której pracował.

– A więc nie masz nic wspólnego z wahadłowcami? – spytała Maggie.

– Raczej nie. Nasza firma umieszczała czasem na pokładzie wahadłowców swoje podsystemy, a czasami wynajmowaliśmy miejsca na sprzęt w ładowni... – Baedecker zorientował się, że użył czasu przeszłego, tak jakby opowiadał o pracy kogoś, kto już nie żyje.

Maggie zatrzymała się, by spojrzeć na błyszczącą w słońcu wieżę kontrolną i budynek terminalu. Zatknęła opadający kosmyk włosów za ucho i założyła ręce na piersi.

– Trudno uwierzyć, że od katastrofy „Challengera” minęło już półtora roku – powiedziała. – To było straszne. – Straszne, to prawda – westchnął Baedecker.

Jak na ironię, właśnie tego dnia był na przylądku Canaveral i widział wszystko na własne oczy. Wcześniej tylko raz uczestniczył w wystrzeleniu wahadłowca, w czasie jednego z pierwszych, próbnych lotów „Columbii”, niemal pięć lat przed tamtym wypadkiem. Był świadkiem katastrofy „Challengera” w styczniu 1986 roku, tylko dlatego że Cole Prescott, wiceprezes firmy, dla której pracował, poprosił go, by towarzyszył ich klientowi, który sfinansował zainstalowanie jednego z podzespołów w zestawie do przeprowadzenia eksperymentu Spartana–Halleya, umieszczonego w

wynajętej przez nich części ładowni „Challengera”. Wystrzelenie 51-L wydawało się zwykłą formalnością. Baedeker i jego klient stali na stanowiskach dla VIP-ów, około pięciu kilometrów od wyrzutni 39-B, osłaniając oczy przed promieniami porannego słońca, kiedy wszystko się zaczęło. Baedeker pamiętał, że zdziwił go panujący owego ranka wyjątkowy chłód. Miał na sobie tylko lekką bawełnianą marynarkę, a był to chyba najchłodniejszy ranek ze wszystkich, jakie kiedykolwiek spędził na Canaveral. Przez lornetkę widział lód lśniący na rusztowaniach podtrzymujących wahadłowiec.

Baedeker pamiętał, że myślał tylko o tym, aby po starcie jak najszybciej dotrzeć do samochodu i zdążyć wyjechać z bazy przed resztą widzów, kiedy z głośników usłyszał głos oficera NASA:

– Wysokość trzy przecinek cztery mile morskie, odległość od punktu kontrolnego trzy mile morskie. Silniki włączone. Trzy silniki czterdzieści pięć procent ciągu.

Przez krótką chwilę przypomniał sobie własny start piętnaście lat wcześniej, gorączkowe przekazywanie danych, podczas gdy Dave Muldorff starał się „wzlecieć” monstrualnym „Saturnem V”, kiedy nagle głos z megafonu przywrócił go do rzeczywistości. Słyszał słowa dowódcy Dicka Scobee: „Przyjąłem, zwiększyć ciąg”. Baedeker spojrział na ogromny parking, aby zorientować się, czy przy wyjeździe będzie wielki korek, a w chwilę później usłyszał pełen podziwu głos stojącego obok niego klienta:

– O rety! Nie wiedziałem, że te rakiety wspomagające robią tyle dymu, kiedy się odłączają.

Baedeker obrócił się i zobaczył coraz szerszą smugę kondensacyjną w postaci grzyba. Nie miała nic wspólnego z odłączaniem się rakiet wspomagających. Natychmiast rozpoznał ohydny, rudopomarańczowy blask, który rozświetlał wnętrza chmury, w miarę jak zapalało się paliwo rakietowe wyciekające z uszkodzonego układu sterowania i silników manewrowych. Po upływie kilku sekund rakiety wspomagające ukazały się oczom wszystkich, miotając się na boki jak szalone pośród rozchodzącego się coraz szerzej dymu. Czując, że żołądek podchodzi mu do gardła, Baedeker obrócił się w kierunku Tuckera Wilsona, znajomego pilota z czasów programu „Apollo”, który wciąż pracował dla NASA, i skierował do niego pozbawione nadziei pytanie: – APS? Tucker pokręcił głową. Niestety, nie była to zwykła awaria przy starcie, oznaczająca tymczasowe odwołanie lotu. To było coś, o czym każdy z nich myślał podczas własnego startu. Gdy Baedeker ponownie obrócił się w stronę wyrzutni, zobaczył, jak pierwsze duże człony statku rozpoczynają powolne i smutne opadanie do oceanu, który miał stać się kryptą wahadłowca i jego załogi.

Od tamtych chwil upłynęło kilkanaście miesięcy, a Baedeker nie mógł wciąż z powrotem uwierzyć, że przedtem Amerykanom udało się odbyć mnóstwo lotów w kosmos. Na długi czas w jego duszy zagościło wszechogarniające zwątpienie, niewiara, że cokolwiek może oderwać się od Ziemi, a także poczucie porażki z tryumfującym ciężeniem i entropią, przygniatające go swym ciężarem od czasu, gdy jego własny świat i rodzina rozpadły się niby na skutek nagiej, niezrozumiałej dla niego eksplozji na kilka miesięcy przed katastrofą.

– Mój kolega Bruce mówił mi, że po katastrofie „Challengera” Scott przez dwa dni nie wychodził ze swojego pokoju – powiedziała Maggie Brown, gdy stali przed terminalem pasażerskim portu lotniczego w Nowym Delhi.

– Naprawdę? – zdziwił się Baedeker. – Myślałem, że Scott nie interesował się już wtedy lotami w kosmos. Słońce skryło się za gęstą warstwą chmur. Otoczenie nagle straciło barwy. Wyglądało to tak, jakby kolor wyciekł z krajobrazu niczym woda ze zlewu.

– Mówił, że nic go to nie obchodzi – powiedziała Maggie. – Mówił, że Czarnobyl i katastrofa

„Challenger” to tylko pierwsze oznaki końca ery technologicznej. Po kilku tygodniach załatwił sobie wyjazd do Indii. Nie jesteś głodny, Richard? Brakowało kilku minut do wpół do siódmej, ale terminal już zapełniał się ludźmi. Inni wciąż leżeli na popękany i brudnym linoleum, którym pokryta była podłoga wewnątrz budynku. Baedeker zastanawiał się, czy byli potencjalnymi pasażerami, czy po prostu ludźmi, którzy na tę noc właśnie tutaj znaleźli dach nad głową. Samotne dziecko siedziało na winylowym krześle i płakało rozdzierająco. Po ścianach prześlizgiwały się jaszczurki.

Maggie zaprowadziła go do małej kafejki na pierwszym piętrze, której obsługę stanowiła gromadka sennych kelnerów z brudnymi ścierkami przewieszonymi przez ramię. Maggie ostrzegła go, by nie próbował bekonu, a następnie sama zamówiła omlet, grzanekę z dżemem i herbatę. Baedeker nie miał apetytu. Chętnie łyknąłby szklaneczkę szkockiej, lecz zamówił tylko czarną kawę.

Spora sala była całkiem pusta, jeśli nie liczyć hałasujących członków załogi widocznego za oknem liniowca Aeroflotu, siedzących przy jednym ze stolików. Rosjanie strzelali palcami, aby przywołać znużonych hinduskich kelnerów. Baedeker przyjrzał się kapitanowi. Twarz potężnego mężczyzny wydała mu się znajoma, aczkolwiek wielu rosyjskich pilotów, jakich miał okazję widzieć, miało podobnie potężne szczęki i krzaczaste brwi. Mimo to Baedeker zastanawiał się, czy czasem nie spotkali się dawno temu, podczas tych trzech dni, które spędził w Moskwie i Gwiezdnym Miasteczku wraz z załogą mającą wziąć udział w programie „Apollo–Sojuz”. Po chwili jednak wzruszył ramionami. I tak nie miało to w tej chwili żadnego znaczenia.

– Jak się czuje Scott? – zapytał.

Maggie Brown popatrzyła na niego i jej twarz przybrała niemal niewidoczny wyraz zniechęcenia.

– Mówi, że nigdy w życiu nie czuł się lepiej, choć wydaje mi się, że sporo schudł.

Baedeker przywołał w myślach obraz swego krępego syna obciętego „na zapałkę” i ubranego w koszulkę z krótkimi rękawami, zbyt powolnego by, tak jak chciał, grać na pozycji shortstopa w Houston Little League, i zmuszonego do gry na prawym polu. – Jak jego astma? Czy w tej wilgoci nie ma nawrotów? – Nie, jest zupełnie zdrowy – odparła Maggie obojętnym tonem. – Scott mówi, że to Mistrz go uleczył.

Baedekerowi trudno było uwierzyć. Nawet w ostatnich latach spędzonych w pustym mieszkaniu często łapał się na tym, jak nasłuchuje suchego kaszlu i ciężkiego oddechu syna. Pamiętał jeszcze czasy, gdy całą noc trzymał go w ramionach i kołysał jak niemowlę, z przerażeniem wsłuchując się w szmery dobiegające z jego płuc.

– Czy ty też jesteś wyznawczynią tego... Mistrza? Maggie roześmiała się i wydawało się, że wyraz obojętności na chwilę znikł z jej twarzy.

– Nie. Nie siedziałabym wtedy tutaj. Nie pozwalają im opuszczać ashramu na dłużej niż kilka godzin.

– Hm... – mruknął Baedeker i spojrzał na zegarek. Samolot do Bombaju odlatywał za półtorej godziny.

– Będzie opóźniony – powiedziała Maggie.

– Tak?

– Twój lot. Na pewno będzie opóźniony. Co będziesz robił do wtorku?

Baedeker jeszcze o tym nie pomyślał. Był czwartek rano. Zamierzał tego dnia po południu znaleźć się w Bombaju, spotkać się w piątek z ludźmi z przedsiębiorstwa elektronicznego i zobaczyć ich stację naziemną, pojechać pociągiem do Puny i spędzić weekend ze Scottem, a w poniedziałek po

południu odlecieć z Bombaju do domu.

– Sam nie wiem – odparł. – Zostanę chyba w Bombaju kilka dni dłużej. Cóż takiego niesamowitego dzieje się na tych rekolekcjach, że Scott nie mógł wyrwać się chociaż na trochę? – Nic specjalnego – powiedziała Maggie Brown. Dopija herbatę i energicznym ruchem, jakby złościła ją rozmowa na ten temat, postawiła kubek na stole. – To samo co zawsze. Czytanie pism Mistrza. Rozważania w samotności. Tańce.

– Oni tańczą?

– No, nie całkiem. Puszczają muzykę. Rytm jest coraz szybszy. Wszyscy biegają w kółko. Coraz szybciej i szybciej. W końcu padają ze zmęczenia. Podobno to oczyszcza duszę. To część praktyk tantra jogi.

Baedecker zauważył, że jej głos się rwie. Gdzieś czytał o tym byłym profesorze filozofii, który ostatnio stał się modnym guru bogatej młodzieży z wielu zamożnych państw. „Time” donosił, że miejscowi Hindusi byli zgorszeni wieściami o odbywających się w jego ashramach sesjach grupowego seksu. Baedecker przeżył szok, gdy Joan powiedziała mu, że Scott rzucił studia w Bostonie, aby zamieszkać na drugiej półkuli. Czego tu szukał? – Nie wydaje mi się, abyś to aprobowała – zwrócił się do Maggie Brown.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nagle w jej oczach zapłonęły radosne iskierki.

– Mam pomysł! Może pojedziesz ze mną na parodniową wycieczkę? Od marca, kiedy tu przyjechałam, próbuję nakłonić Scotta, by zechciał ze mną zwiedzić coś, co nie będzie ashramem w Punie. Pojedź ze mną! Będzie fajnie. Bilet Air India na lot krajowy kosztuje grosze.

Wciąż rozmyślając nad prawdziwością plotek o seksie grupowym, Baedecker zawahał się, zaskoczony tą propozycją. Spojrzał na twarz Maggie rozpaloną dziecięcym entuzjazmem i zbeształ się w duchu za to, w jaki sposób na nią patrzył jeszcze przed chwilą. Dziewczyna najwyraźniej czuła się przeraźliwie samotna. – Gdzie chciałabyś pojechać? – zapytał. Potrzebował kilku sekund, aby ułożyć sobie uprzejmą odmowę.

– Jutro wyjeżdżam z Delhi – odpowiedziała radośnie. – Poleciałabym do Waranasi, a potem do Khadzuraho, zatrzymałabym się na chwilę w Kalkucie, pojechałabym do Agry, a stamtąd, pod koniec tygodnia, z powrotem do Puny.

– A co jest do zobaczenia w Agrze?

– Tadź Mahal, nic więcej – powiedziała Maggie i pochyliła się w jego stronę z figlarnym błyskiem w oku. – Nie można być w Indiach i nie zobaczyć Tadź Mahal. To zakazane. – Przykro mi, ale chyba będę musiał złamać ten zakaz – odparł Baedecker. – Jestem umówiony na jutro w Bombaju, a ty mówisz, że Scott będzie w Punie we wtorek. Muszę wracać do kraju nie później niż w przyszły piątek. I tak już przedłużam mój pobyt tutaj. Widział jej rozczarowanie, gdy powoli kiwała głową.

– Poza tym – dodał – kiepski ze mnie turysta. Sama czynność zatykania flagi wydawała mu się czymś absurdalnym. Wcześniej myślał, że będzie bardzo przejęty. Kiedyś, w Dżakarcie, po dziewięciomiesięcznym pobycie poza Stanami, wzruszył się do łez na widok gwiazdzistego sztandaru powiewającego na rufie starego frachtowca cumującego w porcie. Ale tam, na Księżycu – czterysta tysięcy kilometrów od domu – myślał tylko o tym, jak idiotycznie wygląda ten prostokąt materiału ze sztywno wygiętym drutem, mającym symulować powiew wiatru w próżni. Po umocowaniu flagi on i Dave stanęli na baczność i zaszalutowali. Stali tak salutując pod czujnym okiem kamery telewizyjnej, którą sami wcześniej ustawili. Zupełnie podświadomie, na skutek zmniejszonego ciężenia, nabrali zwyczaju stawania w pozycji „zmęczonego goryla”, przed czym Aldrin przestrzegali ich podczas

odpraw. Była to pozycja wygodna i w tamtejszych warunkach naturalna, ale dawała fatalny efekt na pamiątkowych zdjęciach.

Po oddaniu honorów fladze mieli się już zabrać do innych rzeczy, kiedy okazało się, że prezydent Nixon chce do nich przemówić. Jeśli chodzi o Baedekera, to właśnie to nagłe, nie przewidziane w programie połączenie z Nixonem sprawiło, iż niecodzienne wydarzenie, w którym uczestniczył, nabrało dla niego surrealistycznego posmaku. Oczywiście prezydent nie przygotował sobie na tę okazję specjalnej mowy, więc niejednokrotnie gubił się w swym monologu. Kilka razy wydawało się, że skończył zdanie, ale gdy tylko zabierali się do formułowania odpowiedzi, jego głos znowu powracał. Fakt, że przekaz z Ziemi docierał ze sporym opóźnieniem, dodatkowo komplikował sprawę. Ciężar prowadzenia konwersacji wziął na siebie Dave. Baedeker kilkakrotnie powtórzył tylko: „Dziękujemy, panie prezydencie”. Z bliżej nie znanych powodów Nixon pomyślał, że chętnie poznałoby wyniki ostatniej kolejki ligi futbolowej. Baedeker nienawidził futbolu. Zastanawiał się, czy cała ta gadka o futbolu wynika z wyobrażenia prezydenta o tym, jak rozmawiają ze sobą prawdziwi mężczyźni.

– Dziękujemy, panie prezydencie – powtórzył, kiedy Nixon skończył. Przez cały czas stali bez ruchu przed kamerą, wpatrzeni w nieruchomą flagę na tle czarnego nieba i wsłuchani w ginące wśród zakłóceń brednie wygłaszane przez głowę ich państwa, a Baedeker myślał tylko o małym pakunku, który wbrew regulaminowi ukrył w kieszeni na próbki, znajdującej się nad jego prawym kolaniem.

* * *

Samolot z Delhi do Bombaju odleciał z trzygodzinnym opóźnieniem. Siedzący w poczekalni obok Baedekera Anglik, przedstawiciel brytyjskiego przedsiębiorstwa sprzedającego śmigłowce, poinformował go, że pilot i mechanik pokładowy od kilku tygodni byli w stanie wojny, w związku z czym każdego dnia jeden lub drugi na złość opóźniał odlot.

Gdy tylko znalazł się w samolocie, Baedeker próbował się zdrzemnąć, ale przeszkodzili mu w tym współpasażerowie, bez przerwy uruchamiając przywoławcze brzęczyki. Ledwie wystartowali, a już wydawało się, że niemal każdy pasażer natychmiast potrzebuje pomocy ubranej w sari stewardesy. Trzej mężczyźni zajmujący fotele w rzędzie tuż przed Baedekerem głośno domagali się poduszek i drinków, z wielkopańskimi minami strzelając palcami, co drażniło jego poczucie równości rodem ze Środkowego Zachodu Stanów Zjednoczonych.

Maggie Brown pożegnała się z nim zaraz po śniadaniu. Wcześniej nabazgrała na serwetce swój „plan wspaniałej podróży” i wcisnęła mu do kieszeni marynarki.

– Nigdy nic nie wiadomo – powiedziała. – Może coś sprawi, że zmienisz zdanie.

Zanim odjechała czarnożółtą taksówką, zadał jej jeszcze parę pytań o Scotta, ale odniósł wrażenie, że dziewczyna, która ruszyła za ukochanym do dalekiego i egzotycznego kraju, nie ma obecnie najmniejszego pojęcia, jak ukochany się czuje i co myśli. Lecieli francuskim airbusem. Okiem fachowca Baedeker zauważył, że skrzydła zginają się z większą swobodą niż u boeinga, i ze zdziwieniem skonstatował, że hinduski pilot wybrał wyjątkowo stromy kąt natarcia. Amerykańskie linie lotnicze nigdy nie pozwoliłyby swoim pilotom w ten sposób stawać maszyną dęba, z obawy przed wybuchem paniki wśród pasażerów. Ale siedzący w samolocie Hindusi w ogóle nie zwrócili na to uwagi. Ich niesamowicie szybkie lądowanie w Bombaju przypomniało Baedekerowi 0 przejażdżce, którą odbył kiedyś do Pleiku, amerykańskiej bazy w Wietnamie, gdzie pilot był zmuszony do opuszczania się niemal w linii pionowej podczas podchodzenia do lądowania, ze strachu przed obstrzałem.

Na pierwszy rzut oka Bombaj wydawał się miastem złożonym wyłącznie z chatynek o blaszanych dachach i rozsypujących się ze starości fabryk. Potem Baedeker dojrzał takie wysokie wieżowce i fale Morza Arabskiego. Samolot przechylił się pod kątem pięćdziesięciu stopni, pomiędzy domków, jakby na ich spotkanie, wyrósł ku górze płaskowyż i już byli na ziemi. Baedeker pokiwał z uznaniem głową.

Przejażdżka taksówką z lotniska do hotelu dobiła i tak już wykończonego Baedeckera. Zaraz za bramą lotniska Santa Cruz zaczynały się slumsy. Po obu stronach drogi ciągnęły się ogromne dzielnice pokrytych blachą chatek z obwisłymi brezentowymi daszkami, poprzedzielanych wąskimi błotnistymi alejkami. W pewnym miejscu rura wodociągowa biegnąca na wysokości sześciu metrów przecinała zabudowany ruderami pagórek, niczym wąż ogrodowy mrowisko. Chmara śniadych dzieciaków biegała w tę i z powrotem po rurze, inne opierały się o jej przerdzewiałe boki. Wszędzie panował gorączkowy ruch.

Upał był nieznośny. Wilgotne powietrze wlewające się przez otwarte okna taksówki biło w twarz jak rozgrzane spaliny. Co jakiś czas po prawej stronie, pomiędzy budynkami, prześwitywały wody Morza Arabskiego. Wielki plakat na przedmieściach głosił:

– 0 DNI DO MONSUNU, ale z chmur nisko wiszących nad miastem nie spadała żadna kropla orzeźwiającego deszczu, a potworne gorąco tylko potęgowało w Baedekerze poczucie, że dźwiga na ramionach ciężkie jarzmo.

Centrum miasta w jeszcze większym stopniu przyprawiało o zawroty głowy. Każda przecznica była jak dopływ, którym strumienie biało ubranych przechodniów spływały do ciągnących głównymi ulicami rzek ludzi o rozgorączkowanych oczach i gwałtownych gestach. Tysiące maleńkich witryn kusilo kolorowym towarem miliony pieszych stłoczonych na chodnikach. Kakofonia klaksonów, ryczących silników i rowerowych dzwonek otoczyła Baedeckera ścianą dźwięku. Gigantyczne, krzykliwe plakaty namawiały do pójścia na filmy, w których grali aktorzy o różowych policzkach i kruczowłose aktorki o odętych wargach i sonej cerze. Po chwili wjechali w aleję Marynarki, skęcili w trasę objazdową zwaną Naszyjnik Królowej i okna po prawej stronie wypełnił widok zielonkawych morskich fal. Po lewej stronie Baedeker widział pola do gry w krykieta, krematoria pod gołym niebem, świątynie i wysokie biurowce. Wydawało mu się, że widzi stado sępów krążące nad Wieżą Cizy, oczekujące na ciała wiernych Parsów, ale kiedy odwrócił wzrok, przed oczami nadal miał ciemne kołujące plamki.

Wszedł do „Oberoi Sheratona”. Był spocony i podmuch klimatyzowanego powietrza przyprawił go o dreszcze. Na wpół przytomny wpisał się do księgi hotelowej, a następnie podążył za ubranym na czerwono portierem do pokoju na trzydziestym piętrze. Dywany w holu pachniały jakimś środkiem czyszczącym, którego składnikiem musiał być fenol, a od grupy Arabów, z którymi jechał windą, mocno pachniało piżmem. Przez krótką chwilę myślał, że zwymiotuje. Potem pamiętał jeszcze tylko, że włożył w dłoń portiera pięć rupii, story zostały zaciągnięte, drzwi zamknęły się, hałasy ucichły. Cisnął na krzesło swój płaszcz z kreszu i runął na łóżko. Po dziesięciu sekundach już spał.

Przejechali „Roverem” prawie pięć kilometrów, co stanowiło rekordową odległość. Nie była to bynajmniej przejażdżka po gładkiej szosie. Księżycowy pył unosił się spod każdego koła, a jego cząsteczki opadały zakreślając dziwaczny, spłaszczony łuk, czemu Baedeker przyglądał się z niekłamanym zachwytem. Wokół panował blask i pustka. Przed sobą widzieli swe ogromne cienie. Poza szumem radiowych zakłóceń i skrzypieniem kombinezonu Baedeker wyczuwał obecność zimnej, absolutnej ciszy. Miejsce, w którym mieli wykonać eksperyment, znajdowało się spory kawałek od ładownika, na płaskim terenie niedaleko małego krateru oznaczonego na mapach jako

Kate. Powoli wjeżdżali pod górę, a małe komputer „Rovera” rejestrował każdy ruch i skręt. Pozostawiony w tyle ładownik wyglądał jak błyszczący, srebrnozłoty żuk na dnie doliny.

Baedecker rozkładał sprzęt sejsmograficzny, podczas gdy Dave zajmował się robieniem panoramicznych zdjęć przymocowanym na piersiach hasselbladem. Baedecker ostrożnie rozwijał dziesięciometrowe złote druty. Patrzył, jak Dave obraca się wolno wokół własnej osi po zrobieniu każdego zdjęcia. Przypominał wielki, człekopodobny balon unoszący się na uwięzi ponad lśniąca plażą. Dave przekazał coś do Houston i dał susa w kierunku południowym, żeby sfotografować jakiś skalny pokład. Widoczna w dali Ziemia wyglądała jak mała, niebieskobiała tarcza na tle czarnego nieba.

„Teraz!” – pomyślał Baedecker. Przyklęknął na jedno kolano, co w próżniowym skafandrze okazało się pozycją wyjątkowo niewygodną, wobec czego ukląkł na oba kolana, aby zabezpieczyć końcówkę ostatniego sejsmicznego odciągu. Dave nadal oddalał się od niego. Baedecker szybko odpiął kieszonkę nad prawym kolaniem i wyjął stamtąd jakieś dwa przedmioty. Grube rękawice sprawiły, że sporo się natrudziłam, udało mu się otworzyć plastikową torebkę i wysypać jej zawartość na pokrytą pyłem dłoń. Oparł małą kolorową fotografię o niewielki kamyk oddalony o niecały metr od końcówki odciągu czujnika. Ustawił ją w zupełnym cieniu, tak aby Dave nie mógł jej zauważyć, chyba że stanąłby tuż nad nią. Drugi przedmiot – medalik ze świętym Krzysztofem – trzymał w dłoni, wahając się przez chwilę. Potem lekko pochylił się, dotknął nim szarego pyłu księżycowego, wrzucił medalik z powrotem do torebki i schował do kieszonki, zanim Dave zdążył wrócić. Baedecker czuł się nieswojo klęcząc tak na powierzchni Księżyca, jakby się modlił, rzucając przed siebie ogromny cień, który wyglądał jak wycięty z czarnego płótna. Z małej fotografii patrzyły na niego trzy postacie. Joan, ubrana w czerwoną bluzkę i niebieskie spodnie, lekko pochylała głowę w kierunku Baedeckera, który uśmiechał się prosto do aparatu. Każde z nich trzymało dłoń na ramieniu Scotta. Siedmiolatek miał twarz rozciągniętą w szerokim uśmiechu. Do fotografii ubrał się w białą bluzę od dresu, ale spod niej, przy szyi, wystawał rąbek niebieskiej koszulki z logo Centrum Lotów Kosmicznych imienia Kennedy’ego, którą poprzedniego lata chłopak nosił niemal codziennie.

Baedecker spojrzał w lewo na widniejącą w dali sylwetkę Dave’a i zaczął się podnosić, gdy nagle wydało mu się, że ktoś za nim stoi. Cały się spocił pod kombinezonem. Wstał i powoli obrócił głowę.

„Rover” stał pięć metrów za nim. Kamera telewizyjna sterowana przez ludzi z Houston była umieszczona na pręcie przymocowanym obok prawego przedniego koła. Obiektywem wycelowano prosto w niego. Gdy wstawał, odchyliła się lekko do tyłu, śledząc jego ruchy.

Baedecker wpatrywał się w małą skrzynkę oplataną zwojem kabli. Ciemna tarcza obiektywu odbijała jego spojrzenie w absolutnej ciszy.

* * *

Wielka antena rysowała się zaostrzoną parabolą na tle zachmurzonego nieba.

– Robi wrażenie, czy nieprawda? – zapytał Sirsikar swoim śmiesznym angielskim. Baedecker kiwnął głową i spojrzał w dół ze wzgórza. Małe pole uprawnej ziemi, o powierzchni nie przekraczającej hektara, rozciągały się wzdłuż wąskiej drogi. Zabudowania składały się z niechlujnych strzech spoczywających na nie ociosanych palach. Przez całą drogę z Bombaju do stacji odbiorczej Sirsikar i Shah pokazywali mu miejsca godne zainteresowania. – Bardzo ładne gospodarstwo – powiedział Shah, wskazując kamienny budynek mniejszy niż garaż w starym domu Baedeckera, w Houston. – Posiada konwerter metanu, czy wiedział pan? Baedecker obserwował mężczyzn stojących na drewnianych pługach ciągniętych przez wyglądające na wielce strudzone

woły. Lemiesz złożyły bruzdy w popękanej glebie. Jeden rolnik stał na pługu wraz ze swymi dwoma synami, dzięki czemu drewniane kliny głębiej wbijały się w suchą ziemię.

– Obecnie mamy trzy – kontynuował Sirsikar – Tylko „Nataraja” jest synchroniczny. „Sarasvati” i „Lakshmi” przez trzydzieści minut ze swego półtoragodzinnego przejścia przebywają nad horyzontem i tu, na stacji w Bombaju możemy z nich uzyskiwać transmisje w czasie rzeczywistym.

Baedecker spojrzał na niskiego naukowca.

– Nadajecie satelitom imiona bogów? – zapytał.

Shah zmieszał się, ale Sirsikar zawołał rozpromieniony:

– Oczywiście!

Powołany do grupy kosmonautów podczas lotu „Merkurego”, przeszkolony w ramach programu „Gemini”, pamiętający swój chrzest bojowy na „Apollo”, Baedecker obrócił się w stronę symetrycznego szkieletu stalowej anteny.

– Tak samo jak my – powiedział.

TATO. BĘDĘ NA REKOLEKCJACH DO SOBOTY 27 CZERWCA. POTEM WRACAM DO PUNY. JEŚLI JESZCZE BĘDZIESZ, TO SIĘ ZOBACZYMY SCOTT.

Baedecker po raz drugi przeczytał depeszę, zmiął blankiet telegraficzny i cisnął papier do kosza stojącego w rogu pokoju. Podszedł do wielkiego okna, spojrzał w dół na lampy ustawione wzdłuż Naszyjnika Królowej, których światła odbijały się w lekko wzburzonych wodach zatoki. Po chwili usiadł przy biurku, aby napisać telegram do St. Louis, informując swoich szefów, że wreszcie i dla niego nadszedł czas na wakacje.

– Wiedziałaś, że przyjedziesz – powiedziała Maggie Brown. Wyszli na brzeg z turystycznej łódki i Baedecker cofnął się pod naporem ciżby żebraków i handlarzy. Znowu pomyślał, czy czasem nie popełnił błędu, odmawiając zagrania w reklamówce karty kredytowej. Pieniądze przydałyby mu się teraz bardzo. – Wiedziałaś, że Scott zostanie dłużej na rekolekcjach? – spytał. – Nie jestem tym zaskoczona, ale nie o to chodzi. Po prostu miałam przecucie, że jeszcze się zobaczymy.

Stali nad brzegiem Gangesu i ponownie razem oglądali wschód słońca. Na ogromnych stopniach prowadzących do rzeki od dawna panował tłok. Z wody koloru kawy wynurzały się kobiety, mokre bawełniane ubrania przylegały ciasno do szczupłych ciał. Barwa ziemistobrązowych dzbanów stanowiła jakby echo koloru śniadej skóry Hindusek. Marmurowy front świątyni ozdabiały swastyki. Nieco dalej w górze rzeki rozlegało się głośnie plaskanie – to kobiety z kasty praczek uklepywały pranie na płaskich kamieniach. Dym z kadzideł i stosów całopalnych unosił się w niebo i mieszał z wilgotnym powietrzem.

– Na strzałkach jest napisane „Benares” – dziwił się Baedecker, gdy szli za grupką turystów – a bilet jest do Waranasi. Gdzie właściwie jesteśmy?

– Miasto naprawdę zwie się Waranasi, ale wszyscy mówią jak dawniej Benares. Chcieli pozbyć się tej nazwy, bo to pozostałość po Brytyjczykach. Wiesz, nazwa nadana niewolnikom przez panów. Podobna sprawa jak z Malcolmem X albo z Muhammadem Ali. Maggie urwała i ruszyła do przodu lekkim truchtem, bo przewodnik krzyknął w ich stronę, aby trzymali się w grupie, gdy będą przeciskać się przez ciasne uliczki. W pewnym miejscu ulica była tak wąska, że rozłożywszy ramiona Baedecker mógł jednocześnie dotknąć palcami ścian domów po przeciwległych jej stronach. Ludzie tłoczyli się, wrzeszczeli, przeciskali, spluwali na ziemię i przepuszczali wszędobylskie, swobodnie błakające się krowy. Jakiś szczególnie namolny handlarzyna ciągnął się za nimi kilka dobrych minut, bez przerwy dmąc ogłuszająco w ręcznie rzeźbiony flecik. W końcu Baedecker mrugnął do Maggie,

wręczył chłopakowi dziesięć rupii i schował instrument do kieszeni. Weszli do opuszczonego budynku. Wewnątrz stało kilku mężczyzn z wyrazem znudzenia na twarzach, trzymając w rękach świece, by oświetlać przejście do zrujnowanych schodów. Gdy Baedeker przechodził obok nich, wszyscy jak jeden mąż wyciągnęli ręce w prośbami gestem. Z małego balkoniku na trzecim piętrze turyści rzucili okiem na ścianę świątyni. Pokryty złotem dach był ledwie widoczny.

– To najświętsze miejsce na świecie – powiedział przewodnik. Jego skóra barwą i wyglądem przypominała dobrze natłuszczoną rękawicę baseballisty. – Bardziej święte niż Mekka. Bardziej święte niż Jerozolima. Bardziej święte niż Betlejem i Sarnath. To jest najświętsza świątynia, w której wizytę wszyscy Hindusi... zaraz po kąpieli w Gangesie... uważają za niezbędną przed śmiercią. Wszyscy mruczyli coś i kiwali głowami. Wokół spoconych twarzy krążyły chmary komarów. Gdy zeszli w dół schodami, mężczyźni trzymający świece zastąpili im drogę i dużo natręczywiej niż wcześniej wyciągali dłonie po jałmużnę, gardłując przy tym przeraźliwie.

W rikszy, którą wracali do hotelu, Maggie obróciła się do Baedekera z wyrazem powagi na twarzy.

– Czy wierzysz w istnienie takich miejsc? Magicznych miejsc, z których płynie moc?

– Co masz na myśli?

– Nie chodzi mi o miejsca święte, ale miejsca, które znaczą dla ciebie coś więcej niż inne. Miejsca, które mają swoją moc. – Na pewno nie tutaj – powiedział Baedeker, machnąwszy ręką w stronę mijanych obrazów nędzy i upadku. – Nie, nie tutaj – zgodziła się Maggie Brown. – Ale znam kilka takich miejsc.

– Co to za miejsca? – zaciekał się Baedeker. Musiał mówić głośno, żeby przekrzyknąć harmider, jaki robiły samochody i rowerowe dzwonki.

Maggie spojrzała w dół, a następnie odgarnęła ręką włosy za uszy gestem, do którego Baedeker zdążył się już przyzwyczaić. – Jest takie jedno miejsce, niedaleko domu moich dziadków w zachodniej części Dakoty Południowej – powiedziała. – Stożek wulkaniczny na północ od Czarnych Wzgórz, na samym skraju prerii. Nazywa się Niedźwiedzie Wzgórze. Często wspinałam się na jego szczyt, a dziadek i babcia czekali na mnie u podnóża. Parę lat później ktoś mi powiedział, że było to święte miejsce Siuksów. Ale już wcześniej, zanim się o tym dowiedziałam, kiedy stałam na szczycie i patrzyłam na rozciągającą się w dole prerię, wiedziałam, że jest w tej górze coś niezwykłego.

Baedeker kiwnął głową.

– Wszystkie wysoko położone miejsca mają to do siebie. Ja też mam miejsce, gdzie lubię bywać. Mały college Kościoła Naukowego po tej stronie Missisipi, która należy do Illinois, niedaleko od St. Louis. Budynki położone są na samym brzegu rzeki. Stoi tam taka mała kapliczka, tuż przy skarpie. Obok są skałki, na które można się wspiąć, a stamtąd jest świetny widok na Missouri.

– Należysz do Kościoła Naukowego? Jesteś chrześcijaninem? Zarówno pytanie, jak i towarzysząca mu mina były tak śmiertelnie poważne, że Baedeker nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Nie – odparł. – Nie należę do żadnego Kościoła. Jestem... nikim.

Nagle przypomniał sobie, jak klęczał w księżycowym pyłku, za jedyne błogosławieństwo mając ostry blask słonecznych promieni. Motoriksza utknęła w korku, zablokowana przez kolumnę ciężarówek. Rikszarz z potwornym rykiem silnika starał się pełnym gazem wyminąć je z prawej

strony, zmuszając Maggie do krzyku:

– Chodzi o coś więcej niż ładny widok! Myślę, że niektóre miejsca po prostu mają w sobie moc!

Baedecker uśmiechnął się.

– Może masz rację.

Maggie obróciła się do niego. Jej oczy też były roześmiane. – A może się mylę – powiedziała. – Może plotę, co mi ślina na język przyniesie. W tym kraju każdy może stać się mistykiem. Ale czasem naprawdę wydaje mi się, że całe nasze życie to nieustanna pielgrzymka w poszukiwaniu takich właśnie miejsc. Baedecker spojrzał przed siebie i nic nie odpowiedział. Księżyc wydawał się jedną wielką piaskownicą, w której nie było nikogo prócz Baedeckera. Odjechał „Roverem” jakieś sto metrów od ładownika i ustawił go tak, aby kamera mogła zarejestrować i przesłać na Ziemię zdjęcia z odlotu. Odpiął pas bezpieczeństwa, po czym zeskoczył z siedzenia z łatwością, do jakiej w warunkach zmniejszonego ciężenia zdążył się już przyzwyczaić. W grubej warstwie pyłu ślady butów odbiły się wyraźnie i widać je było w całej okolicy. Podobnie ślady kół wiły się, przecinały ze sobą i zakreślały prostą linię na północ, w stronę jaśniejących w dali wzniesień. Statek zaś przysypany był pyłem jak chata śniegiem w zirnii.

Baedecker zrobił kilka susów dookoła „Rovera”. Mały pojazd był mocno sfatygowany i cały pokryty kurzem. Dwie osłony świateł odpadły; Dave sporządził prowizoryczne nakładki z plastikowych map, by ochronić je przed uderzeniami grudek pozlepianego pyłu. Baedecker musiał ratować niemiłosiernie poskręcany przewód kamery. Podskoczył na przód pojazdu, uwolnił kabel lekkim szarpnięciem i przetaił obiektyw. Jeden rzut oka na odbicie w soczewce pozwolił mu stwierdzić, że Dave zniknął już z pola widzenia i jest w ładowniku.

– Halo, Houston, wszystko w porządku. Zejdę z widoku. No i jak?

– Wspaniale, Dick. Widzimy „Discovery” i... ale, ale, musimy mieć możliwość śledzenia całego startu.

Baedecker spojrzał krytycznym okiem na kamerę obracającą się to w lewo, to w prawo. Obiektyw najpierw mierzył w niego na wysokości pasa, a następnie przesunął się tak, by widzieć go w całości. Baedecker wyobraził sobie obraz, jaki przesyła na Ziemię. Jego zakurzony skafander zapewne jest błyszczącą białą plamą, tu i ówdzie urozmaiconą ciemniejszymi plamami pasów i zatrzasków oraz ciemną, migoczącą osłoną na oczy. Nie będzie widać jego twarzy.

– Dobrze – powiedział. – Wszystko w porządku. Czy coś mam jeszcze zrobić?

– ...ierdze...

– Houston, powtórz, nie słyszałem.

– Bez potwierdzenia, Dick. Jesteśmy trochę spóźnieni. Czas wchodzić na pokład.

– Przyjąłem.

Baedecker po raz ostatni przyjrzał się powierzchni Księżyca. Ostry blask słoneczny uczynił ją niemal płaską i jednolitą. Nawet przez ciemną osłonę, którą miał na oczach, wydawała się ogromnym białym pustkowiem. Zupełnie jak to, co czuł w środku. Baedecker z rozdrażnieniem stwierdził, że ma umysł zajęty całą masą szczegółów: lista kontrolna przed startem, procedury^achowywania, w dodatku pełny pęcherz – nie mógł spokojnie zebrać myśli. Zwolnił oddech i starał się usilnie zarejestrować jakieś uczucie, które miałoby towarzyszyć chwili jego rozstania z tym aa^fenf „>k” niebieskim. „. * Jestem tu – pomyślał. – Naprawdę tu jestem”.

Nagle poczuł się jak głupek, stojąc tak, zapluwając „mikrofon i dodatkowo opóźniając i tak już mocno spóźniony odlot. Pro-‘ mienie słoneczne odbijające się od złotej folii izolacyjnej wokół ładownika razily go w oczy. Wzruszywszy lekko ramionami we wnętrzu swego baniastego skafandra, długimi, swobodnymi skokami ruszył poprzez stratowaną i porytą powierzchnię w stronę statku. Półksiężyc zajaśniał nad dżunglą. Teraz była kolej Maggie. Dziewczyna pochyliła się, złączyła kolana, na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia. Lekko uderzona piłka zbyt szybko potoczyła się po nachylonej nawierzchni i odbiła się od dolnej części ogrodzenia.

– Nie do wiary – powiedział Baedeker.

Na miejscowość zwaną Khadzuraho składało się lotnisko o jednym wąskim pasie startowym, słynny zespół świątyń, mała wioska, dwa hoteliki przycupnięte na skraju dżungli i miniaturowe pole golfowe.

Świątynie zamykano o piątej po południu. Jediną atrakcją poza zwiedzaniem świątyń była przejażdżka słoniem po dżungli, organizowana przez hotel w sezonie turystycznym. Ale sezon już się skończył. Spacerując dookoła hotelu, niespodziewanie odkryli to miniaturowe poletekko golfowe.

– Nie do wiary – powiedziała wówczas Maggie.

– Zapewne pamiątka po jakimś architekcie z Indianapolis, który tęsknił za domem – stwierdził Baedeker. Recepcjonista z niechętną miną przyniósł im komplet kijów, z których dwa były tak wygięte, że nie nadawały się do niczego. Baedeker z galanterią wręczył Maggie najbardziej prosty spośród tych, które można było jeszcze od biedy użyć, i ruszyli w stronę pierwszego dołka.

Niecelnie uderzona piłka potoczyła się w trawę. Mała zielona żmijka, spłoszona, szybko ukryła się w wyższym zielsku. Maggie stłumiła okrzyk, a Baedeker odruchowo wyciągnął przed siebie kij niczym miecz. Przed nimi w mrocznych oparach widać było wiatraczki z rozszczepionej sklejki i pasy nagiej ziemi, pozbawionej darni przez uderzenia kijów golfowych. Dołki i wybetonowane przeszkody wodne pełne były letniej wody pozostałej po spadłym w ciągu dnia deszczu. Kilka metrów za ostatnim dołkiem widniała hinduska świątynia, która stąd wydawała się miniaturową altanką.

– Scott byłby zachwycony – zaśmiał się Baedeker. – Naprawdę? – zdziwiła się Maggie. Całym ciężarem opierała się teraz na kiju. W przyćmionym świetle jej twarz wyglądała jak biały owal.

– Pewnie. Kiedyś był to jego ulubiony sport. Mieliśmy wykupioną całosezonową wejściówkę na pola golfowe w Cocoa Beach. Maggie pochyliła się i mocnym uderzeniem posłała piłkę po wyboistym betonie na odległość trzech metrów. Spojrzała w górę, jakby nagle coś przesłoniło księżyc.

– Zobacz! – krzyknęła. Ogromny nietoperz z błoną lotną metrowej długości wyleciał spośród drzew, odcinając się czarną plamą na tle wieczornego nieba.

Zanim doszli do czternastego dołka, dokuczliwe komary zmusiły ich do schronienia się wewnątrz hotelu.

Woodland Heights. Oddalone o jedenaście kilometrów od Centrum Lotów Kosmicznych imienia Johnsona, płaskie jak Solne Równiny Bonneville i równie pozbawione drzew, jeśli nie liczyć rachitycznych młodych drzewek podpartych palikami, rosnących na każdym podwórku, osiedle domków jednorodzinnych Woodland Heights wiło się wzdłuż krętych ulic i wokół małych, okrągłych placyków, prażąc się w bezlitosnym teksaskim słońcu. Pewnego dnia, wracając samolotem do domu po tygodniu spędzonym na przylądku Canaveral – na przygotowaniach do lotu „Gemini”, który nigdy

nie miał się odbyć – Baedeker zaczął kołować nad ciągnącymi się w nieskończoność kwadratami identycznej zabudowy, starając się odszukać własny dom. W końcu rozpoznał go po nowym zielonym lakierze starego ramblerajona, zaparkowanego na podwórku.

Pod wpływem nagłego impulsu zanurkował opadając na umożliwiający lepszą widoczność, choć niedozwolony poziom sześćdziesięciu metrów nad dachami. Linia horyzontu przechylała się to w jedną, to w drugą stronę, a promienie słoneczne rozszczepiały się w pleksiglasowej szybie, gdy Baedeker wykonywał nawrót. Wychodząc z lotu nurkowego wcisnął dopalanie i zaczął wznosić się pod bardzo ostrym kątem, a wykonując bardzo małą pętlę, kątem oka zarejestrował niespodziewane pojawienie się żony i syna na progu domu.

Był to jeden z niewielu momentów w jego życiu, kiedy czuł się naprawdę szczęśliwy.

Leżał na łóżku obserwując, jak wpadający przez okna snop księżycowego światła przesuwają się po ścianie hotelowego pokoju w Khadzuraho. Zastanawiał się, czy Joan sprzedała tamten dom, czy nadal go komuś wynajmowała.

Po chwili wstał z łóżka i podszedł do okna. W ten sposób zasłonił dostęp księżycowemu światłu i pokój zatonął w ciemnościach.

* * *

Basti, chawl, czy jak to nazywali mieszkańcy Kalkuty, był najgorszym slumsem, jaki można sobie wyobrazić. Całymi kilometrami wzdłuż kolejowych szyn ciągnął się labirynt ruder pokrytych blachą i namiotów z pozszywanych worków jutowych, poprzedzielany nielicznymi krętymi uliczkami, służącymi jednocześnie jako ulice i rynsztoki. Liczba ludzi stłoczonych na tym terenie przekraczała wszelkie wyobrażenie. Wszędzie było mnóstwo dzieciaków, załatwiających się na progach domów, goniących pomiędzy chatynkami, biegnących za Baedekerem, szybkich, onieśmielonych, bosonogich. Kobiety na jego widok obracały głowy w inną stronę lub unosiły sari, by zakryć twarze. Mężczyźni wbijali w niego spojrzenia, w których ciekawość mieszała się z wrogością. Niektórzy w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Matki pochylały się nad dziećmi, starając się wytropić wszy w skołtunionych włosach. Małe dziewczynki siedziały w kucki wraz ze starymi kobietami, ugniatając krowie łajno i formując z niego zgrabne brykiety na opał. Jakiś starzec smarkał przez palce, przycupnąwszy za potrzebą na pustym skrawku ziemi.

– Baba! Baba! – wykrzykiwały biegnące dzieciaki. Wokół niego pojawiło się pełno wyciągniętych rąk, ktoś szarpał go za rękaw. W końcu opróżnił z drobnych monet wszystkie kieszenie.

– Baba! Baba!

Umówił się z Maggie o drugiej przed uniwersytetem, ale zgubił drogę, bo zbyt wcześnie wysiadł z zatłoczonego autobusu. Teraz było już chyba koło piątej. Pełne kurzu ulice to rozchodziły się, to znów schodziły, zamykając go w pułapce pomiędzy torami kolejowymi a brzegiem rzeki Hugli. Co jakiś czas w oddali majaczyła mu sylwetka mostu Howrah, ale w żaden sposób nie potrafił zbliżyć się do niego ani o krok. Fetor bijący od wody walczył o lepsze ze smrodem slumsów i zgniłym zapachem błota. – Baba! – Ciżba wokół gęstniała z minuty na minutę. Teraz do zebrzących dzieci zaczęli dołączać starsi. Kilku rosnących mężczyzn wyrzucało z siebie potoki słów w niesłychanym tempie, energicznie wymachując mu rękami tuż przed nosem.

„O Boże, ale się wrobiłem! – pomyślał Baedeker. – Jeszcze jeden wstrętny Amerykanin”.

Większość chatek nie miała drzwi. Kury swobodnie wbiegały i wybiegały z mrocznych, zatłoczonych wnętrz. W płytkiej sadzawce, do której uchodziły ścieki, gromada chłopców i mężczyzn

szorowała czarne boki sennego wołu. W którejś spośród tysiąca stłoczonych chatynek małe radio na baterie grało na cały regulator. Muzyka płynąca z głośnika stawała się coraz głośniejsza, natarczywe crescendo zajadle szarpanych przez kogoś strun tylko wzmogło rosnący niepokój Baedeckera. Teraz szło za nim jakieś trzydzieści czy czterdzieści osób. Wychudli, gardłujący mężczyźni odepchnęli dzieciaki na bok.

Nagle jeden z nich, z głową owiniętą barwną chustą, krzyknął coś głośno w języku, który Baedeker wziął za hindi lub bengalski. Kiedy Baedeker potrząsnął głową na znak, że nic nie rozumie, Hindus zastąpił mu drogę wymachując w powietrzu chudymi ramionami i wykrzyknął to samo jeszcze głośniej. Kilku mężczyzn w tłumie powtórzyło za nim niektóre słowa.

Dużo wcześniej Baedeker podniósł z ziemi mały, chociaż dosyć ciężki kamień. Teraz włożył rękę do kieszeni bluzy i zacisnął dłoń na chłodnym kawałku skały. Ciągące się w nieskończoność sekundy pozwoliły mu się opanować.

Nagle gdzieś z boku dobiegł głośny krzyk. Dzieciaki natychmiast rzuciły się w tamtą stronę i powoli tłum wokół Baedeckera zaczął rzednąć. Wszyscy biegli w dół ulicy. W końcu nawet mężczyzna w chuście na głowie warknął w jego kierunku coś w rodzaju pożegnania i szybko ruszył za pozostałymi. Baedeker przez chwilę stał w milczeniu, po czym wolnym krokiem podążył za tłumem po błotnistej drodze wiodącej w stronę rzeki. Gromada ludzi otoczyła coś, co woda wyrzuciła na mulisty brzeg. Z początku Baedeker pomyślał, że to jakiś biały pniak, ale potem rozpoznał ludzkie ciało. Było straszliwie białe – bielsze niż skóra albinosa, bielsze niż rybie brzuchy – nabrzmiałe od rozpierających je gazów, wydawało się dwukrotnie większe niż za życia. W bezkształtnej masie, która kiedyś była twarzą, zamiast oczu widniały dwie czarne jamy. Dzieciaki, które wcześniej biegły za Baedeckerem, teraz kucąły wokół trupa i obmacywały go, chichocząc piskliwie. Pomarszczona skóra przywodziła mu na myśl ogromne białe grzyby, wielkie, gnijące na słońcu plechy. Fragmenty ciała zapadały się do środka lub odpadały, poszturchiwane przez rozbawione dzieciaki.

Kilku mężczyzn podeszło bliżej i zaczęło nakłuwać zwłoki ostrymi kijami. Nagle cofnęli się i w ciszy dał się słyszeć syk uchodzących gazów. Tłum wybuchnął gromkim śmiechem. Matki z niemowlętami na rękach przepychały się do przodu, by lepiej widzieć.

Baedeker cofnął się, zbiegł w dół ścieżką, nie myśląc dokąd idzie skręcił w prawo i nagle znalazł się na wyłożonej betonem ulicy. Obok niego przejechał tramwaj chyboczący się pod ciężarem uwieszonych po obu stronach pasażerów. W ślad za tramwajem minęli go dwaj rikszarze, z trudem taszczyący do domów grubych hinduskich handlarzy udających się na wieczorny posiłek. Baedeker obserwował przez chwilę pędzące ulicą samochody, aż w końcu dostrzegł wolną taksówkę i zatrzymał ją ruchem ręki. – Jak się czujesz, Richard?

– Wspaniale, kochanie. Przez następne parę dni będziemy sobie leżeć do góry brzuchem. Tom Gavin odwala większość roboty i dba o nas jak mało kto. Za parę godzin Dave i ja wyślemy go na zewnątrz po filmy. Jak tam w domu?

– Świetnie. Wczoraj w Ośrodku Kontrolnym widzieliśmy wasz start z Księżyca. Nigdy nie mówiłeś, że te rakiety są takie szybkie. – To prawda. Pędziliśmy jak na złamanie karku.

– ...alby ci coś...owie...

– Co mówiłaś? Powtórz, kochanie, nic nie słyszałem.

– ...wiłam, że Scott też chciałby z tobą porozmawiać.

– Dobra... świetnie! Daj mi go.

– Do widzenia, Richard. Czekamy na ciebie we wtorek.

– Cześć, tato!

– Cześć, Scott!

– Fajnie wyglądałeś w telewizji. Naprawdę pobiliście rekord? – A, ten... rekord prędkości... wjeździe po Księżycu. Tak, chyba pobiliśmy rekord. Tyle że Dave prowadził i pewnie on będzie rekordzistą.

–Aha.

– Dobra, tygrysie, musimy wracać do pracy. Fajnie było cię słyszeć.

– Tato?

– Aha... odbiór, Scott...

– Wszyscy trzej jesteście na ekranie. Kto prowadzi statek? – Co?... Niezłe pytanie, co nie, Tom? Jak by ci tu powiedzieć, Scott... Przez następną parę dni całą robotę będzie odwalał za nas Izaak Newton.

Ludziom z NASA wydawało się, że transmisja na żywo rozmów kosmonautów z rodzinami okaże się niezłą reklamą dla agencji, którą będzie można nadać w czasie wieczornych wiadomości. Przy następnym locie zarzucono ten pomysł. „Przesławny grób Jego Wysokości szacha Dzehana, Dzielnego Króla, który zamieszkuje gwiazdziste Niebo. Opuścił grono śmiertelnych i przeniósł się .do Wieczności dwudziestego ósmego dnia miesiąca Rahab, w 1076 roku hidzry”.

Maggie Brown zamknęła przewodnik i oboje skierowali wzrok ku wyniosłym wieżom Tadz Mahal. Żadne z nich nie było w nastroju do podziwiania misternej architektury ani drogocennych kamieni zatopionych w nieskazitelnym marmurze bramami tłoczyli się żebracy. Baedeker i dziewczyna przecięli szachownicę posadzki i oparli się o balustradę, za którą rozciągał się widok na rzekę. Monsunowa ulewa nie zdołała przegnać tylko najwytrwalszych spośród turystów. Było chłodno, jak przez cały okres pobytu Baedeckera w Indiach – poniżej piętnastu stopni. Słońce ukrywało się za warstwą sinoczarnych stratocumulusów zakrywających zachodnią część nieba, ale okolica tonęła w bladoszarym świetle. Rzeka była szeroka i płytka, jej wody płynęły z łagodną powolnością właściwą wszystkim rzekom na świecie.

– Maggie, dlaczego pojechałaś za Scottem do Indii? Spojrzała na Baedeckera i chciała wzruszyć ramionami, lecz zamiast tego pochyliła się lekko do przodu i odgarnęła za ucho wiecznie opadający kosmyk. Rzuciła okiem na rzekę, jak gdyby szukała wzrokiem kogoś na drugim brzegu.

– Sama nie wiem. Znaliśmy się zaledwie pięć miesięcy, zanim zdecydował się rzucić studia i przyjechać tutaj. Lubiłam go... nadal go lubię... ale czasem wydawał mi się taki niedojrzały. A czasami znowu robił wrażenie starego człowieka, który zapomniał, jak wygląda śmiech.

– Ale pojechałaś za nim na koniec świata.

Tym razem wzruszyła ramionami.

– On czegoś szukał. Oboje czegoś szukaliśmy, tak na serio...

– Magicznych miejsc, które mają moc?

– Czegoś w tym rodzaju. Tylko że Scott myślał, że jeżeli nie znajdzie czegoś już, zaraz, natychmiast, to nie znajdzie już nigdy. Mówił, że nie chce spać sobie życia, jak...

– Jak jego stary?

– Jak tylu innych ludzi. Więc kiedy napisał do mnie, postanowiłam, że przyjadę tu, zobaczę co i jak. Dla mnie to tylko dłuższe wakacje. Za rok robię magisterkę.

– Czy myślisz, że znalazł to, czego szukał? – spytał Baedeker.

Jego głos niemal drżał.

Maggie Brown odchyliła głowę w tył i odetchnęła głęboko. – Wątpię, czy cokolwiek znalazł. Myślę raczej, że uparł się, aby udowodnić sobie i światu, że jest takim samym dupkiem jak wszyscy inni. Przepraszam za wyrażenie, panie Baedeker. Baedeker uśmiechnął się.

– W listopadzie będę miał pięćdziesiąt trzy lata. Ważę o całe dziesięć kilo więcej niż w czasach, kiedy byłem etatowym pilotem. Moja praca to gówno. W moim biurze są te same meble z jasnego drzewa, które były krzykiem mody w latach pięćdziesiątych. Moja żona rozeszła się ze mną po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa i żyje z księgowym, który farbuję włosy i dla rozrywki hoduje szynszyle. Przez dwa lata męczyłem się nad napisaniem książki, zanim zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę nie mam absolutnie nic do powiedzenia. A teraz spędziłem już ponad połowę tygodnia z piękną dziewczyną, która przez cały czas ani razu nie miała na sobie stanika, i nawet nie próbowałem jej poderwać. Tak więc... jeszcze chwilę... tak więc, jeśli chcesz powiedzieć, że mój jedyny, ukochany syn jest pierwszym lepszym dupkiem, nie musisz się krępować.

Śmiech Maggie odbił się echem od wysokich ścian. Przechodząca para starszych Anglików popatrzyła na nich takim wzrokiem, jakby chichotali w kościele.

– No dobrze – powiedziała Maggie wreszcie. – Ty wiesz, czemu tu przyjechałam. A co ciebie tu sprowadza? Baedeker zamrugnął, zaskoczony pytaniem.

– Jestem jego ojcem. – Oczy Maggie wpatrywały się w niego nieporuszone. – Masz rację – rzekł – to nic nie znaczy. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej medalik ze świętym Krzysztofem.

– Mój ojciec dał mi go, jak szedłem do marynarki. Mój ojciec i ja nie bardzo się rozumieliśmy...

– Był katolikiem? •

Baedeker zaśmiał się głośno.

– Nie, nie był katolikiem... był kalwinem... ale jego dziadek był katolikiem. Ten medalik przebył długą drogę. – Opowiedział jej o tym, jak zabrał medalik na Księżyc.

– To dopiero! – zdziwiła się Maggie. – A święty Krzysztof podobno wcale nie jest święty.

– Chyba nie.

– Ale to nie ma znaczenia, prawda?

– Raczej nie.

Maggie spojrzała na rzekę. Ściemniało się. Światła latarni i płomienie ognisk jaśniały wzdłuż linii drzew. Słodki dym snuł się w powietrzu.

– Wiesz, którą z przeczytanych książek uważam za najsmutniejszą? – spytała.

– Nie wiem. Którą?

– „Chłopcyjednego lata”. Czytałeś?

– Nie, ale pamiętam, jak wyszła. To było coś o sporcie, prawda?

– Tak. Autor – Roger Kahn – prześledził kariery zawodników, którzy grali w Brooklyn Dodgers w pięćdziesiątym drugim i trzecim.

– Pamiętam tych chłopaków – powiedział Baedeker. – Duke Snider, Campanella, Billy Cox. Co w tym smutnego? Nie zdobyli mistrzostwa ligi, ale mieli wspaniały początek. – Właśnie o to chodzi – odparła Maggie, a Baedeker ze zdziwieniem zauważył, że jej głos zdradza niemałe poruszenie. – Po latach, kiedy Kahn prześledził przebieg kariery tych ludzi, okazało się, że tamten debiutancki sezon wciąż był ich najlepszym sezonem. Był ich największym życiowym osiągnięciem, choć

większość z nich nie chciała w to uwierzyć. Wszyscy byli już starymi pierdzielami rozdającymi autografy na lewo i prawo, u schyłku kariery, ale wciąż udawali przed sobą, że najlepsze jeszcze przed nimi. Baedeker nie zaśmiał się. Pokiwał głową. Aby jakoś przerwać niezręczne milczenie, Maggie zajrzała znów do przewodnika. Nagle zawołała:

– Patrz, tu mamy coś ciekawego!

– Co takiego?

– Tu jest napisane, że Tadż Mahal to była tylko rozgrzewka. Stary szach Dżehan planował dla siebie coś jeszcze większego. Po drugiej stronie rzeki. Miał tam stanąć budynek mieszczący jego grobowiec, cały czarny, połączony przepięknym mostem z Tadż Mahal.

– I co się stało?

– Cóż... kiedy szach Dżehan umarł, jego syn... Aurangzeb... po prostu złożył trumnę z ciałem ojca obok trumny żony, Mamtaz Mahal, i wydał forszę na coś innego.

Oboje pokiwali głowami. Kiedy schodzili w dół, dało się słyszeć ochryple głosy muezinów nawołujące wiernych do modlitwy. Przy głównej bramie Baedeker obrócił się raz jeszcze, ale nie patrzył wcale na Tadż ani na jego mroczną sylwetkę odbijającą się w ciemnej wodzie stawu. Patrzył na wysoki hebanowy grobowiec po drugiej stronie rzeki i na strzelisty most, łączący oba brzegi. Księżyc wisiał nad figowcami na bladoniebieskim porannym niebie. Baedeker z rękami w kieszeniach spodni stał przed wejściem do hotelu. Ulice wypełniały się tłumem ludzi i pojazdów. Kiedy wzrokiem wyłowił idącego w jego kierunku Scotta, musiał mu się dobrze przyjrzeć, aby upewnić się, że to na pewno on. Długa pomarańczowa szata i sandały pasowały do długowłosego, brodatego młodzieńca, ale ten strój nie kojarzył się Baedekerowi z synem. Zauważył, że zarost Scotta, tak mizerny jeszcze przed dwoma laty, zamienił się w mocne rude pasma.

Scott zatrzymał się o parę kroków przed nim. Obaj patrzyli na siebie badawczo w absolutnym milczeniu, aż sytuacja zaczęła się stawać coraz bardziej niezręczna. Wreszcie Scott wyszczerzył w uśmiechu zęby, które zajaśniały bielą na tle ciemnej brody. Wyciągnął rękę.

– Cześć, tato.

– Cześć, Scott. – Uścisk był mocny, ale nie tak serdeczny, jak by tego pragnął Baedeker. Na krótką chwilę opanowało go uczucie żalu, gdy przed oczami stanął mu dawny obraz krótko ostrzyżonego siedmiolatka w niebieskiej koszulce, wybiegającego pędem z domu i rzucającego mu się na szyję.

– Jak się czujesz, tato?

– Dobrze. Bardzo dobrze. A ty? Chyba sporo schudłeś. – Zrzuciłem tylko nadmiar tłuszczu. Nigdy nie czułem się lepiej. Fizycznie i duchowo.

Baedeker nie wiedział, co powiedzieć.

– Jak tam mama? – zapytał Scott.

– Nie widziałem jej od paru miesięcy, ale kiedy dzwoniłem do niej przed wyjazdem, mówiła, że czuje się świetnie. Prosiła, bym cię od niej uściskał. I żebym ci przetrzepał skórę, jeśli nie obiecasz, że będziesz częściej do niej pisać. Chłopak wzruszył ramionami i machnął ręką w sposób, który Baedeker pamiętał jeszcze z czasów jego pierwszych niepowodzeń w lidze baseballowej. Wiedziony nagłym impulsem chwycił syna mocno za ramię. Okryte zwiewną szatą wydawało się chude, lecz mocne.

– Posłuchaj, Scott, zjedźmy gdzieś razem śniadanie i pogadajmy trochę.

– Nie mam wiele czasu, tato. Poranny wykład Mistrza zaczyna się o ósmej i muszę tam być o tej godzinie. Przykro mi, ale przez najbliższe kilka dni będę bardzo zajęty. Cała nasza grupa jest teraz w newralgicznym okresie. Chwila nieuwagi i zaprzepaścimy wszystko, co do tej pory osiągnęliśmy. Mógłbym się cofnąć o kilka miesięcy. Baedeker zrezygnował z odpowiedzi, która cisnęła mu się na usta. Zamiast tego pokiwał głową.

– Mam jednak nadzieję, że starczy nam czasu, żeby razem napić się kawy, co?

– Pewnie – w głosie Scotta słychać było wahanie. – Więc gdzie pójdziemy? Może do kafejki w hotelu? Wydaje się, że to jedyne odpowiednie miejsce w okolicy. Scott uśmiechnął się przyzwalająco.

– Dobra. Idźmy tam.

Kafejka była lokalem pod gołym niebem, pomiędzy ogrodem a basenem. Baedeker zamówił bułki i kawę, kątem oka rejestrując kobietę z jakiejś niższej kasty przycinającą trawnik sierpem. Chociaż dzisiaj w Indiach nikt już nie używał tej nazwy, niedotykalni pozostali niedotykalnymi. Jakaś hinduska rodzina przyszła popływać w basenie. Zarówno ojciec, jak i jego mały synek mieli potężną nadwagę. Obaj na przemian skakali do wody z niższej trampoliny, chlapiąc wodą na chodnik wokół basenu. Matka i córki siedziały przy stoliku, zanosząc się śmiechem.

Oczy jego syna wydawały się bardziej głębokie i poważne niż te, które zachował we wspomnieniach. Już jako dziecko Scott był raczej poważny. Teraz wyglądał na bardzo zmęczonego. Oddychał płytko i chrapliwie.

Przyniesiono im śniadanie.

– Mmm... Pycha! – odezwał się Baedeker. – W czasie całej tej wycieczki w ogóle nie zwracałem uwagi na tutejsze potrawy. Ale kawę, trzeba im przyznać, mają tu świetną. – Obca karma. Całe mnóstwo. – Scott spoglądał podejrzliwie na swoją filiżankę i spoczywające obok niej bułki. – Nie wiadomo nawet, kto przygotowywał to żarcie. Kto dotykał tych bułek. Ten ktoś mógł mieć naprawdę fatalną karmę.

Baedeker łyknął kawy.

– Gdzie mieszkasz, Scott?

– Przeważnie w ashramie albo na farmie Mistrza. W czasie tygodni przeznaczonych na przebywanie w samotności wynajmuję pokój w malutkim hinduskim schronisku, kilka przecznic stąd. Nie ma szyb w oknach, a zamiast łóżek są hamaki, ale za to jest bardzo tanio. A dla mnie otoczenie, w jakim przebywam, już dawno przestało się liczyć.

Baedeker przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

– Naprawdę? Jeśli jest tak tanio, to gdzie się podziła cała forsa? Od stycznia, kiedy postanowiłeś tu przyjechać, przesłaliśmy ci z mamą jakieś cztery tysiące dolarów.

Scott skierował wzrok na basen, w którym hałasowali Hindusi.

– No wiesz... Miałem różne wydatki.

– Nie wiem – rzekł miękko Baedeker. – Co to za wydatki? Scott skrzywił się. Jego długie włosy rozdzielone były przedziałkiem na środku głowy. Z tą brodą przypominał Baedekerowi pewnego ekscentrycznego faceta ze służby naziemnej, którego miał okazję poznać pracując dla NASA jako oblatywacz modeli eksperymentalnych, w połowie lat sześćdziesiątych. – Różne wydatki – powtórzył Scott. – Dostanie się tutaj kosztowało sporo. Większość forsy oddałem Mistrzowi. Baedeker czuł, że przestaje panować nad rozmową. Poczul narastający gniew, którego wcześniej

obietcywał sobie nie okazać. – Co to znaczy, że oddałeś forszę Mistrzowi? Po co? Żeby sobie wybudował tutaj nowe audytorium? Żeby znowu mógł się przeprowadzić do Hollywood? A może na nowe miasto w Oregonie? Scott westchnął i machinalnie wbił zęby w bułkę. Ręką strząsnął okruszki, które osiadły mu na wąsach.

– Zapomnij o tym, tato.

– O czym mam zapomnieć? O tym, że rzuciłeś studia, by przyjechać tu i wydawać forszę na tego oszusta?

– Powiedziałem: zapomnij o tym.

– Do diabła! Możemy chyba o tym porozmawiać.

– Porozmawiać o czym? – Scott podniósł głos.

Ludzie w kafejce obrócili głowy w ich stronę. Jakiś starszy mężczyzna w pomarańczowych szatach i sandałach, o włosach związanych w kucyk, odłożył „Timesa” i zgasił papierosa, wyraźnie zainteresowany dochodzącą z boku wymianą zdań.

– Co ty wiesz, do cholery? Jesteś tak unurzany w tym amerykańskim, materialistycznym gównie, że nie byłbyś w stanie poznać prawdy, nawet gdyby któregoś dnia pojawiła się na twoim pierdolonym biurku!

– W materialistycznym gównie? – powtórzył zdziwiony Baedeker. Cały gniew uleciał z niego w mgnieniu oka. – A ty myślisz sobie, że parę ćwiczeń tantra jogi i kilka miesięcy na tym zadupiu doprowadzi cię do poznania prawdy?

– Nie wypowiadaj się o rzeczach, o których nie masz zielonego pojęcia – uciał Scott.

– Tak się akurat składa, że mam pewne pojęcie na temat techniki – powiedział Baedeker. – I nie robi na mnie wrażenia kraj, w którym nikogo nie stać na zbudowanie prostej centrali telefonicznej albo chociażby kanalizacji. Mam też wystarczająco dobry wzrok, by zauważyć, że tysiące ludzi niepotrzebnie umiera tu z głodu.

– Gówno prawda! – przerwał Scott, chyba z większym szyderstwem w głosie niż zamierzał. – To, że nie zapychamy się tu wołowiną, nie oznacza, że nie mamy co jeść...

– Nie mówię o tobie. Ani o innych, co mieszkają z tobą. Ty w każdej chwili możesz wsiąść do samolotu i wrócić do Stanów. To tylko zabawa. Kaprysy bogatych dzieciaków. Mówię o... – Kaprysy bogatych dzieciaków! – Scott sprawiał wrażenie szczerze ubawionego. – Po raz pierwszy dowiaduję się, że jestem bogatym dzieciakiem! Pamiętam, że w życiu nie pożyczyłeś mi pięćdziesięciu centów, bojąc się, że zrobisz ze mnie rozpieszczonego jedynaka.

– Daj spokój, Scott.

– Jedź do domu, tato. Wracaj do domu, pooglądaj sobie świat w kolorowym telewizorze albo poćwicz na swoim sprzęcie w piwnicy, popatrz na te swoje pierdolone fotografie na ścianie i zostaw mnie w spokoju. Chcę sam poprowadzić moje... moje zabawy.

Baedeker na sekundę zamknął oczy. Pragnął, żeby dzień zaczął się na nowo, żeby mógł jeszcze raz rozpocząć tę rozmowę. – Scott, chcielibyśmy, żebyś wrócił do domu.

– Do domu? – Scott wygiął brwi w łuk w wyrazie zaskoczenia. – A gdzie jest dom, tato? W Bostonie, z mamą i jej gogusiem? Czy może masz na myśli twoje kawalerskie gniazdko w St. Louis? Dziękuję, nie skorzystam.

Baedeker znów schwycił syna za ramię. Poczul napinające się mięśnie, stawiające wyraźny opór.

– Porozmawiajmy o tym, Scott. Przecież nic cię tu nie trzyma. Patrzyli na siebie bez cienia serdeczności. Jak dwaj obcy, którzy spotkali się przypadkiem.

– To tam mnie nic nie trzyma! – wybuchnął wreszcie Scott. – Tam nie ma dla mnie nic. Jesteś stamtąd, więc wiesz. Cholera, tato, ty sam jesteś tym niczym!

Baedecker opadł na krzesło. Wścibski kelner kręcił się w pobliżu ich stolika, niezdarnie udając, że przestawia szklanki i sztućce. Wróble obsiadły pobliskie stoliki, wydziobując resztki z brudnych naczyń i racząc się cukrem z cukierniczek. Gruby chłopak wrzasnął coś z wysokości wieży i po chwili plasnął ogromnym brzuchem o powierzchnię wody. Ojciec pokrzykiwał coś do syna, a kobiety skręcały się ze śmiechu na brzegu basenu. – Muszę już iść – odezwał się Scott.

Baedecker kiwnął głową.

– Odprowadzę cię – powiedział.

Ashram znajdował się o dwie przecznice za hotelem. Wierni spacerowali wzdłuż ukwieconych alejek, przybywali riksami po dwóch, po trzech. Drewniana brama i wysokie ogrodzenie broniło dostępu ciekawskim. W bramie znajdował się mały sklepik, w którym można było nabyć dzieła guru, jego zdjęcia i koszulki z jego autografem.

Zatrzymali się na chwilę przed bramą.

– Czy nie udałoby ci się wyjść dziś wieczorem na trochę dłużej? Zjedlibyśmy razem obiad.

– Tak. Chyba tak.

– W hotelu?

– Nie. Znam takie miejsce w centrum, gdzie dają dobre wegetariańskie zarcie. Taniocha.

– Świetnie. No to jesteśmy umówieni. Jak wyjdiesz wcześniej, podejdź do hotelu.

– W porządku. W poniedziałek wracam na farmę Mistrza, ale może Maggie pokaże ci Pune, zanim wyjedziesz. Jest tu parę rzeczy do zobaczenia. Kasturba Samahdi, świątynia Parwati, cały ten turystyczny interes. – Znowu machnięcie ręką. – Wiesz, co mam na myśli.

Baedecker po raz kolejny omal nie wyciągnął ręki do rutynowego uścisku – jak na spotkaniach z klientami. Na szczęście w porę się zreflektował. Zamglone słońce grzało mocno. Wilgoć w powietrzu mówiła mu, że jeszcze przed południem będzie ulewa. Wykorzysta wolny czas, żeby kupić gdzieś parasol. – No to na razie, Scott.

Jego syn kiwnął głową. Kiedy odwrócił się i dołączył do pozostałych wyznawców w powłóczystych szatach, podążających w kierunku ashramu, Baedecker długo spoglądał na oddalające się wąskie i wyprostowane plecy, na włosy jaśniejące w promieniach słońca. W poniedziałek Baedecker wsiadł do pociągu o nazwie „Królowa Dekanu”, aby przejechać sto pięćdziesiąt kilometrów dzielące góryste okolice od Bombaju. Jego lot opóźnił się o trzy godziny. Panował straszliwy upał. Z nudów Baedecker przypatrywał się podstarzałym strażnikom wyposażonym w jednostrzałowe flinty, w sandałach, z których wystawały wielokrotnie cerowane skarpety. Tego ranka przeszedł się po starej brytyjskiej dzielnicy Puny, gdzie po długich poszukiwaniach znalazł dom lekarza, u którego pracowała Maggie. „Panna Brown wyszła, zabrała dzieci do pawilonu. Czy chce zostawić wiadomość?” Nie zostawił nic prócz małej, białej jak opakowanej paczuski zawierającej flecik, który kupił w Waranasi. Flecik i stary medalik ze świętym Krzysztofem na zaśniedziałym łańcuszku.

Gdy o szóstej po południu znalazł się na pokładzie samolotu, poczuł ulgę. Było jeszcze drobne opóźnienie w związku z koniecznością dokonania przeglądu maszyny, ale stewardesy roznosiły już

drinki, a klimatyzacja działała bez zarzutu. Baedeker zajął się przeglądaniem numeru „Świata Nauki”, który kupił jeszcze na Victoria Station.

Zanim zdążyli odlecieć, zapadł w krótką drzemkę. We śnie uczył się pływać i swobodnie odbijał się od bielutkiego piasku na dnie jeziora. Nie widział ojca, ale czuł podtrzymujące go nieustannie silne ramiona, pchające go lekko naprzód i chroniące przed niebezpieczeństwem silnych prądów.

Obudził się, gdy startowali. Dziesięć minut później byli już nad Morzem Arabskim i przebijali się przez gęsty pułap chmur. Po raz pierwszy w tym tygodniu Baedeker ujrzał czyste błękitne niebo. Blask zachodzącego słońca przemieniał znajdujące się pod nimi chmury w jezioro złocistych płomieni.

Gdy osiągnęli odpowiednią wysokość i zakończyli wznoszenie, Baedeker poczuł wyraźnie, jak wraz z osiągnięciem przez maszynę wierzchołka łuku ustępuje efekt zwiększonego ciężenia. Patrząc przez podrapane okienko, na próżno wypatrując księżycy, Baedeker doświadczył nagłego uczucia lekkości. Tu, w górze, nieubłagana siła przyciągania planety wydawała się odrobinę – chociaż odrobinę – mniejsza.

CZEŚĆ DRUGA

GLEN OAK

W czterdzieści dwa lata po ostatecznej wyprowadzce, trzydzieści lat od ostatniej wizyty, szesnaście lat po sławetnym spacerze na Księżycu Richard Baedeker został zaproszony do swego rodzinnego miasteczka. Miał być honorowym gościem głównych obchodów Święta Pierwszych Osadników i atrakcją związaną z tą uroczystością parady. Ósmy sierpnia miał zostać ogłoszony Dniem Richarda M. Baedeckera w Glen Oak, w stanie Illinois.

Nie miał pojęcia, skąd się wzięło to M. Jego drugie imię brzmiało Edgar. Podobnie też wcale nie uznawał małej miejsciny w Illinois za swoje rodzinne strony. Kiedy wspominał dzieciństwo, co zdarzało się nader rzadko, zazwyczaj przed oczami stawało mu malutkie mieszkanie na Kildare Street w Chicago, gdzie jego rodzina mieszkała przed i po wojnie. W Glen Oak spędził niecałe trzy lata: od końca 1942 do maja 1945 roku. Rodzina jego matki miała tam kawałek ziemi i kiedy ojciec Baedeckera został wraz z wybuchem wojny wcielony do marynarki, aby trzy lata służyć jako instruktor w Camp Pendleton, siedmioletni Richard Baedeker i jego dwie siostry z niewytłumaczalnych dla nich powodów zostali nagle przeniesieni z wygodnego mieszkania w Chicago do starej czynszówki w Glen Oak, zimnej od hulających przeciągów. Jego wspomnienia z tamtego okresu były równie mgliste i pozbawione znaczenia, jak to o torze wyścigowym dla samochodzików, z tektury i kawałków złomu, nad którym z uporem maniaka spędzał większość weekendów i letnich wieczorów podczas całego ich dwuletniego pobytu w tej miejscinie. Pomimo iż oboje rodzice spoczywali na cmentarzu tuż za Glen Oak, nie odwiedzał miasteczka od bardzo dawna. Zaproszenie otrzymał pod koniec maja, na parę dni przed wyjazdem w miesięczną podróż służbową, podczas której miał odwiedzić trzy kontynenty. Odłożył list do akt i pewnie szybko by o wszystkim zapomniał, gdyby nie napomknął o całej sprawie Cole'owi Prescottowi, wiceprezesowi korporacji, dla której pracował. – Do diabła, Dick, powinieneś tam pojechać! To świetna reklama dla firmy.

– Żartujesz sobie – odparł Baedeker. Siedzieli w barze na Lindbergh Boulevard, niedaleko siedziby firmy, na przedmieściach St. Louis. – Kiedy mieszkałem w tej pipidówce podczas wojny, na rogatkach stała tablica: 850 MIESZKAŃCÓW – ELEKTRONICZNA KONTROLA PRĘDKOŚCI. Wątpię, żeby od tamtych czasów miasteczko powiększyło się choć trochę. Raczej mieszka w nim teraz mniej ludzi niż wtedy. Nie znajdziemy tam zbyt wielu klientów na elektroniczne wyposażenie naziemnych systemów wspomaganie. – Chyba kupują jakiś sprzęt! – powiedział Prescott niosąc do ust garść fistaszków.

– Masz na myśli dojarki dla krów?

– Gdzie właściwie jest to całe Glen Oak?

Baedeker od wielu lat nie słyszał nikogo wypowiadającego nazwę tego miasteczka. Zabrzmiała mu bardzo obco. – Jakież trzysta kilometrów stąd w linii prostej – odparł. – Gdzieś pomiędzy Peorią a Moline.

– Cholera, to przecież ledwie kawałek stąd. Jesteś im to winien, Dick.

– Będę bardzo zajęty. – Baedeker zamówił trzecią szklaneczkę szkockiej. – To wypada zaraz po powrocie z konferencji w Bombaju i we Frankfurcie.

– Posłuchaj! – Prescott oderwał na chwilę wzrok od kelnerki, obsługującej jakieś młode małżeństwo przy najbliższym stoliku. – Czy dziewiątego sierpnia nie zaczynają się czasem te rozmowy z liniami lotniczymi w chicagowskim Hyacie? Turner chce cię tam wysłać, prawda?

– Nie on, Wally. Seretti z Rockwell też tam będzie. Mamy rozmawiać z Bormanem o tym kontrakcie na modyfikację airbusa. – No właśnie! – ucieszył się Prescott.

– Co właśnie?

– I tak będziesz jechał w tamte strony. Powinieneś spełnić patriotyczny obowiązek, Dick. Powiem Teresie, aby potwierdziła twój przyjazd.

– Zobaczymy – niechętnie przystał Baedeker.

W piątek siódmego sierpnia Baedeker poleciał do Peorii. DC-9 ledwie miał czas, by wznieść się na wysokość dwu i pół tysiąca metrów i przelecieć kawałek wzdłuż wijącej się w dole rzeki Illinois, kiedy zaczęli podchodzić do lądowania. Małe i zupełnie puste lotnisko przypomniało Baedekerowi wąski pasek asfaltu na skraju dżungli, na którym wylądował kilka tygodni wcześniej w Khadzuraho. Gdy zszedł po schodkach i przeciął na ukos tłuczniową nawierzchnię płyty, został przywitany radosnym okrzykiem przez grubego olbrzyma o rumianej twarzy, którego widział po raz pierwszy w życiu.

Zaklął w duchu. Zamierzał wynająć samochód, spędzić noc w Peorii i podjechać do Glen Oak wczesnym rankiem. Miał nadzieję, że po drodze uda mu się zatrzymać na chwilę i odwiedzić cmentarz.

– Panie Baedeker! Panie Baedeker! O Jezu, witamy, witamy! Cieszymy się, że pan do nas przyjechał.

Gruby olbrzym był sam. Baedeker musiał postawić swoją starą torbę lotniczą na ziemi, jako że nieznajomy obiema rękami ujął jego ramię aż do łokcia w potężnym uścisku. – Bardzo pana przepraszam, że nie udało nam się zorganizować lepszego powitania, ale do dziś nie wiedzieliśmy, kiedy pan przyjeżdża. Dopiero kiedy Marge dowiedziała się przez telefon... – W porządku – powiedział Baedeker. Wyciągnął rękę i dodał zupełnie niepotrzebnie: – Jestem Richard Baedeker. – No jasne, Jezu! Nazywam się Bili Ackroyd. Pani burmistrz Seaton na pewno byłaby tutaj zamiast mnie, gdyby nie to, że ma dziś na głowie wielką Fetę Rybną dla młodych z okazji Święta Pierwszych Osadników.

– No proszę, a więc w Glen Oak burmistrzem jest kobieta. – Baedeker zarzucił ponownie torbę na ramię i otarł strużkę potu spływającą mu po policzku. Falujące od upału powietrze sprawiało, iż widoczne w dali korony drzew oraz fragment parkingu robiły wrażenie nierzeczywistych mirażów. Wisząca w nim wilgoć była tak samo męcząca jak w St. Louis. Baedeker przyjrzał się idącemu obok niego mężczyźnie. Bili Ackroyd zapewne był tuż przed pięćdziesiątką albo tuż po pięćdziesiątce. Miał spory brzusek i wielkie plamy od potu na plecach. Włosy zaczesane do przodu przykrywały powiększone zakola. „Wygląda całkiem jak ja” – pomyślał Baedeker i poczuł nagły przypływ rozdrażnienia. Ackroyd wyszczerzył zęby w uśmiechu, który Baedeker postarał się odwzajemnić. Ruszyli poprzez niewielki budynek terminalu aż do krętego podjazdu, gdzie Ackroyd zaparkował swój wóz na miejscu zarezerwowanym dla kierowców niepełnosprawnych. Kontynuowali wymianę banalnych uprzejmych zdań, co, w połączeniu z duchotą i upałem, przyprawiało Baedekera o lekkie mdłości. Ackroyd jeździł bonneville'em. Wóz był na chodzie, a dzięki włączonej klimatyzacji we wnętrzu panował niezdrowy chłód. Baedeker zagłębił się w obitym aksamitem siedzeniu, podczas gdy olbrzym układał jego torbę w bagażniku.

– Trudno mi wyrazić, ile pański przyjazd znaczy dla nas wszystkich – mówił Ackroyd sadowiąc się za kierownicą. – W całym miasteczku o niczym innym się nie mówi. To największe wydarzenie w Glen Oak od czasu, jak przejeżdżający tędy gangjessie Jamesa obozował przy Stawku Hartleya.

Ackroyd zaśmiał się i włączył bieg. W jego potężnych dłoniach kierownica i dźwignia biegów wyglądały jak dziecięce zabawki. Baedeker pomyślał, że Ackroyd jest nieodrodnym potomkiem ludzi zamieszkujących Środkowy Wschód, którzy dawniej takimi olbrzymimi i topornymi łapskami wieszali przestępców. – Nie wiedziałem, że gang Jamesa kiedykolwiek przejeżdżał przez Glen Oak – powiedział Baedeker.

– Pewnie to tylko plotki. – Ackroyd wybuchnął gromkim śmiechem. – Co sprawia, że właśnie pański przyjazd jest największym wydarzeniem w dziejach naszego miasta.

Peoria wyglądała jak po ewakuacji albo bombardowaniu. Albo jak po jednym i drugim. Zakurzone witryny sklepów upstrzone były trupami owadów. W pęknięciach nawierzchni rosła trawa, a na zaniedbanym pasie zieleni oddzielającym nitki autostrady pieniło się zielsko. Wiekowe, pochylone domy opierały się o siebie, a nieliczne nowe budynki wyglądały jak ogromne ołtarze druidów pośród rumowiska.

– O Boże! – mruknął pod nosem Baedeker. – Nie pamiętam, żeby to miasto wyglądało tak strasznie.

Prawdę mówiąc, Baedeker w ogóle nie bardzo pamiętał, jak wyglądała Peoria za jego czasów. Raz w roku matka przywoziła go tu na paradę z okazji Dnia Dziękczynienia, aby on i jego siostry mogli zobaczyć świętego Mikołaja. Baedeker był już za duży, by wierzyć w Mikołaja, ale mimo to siadał wraz z siostrami na kamiennych łwach przed budynkiem sądu i machał ręką do czerwono odzianej postaci, targany wątpliwościami. Jednego roku święty Mikołaj przyjechał dżipem w towarzystwie czterech elfów, z których każdy miał na sobie mundur innych wojsk. Baedeker pamiętał, że trawnik na głównym placu miasta wznosił się łagodnym zboczem w stronę wymuskanego budynku sądu, który przypominał kamienną chatę z piernika. Przychodząc tam, lubił udawać, że jest zabity i stacza się w dół po trawiastym stoku, aż do chwili gdy mama krzykiem zmuszała go do przerwania zabawy. Teraz zauważył, że plac ten – wydawało mu się, że to był ten sam plac – został przekształcony w niedbale zaprojektowany park na wodzie, otaczający szklane pudełko budynku władz miejskich i okręgowych. – Recesja za Reagana – wyjaśnił Ackroyd. – Przedtem recesja za Cartera. Cholerni Rosjanie.

– Rosjanie? – Baedeker niemal bez zdziwienia wysłuchał trzech kolejnych haseł, znanych z propagandowych mów Johna Bircha. Przypominał sobie, jak gdzieś czytał, że George Wallace podbił serca mieszkańców okręgu Peoria już podczas pierwszego spotkania przedwyborczego w 1968 roku. Baedeker spędzał wtedy sześćdziesiąt godzin tygodniowo w symulatorze jako rezerwowi członek załogi „Apollo 8”. W tamtym okresie liczyły się dla niego tylko końcowe terminy kolejnych etapów programu. Kiedy w roku 1969 opuścił swój kokon, Bobby Kennedy i Martin Luther King już nie żyli, LBJ był ledwie wspomnieniem, a fotel prezydenta zajmował Richard M. Nixon. W biurze Baedekera w St. Louis, nad barkiem, pomiędzy dwoma honorowymi dyplomami nadanymi mu przez uczelnie, których nigdy w życiu nie widział na oczy, wisiała oprawiona w ramki fotografia, na której Nixon ściska mu dłoń podczas uroczystości w Ogrodzie Różanym. Baedeker i pozostali dwaj kosmonauci z załogi wyglądają na spiętych i skrępowanych, Nixon zaś pokazuje w uśmiechu lśniący rząd górnych zębów, jedną ręką trzymając dłoń Baedekera, drugą niemal ujmując go za łokieć w typowym profesjonalnoserdycznym uścisku przedstawicieli handlowych, którym dziś przywitał go Ackroyd. – Po prawdzie to nie ich wina, tylko zarządu Caterpillara – mruknął Ackroyd. – Za bardzo uzależnili się od sprzedaży sprzętu Rosjanom. Kiedy się zaczął Afganistan, Carter zablokował eksport ciężkich maszyn i cały interes diabli wzięli. Nic się nie uchowało: Caterpillar, GE, a nawet Pabst. Prawie całe miasto zostało bez pracy na jakiś czas. Teraz dopiero wychodzą na prostą. – Aha

– powiedział Baedeker. Bolała go głowa. W całym ciele wciąż czuł ruch samolotu skręcającego nad rzeką. Skoro nie mógł sobie polatać, chciałby chociaż poprowadzić jakiś wóz, by rozprostować nieco zdrętwiałe ręce i nogi, które aż rwały się do kierowania jakimkolwiek pojazdem. Zamknął oczy. – Chce pan pojechać trasą krótszą czy dłuższą? – zapytał olbrzym siedzący za kierownicą.

– Dłuższą – odparł Baedeker nie otwierając oczu. – Zawsze dłuższą trasą.

Ackroyd posłusznie skręcił w następny zjazd z autostrady 1-74 i zagłębił się w euklidesową geometrię pól kukurydzy i bocznych dróg.

* *

Baedeker przysnął na kilka minut. Otworzył oczy, gdy samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu. Zielone znaki wskazywały drogę i odległość dzielącą ich od Princeville, Galesburg, Elmwood i Kewanee. Nie było najmniejszej wzmianki o Glen Oak. Ackroyd skręcił w lewo. Droga, którą jechali, stanowiła wąski korytarz pomiędzy dwoma ścianami wysokiej kukurydzy. Nawierzchnia była upstrzona licznymi latami ze smoły i asfaltu, po których jazda dostarczała rytmicznego podkładu dla jednostajnego mrużenia klimatyzacji. Lekkie podskoki dawały złudzenie konnej jazdy. – „Serce serca kraju” – powiedział nagle Baedeker.

– Proszę?

Baedeker usiadł prosto, zaskoczony, że odezwał się głośno. – Tych słów pisarz – chyba William Gass – użył, by opisać tę część naszego kraju. Przypominają mi się czasem, gdy myślę o Glen Oak.

–Aha.

Ackroyd pokręcił się na siedzeniu nie wiedząc, co ma powiedzieć. Baedeker zdał sobie sprawę, że wprowadził go w zakłopotanie. Tamten myślał, że ma obok siebie prawdziwego mężczyznę, faceta z krwi i kości, a wzmianka o jakimś pisarzu zupełnie nie pasowała mu do tego obrazu. Baedeker uśmiechnął się, przypomniawszy sobie o wykładach, jakie różne wojska przeprowadzały dla swoich pilotów oblatywaczy przed rozmowami kwalifikacyjnymi w NASA dla kandydatów na członków załogi w programie „Mercury”: „Jeśli kładziesz ręce na biodrach, pamiętaj, aby kciuki mieć zawsze skierowane do tyłu”. Czy usłyszał to od Deke’a, czy też przeczytał w jednej z powieści Toma Woolfa? Zanim Baedeker wyrwał się ze swym cytatem, Ackroyd opowiadał mu o swej agencji nieruchomości. Po chwili ciszy odchrząknął i wykonał jakiś bliżej nie określony gest prawą dłonią. – Pewnie miał pan okazję poznać wiele ważnych osobistości, prawda, panie Baedeker?

– Richard – powiedział szybko Baedeker. – A ty jesteś Bili, prawda?

– Aha. Ale nie mam nic wspólnego z tym facetem, co występuje w nowych odcinkach „Na żywo w sobotę”. Mnóstwo ludzi pyta mnie, czy to czasem nie mój krewny.

– Rozumiem – powiedział Baedeker. Nigdy w życiu nie oglądał tego programu.

– Więc kto według ciebie był najważniejszy?

– A co to jest? – zapytał nagle Baedeker, ale nie było żadnych szans, by skierować rozmowę na inne tory. – Kto był najważniejszy?

Baedeker usilnie starał się nadać swojemu głosowi choćby minimalny ton zaangażowania w rozmowę. Nagle poczuł wielkie zmęczenie. Pomyślał sobie, że powinien być przyjechać tu z St. Louis własnym samochodem. Nie musiałby wcale nadłożyć wiele drogi, żeby zatrzymać się w Glen Oak, a potem mógłby wyjechać, gdy miałby na to ochotę. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jechał samochodem gdzieś dalej niż tylko z domu do biura i z powrotem. Jego podróże stanowiły nie kończące się serie lotów. Ze zdziwieniem uświadomił sobie nagle, że joan, jego eksmałżonka, nigdy

nie była w St. Louis, w Chicago, na Środkowym Zachodzie. Ich wspólne życie w Fort Lauderdale, San Diego, Houston, Cocoa Beach, włączając pięć fatalnych miesięcy w Bostonie, zawsze przebiegało na wybrzeżu, w miejscach gdzie wyraźnie było widać granice kontynentu. Ni z tego, ni z owego, zaczął się zastanawiać, jakie wrażenie wywarłby najoan widok tych wielkich przestrzeni pokrytych polami uprawnymi, z widocznymi gdzieś gospodarstwami, nad którymi drgało rozgrzane powietrze.

– Chyba szach Iranu – odpowiedział. – Przynajmniej wyglądał najbardziej imponująco. Dworski przepych, protokół, wrażenie potęgi, jakie wywierał na wszystkich on sam i cała jego świta. Ale koniec końców, nie na wiele mu się to zdało. – No – przytaknął Ackroyd. – A ja spotkałem raz Joe Namatha, tego futbolistę. Byłem wtedy na konwencji Amwaya w Cincinnati. Nie zajmuję się już tym, od kiedy na dobre wziętem się za Pine Meadows, ale gdy jeszcze w tym siedziałem, wiodło mi się całkiem nieźle. Tysiąc trzysta miesięcznie bez żadnego wysiłku. Joe był tam w innych sprawach, ale znał jednego gościa, co był dobrym kumpem Merle Weaver. Więc Joe, sam powiedział, żebyśmy tak do niego mówili, spędził z nami całe dwa dni. Poszedł z nami na boisko i pokazał parę sztuczek, jakie robił w strefie ataku. Znaczący się, załatwiał też swoje sprawy, ale jak tylko mógł, on i kumpel Merle przychodzili zjeść z nami obiad, a Joe stawiał wszystkim kolejkę i w ogóle. Mówię ci, takiego gościa to ze świecą szukać.

Baedecker ze zdziwieniem stwierdził, że poznaje mijane okolice. Wiedział, że za następnym zakrętem pojawi się mleczarnia z podjazdem wokół trawnika, na którym będzie zegar ułożony z kwitnących kwiatów. I rzeczywiście po chwili ich oczom ukazała się mleczarnia. Kwiatowego zegara nie było, ale parking wokół zabudowań pysznił się nową nawierzchnią. Po lewej stronie drogi stał dom z czerwonymi okiennicami, który jego mama zwykła nazywać starym postojem dyliżansów. Poznał go po oszklonym balkonie na pierwszym piętrze. Na wpół zatarte wspomnienia nakładające się na rzeczywiste obrazy wywołały w Baedeckerze poczucie ponownego przeżywania wydarzeń, które miały miejsce w przeszłości. Spojrzał w przód i wiedział, że zaraz ujrzą długi łuk zakrętu, a za niecałe półtora kilometra kępa widocznych z dala drzew i zielona wieża ciśnień, wznosząca się nad polami kukurydzy, oznajmi im, że zbliżają się do Glen Oak.

– Znasz może Joe’ego Namatha? – spytał Ackroyd.

– Nigdy nie miałem okazji go poznać – odparł Baedecker. Przy dobrej widoczności z wysokości dziesięciu tysięcy metrów stan Illinois wyglądałby jak zielona szachownica. Baedecker wiedział, że krajobrazem Środkowego Wschodu rządził kąt prosty, podobnie jak charakterystyczną linią dla Południowego Wschodu, gdzie odbył największą liczbę lotów, była nieregularna sinusoida. Widziany z wysokości trzystu pięćdziesięciu kilometrów Środkowy Wschód byłby zielonobłękitną plamą prześwitującą przez masy białych chmur. Z powierzchni Księżyca w ogóle nie byłoby go widać. W ciągu czterdziestu sześciu godzin spędzonych na Księżycu Baedecker ani razu nawet nie pomyślał, by wzrokiem poszukać na Ziemi Stanów.

– Naprawdę w porządku gość. Nie taki nadęty jak inne sławy, o nie. Szkoda, że tak mu się przytrafiło z tym kolaniem. Wieża ciśnień wyglądała inaczej niż kiedyś. Wysoka biała konstrukcja, która zastąpiła dawną, zieloną budowlę, błyszczała w ukośnych promieniach zachodzącego słońca. Baedecker ze zdziwieniem poczuł dziwny ucisk gdzieś pomiędzy sercem a gardłem. Jakaś nostalgia lub też inna, dawno zapomniana forma tęsknoty za domem. Baedecker zdał sobie sprawę, że ogarniająca całe ciało fala gorąca towarzyszyła mu zawsze, gdy stawał twarzą w twarz z pięknem, którego nagłe objawienie napawało go przejęciem graniczącym z lękiem. Ten sam niespodziewany ból poczuł pewnego deszczowego popołudnia, gdy jako dziecko zwiedzając Instytut Sztuki w

Chicago zobaczył płótno Degasa, na którym młoda balet-|F” nica dźwigała naręcze pomarańczy. Podobnie czuł się także w dniu, gdy zobaczył swego syna, Scotta, czerwonego, posiniaczonego i kwilącego żałością w kilka sekund po urodzeniu. Nie miał pojęcia, dlaczego teraz odczuwał to samo co wtedy, ale faktem było, że coś ścisnęło mu gardło i piekły go oczy. – Założę się, że nie poznajesz dawnych miejsc – odezwał się Ackroyd. – Kiedy ostatnio byłeś w tych stronach, Dick? Na początku Glen Oak było tylko odległą ścianą drzew, następnie ukazało się kilka białych domów stojących obok siebie, aż wreszcie widok miasteczka wypełnił całą przednią szybę. Droga skręciła ponownie obok stacji benzynowej mijając stary dom z cegły, o którym mama Baedeckera mówiła, że kiedyś był stacją kolejki podziemnej, i białą tablicę z napisem: GLEN OAK – 1275 MIESZKAŃCÓW – ELEKTRONICZNA KONTROLA PRĘDKOŚCI.

– W pięćdziesiątym szóstym – odparł Baedeker. – Nie, w pięćdziesiątym siódmym. Na pogrzebie ojca. Umarł w rok po matce.

– Są pochowani na Cmentarzu Kalwaryjskim – powiedział Ackroyd tonem, jakby oznajmiał coś nowego.

– Tak.

– Chciałbyś tam teraz pojechać, zanim zrobi się ciemno?

Mogę zaczekać, jeśli chcesz.

– Nie. – Baedeker odwrócił wzrok, przerażony myślą o odwiedzeniu grobów rodziców, podczas gdy Bili Ackroyd czekałby na niego w samochodzie z włączonym silnikiem. – Nie, dzięki. Jestem trochę zmęczony. Chętnie ulokowałbym się już w jakimś motelu. Czy ten po północnej stronie miasta nadal nazywa się „Koniec Dnia”?

Ackroyd wybuchnął śmiechem i kilkakrotnie uderzył dłonią w kierownicę.

– Masz na myśli tę starą gospodę? Już nie istnieje, zburzyli ją w sześćdziesiątym drugim, zaraz po tym jak Jackie i ja przeprowadziliśmy się tutaj z Lafayette. Najbliższy hotel to „Motel Six” przy zjeździe z autostrady do Elmwood.

– Może być – powiedział Baedeker.

– Ale dajże spokój, człowieku! – Ackroyd obrócił się urażony w stronę Baedeckera. – Myślałem, to znaczy, planowaliśmy, że zatrzymasz się u nas. To znaczy, u nas jest kupa miejsca i uzgodniłem wszystko z Marge Seaton i z ludźmi z rady. Poza tym dawno już przejechaliśmy ten motel, to jakieś dwadzieścia minut stąd gościńcem.

Gościniec. Tak właśnie wszyscy w Glen Oak nazywali autostradę, która przecinała łukiem miasteczko, stanowiąc jego główną ulicę. Od czterdziestu lat Baedeker nie słyszał tego staroświeckiego słowa. Kiwnął głową i spoglądał przez okno. Dzielnica handlowa Glen Oak rozciągała się na przestrzeni dwóch przecznic. Po obu stronach jezdni wznosiły się wysokie, trzystopniowe chodniki. Witryny sklepów były już ciemne, a miejsca parkingowe świeciły pustkami, jeśli nie liczyć kilku furgonetek zaparkowanych przed tawerną w pobliżu parku. Baedeker starał się dopasować wygląd sfatygowanych budynków o płaskich elewacjach do obrazu zachowanego w pamięci, ale między jednym a drugim nie było wyraźnego związku prócz niejasnego przekonania, że czegoś tu brakuje, podobnego do wrażenia, jakie towarzyszy nam na widok kilku szczerb w niegdyś znajomym uśmiechu. – Jackie czeka z ciepłą kolacją, ale jeśli masz ochotę, możemy iść na Rybną Fetę – ciągnął Ackroyd.

– Jestem trochę zmęczony – usprawiedliwił się Baedeker. – W porządku. Jutro zajmiemy się wszystkimi formalnościami. Marge na pewno jest dziś wieczorem mocno zajęta loterią i

wszystkimi przygotowaniami. Terry, mój chłopak, nie może się ciebie doczekać. Jest dla ciebie prawdziwym bohaterem... tfu, znaczy się, chciałem powiedzieć... zresztą wiesz, o co mi chodzi. Prawdę mówiąc, to on właśnie podsunął mi pomysł, żeby zaprosić cię na Święto Osadników jako honorowego gościa. Terry był strasznie podniecony, że Glen Oak to twoje strony rodzinne i w ogóle. Jasne, że Marge i innym i tak by się ten pomysł spodobał, ale wiesz, Terry chyba oszalałby z radości, gdybyś mógł spędzić z nami te dwa dni.

Pomimo że poruszali się niezwykle wolno, zdążyli już przejechać całą główną ulicę Glen Oak. Ackroyd skręcił w prawo i zatrzymał się przy starym katolickim kościele. Była to część miasta, którą swego czasu Baedeker odwiedzał bardzo rzadko, jako że w tej okolicy mieszkał Chuck Compton, szkolny zabijaka. A jednocześnie była to jedyna część miasta, jaką widział w dniu pogrzebu każdego ze swych rodziców.

– Nie będzie to dla nas w żaden sposób uciążliwe – ciągnął Ackroyd. – Będziemy zaszczyceni mogąc gościć cię u nas, a poza tym „Motel Six” jest już pewnie wypełniony kierowcami ciężarówek, jak zawsze w piątek wieczorem.

Baedeker spojrzął na brunatny budynek kościoła. Wydawało mu się, że kiedyś był znacznie większy. Poczuł, jak ogarnia go znużenie. Letnie upały, długie tygodnie w podróży, poczucie zawodu na widok syna uciekającego przed światem do ashramu w Punie, wszystko jak gdyby sprzysięgło się, by wprowadzić go w stan bierności i przygnębienia. W podobnym stanie ducha znajdował się podczas pierwszych miesięcy spędzonych w marynarce latem 1951 roku. A także przez pierwsze tygodnie po odejściu Joan. – Nie chciałbym sprawiać kłopotu – powiedział. – Ale co to za kłopot! Jackie wprost nie może się ciebie doczekać, a Terry nigdy w życiu nie zapomni wizyty prawdziwego kosmonauty.

Samochód jechał wolno, przecinając smugi mlecznego światła padającego z lamp ulicznych i cienie rzucane przez drzewa.

* *

Kiedy w godzinę później Baedeker wyszedł na spacer, w górze roiło się od nietoperzy. Nieznacznymi ruchami błon lotnych przecinały powietrze na tle posępnego sklepienia nieba. Słońce już zaszło, lecz dzień rozpaczliwie chwycił się resztek umykającego światła, podobnie jak Baedeker, gdy był małym chłopcem, w identyczne sierpniowe wieczory rozpaczliwie chwycił się ostatnich słodkich dni letnich wakacji. Przejście ze starej części miasta do dzielnicy, w której kiedyś mieszkał, zajęło mu zaledwie kilka minut. Cieszył się, że mógł przez chwilę być sam. Ackroyd mieszkał na osiedlu złożonym z dwudziestu paru domków jednorodzinnych na północnowschodnim skraju miasteczka, gdzie za czasów Baedekera były tylko puste pola i strumyk, w którym można było łapać piżmowce. Domek Ackroyda zbudowany był w stylu pseudohiszpańskim, w garażu znajdowała się łódź i przyczepa, a podjazd był wyłożony elegancką kostką. Wnętrze domu pełne było ciężkich mebli. Żona Ackroyda Jackie, miała trwałą ondulację, zmarszczki od śmiechu wokół oczu i drobną wadę zgryzu, dzięki której wyglądała jak wiecznie uśmiechnięta. Była o kilka lat młodsza od męża. Ich jedyne dziecko, Terry, blady trzynastolatek, był równie chudy i skryty, co jego ojciec tęgi i wylewny. – Terry, przywitaj się z panem Baedekerem. Powiedz mu, jak długo czekałeś na tę chwilę. – Chłopak został wypchnięty na przód wielką jak szufla dłonią ojca. Miał długą grzywę ciemnoblonde włosów, która przesłaniała mu oczy niczym osłona w kasku kosmonauty.

Baedeker pochylił się, ale wciąż nie mógł napotkać wzroku chłopca, a wyciągniętą dłonią poczuł krótki dotyk wilgotnych od potu palców. Malec wymruczał coś pod nosem.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedział Baedeker. – Dalej, Terry – odezwała się matka chłopca

– pokaż panu Baedekerowi jego pokój. A potem pokaż mu twój pokój. Pan Baedeker na pewno chciałby go zobaczyć.

Posłała Baedekerowi uśmiech, który przypomniał mu pierwsze zdjęcia Eleanor Roosevelt.

Chłopiec poprowadził go w dół po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Pokój gościnny był w piwnicy. Łóżko wyglądało na wygodne. Obok pokoju znajdowała się osobna łazienka. Pokój małego znajdował się po drugiej stronie wyłożonego dywanem pomieszczenia, które prawdopodobnie miało być pokojem rekreacyjnym.

– Mama chciała, żeby pan to zobaczył – wymamrotał Terry i włączył skąpe oświetlenie. Baedeker zajrzał do środka, zamrugął i wszedł, aby przyjrzeć się dokładniej.

W pokoju znajdowało się pojedyncze, starannie zasłane łóżko, małe biurczko i miniaturowa wieża stereo. Na trzech ciemnych ścianach znajdowały się półki, plakaty, kilka książek, modele samolotów, zwykłe przedmioty codziennego użytku nastolatka. Ale czwarta ściana była zupełnie inna.

Znajdowała się na niej fotografia statku „Apollo 8”, jedno z serii zdjęć wykonanych zewnętrzną kamerą podczas pierwszego i trzeciego okrążenia Księżyca. Zdjęcie to niegdyś obiegało cały świat, lecz z upływem lat zdażyło już wszystkim spowszednieć i na Baedekerze od dawna nie robiło najmniejszego wrażenia. Ale w tym pokoju wyglądało zupełnie inaczej. Powiększone do olbrzymich rozmiarów, przypominało ogromną fototapetę sięgającą od sufitu do podłogi, rozciągającą się na całą szerokość pokoju. Ziemia wyglądała jak gładka białoniebieska kula, niebo zaś było czarne, a z przodu ciemnoszare. Miało się wrażenie, że pokój chłopca wychodzi wprost na powierzchnię Księżyca. Pomalowane na ciemny kolor ściany i punktowe oświetlenie potęgowały złudzenie.

– To pomysł mamy – wymamrotał chłopiec. Nerwowo jeździł palcami po stosie kaset ułożonych równo na biurku. – Dostała to na jakiejś wyprzedaży.

– Sam składałeś te modele? – spytał Baedeker. Na półkach pełno było fantastycznych statków bojowych z „Gwiezdnymi wojen”, „Star Trek” i „Battlestar Gallactica”. Dwa wielkie wahadłowce wisiały na sznurku pod sufitem w rogu pokoju. – Tato mi pomagał.

– Interesują cię loty w kosmos, Terry?

– Tak. – Chłopak zawahał się i spojrzał na Baedekera. W jego ciemnych oczach widać było błyski tłumionej odwagi. – To znaczy, kiedyś mnie interesowały. Wie pan, jak byłem młodszy. To znaczy, ciągle mi się podoba i w ogóle, ale to zabawa dla dzieciaków, wie pan. Tak naprawdę to chciałbym być gitarzystą w jakimś fajnym zespole, na przykład w Twisted Sister. Urwał i śmiało spojrzał gościowi w oczy. Baedeker nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Oparł dłoń na ramieniu chłopca. – Świetnie. Znakomicie. A teraz zaprowadź mnie na górę, dobrze?

Na ulicach panował mrok rozjaśniany światłem nielicznych latarni i niebieskim telewizyjnym poblaskiem z okien mijanych domów. Baedeker wdychał powietrze nasycone zapachem świeżo skoszonej trawy i niewidocznych pól. Gwiazdy jakby się namyślały, czy mają się ukazać. Panowała cisza, tylko na dalekim „gościńcu” warkotały samochody, a z pobliskich domów dobiegał bełkot telewizorów. Baedeker przypomniał sobie dźwięk szafkowych radioodbiorników, jaki z jego czasów dochodził zza tych samych siatkowych drzwi i okien. Wydało mu się, że głosy z radia były bardziej głębokie i miały w sobie więcej powagi. W latach czterdziestych dumą Glen Oak były ogromne wiązy, których potężne konary krzyżowały się ze sobą w górze tworząc gęste sklepienie, zmieniając nawet najszerszą ulicę w mroczny tunel, przez który przebijały się nieliczne promienie słonecznego światła. Wiązy tworzyły cały urok Glen Oak. Baedeker zdawał sobie z tego sprawę już

wtedy, gdy jako jedenastoletni chłopiec wracał rowerem do miasta, pedałując zawzięcie w stronę zielonej oazy drzew, zwiastujących bliskość czekającego go w domu obiadu.

Z dawnych wiązków pozostały już tylko pojedyncze okazy. Baedeker pomyślał, że musiały paść ofiarą jakiejś plagi. Nic nie przesłaniało już nieba nad szerokimi ulicami. W miejsce dawnych olbrzymów wzdłuż krawężnika rosły jakieś młode drzewka. Przy najmniejszym podmuchu wiatru ich liście drżały w snopach światła z ulicznych latarni, rzucając na chodnik ruchliwe cienie. Wielkie stare domy, ustawione z dala od chodnika, nadal skrywały wyższe kondygnacje za szumiącymi koronami drzew. Ale po olbrzymich wiązkach z jego dzieciństwa nie pozostało już ani śladu. Zastanawiał się, czy inni ludzie, którzy po latach wracają do swych dawnych domów w małych miasteczkach rozsianych po całym kraju, także zwracają uwagę na takie braki. Jak na przykład zapach palonych liści jesienią, którego zniknięcie było znakiem przemijania jego pokolenia.

Nietoperze wciąż harcował na tle fioletowego nieba, na którym w końcu ukazało się kilka gwiazd. Baedeker wszedł na teren szkoły. Wysoki, stary budynek podstawówki – jego dzwonnica o oknach zasłoniętych okiennicami stanowiła dom dla wielu pokoleń nietoperzy, przodków tych, które tej nocy krążyły nad miastem – dawno już został zburzony i zastąpiony grupą małych sześcianów z cegły i szkła otaczających jeden większy sześcian, również z cegły i szkła, tworzących razem kompleks zajmujący niemal cały obszar pomiędzy dwiema kolejnymi przecznicami. Baedeker domyślił się, że większy budynek to sala gimnastyczna. Zajęgo czasów podstawówka nie miała swojej sali gimnastycznej, musieli więc udawać się do mieszczącego się o trzy przecznice dalej liceum. W jego pamięci dawna szkoła piętrzyła się na nie zabudowanym terenie porośniętym niską trawą, niczym ogromny tort na pustym stole. Wokół znajdowało się z pół tuzina boisk do baseballu i dwa place zabaw – jeden dla maluchów, a drugi, ten z trójgarbną górką do zjeżdżania, dla uczniów ze starszych klas. Wszystko otoczone było wysokimi drzewami, przęcącymi się jak milczący wartownicy. Teraz małe budynki otaczające ogromną salę zajmowały cały teren. Nie było żadnych drzew. Plac zabaw został zredukowany do wąskiego paska asfaltu i drewnianej piętrowej konstrukcji na piaszczystym placu, przypominającej naprędce sklecony szafot. Baedeker podszedł i usiadł na najniższym stopniu. Po drugiej stronie ulicy widział dom, w którym kiedyś mieszkał. Nawet w panującym teraz półmroku mógł stwierdzić, że budynek niewiele się zmienił. Światło paliło się w wykuszowych oknach na obu piętrach. W miejsce dawnego drewnianego poszycia pojawiła się oblicówka. Tam gdzie dawniej wysypany żwirem podjazd skręcał w podwórko na tyłach domu, widać było asfaltową uliczkę prowadzącą do garażu. Baedeker pomyślał, że po szopie stojącej dawniej na podwórku pewnie nie pozostało już nawet wspomnienie. Przed domem, w miejscu, które wcześniej świeciło pustką, strzelała w górę wysoka brzoza. Przez chwilę na próżno starał się odszukać w pamięci jakieś młode drzewko, które za jego czasów mogło rosnąć w tym miejscu. Zdał sobie sprawę, że nawet jeśli zostało zasadzone dopiero po jego wyjeździe z Glen Oak, i tak mogło mieć ze czterdzieści lat.

Baedeker nie czuł nostalgii, tylko nie mogło mu się pomieścić w głowie, że równie obco wyglądająca rudera z kamienia i desek w tym odległym zakątku świata mogła kiedyś stanowić dom dla chłopca, który uważał się za centrum wszelkiego stworzenia. W jego dawnym pokoju na drugim piętrze zapaliło się światło. Niemal mógł dostrzec wzór na starej tapecie przedstawiający żaglowce rozmieszczone regularnie w nie kończących się oczkach ogromnej siatki z lin, które w rogach pomieszczenia tworzyły absolutnie nie znane żeglarzom węzły. Pamiętał, jak nocami, gdy miał gorączkę, leżał w łóżku, bez końca próbując wymyślić sposób na rozwiązanie tych węzłów. Pamiętał także żarówkę zwisającą na nagim drucie, żółtą szafę w jednym z narożników i wielką mapę świata

wiszącą na ścianie przy drzwiach, na której jako mały, pilny chłopiec co noc przesuwiał kolorowe pinezki z jednej wyspy o niewymawialnej nazwie na drugą.

Pokiwał głową, wstał i zrobił kilka kroków na północ, oddalając się od szkoły i domu. Noc zapadła już na dobre, ale nisko wiszące chmury zakryły gwiazdy. Baedeker więcej nie spojrzął do góry. – No i jak tam, Dick?! Odwiedziłeś stare kąty?! – zawołał Ackroyd na widok Baedekera idącego podwórkiem. On i jego żona siedzieli na małej werandzie o oknach przestłoniętych siatką, ulokowanej pomiędzy domem a garażem.

– Owszem. Przyjemny wiaterek, nieprawdaż?

– Spotkałeś kogoś ze znajomych?

– Na ulicach jest raczej pusto – odparł Baedeker. – Widziałem światła tam, gdzie odbywa się jarmark Pierwszych Osadników – tak przynajmniej mi się wydawało – na południowy wschód od liceum. Pewnie całe miasto tam się bawi.

Gdy był mały, karnawał Pierwszych Osadników oznaczał dla niego trzy dni zabawy w samym środku lata, a zarazem początek smętnego odliczania dni do rozpoczęcia szkoły. Święto to stanowiło dla niego nieuniknione spotkanie z entropią. – Jasne, do diabła! – ożywił się Ackroyd. – Dziś wieczorem zapowiada się niezła zabawa. Mamy jeszcze sporo czasu, by tam pójść, jeśli masz ochotę. W namiocie Legionu Amerykańskiego dają piwo do jedenastej.

– Dzięki, Bili. Prawdę mówiąc, jestem trochę zmęczony. Wolałbym się położyć. Powiedźcie ode mnie dobranoc Terry’emu. Ackroyd wprowadził go do środka i włączył światło nad schodami.

– Terry poszedł na noc do swojego przyjaciela, Donny’ego Petersona. Zawsze spędzają razem karnawał Pierwszych Osadników, od kiedy razem chodzili do przedszkola.

Pani Ackroyd krzątała się po pokoju, upewniając się, czy Baedekerowi wystarczy koców, mimo że noc była ciepła. W pokoju gościnnym panował przyjemny, znajomy zapach pokoju hotelowego. Pani Ackroyd uśmiechnęła się i delikatnie zamknęła za sobą drzwi, zostawiając gościa samego.

W pokoju panowała niemal absolutna ciemność, jeśli nie liczyć błyszczących cyfr na podróznym budziku z kalkulatorem. Baedeker leżał wpatrując się w mrok. Gdy na zegarku zajaśniała godzina 2:32, wstał i wyszedł z pokoju do pustego, wyłożonego dywanem pomieszczenia.

Z górnych pięter nie dobiegał żaden odgłos. Gospodarze zostawili światło nad schodami, na wypadek gdyby chciał skorzystać z kuchni. Zamiast tego udał się do pokoju chłopca, zawahał się chwilę przed otwarciem drzwi, wreszcie uchylił je i wszedł do środka. Światło ze schodów wpadające do pokoju nieznacznie oświetliło ospowatą powierzchnię księżyca i białoniebieskie półkole Ziemi. Baedeker postać przez chwilę w drzwiach i już miał wrócić do siebie, gdy coś przykuło jego uwagę. Zamknął drzwi i usiadł na łóżku Terry’ego. Przez moment było bardzo ciemno i Baedeker nic nie widział. Po chwili zauważył setki drobnych iskier na ścianach i suficie – były to zapalające się gwiazdy. Chłopak – Baedeker był pewien, że to właśnie on – upstrzył cały pokój małymi plamkami fosforyzującej farby. Ziemia jaśniała mlecznym blaskiem, który oświetlał księżycowe wzniesienia i brzegi kraterów. Baedeker nigdy nie widział nocy z powierzchni Księżyca – nie widział jej żaden z uczestników programu „Apollo” – ale siedząc na starannie zaścielonym łóżku chłopca, wpatrując się w błyszczące gwiazdy, powtarzał w myślach: „Tak, tak”. Po jakimś czasie wstał, wrócił do swojego pokoju i ułożył się do snu.

* * *

„Dzień Richarda M. Baedekera” od samego początku był ciepły i bezchmurny. Na ulicy przed

domem Ackroyda panował zwykły sobotni ruch. Niebo było intensywnie niebieskie, a zboże porastające pola widoczne za linią nowych domów rozsiewało niesamowity blask.

Baedecker spożył dwa śniadania. Pierwsze z Ackroydem i jego żoną w ich olbrzymiej kuchni. Drugie w towarzystwie pani burmistrz i członków rady miejskiej przy długim stole w kawiarni o nazwie „Parkowa”. Burmistrz Seaton wydała się Baedeckerowi małomiasteczkową wersją byłej burmistrz Chicago – Jane Byrne. Nie wiedział tylko, gdzie tkwi podobieństwo – pani Seaton miała okrągłą, ogorzałą twarz, podczas gdy twarz Jane Byrne była pociągła i blada. Marge Seaton śmiała się głośno i swobodnie, co w ogóle nie przypominało milczących półuśmieszków Jane Byrne. Ale w oczach obu pań było coś, co przywodziło mu na myśl squaw Apaczów przypatrujące się wbijaniu na pal jeńców – wojowników z innego plemienia, które to przedstawienie urządzano dla ich rozrywki.

– Całe miasto szaleje z radości na wieść o twoim przyjeździe, Dick – powiedziała pani Seaton. – A raczej powinnam powiedzieć – cały okręg. Podobno mają przyjechać do nas dzisiaj ludzie aż z Galesburg.

– Z przyjemnością się z nimi spotkam – odparł Baedecker.

Widelcem grzebał od niechcienia w mięsnej zapiekance. Obok niego Ackroyd zmiatał z talerza jajecznicę pomagając sobie kawałkiem grzanki. Obsługująca ich posępna kobieta o imieniu Minnie co chwila przychodziła dolewać im kawy, jakby pragnęła zawrzeć cały swój kelnerski kunszt w uporczywym i skrupulatnym wykonywaniu tej jednej czynności.

– Czy jest jakiś porządek uroczystości... jakiś rozkład? – zapytał Baedecker. – Jakiś plan całego dnia?

– Jasne – odezwał się chudy mężczyzna w tanim zielonym garniturku. Przedstawiono mu go jako Kyle’a Gibbonsa czy Gibsona. – Proszę.

Wyciągnął z kieszeni złożoną kserokopię i rozpostarł ją na stole przed Baedeckerem.

9:00

ZEBRANIE RADY – kaw. „Parkowa” (Kosmonauta?)

10:00

TURN. PIŁKI RĘCZ. – (LEG. AMER.)

11.30

FORMOWANIE SIĘ KOLUMNY POCHODU (Ul. 5)

12.00

PARADA KU CZCI PIERWSZYCH OSADNIKÓW

1:00

KLUB JUBILEE – MAŁA PRZEKĄSKA I ZAWODY STRZELECKIE (szer. Meehan)

1:30

TURN. SOFTB.

2:30

POKAZ STR. POŻ.

5:00

WESOŁY GRILL

6:00

FRONTEM DO LUDZI (Chór KDCh)

7.00

LOTERIA FANTOWA (M. Seaton – Sala gimn. liceum)

7:30

GWIAZDY JUTRA (Sala gimn. liceum)

8:00

PRZEMÓWIENIE KOSMONAUTY (Sala gimn. liceum)

10:00

POKAZ SZTUCZNYCH OGNI

– Przemówienie? – Baedeker spojrział na panią burmistrz. Marge Seaton pociągnęła łyżeczkę kawy i uśmiechnęła się do niego.

– Powiesz to, na co będziesz miał ochotę, Dick. Nie przejmuj się zbytnio. Wszyscy chętnie posłuchamy twoich opowieści o kosmosie albo o tym, jak było na Księżycu. Wystarczy mniej więcej dwadzieścia minut, zgoda?

Baedeker kiwnął głową i wsłuchał się w szelest liści poruszanych leniwym wiatrem. Kilko dzieci wbiegło z hałasem do kafejki i stanęło za ladą, głośno domagając się lemoniady. Minnie nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi, zajęta dolewaniem kawy do filiżanek.

Dyskusja przy stole wróciła do problemów miasta i Baedeker przeprosił wszystkich. Wszedł na dwór, gdzie promienie porannego słońca zdążyły już rozmiękczyć asfalt autostrady. Zmrużył oczy i sięgnął do kieszeni koszuli po przeciwsłoneczne okulary pilota. Ubrany był w lnianą koszulę safari, ciemnobrązowe bawełniane spodnie i buty traperskie, które miał ze sobą w Kalkucie kilka tygodni wcześniej. Nagle wydało mu się niewiarygodne, że ten świat zapyziałego miasteczka, białych sklepów wzdłuż pustej autostrady wijącej się pod rozpalonym, błękitnym niebem, może współistnieć na tej samej planecie z monsunowym błotem, bezkresnymi slumsami i tłumem schorowanych nędzarzy Indii. Park miejski okazał się dużo mniejszy niż ten, który zachował we wspomnieniach. Estrada stojąca pośrodku tamtego parku przypominała misternie zdobiony wiktoriański balkon, natomiast obecnie przed oczami miał zwykłą betonową płytę wspartą na żuźlowych blokach, osłoniętą płaskim dachem. Pomyślał, że może misterny balkon naprawdę nigdy nie istniał.

Baedeker pamiętał, jak w sobotnie wieczory podczas letnich wakacji, które spędzał w tym miasteczku, jacyś zamożni mieszkańcy – nie miał pojęcia, jak się nazywali – fundowali wszystkim darmowe kino pod gołym niebem. Filmy wyświetlano na trzech wielkich prześcieradłach przybijanych wysoko na bocznej ścianie „Parkowej”. Pamiętał stare kroniki filmowe, kreskówki, na których nie kto inny jak Królik Bugs wraz z Kaczorem Donaldem sprzedawali wojenne obligacje rządowe, a także takie przeboje jak „Lataj nocą”, „Głupki na morzu”, „Broadway Limited” czy „Miodowy miesiąc”. Zamknąwszy oczy, mógł przywołać w pamięci migające obrazy, twarze farmerów siedzących całymi rodzinami na ławkach, kocach i świeżo skoszonej trawie, wrzaski dzieciaków uganiających się po krzakach wokół estrady i wspinających się na drzewa, i przynajmniej raz, pewnego pamiętnego dnia, błyskawice przecinające w ciszy rozgrzane upałem niebo nad drzewami i sklepami, zbliżające się grzmoty oraz wiatr poruszający potężne konary wiązów, zwiastujący burzę nadchodzącą od strony oczekujących na żniwa pól. Dobrze zapamiętał trzask pierwszego, naprawdę bliskiego pioruna, który na krótką chwilę, zanim wszyscy zdążyli rozbiec się bezładnie w poszukiwaniu schronienia, zamroził ludzi, samochody, ławki, trawniki, domy i samego Baedekera w stroboskopowym błysku światła, zamieniając cały świat w zatrzymany kadr nieznanego filmu.

Baedecker odchrząknął, splunął i podszedł do głazu ustawionego na niewielkim cokole. Trzy brązowe tablice przymocowane do kamienia zawierały listę nazwisk mieszkańców Glen Oak, którzy walczyli na frontach różnych wojen, od wojny meksykańskiej po Wietnam. Tych, którzy zginęli podczas pełnienia służby, oznaczono gwiazdką. Ośmiu zginęło podczas wojny secesyjnej, trzech na drugiej wojnie światowej, w Wietnamie nie zginął nikt. Baedecker rzucił okiem na czternaście nazwisk mężczyzn, którzy walczyli w Korei, ale nie znalazł wśród nich swojego. Żadne z nazwisk nic mu nie mówiło, aczkolwiek z niektórymi z tych ludzi musiał chodzić do szkoły. Tablica upamiętniająca walczących w Wietnamie, najmniej wyblakła i zniszczona przez deszcze, była zapełniona tylko w jednej trzeciej. Zostało jeszcze sporo miejsca na następne wojny.

Po drugiej stronie ulicy zatrzymała się furgonetka, z której wysypała się jakaś farmerska rodzinka. Wszyscy jak jeden mąż stanęli przy witrynie sklepu z szyldem „Hellman – 1001 drobiazgów” i przez szybę zaglądali do środka. We wspomnieniach Baedeckera sklep ten nazywał się „Jensen – materiały ubraniowe”, miał długie mroczne wnętrza, gdzie duże wentylatory kręciły się leniwie cztery metry nad zakurzoną podłogą z desek. Cała rodzina wymieniała uwagi podnieconym głosem, śmiejąc się i pokazując palcami widoczne na wystawie towary. Chodnik zaczynał zapełniać się ludźmi. Gdzieś w pobliżu niewidoczna orkiestra rozpoczęła głośny utwór, który nagle urwał się, a następnie znów zaczął od początku, by po chwili ponownie ucichnąć ze smętnym zgrzytem cymbałów.

Baedecker przysiadł na parkowej ławce. Ramiona bolały go, jakby dźwigał ogromny ciężar. Zamknął oczy, starając się przypomnieć sobie często przywoływane z pamięci uczucie lekkości, swobodnego skakania po lśniącej, wyboistej równinie, białą poświatę wokół skafandra Dave’a, ich wspólny tryumf nad siłą ciężenia, każdy ruch wykonywany płynnie i bez wysiłku niczym odbijanie się palcami stóp od dna błyszczącego w słońcu jeziora.

Uczucie lekkości nie przyszło. Baedecker otworzył oczy i zamrugał na widok otaczających go budynków, drzew i innych przedmiotów, których kontury rysowały się wyraziście w ostrym blasku słońca.

Parada ku czci Pierwszych Osadników ruszyła z piętnastominutowym opóźnieniem. Na czele szła kompania marszowa liceum z wielką orkiestrą, za którą podążało konno kilka rzędów jeźdźców w strojach trudnych do zidentyfikowania. Za nimi toczyły się cztery platformy z żywymi obrazami przygotowane przez miejscowe koło Zrzeszenia Farmerów, regionalny oddział „4-H”, drużynę skautów, okręgowe towarzystwo historyczne i klub strzelecki. Za platformami szła druga, mała orkiestra liceum złożona z dziewięciu chłopaków, następnie pieszy oddział Legionu Amerykańskiego, a na końcu Baedecker. Jechał w dwudziestoletnim mustangu ze składanym dachem. Po jego prawej stronie siedziała burmistrz Seaton, po lewej pan Gibbons lub Gibson, a z przodu, obok prowadzącego samochód nastolatka, siedział Bili Ackroyd. Ten ostatni uparł się, by cała trójka z tyłu usiadła na karoserii, trzymając nogi na czerwonych winylowych obiciach siedzeń. Sztrajfy na bokach mustanga głosiły: RICHARD M. BAEDECKER – NASZ WYŚLANNIK NA KSIEŻYC. Pod spodem w paru miejscach wymalowano flamastrami emblemat misji, jaki cała załoga nosiła naszyty na mundurach. Słońce wystające zza symbolicznego członu dowodzenia z żaglami miało kolor jajecznicy, którą tego samego ranka z niezwykłym zapalem zmiotł z talerza Bili Ackroyd. Pochód posuwał się na zachód Piątą Ulicą mijając park, a następnie skręcił w Main Street. Zielonobiałe wóz szeryfa Meehana torował drogę wśród tłumu. Publiczność zapełniła trypoziomowe chodniki, jakby stworzone do oglądania tego typu przemarszów. Wszędzie powiewały małe amerykańskie flagi, a nad ulicą wisiał rozpięty na lekkich masztach wielki transparent:

GLEN OAK ŚWIĘTUJE DZIEŃ RICHARDA M. BAEDECKERA

PARADA KU CZCI PIERWSZYCH OSADNIKÓW
ZAWODY STRZELECKIE, OKRĘGOWY KLUB STRZELECKI
JUBILEE SOBOTA, 8 SIERPNI.

Orkiestra skręciła w lewo w Drugą Ulicę, a potem jeszcze raz w lewo, w następną przecznicę, tuż obok podstawówki. Dzieciaki bawiące się na dziwnej drewnianej konstrukcji podobnej do szafotu machały rękami i krzyczały głośno. Jeden z chłopców, ułożywszy palce prawej dłoni w kształt pistoletu, zaczął strzelać do przechodzących. Niewiele myśląc, Baedeker namierzył go palcem i odpowiedział ogniem. Chłopak złapał się za pierś, przewrócił oczami, po czym wykonawszy fikołka spadł z żerdzi, na której siedział, do znajdującej się półtora metra pod nim piaskownicy. Kolumna skręciła w prawo i znowu znaleźli się na Piątej Ulicy, o jedną przecznicę dalej od miejsca, z którego wyruszyli, a potem udali się w kierunku wschodnim. Baedeker rzucił okiem na biały budynek, który kiedyś, był tego pewien, służył jako biblioteka. Pamiętał panujący tam latem zapach rozgrzanego słońcem strychu i wyraz lekkiego zniecierpliwienia na twarzy bibliotekarki, kiedy po raz ósmy, dziesiąty czy piętnasty pytał o „Marsa” Johna Cartera.

Piąta Ulica była wystarczająco szeroka, by obok parady mogły swobodnie przejechać dwie kolumny samochodów. Jednakże nie było żadnego ruchu. Baedeker znów poczuł brak olbrzymich wiązów, widoczny szczególnie teraz, kiedy promienie słoneczne padały prostopadle na szeroką jezdnię. Karłowate chińskie wiązki, które rosły w pobliżu porośniętych trawą rowów odwadniających, rozmiarami w ogóle nie pasowały do przesadnie szerokiej arterii, ogromnych trawników i wielkich domów. Ludzie siedzieli na werandach lub na krzesłach ustawionych przed domami i machali rękami. Dzieci i psy wybiegały przed orkiestrę, by potem z piskiem uskakiwać jej z drogi. Za mustangiem, w którym jechał Baedeker, uformowała się luźna kolumna rowerzystów, dzieci ciągnących samochody na sznurkach i kilku przebierańców dosiadających małych traktorków do koszenia trawy, rozciągająca się najakieś piętnaście metrów za pochodem.

Wóz szeryfa skręcił w Catton Street. Znowu znaleźli się obok szkoły. Przed dawnym domem Baedeckera jakiś mężczyzna bez koszuli, z ogromnym brzuchem wylewającym się z szortów, przycinał trawę. Przerwał na chwilę, żeby popatrzeć na przechodzący tłum, i dwoma palcami zasalutował na widok przejeżdżającego mustanga. Troje staruszków siedziało na ocienionej werandzie, na której niegdyś Baedeker walczył z piratami lub odpierał kolejne ataki Japończyków.

Dwie przecznice za dawnym domem Baedeckera pochód minął liceum, a potem skierował się ku polom kukurydzy. Idąca przodem orkiestra skręciła w boczną drogę i poprowadziła całą kolumnę wokół szkoły na otwarty teren, gdzie ustawiono namioty i stoiska jarmarku Pierwszych Osadników. Obok sporego parkingu stało pół tuzina olbrzymich pałatek i drugie tyle drewnianych budek oraz kilka pstrokatych, nieruchomych karuzeli błyszczących w słońcu. Wysoka żółtobrazowa trawa została zdeptana i zarzucona przeróżnym śmieciem przez tłum bawiących się tu poprzedniej nocy. Dalej na północ widać było boiska do baseballu zajęte już przez zawodników w kolorowych strojach, otoczone tłumem kibiców. Jeszcze dalej, za boiskami, niemal w miejscu gdzie podwórko dawnego domu Baedeckera stykało się z polami, grupa wozów strażackich ustawiała się na trawie tworząc czerwonozielony czworobok.

Nagle orkiestry przestały grać i pochód zaczął się powoli rozpraszać. Teren jarmarku był niemal pusty, nieliczna garstka gapiów przyglądała się zdezorientowanym dziewczętom z kompanii marszowej oraz jeźdźcom, nie bardzo wiedzącym, co mają ze sobą zrobić. Baedeker pozostał na swoim miejscu w samochodzie. – I co? – zagadnęła pani burmistrz. – Niezły ubaw, nieprawdaż? Baedeker pokiwał głową i spojrzął w górę. Karoseria samochodu i obicia siedzeń parzyły przy

zetknięciu z ciałem. Słońce stało w zenicie. Tuż nad horyzontem, ledwie widoczny na bezchmurnym niebie, widniał księżyc w trzeciej kwadrze. – Dickie!

Baedecker podniósł wzrok od stołu, przy którym siedział popijając piwo. Wołała go tęga blondynka w średnim wieku, o krótko przystrzyżonych włosach. Ubrana była w bluzę z jakimś nadrukiem i elastyczne legginsy rozciągnięte do granic możliwości. Jej twarz nie wydała mu się znajoma. Namiot Legionu Amerykańskiego tonął w przyćmionym świetle koloru sepii. W rozgrzanym powietrzu unosił się zapach brezentu. Baedecker wstał. – Dickie! – powtórzyła swój okrzyk kobieta i wzięła jego opuszczoną rękę w obie dłonie. – Jak się masz? – Doskonale – odparł Baedecker. – A ty?

– Świetnie, po prostu świetnie. Wyglądasz wspaniale, Dickie, ale co się stało z twoimi włosami? Pamiętam, że zawsze miałeś wielką rudą czuprynę.

Baedecker uśmiechnął się i machinalnie pogładził dłonią po łysinie. Mężczyźni, z którymi wcześniej rozmawiał, pochylili się nad swoimi kuflami.

Gruba blondyna zakryła usta dłonią i zachichotała.

– O kurczę, ty mnie w ogóle nie pamiętasz.

– Mam fatalną pamięć do imion – wyznał Baedecker. – Myślałam, że o Sandy nigdy nie zapomnisz – zaśmiała się i udając obrażoną pacnęła Baedeckera po rękę. – Sandy Serrel. Kiedyś byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Pamiętasz, ja i Donna Lou Hewford często włóczyliśmy się z tobą, Mickeyem Farrelem, Kevinem Gordonem i Jimmym Hainesem przez całą czwartą i piątą klasę.

– No tak, jasne! – zawołał Baedecker i znowu uściskał jej rękę. Nadal jednak nie wiedział, z kim ma do czynienia. – Co u ciebie, Sandy?

– Dickie, to jest mój mąż, Artur. Artur, to jest mój dawny chłopak, który był na Księżycu.

Baedecker wymienił uścisk dłoni z chudym jak szczapa mężczyzną ubranym w strój do softballu drużyny „Zakładu Pogrzebowego Taylora”. Skórę Artura pokrywała warstewka kurzu, spod której prześwitywały sine zmarszczki widoczne na szyi, twarzy i dłoniach.

– Założę się, że myślałeś, że nigdy nie wyjdę za mąż – paplała Sandy Serrel. – To znaczy za kogoś innego niż ty, co? Baedecker odwzajemnił jej uśmiech. Zauważył, że Sandy ma złamany przedni ząb.

– Chodź, kochanie. Zaraz będzie następny mecz – ponaglał ją mąż.

Potężna blondyna ponownie zamknęła ramię Baedeckera w mocnym uścisku.

– Musimy już iść, Dickie. Fajnie było cię znowu zobaczyć. Musimy się spotkać wieczorem, to pokażę cię Shirley i bliźniakom. Pamiętam, jak się za ciebie modliłam, kiedy byłeś tam, na Księżycu. Gdybyśmy się wszyscy za was nie modlili, to nie wiadomo, czy Bóg pozwoliłby wam wrócić stamtąd cało.

– Będę o tym pamiętał – powiedział Baedecker. Sandy pocałowała go w policzek. Następnie udała się do wyjścia w ślad za mężem, zostawiając Baedeckera z wilgotnym śladem na policzku, owianego zapachem brudnych ręczników. Usiadł i zamówił następną kolejkę piwa.

– Artur pracuje dorywczo na cmentarzu – wyjaśnił Phil Dixon, jeden z członków rady miejskiej.

– To trzeci mąż Sandy Śmierdziel – dorzucił Bili Ackroyd. – I nie wygląda na to, że ostatni.

– Sandy Śmierdziel – powtórzył Baedecker stawiając kufel na stole. – O Jezu!

Pamiętał Sandy Śmierdziel. Była to nieznośna dziewczucha, która ciągle włóczyła się za chłopakami, nie dając im spokoju. Zachował o Sandy jedno wyraźne wspomnienie. Zdarzyło się to

pewnego popołudnia, kiedy chodzili razem do piątej klasy. Podczas przerwy obiadowej Sandy podeszła do niego na boisku szkolnym w chwili, gdy przyglądał się chłopu przejeżdżającemu obok na gniadym koniu.

– Zupełnie nie wiem, jak wy faceci to robicie – powiedziała, wskazując palcem ogiera.

– Co robimy? – zapytał Baedeker.

– No, chodźcie sobie tu i tam, cały czas z kutasem dyndającym między nogami – szepnęła mu do ucha.

Był wówczas wstrząśnięty. Poczzerwieniał, wściekł na siebie z powodu tych rumieńców.

– Sandy Śmierdziel – powtórzył. – Dobry Boże! – Jednym haustem dopił piwo i gestem ręki dał znać mężczyźnie w legionowej czapce, że chce postawić wszystkim jeszcze jedną kolejkę. Nie było żadnych kwiatów, ale oba groby wyglądały na zadbane. Baedeker przestąpił z nogi na nogę i zdjął okulary. Nagrobki z szarego granitu były identyczne, różniły się tylko napisami:

CHARLES S. BAEDECKER 1893 – 1957 i KATHLEEN E. BAEDECKER 1900 – 1956.

Na cmentarzu panowała cisza. Od północy osłaniały go pola kukurydzy, z pozostałych trzech stron stały wysokie drzewa. Po wschodniej i zachodniej stronie znajdowały się płytkie wąwozy, w których szumiały niewidoczne strumyki. Baedeker pamiętał, jak podczas jednego ze swoich urlopów, pewnej deszczowej wiosny w czterdziestym trzecim lub czterdziestym czwartym roku, ojciec zabrał go na polowanie, na rozciągające się opodal cmentarza, porośłe lasem wzgórze. Baedeker przez cały czas niósł trójlufkę i dwudziestkędwójkę, ale zdecydowanie odmówił zabijania wiewiórek. Przechodził właśnie krótki okres pacyfistyczny. Jego ojciec był zdeglustowany postawą syna, ale nic nie powiedział, ograniczając się do powierzenia mu pieczy nad poplamionym brezentowym workiem, do połowy wypełnionym martwymi wiewiórkami. Baedeker przyklęknął na jedno kolano i powyrywał żdźbła traw dookoła nagrobka matki. Z powrotem włożył okulary. Pomyślał o ciele leżącym pod powierzchnią ziemi, przysypanym warstwą tłustego czarnoziemiu, z jakiego słynie Illinois – ramiona, które przytulały go, kiedy z płaczem wracał ze szkoły do domu po kolejnej bójce, dłonie, które go uspokajały podczas tych straszliwych nocy, kiedy budził się nagle, nie wiedząc kim jest i gdzie się znajduje, drąc się na cały głos, aż wreszcie w korytarzu dało się słyszeć ciche szuranie maminych pantofli, a w chwilę później czuł miękki dotyk jej rąk w przerażającej ciemności. Wybawienie. Uzdrawienie. Baedeker podniósł się i wyszedł z cmentarza. Phil Dixon miał przyjemność podwieźć go, tutaj jadąc do domu na kolację. Baedeker zapewnił go, że do miasta, oddalonego stąd o jakieś dwa kilometry, wróci piechotą. Zamknął za sobą żelazną bramkę na zasuwkę i ponownie spojrzął na cmentarz. W trawie słychać było szmer krzątających się owadów. Gdzieś pod drzewami przeciągle zaryczała krowa. Nawet z drogi Baedeker mógł dojrzeć puste, porośłe trawą, prostokątne działki obok grobów rodziców, wydzielone dla niego i dla jego sióstr.

Jakaś furgonetka wjechała z hurkotem pod górę i zatrzymała się gwałtownie obok Baedeckera, wzniesając tuman kurzu i żwiru. Mężczyzna o włosach koloru piasku i ogorzałej od wiatru twarzy wychylił się z okna przy kierownicy.

– To pan jest Richard Baedeker, prawda?

Obok kierowcy siedział jakiś chłopak. Na stojaku za ich plecami wisały dwie strzelby.

– Tak.

– Tak myślałem. Czytałem w „Kronice Princeville”, że pan przyjeżdża. Ja i Galen jedziemy do Glen Oak na Wesoly Grill. Po drodze zatrzymamy się na chwilę „Pod Samotnym Drzewem” na małe

piwko. Widzę, że jest pan bez samochodu. Podwieźć? – Tak. – Baedeker zdjął okulary, złożył ostrożnie i włożył od kieszonki koszuli. – Bardzo chętnie.

Kierowca poinformował Baedekera, że „Tawerna Pod Samotnym Drzewem” znajdowała się kiedyś o pół kilometra dalej na południowy zachód, tuż przy skrzyżowaniu drogi okręgowej ze żwirówką. Samotne drzewo, potężny dąb, wciąż stało w tamtym miejscu. Ale kiedy w latach trzydziestych cały okręg Peoria znalazł się na skraju bankructwa, tawerna została przeniesiona kawałek dalej, do okręgu Jubilee, aby przez następne czterdzieści pięć lat stać pod lasem, na szczycie drugiego wzgórza na wschód od cmentarza. Wzniesienia były wysokie, droga wąska, a Baedeker przypominał sobie opowieści mamy o tym, jak to niejedynemu bywalec tawerny, podchmieliwszy sobie, pełnym gazem wjeżdżał na szczyt wzgórza, po czym wpadał na nadjeżdżający z przeciwka inny rozpędzony pojazd. Podczas wojny reglamentacja benzyny i masowy pobór młodych ludzi do wojska nieco zredukowały liczbę tych wypadków. Ojciec Baedekera nieraz wyskakiwał na jednego „Pod Samotne Drzewo”, kiedy przyjeżdżał do domu na urlop. Baedeker pamiętał, jak kiedyś popijał lemoniadę w tym samym chłodnym i mrocznym pomieszczeniu, w którym teraz zamawiał szklaneczkę irlandzkiej whiskey i piwo. Kątem oka spojrzał na popękane kafle podłogi, jakby pragnąc się upewnić, czy pod stołem nie leży czasem brezentowy worek pełen martwych wiewiórek. – Pewnie mnie pan nie pamięta, co? – zagadnął go kierowca.

Przedstawił się jako Carl Foster.

Baedeker pociągnął whiskey, po czym przyjrzał się uważnie ogorzałej twarzy i jasnoniebieskim oczom siedzącego przed nim mężczyzny.

–Nie.

– Pewnie, tyle czasu już minęło – uśmiechnął się tamten. – Chodziliśmy razem do czwartej klasy, ale ja musiałem powtarzać, kiedy ty z Jimmym przeszliście do piątej.

– Carl Foster – powtórzył cicho Baedeker. Nagle wyciągnął rękę i ucisnął dłoń farmera. – Carl Foster, no jasne. Siedziałeś przed Kevinem, a za tobą ta, jak jej tam, no ta dziewczyna z dużym tyłkiem i z tymi...

– Wielkimi cycami – uzupełnił Carl potrząsając dłonią Baedekera. – Przynajmniej jak na czwartą klasę. Nazywała się Donna Lou Baylor. Wyszła za Toma Hewforda. A to jest mój zięć, Galen. – Czołem, Galen. – Baedeker i młody chłopak wymienili uścisk dłoni. – Pamiętasz, Carl, byliśmy razem w drużynie skautów.

– Stary Meehan był drużynowym – rzekł Foster. – Zawsze nam powtarzał, że z dobrego skauta będzie dobry materiał na żołnierza. To on dał mi belkę za prowadzenie rozpoznania lotniczego. Dzień w dzień siedziałem jak dureń na strychu i do drugiej po południu gapiłem się w niebo z wyrysowanymi sylwetkami samolotów w ręce. Ciekawe co bym zrobił, jakbym zobaczył eskadrę Luftwaffe nadlatującą z bombami nad Peorię... Do czterdziestego ósmego nie odwołali tej akcji.

– Carl Foster – powtórzył jeszcze raz Baedeker. Dał znak barmanowi, że zamawia jeszcze jedną kolejkę.

* * *

W jakiś czas potem, gdy cienie drzew się wydłużyły, wyszli na zewnątrz wysikać się i postrzelać do szczurów. – Galen – odezwał się Foster do zięcia – skocz do wozu po fuzje.

Stali na skraju wąwozu spoglądając na śmieci zgromadzone tu przez pięć ostatnich dziesięcioleci. Przerdzewiałe sprężyny łóżek, stare pralki, tysiące blaszanych puszek i skorodowana karoseria hudsona z 1938 roku zapełniały dno małego parowu. Nowsze odpadki pokrywały grubą

warstwą ocieniony stok, mieszając się ze starymi rupieciami. Foster zapiął rozporek i wziął podaną mu przez Galena strzelbę do ręki.

– Nie widzę tu żadnych szczurów – powiedział Baedeker. Postawił na ziemi pustą szklanę po whiskey i otworzył następne piwo.

– Trzeba gnojków trochę rozruszać – odparł Foster i wypalił do dobrze już podziurawionej balii, znajdującej się o niecałe dwadzieścia metrów od nich w dół zbocza. Jakies ciemne kształty mignęły im przed oczami. Farmer umieścił następny nabój w komorze i ponownie wystrzelił. Coś wyskoczyło w powietrze piszcząc żałośnie. Foster podał strzelbę Baedekerowi.

– Dzięki – rzekł Baedeker. Wycelował dokładnie w małą szczelinę w cieniu dużego szafkowego radia i pociągnął za spust. Nic się nie poruszyło.

– Chyba gdzieś czytałem, że służyłeś w marynarce. – Foster zapalił papierosa, który śmiesznie zwisał mu z warg. Wystrzelony nabój trafił w starą skrzynkę do magazynowania zboża leżącą gdzieś w połowie stoku. Dał się słyszeć świdrujący w uszach pisk i kilka czarnych kształtów przebiegło przez zwały śmiecia.

– To było dawno temu – mruknął Baedeker. – Służyłem w Korei. Na lotniskowcach.

Broń niemal w ogóle nie miała odrzutu.

– Ja nigdy nie byłem w wojsku – powiedział Foster. Papieros podskakiwał mu w ustach. – Przepuklina. Nie wzięliby mnie. Musiałeś kiedyś zastrzelić człowieka?

Baedeker znieruchomiał ze wzniesioną puszką piwa. Postawił ją na ziemi i wziął strzelbę od Fostera.

– Przepraszam, nie powinienem pytać – zmieszał się farmer.

– Nie mój zasrany interes.

Baedeker długo wodził lufą szukając celu, wreszcie wypalił. Usłyszeli cichy trzask dwudziestkidwójki i huk toczącej się w dół po wysypisku starej blaszanej tary do prania.

– Z kokpitu starych panter niewiele widać – odezwał się w końcu. – Zrzucasz bomby i wracasz do bazy. Nawet moje trzy potwierdzone zestrzelenia w powietrzu nie wydawały mi się czymś wstrząsającym. W dwóch przypadkach piloci zdążyli się katapultować z płonących maszyn, za trzecim razem miałem przednią szybę rozbitą i na dodatek zachlapaną olejem, tak że prawie nic nie mogłem zobaczyć. Przez celowniki nie widziałem, żeby ktoś się wydostał na zewnątrz. Ale chyba nie o to ci chodzi. – Naładował broń i podał ją Fosterowi. – To nie to samo co po prostu zastrzelić człowieka.

– Pewnie nie – zgodził się Foster i szybko wypalił. Jakiś szczur wyskoczył wysoko do góry, po czym upadł, wijąc się i rżąc. Baedeker wyrzucił pustą puszkę do wąwozu. Wziął strzelbę od Fostera trzymając ją w pozycji „prezentuj broń”. Jego głos był cichy i monotony.

– Kiedyś omal nie zastrzeliłem jednego człowieka, tu, w Glen Oak.

– O cholera, nie mów! Kto to był?

– Chuck Compton. Pamiętasz go?

– Tego gnojka? Jasne! Jak bym nie miał pamiętać tego starego konia, co do piętnastego roku życia kiblował w szóstej i jarał pali malle w sraczu? Był z niego kawał sukinsyna. – To prawda – powiedział Baedeker. – Nie zwracałem na niego uwagi, dopóki sam nie znalazłem się w szóstej. Wtedy ten gnojek zagiął na mnie parol i gnębił mnie dzień w dzień. Zawsze czekał na mnie po szkole. Wiesz przecież, jak się bawił. Staralem się go przekupić, oddawałem drobne, dzieliłem się

śniadaniem, dawałem batony czekoladowe, jeśli miałem, podsuwałem ściągę na testach z gegry i tak dalej. Brał wszystko, ale to i tak nic nie pomogło. On nic ode mnie nie chciał. Miał radochę, jak komuś zatruwał życie.

– I co się stało?

– Moja matka powiedziała, żebym mu się postawił. Mówiła, że wszystkie takie ważniaki to tchórze i jak się im postawić, to dadzą spokój. Dzięki, Galen. – Baedecker wziął od chłopaka następne piwo i pociągnął długi łyk. – Więc wyzwałem go jednego piątku i postawiłem mu się. Złamał mi nos w dwóch miejscach, wybił stały ząb i o mały włos połamałby mi żebra. A wszystko to na oczach innych dzieciaków.

– Cały Compton!

– Przez tydzień nie myślałem o niczym innym, tylko jak by go załatwić – ciągnął Baedecker. – Wtedy pewnego ranka, w sobotę, zobaczyłem go na boisku naprzeciwko domu, w którym mieszkałem. Poszedłem na górę i wyjąłem z szafy mamy moją trójlufkę.

– Miałeś własną broń? – zdziwił się Foster.

– Mój ojciec dał mi ją na ósme urodziny – powiedział Baedecker – Na dole sztucer czterdzieści, na górze dwudziestkadwójka. – Savage – wyszeptał Foster. – Mój brat miał kiedyś taką. – Wyrzucił niedopałek. – I co dalej?

– Poczekaj, aż podejdziesz bliżej – opowiadał Baedecker. – Najpierw usunąłem siatkę z okna sypialni matki i czekałem, aż Compton przejdzie na drugą stronę ulicy. Nie mógł mnie widzieć przez zasłony. Załadowałem dwa naboje, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jak wypalę ze sztucera. Nie mogłem chybić z dziesięciu metrów.

– Czterdzieści z takiej odległości mógł mu zostawić niezły wzorek.

– Załadowałem go śrutem szóstką – powiedział Baedecker.

– OJezu!

– Właśnie tak. Chciałem, żeby bebechy wyciekły z niego na ziemię jak królikowi, którego mój ojciec nafaszerował kulkami na polowaniu parę miesięcy wcześniej. Pamiętam, jak ze stoickim spokojem naprowadziłem lufę na głowę Comptona. Potem wycelowałem w biodra, bo zawsze mi zносиło trochę do góry i na lewo. Pamiętam, starałem się znaleźć w pamięci jakiś powód, dla którego miałbym sukinsyna oszczędzić. Ale z ręką na sercu nie mogłem znaleźć ani jednego. Nacisnąłem spust, tak jak uczył mnie mój ojciec – wstrzymując oddech, spokojnie, starając się raczej wolno dociskać, niż szarpać. Wreszcie pociągnąłem. I wtedy, cholera, okazało się, że zapomniałem odbezpieczyć broń. Natychmiast odbezpieczyłem czterdzieści, ale tymczasem Compton poruszył się, więc znowu musiałem celować. Przystanął, żeby pogadać z dziewczyną od sąsiadów, która grała w klasy, a ja tymczasem namierzyłem jego plecy. Był dwa, dwa i pół metra ode mnie.

– I co wtedy? – spytał Foster. Zapalił nowego papierosa. – I wtedy matka zawołała mnie na obiad. Rozładowałem trójlufkę i odłożyłem do szafy. Przez następne parę tygodni jak tylko mogłem, starałem się nie rzucić Comptonowi w oczy. Po jakimś czasie znudził się gnębieniem mnie. Następnego roku, w maju, wyprowadziliśmy się stąd na zawsze.

– Taaak – mruknął Foster i pociągnął piwa. – Chuck Compton to zawsze był kawał gnoja.

– Co się z nim dzieje? – spytał Baedecker, ostrożnie stawiając na ziemi puszkę z piwem. Podniósł dwudziestkadwójkę i wycelował w dół parowu.

– Ożenił się z Sharon Cahill z Princeville. Całkiem się zmienił. Przez jakiś czas był bardzo

religijny. Pracował przy budowie autostrady stanowej, w sześćdziesiątym szóstym spadł z kosiarki i dostał się pod noże. Żył jeszcze jakiś tydzień, póki nie dobiło go zapalenie płuc.

– To dopiero! – Baedeker nacisnął spust. Jakiś nieregularny kształt zaczął miotać się na boki, skowycząc z bólu. Baedeker wycofał broń do przepisowej pozycji i trzykrotnie pociągnął za cyngiel, aby się upewnić, że komora jest pusta. Oddał strzelbę właścicielowi. – Muszę wracać do Glen Oak – powiedział. – Mam przemówienie o ósmej.

– O cholera, racja! – wykrzyknął Carl Foster, oddając broń Galenowi.

– Na pewno nie chcesz ani łyka kawy? – spytał nerwowo Bili Ackroyd.

– Na pewno – odparł Baedeker. Stał przed lustrem w korytarzu domu Ackroyda i po raz drugi usiłował zawiązać krawat. – A może byś coś przegryzł?

– Zjadłem potężne śniadanie. A nawet dwa.

– Jackie odgrzałaby ci pieczeń.

– Nie ma czasu – powiedział Baedeker. – Już prawie ósma. Ruszyli do drzwi. W półmroku pola kukurydzy i wyłożony kostką podjazd przed domem Ackroydów lśniły dziwnym blaskiem. Ackroyd wyprowadził bonneville'a na ulicę i pomknęli do miasta. Jarmark był zalany światłem. Przez szczeliny brezentowych namiotów sączył się matowy blask, pomiędzy budkami rozciągnięte były girlandy świecących żółto żarówek, boisko do softballu skąpane było w świetle jarzeniówek, a karuzele migwały kolorowymi lampkami. Baedeker nagle przypomniał sobie pewien sierpniowy wieczór, kiedy Jimmy Haines przyszedł do niego na noc. Było to w przeddzień Święta Osadników. Tuż po północy obaj chłopcy zbudzili się jakby na jakiś wewnętrzny sygnał, ubrali się po cichu i przelazszy przez druciane ogrodzenie za domem, przedzierali się przez pola na tyłach szkoły, aż podeszli na tyle blisko, by słyszeć przekleństwa i krzyki robotników ustawiających wesołe miasteczko. Nagle wszystkie światelka diabelskiego młyna i karuzeli zaczęły mrugać jak szalone, pulsujące konstelacje na tle czarnego nieba. Baedeker i jego najlepszy przyjaciel stali bez ruchu, oczarowani nagłym cudem.

Przypomniał sobie, jak stał na Księżycu i osłaniając, pomimo wbudowanej w kask osłony przeciwsłonecznej, oczy ręką w potężnej rękawicy, wpatrywał się w czarne niebo, szukając choćby jednej gwiazdy. Nie było ani jednej. Tylko biała poświata porytej powierzchni i blask bijący od odległego półkola Ziemi przedostawały się przez iskrzącą złotą szybkę.

Ackroyd zaparkował samochód za wozem policyjnym i obaj wmieszali się w tłum zapełniający salę gimnastyczną. Baedeker natychmiast rozpoznał zapach drewna i bejcy, tak charakterystyczny dla tego miejsca. Tam gdzie teraz stały rzędami składane krzesła, kiedyś uczył się kozłować. Podest, na który wchodził, był kiedyś sceną operetki wystawianej przez szóstą klasę. Grał w niej Billy'ego, sierotę, który w ostatnim akcie okazuje się Chrystusem, przybyłym w tej postaci na ziemię, by wypróbować miłosierdzie pewnej rodziny. W liście z Camp Pendleton ojciec mu napisał, że był to najtragiczniejszy w dziejach teatru przypadek pomyłki w obsadzie.

Usiadł obok Ackroyda na szarym metalowym krześle, podczas gdy pani burmistrz Seaton starała się uciszyć licznie zebranych mieszkańców. Baedeker ocenił, że w drewnianych ławkach i krzesłach ustawionych w rzędy zasiadło około trzystu osób. Do sali wraz z rześkim, wilgotnym powietrzem wpadały dźwięki melodii z karuzeli.

– ...estnik programu „Apollo”. Nasz wysłannik na Księżyc. Jeden z bohaterów naszej ojczyzny i prawdziwy syn Glen Oak. Richard M. Baedeker!

Oklaski wypełniły salę gimnastyczną i na moment zagłuszyły dochodzącą z zewnątrz muzykę.

Gdy Baedeker wstawał z krzesła, Bili Ackroyd klepnął go w ramię, by dodać mu otuchy, omal nie posyłając go przy tym na deski. Baedeker z trudem złapał równowagę, uściśnął dłoń pani burmistrz i stanął twarzą do publiczności.

– Bardzo dziękuję pani burmistrz i członkom rady miejskiej. Jestem szczęśliwy, że dziś wieczór mogę być tu z wami wszystkimi w Glen Oak.

Kolejna seria braw przerwała jego przemówienie. Ta krótka chwila wystarczyła, by uświadomił sobie, że jest kompletnie pijany i nie wie, co ma mówić dalej.

Kiedyś nauczono go, jak tłumić strach przed dużą publicznością, skierowując wzrok podczas mówienia w jakiś nieokreślony punkt. Kiedy tłum ludzi zlewa się w jedną kolorową plamę, wydaje się mniej przerażający. Ale tego wieczoru cała ta praktyczna wiedza gdzieś się ulotniła. Baedeker zaczął z uwagą przyglądać się słuchającym go ludziom. Zobaczył Sandy Śmierdziel w drugim rzędzie, dającą mu znaki drobnymi ruchami dłoni, na której opierała podbródek. Jej mąż, wciąż ubrany w strój do softballu, drzemał rozwalony na krześle u jej boku. O trzy rzędy dalej siedział Phil Dixon wraz z całą rodziną. Jackie Ackroyd zajmowała miejsce w pierwszym rzędzie z brzegu. Obok niej Terry klęczał na siedzeniu plecami do trybuny, rozmawiając głośno z jakimś starszym chłopakiem z tyłu. Nie widział Carla Fostera i Galena, ale czuł, że są gdzieś w tłumie. W ciągu kilku sekund po tym, jak umilkły owacje, Baedeker poczuł nagły przyływ ciepłych uczuć do wszystkich zgromadzonych.

– Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że program podboju kosmosu znalazł uznanie w oczach naukowców, stając się dla nich źródłem nowej wiedzy o wszechświecie, z drugiej zaś strony stanowił niezwykle ekscytujące wyzwanie technologiczne dla inżynierów – rozpoczął przemówienie. – Lecz wielu z nas nie zdaje sobie nawet sprawy, ile wyprawom w przestrzeń pozaziemską zawdzięcza przeciętny amerykański obywatel, dla którego postęp technologiczny, zapoczątkowany przez programy kosmiczne, stał się odskocznią ku lepszemu życiu.

W miarę jak rozwijał wątek, stawał się coraz spokojniejszy. Przez pięć miesięcy po powrocie z Księżyca na Ziemię jeździł z odczytami po całym kraju, wkuł wówczas na pamięć kilka gotowych referatów. Przemówienie, które właśnie rozpoczął, w jego własnej nomenklaturze funkcjonowało pod nazwą „Mowa teflonowa”. – ...nie tylko dzięki przebadaniu zastosowań niezwyklej materiałów i stopów, ale także dzięki sponsorowanym przez NASA wynalazkom z dziedziny elektroniki, możemy obecnie korzystać z takich wspaniałych urządzeń, jak: kalkulatory kieszonkowe, komputery osobiste albo niezwykle tanie magnetowidy. „Dobry Boże! – pomyślał Baedeker. – Największe i najbardziej fantastyczne przedsięwzięcie od czasu piramid faraonów, wysiłek tylu naukowców i zaangażowanie takiej wielkiej siły roboczej, a wszystko po to, byśmy mogli siedzieć w fotelu i oglądać sobie wszystkie odcinki „Dallas” na wideo”.

Baedeker przerwał, odchrząknął i mówił dalej. – Satelity telekomunikacyjne... niektóre z nich wystrzelone z promu kosmicznego... objęły całą Ziemię jedną wielką siecią łączności. Kiedy szesnaście lat temu Dave i ja chodziliśmy sobie po Księżycu, mieliśmy ze sobą nową, lekką kamerę, która była prototypem wszystkich używanych przez nas dzisiaj przenośnych kamer wideo. Kiedy Dave i ja przejechaliśmy „Roverem” dziewięć kilometrów, aby spojrzeć na dno kanionu, którego do tamtej pory żadne ludzkie oko nie widziało jeszcze tak wyraźnie, nasza podróż była transmitowana na żywo, na odległość trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów, bo taka odległość dzieliła nas od Ziemi. „A sieci telewizyjne nie zdecydowały się na zakup tych transmisji, bo rozwalalo to ich codzienną ramówkę – pomyślał Baedeker. – Na program „Apollo” szybko zabrakło pieniędzy, bo jak na show był mało atrakcyjny i miał fatalny scenariusz. Po misji „Apollo 11” wszystko było już

jak powtarzany serial. Nie wytrzymywaliśmy konkurencji z „Dniami naszego życia”.

– ...w tym czasie nikt nie był w stanie przewidzieć, jakie odkrycia i nowinki techniczne powstaną podczas trwania projektu. Naszym podstawowym celem było poznanie wszechświata i poszerzenie zakresu ludzkiej wiedzy. W efekcie daliśmy początek technologicznej, rewolucji, która, jak już wspomniałem, stała się dla przeciętnego amerykańskiego konsumenta odskocznią ku nowemu życiu.

„Joan odskakująca ku nowemu życiu od małżeństwa, które przez lata było iluzją. Scott odskakujący ku nowemu życiu w Indiach, gdzie spędza czas na odkrywaniu wieczystych prawd w sercu kultury, której obca jest idea spłuczki do klozetu”. – Kiedy Dave, Tom i ja lecieliśmy „Discovery” na Księżyc, przeciętny specjalistyczny komputer kosztował dwanaście tysięcy dolarów – kontynuował przemówienie. – Dziś, dzięki osiągnięciom programu kosmicznego, z których skorzystał cały krajowy przemysł, takie same funkcje może wykonywać domowy komputer za tysiąc dwieście dolarów. I to wykonywać je dużo lepiej. „Dave Muldorff odskakujący ku nowemu życiu kongresmana z Oregonu”. Baedeker przypomniał sobie białą sylwetkę przemierzającą swobodnymi susami księżycową równinę, kombinezon błyszczący w słonecznej poświacie, ślady butów odbite w księżycowym pyłu, które wciąż będą wyglądały na świeże, kiedy on, Baedeker, będzie garstką pyłu, po Ameryce nie zostanie nawet wspomnienie, a rasa ludzka na zawsze zniknie z powierzchni Ziemi. „Zjazdy partyjne w celu pozyskania funduszy. I to Dave, którego kariera w NASA została gwałtownie przerwana, po tym jak dopuścił się niewybaczalnego grzechu, zabierając na Księżyc zabawkę, magiczny krążek frisbee, a po wykryciu przewinienia nie okazał należytej skruchy”.

– ...a obecnie większość szpitali używa tych urządzeń do kontrolowania czynności życiowych pacjentów...

„Tom Gavin odskakujący ku swej nowej roli fundamentalistycznego proroka. Jeśli Bóg przemówił do ciebie, gdy tkwiłeś sam, w górze, w członie dowodzenia, czemu nie powiedziałeś o tym Dave’owi i mnie, gdy wracaliśmy na Ziemię? Dlaczego nie wspomniałeś o tym na odprawie po wylądowaniu? Dlaczego czekałeś tyle lat, aby móc to ogłosić dopiero teraz, w telewizji?” – Płytki żaroodporne oraz inne materiały, stworzone dla potrzeb wahadłowca, mogą mieć tysiące nie przewidzianych zastosowań w przemyśle oraz w życiu codziennym. Nowe możliwości... „Eksplodujący „Challenger”, kawałki kadłuba odskakujące ku morzu. Paliwo rakietowe buchające piekielnym, pomarańczowym płomieniem. Potworna ulewa opadających miękko szczątków”.

– ...do korzyści można zaliczyć...

„Żona i syn odskakujący ku innemu życiu, ku innym rzeczywistościom”.

– ...można zaliczyć między innymi...

„Richard E. Baedeker odskakujący ku...”

– ...między innymi...

„Odszakujący ku...”

– ...między innymi...

„Ku czemu?”

Baedeker urwał w pół zdania.

Grupa farmerów śmiejąca się z dowcipnych uwag, wypowiedzianych przez kogoś z dalszych rzędów, umilkła wsłuchana w nagłą ciszę, która zapadła w całej sali. Ludzie odwrócili głowy w stronę podium. Terry Ackroyd, wciąż klęczący na swoim krześle, także przerwał rozmowę z kolegą.

Baedecker mocno schwycił się brzegów mównicy, by nie upaść. Wielka sala rozmywała się i wirowała mu przed oczami, po czole i plecach spływały strużki zimnego potu. Poczul ukłucie w potylicy.

– Wszyscy widzieliście eksplozję wahadłowca – powiedział ochrypłym głosem. – Powtarzano to setki razy. To było jak powracający zły sen, prawda? Koszmar, z którego trudno się otrząsnąć. Przerwał na chwilę, zaskoczony własnymi słowami. Nie miał pojęcia, co mówić dalej.

– Byłem zatrudniony w NASA, kiedy opracowywano STS... to znaczy system budowy wahadłowca – ciągnął. – Każdy etap wymagał kompromisu ze względu na forszę... na polityków... na biurokrację... albo na zwykłą nieodpowiedzialność. Zabiliśmy całą załogę, siedmiu ludzi, i jest to tak pewne, jak gdybyśmy przyłożyli im pistolety do skroni.

Oczy zwrócone w jego stronę wydawały mu się przezroczyście jak woda, chwiejne jak płomyki świec.

– Ale tak właśnie działają mechanizmy ewolucji! – wykrzyknął, przysuwając usta zbyt blisko mikrofonu. – Te wielopiętrowe rakiety, orbiter, zbiornik zewnętrzny... to wszystko wydaje się tak piękne, nowoczesne, technologicznie perfekcyjne, ale... w gruncie rzeczy jest, tak jak my sami – kompromisem na drodze ewolucji. Tuż obok genialnego mechanizmu serca albo prawdziwego cudu, jakim jest oko, każdy z nas ma ten idiotyczny wyrostek robaczkowy, który tylko czeka, by dać nam popalić. Pochylił się lekko do przodu i spojrzał na słuchaczy. Większość nie pojmowała, o co mu chodzi, i wydawało się, że należałoby to jak najszybciej wyjaśnić.

Zapadła głucha cisza. Ucichły także dźwięki dobiegające od strony jarmarku. Ktoś z siedzących niedaleko wyjścia zakaszłał, a echo jego pokasływania rozniosło się po całej sali niczym huk armatniego wystrzału. Baedecker nie mógł dłużej przyglądać się twarzom zgromadzonych. Zamknął oczy i mocno zacisnął powieki, rękami opierając się o mównicę.

– Gdzie się podziały ryby?

Otworzył oczy.

– Gdzie się podziały ryby? – zapytał ponownie. – Ryby płucodyszne. One pierwsze wypłynęły z morza na ląd. Co się z nimi stało? Ciszę panującą w sali zastąpił niespokojny szmer. Na twarzach słuchaczy pojawił się wyraz zmieszania. Gdzieś na zewnątrz dał się słyszeć płacz przerażonej dziewczynki. Po chwili łkanie ucichło i wszyscy z uwagą czekali, co będzie dalej.

– Zostawiły ślady odcisnięte w mule i co potem? – zapytał Baedecker. Sam nie poznawał własnego głosu. Odchrząknął. – To one były pierwsze. O ile wiem, najprawdopodobniej posiedziały trochę na plaży, próbując złapać oddech, i zawróciły do oceanu. Kiedy wyginęły, ich kości zmieszały się ze szczątkami innych zwierząt, tworząc szlam. To wszystko są znane fakty. Ale chodzi mi o coś innego...

Obrócił się w stronę, gdzie siedzieli Ackroyd i inni, jakby stamtąd oczekiwał pomocy, a następnie znowu spojrzał na tłum. Na chwilę opuścił głowę, lecz zaraz znowu przejechał wzrokiem po twarzach. Nie rozpoznawał nikogo. Nie mógł wyodrębnić wzrokiem żadnego z siedzących. Obawiał się, że łzy spływają mu po twarzy, ale nic nie mógł na to poradzić.

– Czy miały jakieś marzenia? – wyrzucił z siebie pytanie.

Odczekał chwilę, ale nie było żadnej odpowiedzi. – Zrozumcie, one musiały widzieć gwiazdy – kontynuował. – Nawet wtedy, gdy leżały na plaży, łapiąc z trudem powietrze, myśląc tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się z powrotem w wodzie, nawet wtedy musiały przecież widzieć gwiazdy. Znowu odchrząknął.

– Chciałbym tylko wiedzieć, czy... czy zanim wyginęły... zanim ich kości połączyły się ze szczątkami innych... czy miały jakieś marzenia? To znaczy, jasne że miały, ale czy były inne niż nasze? Ich marzenia... Pragnę tylko powiedzieć...

Urwał.

– Myślę, że... – zaczął i znowu przerwał. Odwrócił się gwałtownie, uderzając czołem w mikrofon. – Dziękuję wszystkim za miłe przyjęcie w rodzinnych stronach – powiedział, ale głowę miał już odwróconą do tyłu, a z głośników dobiegał pisk, tak że nikt nie usłyszał ostatnich słów.

Obudził się o trzeciej nad ranem, czując mdłości. Na szczęście łazienka znajdowała się tuż obok gościnnego pokoju. Gdy już było po wszystkim, umył zęby, przepłukał usta i poszedł do pokoju Terry'ego.

Ackroydowie udali się na spoczynek jakiś czas temu. W całym domu panowała cisza. Baedeker zamknął drzwi, by odciąć dopływ światła z korytarza, i czekał, aż pojawią się gwiazdy. Po chwili zaczął je widzieć. Jedna po drugiej wyłaniały się z ciemności. Było ich dobre parę setek. Oświetlona słońcem półkula Ziemi, znajdująca się o trzy średnice nad szczytami księżycowych gór, także została pociągnięta fosforyzującą farbą. Powierzchnia Księżyca jaśniała, skąpana w blasku światła odbitego od Ziemi. Gwiazdy migotały. Kratery rzucały nieprzeniknione cienie. Panowała absolutna cisza.

Baedeker położył się na łóżku chłopca, starając się nie wymiać kapy przykrywającej równo ułożoną pościel. Pomyślał o nadchodzącym dniu. Po przyjeździe do Chicago odszuka Bormana i Serettiego. Przy odrobinie szczęścia umówią się na nieformalną kolację, podczas której mogliby poruszyć sprawę airbusa, zanim konwencja rozpocznie się na dobre.

Po kolacji zadzwoni do Cole'a Prescottta, do jego domu w St. Louis. Powie mu, że rezygnuje z pracy, i poprosi, aby jak najszybciej załatwił wszystkie formalności związane z przekazaniem obowiązków następcy. W pierwszych dniach września chciał opuścić St. Louis. „Co potem?” Spojrzał na Ziemię jaśniejącą na tle rozgwieżdżonego nieba. Poskręcane masy chmur wyglądały imponująco. Zamieni swego czteroletniego chryslera le barona na jakiś sportowy wóz. Na corvette. Nie, na coś równie pięknego i szybkiego jak corvetta, ale z normalną skrzynią biegów. Coś, czym będzie mógł pędzić i mieć frajdę z prowadzenia. Uśmiechnął się na myśl, jakie to wszystko wydaje się proste i łatwe.

„Co potem?” Im bardziej oczy przyzwyczajały się do mroku, tym więcej widział gwiazd. „Chłopak nieźle się musiał narobić” – pomyślał, patrząc w sufit i widząc odległe galaktyki złożone z pasemek lśniących gwiazd. Pojedzie na Zachód. Od dawna już nie odbywał dalekich podróży po kraju. Odwiedzi Dave'a w Salem, spędzi parę dni u Toma Gavina w Kolorado.

„Co potem?” Podniósł rękę i oparł grzbiet dłoni na czole.

W uszach dźwięczały mu jakieś głosy, zagłuszane przez szумы w tle. Pomyślał o szarych nagrobkach obrośniętych trawą i ciemnych kształtach przemykających pomiędzy zardzewiałymi resorami wraka hudsona z 1938 roku. Pomyślał o promieniach słońca odbijających się w wieży ciśnień i o zachwycie, jaki odczuwał na widok swego nowo narodzonego syna. Pomyślał o ciemności. Pomyślał o światełkach diabelskiego młyna obracającego się nocą w absolutnej ciszy.

Gdy w chwilę później zamknął oczy i zasnął, nad jego głową wciąż błyszczały gwiazdy.

CZĘŚC TRZECIA

UNCOMPAGRE

– Czy wszyscy gotowi do wspinaczki?

Richard Baedeker i pozostali trzej członkowie wyprawy przerwali na chwilę poprawianie plecaków i dopinanie pasów biodrowych, aby spojrzeć na Toma Gavina. Gavin był niewysoki, miał pociągłą twarz, krótko ostrzyżone czarne włosy i przenikliwe spojrzenie. Kiedy mówił, nawet jeśli zadawał zwykłe pytanie, wyrzucał z siebie słowa z niezwykłą szybkością, jakby ciągle się śpieszył.

Baedeker kiwnął głową i pochylił się, aby zarzucić plecak. Ponownie spróbował dopiąć wyściełany gąbką pas biodrowy, ale próba się nie powiodła. Jego brzuch był na tyle duży, a pas na tyle krótki, że dwie części sprzączki nie mogły się zazębić. – Do diabła! – wymamrotał Baedeker i zatknął pas za plecak, żeby nie zwisał. Pomyślał, że da radę udźwignąć wszystko na samych ramionach, aczkolwiek już teraz ciężar plecaka sprawiał, iż gdzieś w okolicach szyi naciągnięty nerw zaczynał sprawiać mu ból.

– Deede? – zapytał Gavin. Ton, z jakim wypowiadał wszystkie pytania, przypominał Baedekerowi tysiące skorowidzów procedur, jakie przeczytali razem podczas niezliczonych symulacji. – Tak, kochanie. – Deede Gavin, blondynka o szczupłej, wysportowanej sylwetce, miała czterdzieści pięć lat, tyle samo co jej mąż, ale należała do tych kobiet, które pomiędzy dwudziestymi piątymi a pięćdziesiątymi urodzinami wyglądają tak samo. Pomimo że była cały czas bardzo ożywiona, ani sposób mówienia, ani jej ruchy w niczym nie przypominały zachowania jej męża, który zawsze zdawał się tłumić gwałtowne emocje. Tom Gavin niemal ciągle miał na twarzy grymas, jakby się czymś martwił lub mocował w myślach z trudnym do rozstrzygnięcia problemem. Deede Gavin nigdy nie okazywała intelektualnego niepokoju lub wysiłku. Ze wszystkich żon astronautów, jakie Baedeker miał okazję poznać, Deede Gavin zawsze wydawała mu się najmniej pasująca do swego męża. Jego była żona, Joan, już dwadzieścia lat temu przepowiedziała nieunikniony rozwód tych dwojga, zaraz po pierwszym spotkaniu z małżeństwem Gavinów w Bazie Lotniczej Edwardsa wiosną 1965 roku.

– Tommy? – zapytał Gavin.

Tom Gavin junior popatrzył gdzieś w bok i kiwnął głową. Był ubrany w wystrzępione, drelichowe szorty i niebieskobiałą koszulkę z logo „Krucjaty dla Chrystusa”. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i nadal rósł. Czuło się, że niesie ze sobą stłumiony gniew, jakby był to dotykalny ciężar przygniatający go do ziemi, jakby zamiast jednego niósł dwa plecaki.

– Dick?

– Aha – odpowiedział Baedeker.

W pomarańczowym plecaku miał namiot, osłonę przeciwdeszczową, jedzenie i zapas wody, ciepłe ubrania i pelerynę, małą butlę gazową, naczynia i apteczkę, linę, latarkę, płyn odstraszający komary, ocieplany śpiwór, płachtę do rozłożenia na ziemi, karimatę i mnóstwo innych rzeczy przydatnych na szlaku. Wczoraj po spakowaniu ustawił plecak na wadze w łazience u Gavinów. Wskazówka zatrzymała się na czternastu kilogramach, ale Baedeker był niemal pewien, że od tamtego czasu ktoś w tajemnicy dopakował jeszcze komplet kuł do kręgli i kolekcję minerałów. napięty nerw szyjny był jak naciągnięta do granic wytrzymałości gitarowa struna. Baedeker próbował sobie wyobrazić, jaki dźwięk wyda, gdy w końcu pęknie.

– Gotów – powiedział.

– Panno Brown?

Maggie, której wreszcie udało się dopiąć pasy plecaka, podniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie. Baedeckerowi wydało się, że słońce wyszło zza chmur, chociaż niebo nad nimi było bezchmurne cały dzień.

– Wszystko gotowe – odpowiedziała. – Mów mi Maggie, Tom. Od czasu ich ostatniego spotkania w Indiach, trzy miesiące wcześniej, zmieniła fryzurę na krótszą. Ubrana była w bawełniane szorty i ciepłą kurtkę w kratę, spod której widać było zieloną bluzkę odsłaniającą nagie ramiona i plecy. Jej nogi były muskularne i opalone. Była najmniej obciążona z całej wycieczki – niosła zwykły niebieski brezentowy plecak bez stelaża z przytroczonym u dołu puchowym śpiworem. Podczas gdy wszyscy mieli na sobie masywne pionierki, Maggie wystarczała para zwykłych adidasów. Baedecker spodziewał się, że dziewczyna lada chwila uniesie się w górę jak balonik, podczas gdy reszta będzie się wlokła z trudem, niczym walcząca z podwodnymi prądami grupa nurków głębinowych. – W porządku – powiedział Gavin. – No, ruszamy! Obrócił się i zaczął prowadzić ich w górę dziarskim krokiem, nie oglądając się na zaparkowany u podnóża góry samochód. Tuż za łąką droga, na której widać było ślady wozów terenowych, przechodziła w ścieżkę wijącą się zakosami wśród lasów sosnowych i jodłowych, z rzadka przecinającą osikowe zagajniki. Deedee pośpieszyła w ślad za mężem. Maggie swobodnym krokiem ruszyła za nimi. Baedecker usiłował dotrzymać im kroku, ale po przejściu trzystu metrów w górę zbocza zrobił się czerwony z wysiłku jak burak, nogi zaczęły się pod nim uginać, a płuca pracowały pełną parą, usiłując wessać jak najwięcej tlenu z otaczającej go warstwy rozrzedzonego powietrza, typowego dla wysokości dwóch i pół tysiąca metrów nad poziomem morza. Tom junior włókł się za nimi, zostając daleko w tyle, od czasu do czasu podnosząc jakiś kamień, by rzucić nim w drzewo lub wyciąć coś w pniach osiki finką, którą miał przytroczoną do pasa.

– Dalej, nie zwalnijcie tempa! – zawołał Gavin z wysokości kolejnego zakrętu. – Jeszcze nawet nie jesteśmy na szlaku. Baedecker tylko kiwnął głową, gdyż z braku tchu nie mógł powiedzieć ani słowa. Maggie odwróciła się i zeszła w dół do niego. Baedecker otarł twarz z potu, poprawił swój bagaż na mokrych plecach i zadumał się nad lekkomyślnością osób, które marnują energię na cofanie się w dół, dobrze wiedząc, że za chwilę będą musiały przebyć tę samą drogę z powrotem, tyle że w górę. – No jak tam? – spytała.

– W porządku – wystękał Baedecker.

– Pewnie za niedługo będziemy się rozbijać. Stonce zajdzie za góry za jakieś czterdzieści pięć minut. Poza tym chyba będziemy obozować tu, w niższych partiach kanionu. Wyżej jest bardzo stromo.

– Skąd wiesz?

Maggie uśmiechnęła się i odgarnęła kosmyk włosów za ucho. Baedecker pamiętał ten ruch jeszcze z Indii. Ucieszył się, że krótsze włosy nie wyeliminowały potrzeby wykonywania tego uroczego gestu.

– Widziałam to na mapie topograficznej, którą Tom pokazywał ci wczoraj w Boulder – powiedziała.

– Aha – mruknął Baedecker. Zbyt był wstrząśnięty nagłym pojawieniem się Maggie w domostwie Gavinów, aby przyjrzeć się mapie z należytą uwagą. Poprawił pasy na ramionach i ruszył w górę. Niemal natychmiast jego serce zaczęło walić jak szalone, a płuca zacharczały z braku tlenu.

– Co mu jest? – spytała Maggie.

– Komu? – skupił się na podnoszeniu stóp. Nie pamiętał, żeby w sklepie, w którym kupował nowe pionierki, prosił o buty z podbitymi metalem zelówkami, ale najwyraźniej musieli mu je wcisnąć. – Jemu. – Maggie wskazała głową na smętnie pochylonego Toma juniora, który przystanął o kilka kroków za nimi. Chłopak z rękami wbitymi w kieszenie gapił się w dół, w stronę skąd przyszli. – Problemy z dziewczyną – poinformował Baedeker.

– Kiepska sprawa – powiedziała Maggie. – Zerwała z nim? Baedeker zatrzymał się ponownie i kilka razy odetchnął głęboko. Niewiele mu to jednak pomogło. W uszach słyszał porywające solo na bębny.

– Nie – odparł. – Tom i Deede zdecydowali, że sprawy zaszły za daleko. To oni zerwali. Po powrocie Tommy nie będzie już mógł się z nią spotykać.

– Za daleko? – zdziwiła się Maggie.

– Hydra seksu przedmałżeńskiego zaczęła podnosić swój ohydny łeb.

Obejrzała się na Toma juniora.

– Ma już pewnie siedemnaście lat.

– Może nawet osiemnaście. – Baedeker podjął wspinaczkę.

Miał nadzieję, że złapie drugi oddech. Niestety było już za późno. – Jest prawie w twoim wieku, Maggie.

Pokazała mu język.

– Pudło. Mam dwadzieścia sześć lat, o czym dobrze wiesz. Baedeker kiwnął głową i starał się przyspieszyć kroku, aby Maggie nie musiała zwalniać i czekać na niego. – Hej, Richard! – zawołała. – Gdzie się podział twój pas biodrowy? Jak się ma plecak ze stelażem, lepiej go zapiąć, bo lżej się niesie. Przenosi część ciężaru z ramion na biodra. – Rozwalił się – powiedział szybko Baedeker. Spojrzał w górę i dojrzał pomiędzy drzewami Toma i Deede o dwa zakręty przed nimi, idących szybkim krokiem.

– Wciąż się złościysz? – spytała Maggie. W tonie jej głosu zaszła trudna do uchwycenia zmiana. Oszałamane serce Baedeckera zaczęło bić jeszcze szybciej.

– O co miałbym się złościć?

– No wiesz, że pcham się, gdzie mnie nie proszono. Że przyłączam się do twojej wyprawy z przyjaciółmi.

– W żadnym wypadku. Każda przyjaciółka Scotta byłaby mile widziana.

– No tak – westchnęła Maggie – to już przerabialiśmy. Nie przyleciałam tu z Bostonu tylko dlatego, że przyjaźniłam się z twoim synem. Wiesz przecież, że zaczęły się już zajęcia. Baedeker kiwnął głową. Gdyby Scott nie rzucił studiów, aby zamieszkać wraz ze swym hinduskim guru, w tym roku broniłby pracy magisterskiej. Baedeker wiedział, że Maggie jest cztery lata starsza od Scotta. Po ukończeniu Wellesley spędziła dwa lata w Korpusie Pokoju, a teraz kończyła socjologię. Wyszli na polanę, gdzie Baedeker zatrzymał się, by podziwiać widok na kanion i otaczające go szczyty. – Śmiać mi się chciało na widok twojej miny wczoraj wieczorem, gdy mnie zobaczyłeś – odezwała się Maggie. – Myślałam, że ci szczęka wypadnie.

– Mam własną szczękę, która nie wypada. – Baedeker podciągnął plecak i zacisnął pasy. – Przynajmniej na razie. Maggie odrzuciła głowę w tył, zanosząc się śmiechem. Oparła chłodną dłoń o jego ramię, a następnie ruszyła szybko w górę wyboistym szlakiem, zatrzymując się co chwila, by obejrzeć się do tyłu i pomachać, a potem znowu puszczała się biegiem. Biegiem! Pod górę!

Baedecker na chwilę zamknął oczy.

– Dalej, Richard! – wołała go. – Szybciej, zaraz się rozbijemy i zjemy obiad.

Baedecker otworzył oczy. Słońce znajdowało się dokładnie za dziewczyną, otaczało ją jasną poświatą. Jego promienie odbijały się nawet w delikatnych złotych włoskach porastających jej ramiona.

– Idź dalej! – odkrzyknął. – Dojdę za jakiś tydzień. Zaśmiała się i pobiegła w górę zbocza, jakby kpiąc z prawa ciężenia, które z kolei z całą surowością zostało zastosowane wobec niego. Ruszył za nią; stąpał coraz lżej, czuł, że ciężar na jego plecach maleje, w miarę jak zbliżał się do błękitnej kopuły nieba nad kanionem Kolorado.

* * *

Żaden dzień spędzony w St. Louis nie podobał mu się tak jak ten, w którym ostatecznie opuścił to miasto.

Rzucił pracę w przedsiębiorstwie produkującym sprzęt lotniczy i kosmonautyczny, gdzie przepracował ostatnie osiem lat. Całkowita zbędność Baedeckera w tej firmie została zupełnie nieświadomie potwierdzona przez jego bezpośredniego przełożonego, Cole'a Prescottta, który pożegnał go, rzecz jasna, z głębokim i szczerym żalem, ale jednocześnie wcale nie potrzebował żadnego okresu wymówienia, by miał czas przeszkolić następcę. Baedecker sprzedał swój dom firmie, która go wybudowała, wyprzedał większość mebli, oddał na przechowanie wszystkie książki, papiery i biurko z żaluzjowym zamknięciem, które dostał od Joan na swoje czterdzieste urodziny, urządził wieczorek pożegnalny dla kilku przyjaciół i znajomych – większość z nich pracowała dla tej samej firmy co on – i pewnego dnia wczesnym popołudniem, po lunchu w restauracji „Trzy Flagi” w St. Charles na drugim brzegu Missouri, wyjechał kierując się na zachód.

Wyniesienie się z St. Louis raz na zawsze zajęło mu niecałe trzy dni.

Do Kansas City wjechał w godzinach szczytu. Nie przejmował się tłokiem na ulicach, siedział rozparty w skórzanym fotelu i słuchał muzyki poważnej z radia. Miał zamiar sprzedać chryslera i kupić sobie jakiś mniejszy, szybszy wóz – może corvette albo mazdę RX-7 – szybki samochodzik, jakim chętnie jeździłby dwadzieścia lat temu, gdy przygotowywał się do misji albo gdy oblatywał prototypy nowych samolotów... W ostatniej chwili zdał sobie sprawę ze swej śmieszności i oto typowy mężczyzna w średnim wieku, starający się przywrócić sobie utraconą młodość poprzez kupno sportowego samochodu i zdecydował się pozostać przy starym le baronie. Teraz siedział sobie w wygodnym fotelu, całkowicie rozluźniony, rozkoszując się strumieniem chłodnego powietrza bijącym z klimatyzacji oraz „Muzyką na wodzie” Haendla płynącą z głośnika; zostawiał za sobą wielkie silosy zbożowe Kansas City, podążał na zachód w stronę pomarańczowej tarczy słońca i bezkresnych równin.

Noc spędził w Russell, w stanie Kansas. Zjechał do tego niewielkiego miasteczka, aby znaleźć jakiś tańszy motel, z dala od autostrady międzystanowej. Szyld przed małym hotelikiem głosił:

TELEWIZJA KABLOWA. BEZPŁATNA KAWA. Stare domki turystyczne nie miały klimatyzacji, ale były schludne i ciche, ustawione pod ogromnymi drzewami, których cienie odcinały się ciemniejszą plamą na tle wieczornego półmroku. Baedecker wziął prysznic, przebrał się i wyszedł na spacer po miasteczku. Na ławce w parku zjadł kolację złożoną z dwóch hot dogów i kawy zakupionych w budce obok boiska, na którym odbywały się jakieś rozgrywki. W połowie drugiej gry na niebie ukazał się księżyc – małe pomarańczowe półkole. Wbrew nawykowi Baedecker spojrzał w górę, starając się odnaleźć Wzgórze Mariusa w zachodniej części Oceanus Procellarum,

ale nie mógł ich dostrzec, gdyż obszar ten pozostawał zacieniony. Wieczór miał smutny posmak końca wakacji. Był już pierwszy tydzień września i pomimo usilnych starań ludzi, by jeszcze zachować pozory lata – w rozkoszowaniu się ostatnimi ciepłymi dniami, w turnieju softballu – nie dało się powstrzymać nadchodzącej jesieni. Dzieciaki zapędzono do szkolnych ławek, basen został zamknięty, a pola kukurydzy na skraju miasta przybrały żółtą barwę, przypominając o zbiorach.

Nie doczekawszy końca meczu, Baedeker wyszedł z parku i udał się do motelu. Szumnie reklamowana telewizja kablowa oznaczała mały czarnobiały telewizorek, który odbierał dwa lokalne kanały z Kansas City, WTBS z Atlanty i WGN z Chicago, a także trzy sieci fundamentalistów.

Na drugim z religijnych kanałów Baedeker zobaczył swojego starego kumpla z załogi „Apollo”, Toma Gavina.

Okolo dwóch i pół kilometra od miejsca gdzie zostawili samochód, rozryta kołami wozów terenowych droga zwężała się, tworząc krętą ścieżkę wśród gęstych lasów. Baedeker, złapawszy swój rytm, szedł coraz swobodniej, rozkoszując się pięknym wieczorem. Cienie gór przesunęły się nad kanion i zrobiło się dosyć chłodno.

Maggie czekała na zakręcie i szli dalej razem, w przyjacielskiej ciszy. Na wysokości następnego zakrętu Tom i Deedee krzatali się rozbijając obóz na polanie, jakieś dziesięć metrów od strumyka, wzdłuż którego wytyczony był szlak. Baedeker zwałił swój ciężar z pleców i zaczął rozcierać bolący kark. – Widzieliście Tommy’ego? – spytała Deedee.

– Szedł jakieś dwieście metrów za nami. Na pewno dojdzie tu za chwilę – odpowiedziała Maggie.

Baedeker rozpostarł na ziemi wielką płachtę i zaczął rozkładać dwuosobowy pomarańczowy namiot, który niósł na plecach. Było tam kilka masztów ze szklanego włókna i parę prętów rozporowych. Kilka dobrych chwil wypełnionych śmiechem i wygłupami zajęło Baedekerowi i Maggie skonstruowanie zewnętrznego szkieletu, a następnie narzucenie nań i właściwe naciągnięcie płótna. Przysadzisty namiot Baedekera stanął w końcu kilka metrów od niebieskiej kopułki Toma i Deedee.

Gavin podszedł do nich, przyklęknął obok Maggie i podał jej jakieś nylonowe zawiniątko.

– To stara jedynka Tommy’ego – powiedział. – Maciupęńka.

Dobra raczej na letni biwak, ale na dwie noce chyba wystarczy. – Jasne – zgodziła się Maggie i poszła rozstawiać namiocik o kilka metrów od namiotu Baedekera. Tommy dotarł wreszcie do obozu i z ożywieniem mówił coś do swojej matki, podczas gdy ta zbierała chrust po drugiej stronie polany. – Ty z Tommym w dwójce, dobra? – spytał Gavin. Patrzył, jak Maggie kamieniami wbija śledzie.

– Super – odparł Baedeker. Zdjął ciężkie buty i poruszał palcami nóg w przepoconych skarpetkach. Ulga stanowiła dlań obecnie substytut rajskich rozkoszy.

– Długo się znacie?

– Ja i Maggie? Poznaliśmy się tego lata w Indiach. Jak już mówiłem wczoraj, jest przyjaciółką Scotta.

– Hm – mruknął Gavin. Wyglądało na to, że chce coś dodać, ale zamiast tego wstał i otrzepał dzinsy. – Rozpalę ogień i przygotuję grill. Pomożesz mi?

– Jasne. – Baedeker wstał i zrobił kilka kroków, ostrożnie stąpając po trawie, wyczuwając

stopami każde źdźbło i kamyczek. – Za chwilę. Pomogę tylko Maggie rozbić namiot i już idę do ciebie, Tom.

Małymi kroczkami ruszył w dół porośniętego trawą stoku w stronę, gdzie Maggie trudziła się nad ustawieniem namiotu.

* * *

Był to jeden z tysiąca identycznych programów, jakie wypełniały czas antenowy fundamentalistycznej sieci PTL Club. Wnętrze studia umeblowane było pseudoantykami, szpakowata fryzura prezentera idealnie pasowała do szarego garnituru z poliestru, a w rogu ekranu przez cały czas widniał dziesięciocyfrowy numer telefonu, na wypadek gdyby ktoś z oglądających nagle zapragnął złożyć ofiarę pieniężną i zapomniał adresu, który żona prezentera, nobliwa pani w białej peruce, pokazywała co kilka minut na wielkiej planszy. Kobieta ta przejawiała symptomy psychicznego niezrównoważenia, co objawiało się między innymi tym, że co jakiś czas zalewała się łzami bez żadnej widocznej przyczyny. W ciągu dziesięciu minut, zanim na ekranie pojawił się Tom Gavin, kobieta zdążyła już popłakać się podczas czytania listów od widzów, którzy uznali swoją grzeszność i nawrócili się podczas oglądania programu, potem zaszlochać nad losem byłego muzyka country o sparaliżowanych obu nogach, który publicznie powierzył swe życie „Błogosławionemu Odkupicielowi”, i zrosić rzewnymi łzami opowieść chudej brunetki o cudownym zniknięciu czterokilogramowego guza z jej szyi. Przy czym – rzecz niewiarygodna – makijaż płacziwej kobieciny pozostawał przez cały czas nienaruszony, chociaż tusz na jej rzęsach wyglądał, jakby nakładano go kielnią.

Baedecker, już ubrany w pidżamę, właśnie podnosił się z łóżka, aby wyłączyć telewizor, kiedy nagle na ekranie zobaczył swojego dawnego kumpla z załogi.

– Nasz dzisiejszy gość miał możliwość podziwiania potęgi Bożego stworzenia w sytuacji, w jakiej niewielu spośród ludzi miało okazję się znaleźć – zaczął prezydent. Jego donośny głos przybrał charakterystyczny poważny, lecz nie nazbyt uroczysty ton, znany Baedeckerowi z niezliczonych rozmów z przebojowymi akwizytorami oraz urzędnikami piastującymi niższe stanowiska kierownicze. – Chwała Panu! – odezwała się jego żona.

– Major lotnictwa pan Thomas Milburne Gavin, oprócz tego, że jest bohaterem wojny wietnamskiej...

„Tom dostarczał odrzutowce z Kalifornii do baz wojskowych na Okinawie – przypomniał sobie Baedecker. – Ale niech mu będzie”.

– ...został także udekorowany przez prezydenta Orderem Wolności po tym, jak wraz z załogą statku „Apollo” poleciał na Księżyc w 1971 roku – ciągnął gospodarz programu. „Każdy dostał po medalu – pomyślał Baedecker. – Gdybyśmy mieli na pokładzie kota, też by mu pewnie dali jakiś medal”. – ...pilot oblatywacz, inżynier, kosmonauta i szanowany naukowiec...

„Tom nie jest naukowcem – pomyślał Baedecker. – Nie był nim żaden kosmonauta do czasów Schmidta. Tom zrobił magisterkę na Cal Tech jako ostatni z nas wszystkich”. – ...oraz, a może przede wszystkim, człowiek, który był pierwszym prawdziwym chrześcijaninem na Księżycu – emocjonował się prezydent. – Przyjaciele, przed nami major Thomas M. Gavin! „Tom nigdy nie był na Księżycu” – pomyślał Baedecker. Gavin uściśnął rękę prezentera, jego żonie nadstawił policzek do pocałunku, skinął głową w stronę sparaliżowanego piosenkarza i kobiety, której zniknął guz. Usiadł na brzegu wielkiej kanapy, a prezydent i jego żona usadowili się na fotelach, które z pewnością stanowiły komplet wraz z kanapą, lecz na małym ekranie telewizora wyglądały jak ogromne trony obite

marszczonym welurem.

– Opowiedz nam, Tom, o tym jak po raz pierwszy usłyszałeś głos Pana, będąc na Księżycu.

Gavin skierował wzrok w stronę kamery. Baedeckerowi wydało się, że jego dawny znajomy wcale się nie postarzał od tamtego czasu, kiedy w trójkę, wraz z Dave'em Muldorffem spędzali nieskończone godziny w symulatorach w roku 1970 i 1971. Tom był ubrany w wojskowy kombinezon lotniczy z naszywkami różnych misji NASA. Wyglądało na to, że nadal jest szczupły i w świetnej formie. Od czasu ich wspólnej misji Baedecker utył co najmniej dziesięć kilo i nie mieścił się już w żadnym ze swych starych mundurów.

– Chętnie wam o tym opowiem – rozpoczął Gavin z tym swoim dobrze znanym lekkim uśmiechem na zaciśniętych wargach. – Ale najpierw, Paul, powinienem wyjaśnić, że nigdy nie byłem na samym Księżycu. Podczas wyprawy dwóch członków załogi opuszczało się na powierzchnię Księżyca w ładowniku, zwanym przez nas kapsułą księżycową. Trzeci członek załogi pozostawał na orbicie, kontrolując pracę członu dowodzenia i czuwając nad przekazem komunikatów z Houston. Właśnie ja byłem tym trzecim członkiem załogi, który pozostał w kapsule załogowej. – Tak, tak – wtrącił pośpiesznie prezenter – ale skoro byłeś już tak blisko, chyba możemy powiedzieć, że byłeś prawie na Księżycu.

– Czteryście tysięcy kilometrów minus osiemnaście tysięcy metrów – odpowiedział Gavin z kolejnym lekkim uśmiechem na ustach.

– Twoi towarzysze powrócili na Ziemię z garścią księżycowych kamieni, podczas gdy ty wróciłeś wzbogacony wieczną prawdą Bożego Słowa, czy nie tak, Tom?

– Właśnie tak, Paul – odparł Gavin, po czym rozpoczął opowieść o pięćdziesięciu dwóch godzinach spędzonych samotnie w członie dowodzenia, o tym jak utrzymywał stały radiowy kontakt między centrum dowodzenia w Houston a Księżycem, i o nagłym objawieniu w chwili, gdy przelatywał nad Kraterem Ciołkowskiego, kiedy to przemówił do niego sam Bóg.

– To niesamowite! – zachwycił się prezenter. – To dopiero był komunikat z prawdziwego centrum dowodzenia, nieprawdaż? Żona prowadzącego zakwicziała radośnie i klasnęła w ręce.

Spoza ekranu dały się słyszeć owacje publiczności. – Tom – prowadzący nadał swemu głosowi ton powagi, oparł dłoń na kolanie kosmonauty. – Wszystko, co widziałeś podczas tej... podczas tej niewiarygodnej wyprawy... wszystko, czego byłeś świadkiem podczas tej wyprawy do gwiazd... słyszałem, jak mówiłeś to wielu młodym ludziom... wszystko to dowodziło prawdziwości Bożego Słowa objawionego nam w Piśmie Świętym... wszystko to było jawnym świadectwem chwały Jezusa Chrystusa, czy tak, Tom?

– Bez wątplenia, Paul – odpowiedział Gavin. Jego wzrok był skierowany prosto w stronę kamery i Baedecker mógł dostrzec w jego oczach tę samą niezłomną, niemal gniewną determinację, którą pamiętał jeszcze z czasów, kiedy organizowali turnieje piłki ręcznej między rywalizującymi załogami programu „Apollo”. – Ale wszystko, czego doświadczyłem podczas tej wspaniałej podróży, nie jest nawet w części tak ekscytujące, porażające i warte poznania jak to, czego doświadczyłem w dniu, kiedy ostatecznie uznałem Jezusa za mego Pana i Zbawiciela.

Prowadzący odwrócił się do kamery kiwając głową, jakby nie mógł się powstrzymać z radości. Publiczność biła brawo. Żona prezentera wybuchnęła płaczem.

– Tom, czy miałeś wiele okazji, aby dać świadectwo o twoim spotkaniu z Chrystusem i przyprowadzić do Niego nowych ludzi? – zapytał prowadzący.

– Oczywiście, Paul. Dokładnie miesiąc temu miałem szczęście być w Chińskiej Republice

Ludowej, by odwiedzić jedno z nielicznych ocalałych tam seminariów...

Baedecker wyciągnął się na łóżku i oparł złożone dłonie na czole. Tom nie mówił nic o swym objawieniu podczas trwającego trzy dni powrotu na Ziemię ani na odprawie, w czasie trwającej cały tydzień wspólnej kwarantanny po powrocie. Nie opowiedział o tym nikomu – jego zachowanie też nie sugerowało, że podczas samotnego orbitowania wokół Księżyca stało się coś niezwykłego – przez pięć lat po zakończeniu misji. Dopiero gdy upadła jego sieć dystrybucji w Sacramento, Tom po raz pierwszy opowiedział o swoim objawieniu, podczas radiowego talk show. W krótki czas potem on i Deedee przenieśli się do Kolorado, gdzie założyli organizację ewangelizacyjną. Baedecker wcale nie był zaskoczony tym, że Tom nic nie powiedział jemu ani Dave’owi po zakończeniu misji. Wszyscy trzej stanowili bardzo zgraną załogę, ale, wbrew powszechnemu mniemaniu, nie stali się bliskimi przyjaciółmi, pomimo iż na wspólnych przygotowaniach spędzili razem prawie dwa lata.

Baedecker usiadł i znów spojrzął na telewizor. – ...w ostatnim programie gościliśmy znanego chrześcijańskiego naukowca – mówił prowadzący – walczącego o to, by w szkołach w równym stopniu przekazywano wiedzę o kreacjonistycznej teorii stworzenia. Do tej pory naszym dzieciom, jak zapewne wiesz, jako jedynie słuszną wpaja się pozostawiającą wiele do życzenia pod względem naukowym, bezbożną teorię, zgodnie z którą ludzie pochodzą od małp i innych, niższych form życia. Tenże znakomity i szeroko znany naukowiec stwierdził, że biorąc pod uwagę ilość gwiazd spadających na Ziemię każdego roku... pewnie widziałeś ich mnóstwo, gdy byłeś w kosmosie, prawda, Tom? – Mikrometeory od dawna znane są naukowcom – powiedział Gavin.

– No więc, wzięwszy pod uwagę całe miliony tych małych... małych kamieni, prawda? Zważywszy więc, że całe ich miliony wchodzi w atmosferę Ziemi każdego roku, to gdyby Ziemia miała tyle lat, ile głosi ta tak zwana teoria, czyli dokładnie... ile to było? Trzy miliardy lat?

„Cztery miliardy pięćset milionów – poprawił w myślach Baedecker. – Co za tępak!”

– Nieco ponad cztery miliardy – powiedział Gavin. – Właśnie – rozpromienił się prowadzący. – Tak więc ten znany chrześcijański naukowiec stwierdził, a nawet udowodnił matematycznie, że gdyby Ziemia miała aż tyle lat, już dawno zostałaaby przysypana kilkukilometrową warstwą meteorytów! Zabrzmiały gromkie brawa. Żona gospodarza programu złożyła ręce jak do modlitwy i przekrzykując huk owacji, zaczęła wznosić okrzyki ku chwale Jezusa, kołysząc się w przód i w tył. Gavin uśmiechnął się, lecz na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania. Baedecker pomyślał o „pomarańczowej skale”, którą on i Dave przywieźli ze Wzgórz Mariusa. Badania przeprowadzone przy użyciu argonu 39 i 40 pozwoliły ustalić, że owa bryłka troktolitu miała trzy miliardy dziewięćset pięćdziesiąt milionów lat. – Problem teorii ewolucji – mówił Gavin – polega na tym, iż została ona skonstruowana niezgodnie z metodami stosowanymi w nauce. Nie ma możliwości, biorąc pod uwagę krótki okres życia człowieka, aby zaobserwować tak zwane mechanizmy ewolucyjne postulowane przez tę teorię. Dane geologiczne nie wyjaśniają wszystkich wątpliwości. Poza tym w samej teorii pełno jest sprzeczności i luk, podczas gdy wszelkie twierdzenia zawarte w Biblii cały czas znajdują potwierdzenie w rzeczywistości. – Otóż to, otóż to! – wykrzykiwał prowadzący z emfazą.

– Chwała niech będzie Jezusowi! – wtórowała mu małżonka. – Nie możemy ufać, że nauka da nam odpowiedź na nasze najważniejsze pytania – rzekł Gavin. – Rozum ludzki jest zbyt omylny. – Święta prawda, święta prawda! – wołał wniebowzięty prezenter.

– Chwalmy Pana! – zawodziła jego małżonka. – Niech Boża prawda objawi się wszystkim ludziom!

– Amen – dopowiedział Baedecker, po czym wyłączył telewizor. Tuż przed zapadnięciem zmroku, gdy odpoczywali po obiedzie, na polanie zaczęli pojawiać się jacyś ludzie. Najpierw

nadciągnęli dwaj młodzi chłopcy, na oko studenci, dźwigając bardzo ciężkie plecaki z przytroczonymi na górze trójnożnymi aluminiowymi statywami. Nie spojrzawszy nawet na Baedekera i resztę, szybko zrzucili plecaki na ziemię i zaczęli ustawiać statywy. Z plecaków wyjęli owinięte w gąbkę dwie kamery filmowe na taśmę szesnastomilimetrową.

– O Boże, mam nadzieję, że jeszcze nie jest za ciemno – odezwał się jeden z nich, potężny grubas w szortach. – Myślę, że tyle światła powinno wystarczyć – odpowiedział mu drugi, wysoki rudzielec z kosią bródką. – Jak się pośpieszą, to z tym sprzętem powinniśmy jeszcze coś złapać. Skupili się na ustawianiu kamer na statywach, kierując obiektywy w stronę, z której przed chwilą weszli na polanę. Wysoko nad ich głowami sokół krążący po niebie, wykorzystujący ostatnie ciepłe prądy powietrzne tego dnia, zaskrzeczał przeciągle. Ostatnie promienie słońca rozjaśniły jego pióra złocistym blaskiem i po chwili cała dolina zatoneła w półmroku.

– Ciekawe, co się tu dzieje – odezwał się Gavin. Pochłonał ostatni kawałek duszonej wołowiny i machinalnie zaczął oblizywać łyżkę. – Wybrałem to dawne podejście od strony Cimarron Creek, bo rzadko kto tędy chodzi.

– Lepiej niech już zaczną kręcić – odezwała się Maggie. – Zaraz będzie całkiem ciemno.

– Kto chce repetę? – zapytała Deedee.

Coś poruszyło się w cieniu jodeł i po chwili ujrzeli chłopaka zgiętego wpół pod ciężarem długiego bagażu. Wolnym, lecz pewnym krokiem przemierzał ostatnie metry dzielące go od polany. Ten także wyglądał na studenta, aczkolwiek wydawał się starszy od pozostałych dwóch, pochylonych nad kamerami. Ubrany był w przepoconą niebieską bawełnianą koszulę, sfatygowane szorty koloru khaki i solidne górskie buciory. Na plecach taszczył ogromny plecak wspinaczkowy z przytroczonymi parcianymi pasami długim, cylindrycznym pakunkiem owiniętym w czerwonożółte żaglowe płótno. Jakieś kije czy maszty o długości co najmniej czterech metrów wystawały o jakieś dwa metry nad ugiętymi ramionami chłopaka, a ich przeciwne końce znaczyły ziemię w takiej samej odległości za nim. Młody mężczyzna miał twarz o bardzo ostrych rysach i długie brązowe włosy, rozdzielone przedziałkiem na środku głowy, opadające na boki wilgotnymi, poskręcanyimi strąkami. Kiedy się zbliżył, Baedeker zauważył głęboko osadzone oczy, ostry nos i krótką brodę. Odniósł wrażenie, iż obserwuje aktora odtwarzającego ostatnią drogę Chrystusa na Golgotę.

– Dobra, Lude, mamy cię!!! – wrzasnął rudzielec. – Chodź, Maria, bo zaraz będzie ciemno.

Zza linii drzew wyszła młoda dziewczyna. Miała krótkie ciemne włosy i szczupłą, pociągłą twarz. Ubrana była w szorty i bluzkę z odsłoniętymi plecami, o kilka numerów za dużą. Niosła spory plecak. Widząc jak idący przed nią brodacz przykłęka, przyśpieszyła kroku, by pomóc mu poluzować pasy i położyć na ziemi owinięte płótnem maszty. Baedeker usłyszał szcęk metalu uderzającego o metal. Przez chwilę wydawało się, że chłopak jest zbyt wyczerpany, by móc się podnieść lub chociaż usiąść. Wciąż klęczał na jednym kolanie, rękę oparł na drugim, głowę miał opuszczoną tak, że włosy zakrywały mu twarz. Maria podeszła i delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Znakomicie, mamy to! – zawołał grubas. – Dobra, a teraz chodźcie, musimy rozstawić ten majdan.

Obaj młodszy chłopcy i dziewczyna zajęli się rozbijaniem obozu, podczas gdy brodacz pozostał nieruchomy.

– Dziwne – szepnęła Maggie.

– Pewnie kręcą jakiś film dokumentalny – powiedział Gavin.

– Ciekawe o czym? – zastanawiała się Maggie.

– Do roboty! – zawołała dziarsko Deedee. – Trzeba wystrugać odpowiednie kijki do pieczenia, zanim zrobi się ciemno. Tom junior przewrócił oczami i obrócił się w stronę pogrążonego w mroku lasu.

– Pójdę poszukać. – Baedeker podniósł się, by rozprostować zastale mięśnie. Nad linią szczytów, po wschodniej stronie nieba, widać było kilka gwiazd błyszczących bladym światłem. Robiło się coraz zimniej. Po drugiej stronie łąki dwaj chłopcy i dziewczyna ustawili dwa małe namioty i krzatali się po ciemnym lesie, zbierając chrust na ognisko. Nieco dalej, ledwie widoczny trzeci z chłopców, nazwany przez kolegę Ludę, siedział w ciszy po turecku pośrodku wysokich traw.

Baedeker dotarł do Denver w środę o wpół do szóstej wieczorem. Wiedział, że Tom Gavin ma swoją firmę w Denver, ale mieszka w Boulder, trzydzieści kilometrów za miastem w stronę gór. Zatrzymał się przy stacji benzynowej i zadzwonił na numer domowy Toma. Telefon odebrała Deedee, ucieszyła się z jego przyjazdu, nie chciała nawet słyszeć o żadnym hotelu i zaproponowała, żeby spróbował jeszcze złapać Toma w pracy. Podała mu adres i telefon. Organizacja ewangelizacyjna, którą kierował Gavin, nazywała się „Apogeum” i mieściła się na drugim piętrze budynku bankowego na East Colfax Avenue, parę kilometrów od centrum Denver. Baedeker zaparkował samochód przed budynkiem, znajdując drogę dzięki licznym plakatom i planszom informującym:

DROGAJEDNOKIERUNKOWA z dorysowanymi palcami skierowanymi w górę i napisem: JEZUS TO JEDYNA ODPOWIEDŹ albo: GDZIE BĘDZIESZ W DZIEŃ WNIEBOWZIĘCIA?

Biuro było duże i wypełnione tłumem młodych ludzi, ubranych, nawet jak na tradycyjny gust Baedekera, ze zbyt staroświecką elegancją.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał młody mężczyzna w białej koszuli i ciemnym krawacie.

W całym pomieszczeniu panował zaduch. Klimatyzacji albo nie było, albo nie działała. Pomimo to koszula młodego mężczyzny była zapięta pod szyją, a krawat nienagannie zawiązany. – Przyszedłem zobaczyć się z Tomem Gavinem – powiedział Baedeker. – Chyba spodziewa się...

– Dick!

Zza przepierzenia ukazał się Gavin. Baedeker ledwie miał czas zauważyć, jak wspaniale prezentuje się jego dawny kolega z załogi, i wyciągnąć rękę w jego stronę, a już znalazł się w mocnym serdecznym uścisku. Z zaskoczenia nie mógł wykrztusić słowa. Nie pamiętał, aby Tom Gavin był tak wylewny w okazywaniu uczuć. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział, jak Tom publicznie ściska swą żonę.

– Dick, wyglądasz wspaniale! – rzekł Gavin, kładąc mu ręce na ramionach. – Strasznie się cieszę, że cię widzę. – Ja także się cieszę z tego spotkania, Tom. – Baedeker czuł się jednocześnie zadowolony i trochę skrępowany. Gavin uściskał go raz jeszcze, a następnie zaprowadził do swojego biura – zagraconego pokoiku wydzielonego z reszty pomieszczenia czterema ściankami działowymi. Zewsząd dochodziły typowo biurowe odgłosy. Gdzieś w głębi słychać było śmiech młodej kobiety. Na jednej ze ścian w pokoju Gavina wisiały fotografie w ramkach: „Saturn V” w świetle reflektorów, sfotografowany nocą na ruchomej wyrzutni, człon dowodzenia „Peregrine” z jasnym kręgiem Księżyca u dołu, zdjęcie grupowe całej załogi w skafandrach kosmicznych, ujęcie ładownika „Discovery” podczas opadania i podpisane zdjęcie Richarda Nixona ściskającego dłoń Toma podczas ceremonii w Różanym Ogrodzie. Baedeker znał dobrze wszystkie fotografie. Odbitki z tych samych klisz przez dwanaście lat ozdabiały ściany jego własnego biura i miejsc, w których mieszkał. W kolekcji Gavina brakowało tylko jednej ze standardowych fotek publikowanych przez NASA po

zakończeniu ich misji. Było to kolorowe powiększenie wykonane przez kamerę wideo zdjęcia przedstawiającego Baedeckera i Dave'a Muldorffa, nie do rozróżnienia w niezgrabnych, bufiastych skafandrach, salutujących amerykańskiej fladze na tle białych szczytów otaczających Krater Mariusa.

– No, opowiadaj – odezwał się Gavin. – Co tam u ciebie, Dick?

Niecałą minutę zajęła Baedeckerowi opowieść o pracy w St. Louis, którą rzucił, i ostatecznym wyjeździe z tego miasta. Nie wyjaśnił przyczyn swej decyzji. Sam nie był pewny, czy zna przyczyny. – A więc szukasz pracy? – spytał Gavin.

– Jeszcze nie teraz. Na razie podróżuję. Mam dosyć odłożonych pieniędzy, by powrócić się trochę przez parę miesięcy. Potem coś sobie znajdę. Mam kilka ofert.

Nie dodał, że żadna z tych ofert nie interesowała go w najmniejszym stopniu.

– No to znakomicie – powiedział Gavin. Oprawiony w ramki plakat nad jego biurkiem głosił: „Poddać się Jezusowi to największe zwycięstwo”. – Jak się miewa Joan? Czy w ogóle widujecie się ze sobą?

– W marcu widziałem się z nią w Bostonie. Wyglądała na zadowoloną z życia.

– To świetnie. A jak Scott? Wciąż studiuje na... gdzie on był?

Na uniwersytecie w Bostonie?

– Obecnie nie studiuje. – Baedecker zastanawiał się, czy powiedzieć Gavinowi o tym, że jego syn stał się wyznawcą hinduskiego „Mistrza”. – Wziął urlop na jeden semestr. Studiuje i podróżuje po Indiach.

– Jest w Indiach? Ho, ho! – mruknął z podziwem Gavin. Był uśmiechnięty, rozluźniony, na jego twarzy malowała się szczerza radość, ale w głęboko osadzonych ciemnych oczach Baedecker widział tę samą rezerwę, jaką pamiętał z ich pierwszego spotkania w bazie Edwardsa jakieś dwadzieścia lat wcześniej. Wówczas byli konkurentami – rywalizowali o miejsce w załodze. Czym byli dla siebie teraz – Baedecker nie miał pojęcia.

– A teraz ty mi coś opowiedz – rzekł. – Opowiedz mi o „Apo geum”.

Gavin uśmiechnął się i zaczął mówić spokojnym niskim głosem. Był to głos przywykły do publicznych przemówień i opowiadania różnych historii, zupełnie inny niż ten, który Baedecker pamiętał z okresu ich kosmicznych wojaży. W NASA dowcipkowano, że Tom najbardziej lubi odpowiadać słowami składającymi się co najwyżej z jednej sylaby. W tym czasie Dave'a Muldorffa przezywano „Rockford” ze względu na podobieństwo pomiędzy nim a gadatliwym detektywem o takim nazwisku, głównym bohaterem popularnego serialu, granym przez Jamesa Garnera. Przez jakiś czas inni piloci wołali na Gavina „Skrót”, ze względu na jego lakoniczne „tak” i „nie”, za pomocą których komunikował się z otoczeniem, ale Tom nie wyglądał na zachwyconego, a przezwisko jakoś do niego nie przylgnęło.

Teraz Gavin opowiadał o wszystkim, co wydarzyło się w jego życiu po powrocie z Księżyca. O tym jak wkrótce po Baedeckerze opuścił NASA, o niepowodzeniach jego sieci dystrybucji leków w Kalifornii.

– W sumie robiłem niezły szmal, mieliśmy wielki dom w Sacramento, domek na plaży na północ od San Francisco, Deedee mogła sobie kupować wszystko, na co miała ochotę, ale nie byłem szczęśliwy... Rozumiesz, o co mi chodzi, Dick? Po prostu nie byłem szczęśliwy.

Baedecker pokiwał głową.

– A między mną i Deedee zaczęło dziać się źle – ciągnął Gavin. – To znaczy nadal byliśmy

małżeństwem i przynajmniej na zewnątrz wyglądało, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale w głębi... w sercu coś się zmieniło i już nie było tak jak kiedyś. Oboje to wiedzieliśmy. Wtedy, pewnego dnia pod koniec 1976 roku, przyjaciel zaprosił Deedee i mnie na weekend, na rekolekcje organizowane przez jego kościół. To był początek. Po raz pierwszy w życiu – mimo że wychowałem się w rodzinie baptystów – po raz pierwszy w życiu naprawdę usłyszałem Słowo od Boga i zdałem sobie sprawę, że jest ono skierowane do mnie. Po tych rekolekcjach Deedee i ja chodziliśmy na spotkania do chrześcijańskiego poradnictwa małżeńskiego i wszystko zaczęło iść ku lepszemu. To wtedy zacząłem myśleć o... o Słowie, które usłyszałem, a raczej poczułem w sercu, gdy krążyłem na orbicie wokół Księżyca. Ale dopiero na wiosnę, dokładnie piątego kwietnia siedemdziesiątego siódmego roku, obudziłem się przekonany, że jeśli chcę coś dalej zrobić ze swym życiem, muszę wszystko powierzyć Jezusowi. Wszystko w co wierzę. I zrobiłem to... tego samego ranka... ukląknłem i przyjąłem Jezusa Chrystusa jako mego Pana i Zbawiciela. I nigdy tego nie pożałowałem, Dick. Ani przez jeden dzień. Ani przez minutę. Baedecker pokiwał głową.

– I stąd się wziął cały ten interes? – gestem dłoni objął biurko. – Pewnie że tak! – Gavin wybuchnął śmiechem, ale jego oczy wciąż intensywnie wpatrywały się w Baedeckera. – Oczywiście nie od razu. Chodź, pokażę ci wszystko, pokażę ci niektórych dzieciaków. Mamy tu sześcioro ludzi pracujących na etacie i jakiś tuzin wolontariuszy.

– Na czym polega ta praca? – zapytał Baedecker.

Gavin przystanął na chwilę.

– Przede wszystkim na odbieraniu telefonów. „Apogeu” nie pracuje dla pieniędzy, jesteśmy absolutnie niedochodowi. Dzieciaki przygotowują mi trasy podróży z odczytami, współpracują z lokalnymi wspólnotami – głównie z pastorami i „Krucjata dla Chrystusa” – wydają nasz miesięcznik, pracują w doradztwie, prowadzą program rehabilitacyjny dla byłych narkomanów – do tego mamy specjalnie wyszkolonych ludzi – i cały czas starają się wypełniać wolę Pana, kiedy nam ją objawi.

– Niezły kawałek roboty. Prawie jak za dawnych czasów, podczas przygotowań do misji.

Baedecker nie miał pojęcia, dlaczego tak powiedział. Nawet jemu samemu wydało się to dosyć pretensjonalne. – Dokładnie jak za czasów misji! – wykrzyknął Gavin, obejmując go ramieniem. – Ten sam napięty plan. To samo zaangażowanie. Ta sama dyscyplina. Tyle że ta misja jest milion razy ważniejsza niż nasza podróż na Księżyc.

Baedecker pokiwał głową i wyszedł za nim z biura, ale nagle Gavin przystanął i obrócił się do niego.

– Dick, nie jesteś chrześcijaninem, prawda?

Baedecker poczuł, jak w krótkiej chwili zaskoczenie wywołane tym pytaniem zmienia się w rozdrażnienie. W pytaniu tym, które już kilka razy zadawano mu w życiu, denerwowało go jego natręctwo i właściwa ograniczonym umysłem chęć zaszufładowania drugiej osoby. Zawsze miał kłopoty z udzieleniem odpowiedzi. Jego ojciec był niepraktykującym członkiem Holenderskiego Kościoła Reformowanego, jego matka, jeśli w ogóle można jakoś określić jej wiarę, była agnostyczką. Joan była katoliczką, tak więc w latach gdy Scott dorastał, Baedecker uczęszczał nawet na niedzielne msze. Przez ostatnie dziesięć lat był... kim właściwie był? – Nie – odpowiedział tłumiąc gniew i wytrzymując spojrzenie Gavina. – Nie jestem chrześcijaninem.

– Nie wiedziałem. – Gavin ponownie objął Baedeckera ramieniem. Potem uśmiechnął się i dodał: – Powiem ci coś. Od dziś co dzień będę modlił się za ciebie, abys został chrześcijaninem. Mówię ci to, bo cię kocham, Dick. Naprawdę.

Baedecker pokiwał głową w milczeniu.

– Chodź – odezwał się Gavin. – Przedstawię cię wspaniałym dzieciakom.

Po umyciu garnków i pozostałych naczyń w wodzie zagotowanej nad ogniskiem Baedecker, Maggie, Gavin i Tommy poszli pogadać z sąsiadami. Grupka młodych ludzi siedzących wokół ogniska odwróciła głowy ku nadchodzącym.

– Czołem! – zawołał Gavin.

– Cześć! – odkrzyknął chłopak z rudą czupryną. Dziewczyna i grubas gapili się na niespodziewanych gości. Ten, którego nazywali Lude, siedział nieporuszony, wpatrując się w płomień. Blask bijący od ognia oświetlał ich twarze od dołu.

– Idziecie do Henson Creek przez przełęcz? – zapytał Gavin.

– Idziemy na Uncompahgre – odezwał się gruby chłopak w szortach.

Gavin i reszta kucnęli wokół ogniska. Maggie zerwała źdźbło trawy i włożyła do ust.

– To tam gdzie my idziemy jutro – powiedziała. – Według mapy stąd do wschodniego zbocza Uncompahgre jest jeszcze jakieś trzynaście kilometrów, tak czy nie?

– Uhm – potwierdził brodaty rudzielec. – Coś koło tego. Baedecker wskazał ręką metalowe rurki owinięte w żaglowe płótno.

– Niezły ciężar do dźwigania pod górę – rzekł.

– To rogallo – wyjaśniła dziewczyna o imieniu Maria. – No jasne! – wykrzyknął Tommy. – Mogłem się domyślić. Będzie niezły lot!

– Rogallo – powtórzył Gavin. – Teraz wszystko jasne.

– Co to jest rogallo? – zapytała Maggie.

– Lotnia – wyjaśnił krótko blondyn.

– Jaki model? – zapytał Baedecker.

– „JPhoenix VI” – odpowiedział rudzielec. – Zna się pan na tym?

– Nie – odparł Baedecker.

– Chcecie startować z południowego stoku? – zapytał Gavin. – Z samego wierzchołka. – Maria obejrzała się na siedzącego obok niej długowłosego chłopaka. – To najnowszy numer Lude’a i mój.

– Z samego wierzchołka! – zachwycił się Tommy. – Super!

Rudzielec dorzucił do ognia.

– Sfilmujemy lot. To będzie nasz materiał na zaliczenie ćwiczeń. Mamy nadzieję, że po montażu wyjdzie jakiś czterdziestopięciominutowy kawałek. Spróbujemy wepchnąć to na jakiś przegląd czy festiwal... Może jakaś firma produkująca sprzęt sportowy weźmie film jako materiał do reklam.

– Brzmi interesująco – odezwał się Gavin. – Ale powiedzcie mi, czemu wchodzicie dłuższą drogą?

– Jak to? – zdziwiła się dziewczyna.

– Tym starym szlakiem wzdłuż potoku idziecie dwa razy dłużej, niż gdybyście wyjechali za Lake City, parę kilometrów drogą do Henson Creek i potem wspinali się na północ. – Ta droga jest najlepsza – wtrącił Lude. Na dźwięk jego głosu urwała się rozmowa. Był to głęboki chropowaty głos, który sprawiał wrażenie, że pozostaje w krtani. Chłopak nadal nie odrywał wzroku od ognia. Baedecker widział, jak błyski rozsiewane przez płomień odbijają się w jego ciemnych oczach. – W takim razie życzę powodzenia – powiedział Gavin wstając.

– Mam nadzieję, że dobra pogoda się utrzyma.

Baedecker i Maggie ruszyli za nim, ale Tommy nie wstał od ogniska.

– Zostanę tu jeszcze parę chwil – powiedział. – Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o lotniach. Gavin zatrzymał się.

– Dobra, ale nie siedź długo.

Gdy byli już z powrotem przy własnym ognisku, Gavin opowiedział żonie o planach sąsiadów.

– Czy taki lot jest bezpieczny? – spytała Deedee.

– To czyste szaleństwo – orzekł Gavin.

– Ich sprzęt mnie zaciekawił – odezwał się Baedecker.

– Latanie na czymś takim to igranie ze śmiercią – rzekł Gavin. – Znałem jednego pilota z Eastern Airlines w Kalifornii, który zginął w ten sposób. Facet latał od dwudziestu ośmiu lat, ale nic mu to nie pomogło, gdy jego lotnia stanęła w powietrzu. Opuścił nos w dół, żeby nabrać prędkości... ja albo ty zrobilibyśmy tak samo na jego miejscu, Dick. To jest jak instynkt. Ale te zabaweczki rządzą się innymi zasadami. Facet runął z całym sprzętem w dół z dwudziestu metrów i skręcił sobie kark.

– A co dopiero ze szczytu góry – westchnęła Deedee i pokręciła głową.

– Mnóstwo ludzi lata dziś w górach na lotniach – powiedział Baedecker. – Setki razy widziałem takich, jak startowali ze skarpy zwanej Ptasi Spad, na południe od St. Louis.

– Skarpa albo klif nadmorski to jedna rzecz – tłumaczył Gavin – a Uncompahgre to druga. Jeszcze nie widziałeś tego szczytu, Dick. Poczekaj do jutra, jak wyjdziemy z kanionu. Sam się przekonasz. Uncompahgre wygląda jak wielki piętrowy tort, z mnóstwem półek skalnych i występów z każdej strony. – Pewnie prądy tam słabe – zauważył Baedecker. – Po prostu koszmar... a w dodatku na wysokości czterech i pół tysiąca zawsze mocno wieje. Jest tam tysiącmetrowe urwisko kończące się dopiero na płaskowyżu, który sam ma powyżej trzech tysięcy metrów... poza tym cały teren płaskowyżu jest usiany skałami i głazami. Trzeba mieć źle w głowie, żeby tam latać.

– Więc dlaczego to robią? – zdziwiła się Maggie. Baedecker dostrzegł, jak jej zielone oczy błyszczą w blasku ognia. – Widzieliście rękę tego chłopaka, Lude'a? – zapytał Gavin.

Maggie i Baedecker spojrzeli na siebie i pokręcili głowami. – Miał zrosty na przedramieniu – oznajmił Gavin. – Pewnie bierze coś mocnego.

Od strony drugiego ogniska, po przeciwległej stronie łąki, dobiegł ich głośny wybuch śmiechu i dźwięk włączanej kasy magnetofonowej.

– Mam nadzieję, że Tom zaraz wróci – zaniepokoiła się Deedee.

– Kto zna jakąś historię o duchach? Uwielbiam słuchać historii o duchach przy ognisku – powiedziała Maggie. – Nie. – Gavin potrząsnął głową. – Żadnych opowieści o siłach nadprzyrodzonych i demonicznych. Może byśmy tak coś zaśpiewali?

– Świetnie. – Maggie uśmiechnęła się do Baedeckera. Gavin i Deedee zaintonowali pierwszą zwrotkę „Kumbaya”, kiedy z drugiej strony łąki dobiegła ich kolejna salwa śmiechu i słowa piosenki Billy Idola „Oczy bez twarzy”. W czwartek wieczorem Baedecker siedział w pokoju gościnnym w domu Gavinów, planując wraz z nimi weekendową wycieczkę, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Gavin przeprosił i ruszył otworzyć. Baedecker słuchał Deedee, która wyjaśniała mu problemy, jakie ona i Tom mieli z synem i jego dziewczyną, gdy nagle usłyszał za sobą znajomy głos.

– Cześć, Richard.

Baedecker obejrzał się i oniemiał. Wydało mu się niemożliwe, aby Maggie Brown mogła stać tam, w salonie Gavinów, ale to Uncompahgre była ona, ubrana w tę samą bawełnianą sukienkę, którą miała na sobie w dniu, gdy razem zwiedzali Tadż Mahal. Włosy miała krótsze, pojaśniane od słońca, ale opalona piegowata twarz i zielone oczy nie mogły należeć do nikogo innego. Nawet niewielka, na swój sposób urocza, szpara między zębami świadczyła niezbicie, że była to Maggie Brown we własnej osobie. Baedeckera wmurowało.

– Ta młoda dama pytała – przerwał ciszę Gavin – czy trafiła do domu, w którym mogłaby zastać słynnego kosmonautę Richarda E. Baedeckera. Odpowiedziałem jej, że trafiła bez pudła. W parę chwil później, kiedy Tom i Deede zaszli przed telewizorem, Baedecker i Maggie poszli przejść się deptakiem o nazwie Pearl Street Mali. Baedecker był już kiedyś w Boulder – spędził tu pięć dni w 1969 roku, kiedy wraz z grupą ośmiu świeżo upieczonych kosmonautów zaliczali zajęcia z geologii i korzystali z planetarium tutejszego uniwersytetu, w celu przeprowadzenia ćwiczeń z astronawigacji – ale deptak jeszcze wtedy nie istniał. Pearl Street w sercu starego Boulder była w owym czasie jedną z wielu zakurzonych i zatłoczonych ulic pełnych sklepów spożywczych, magazynów z przecenioną odzieżą i rodzinnych restauracji. Teraz została przekształcona w ocienioną drzewami promenadę ciągnącą się na długość czterech przecznic, ze zjazdami dla deskorolkowców i licznymi klombami kwiatów. Po obu jej stronach znajdowały się małe i drogie sklepiki, gdzie najtańszą rzeczą do nabycia były jednosmakowe rożki z lodami za półtora dolara. Nim dotarli do drugiej przecznicy odchodzącej od deptaka, zdążyli minąć pięciu ulicznych grajków, rozśpiewaną gromadę wyznawców Kryszny, grupę czterech żonglerów, samotnego linoskoczka przechadzającego się po linie rozciągniętej pomiędzy dwoma kioskami oraz uduchowionego młodzieńca ubranego tylko w jutową szatę, ze złotą piramidką na głowie.

– Po co przyjechałaś? – zapytał Baedecker.

Maggie spojrzała na niego i Baedecker miał dziwne uczucie, że lodowata dłoń chwyta go za kark.

– Dzwoniłam do mnie – powiedziała.

Zatrzymał się. Obok nich jakiś mężczyzna grał na skrzypcach, wkładając w to więcej serca niż zdolności. Futerał od skrzypiec leżał otwarty u jego stóp. Wewnątrz znajdowały się dwa jednodolarowe banknoty i trzy ćwierćdolarówki.

– Dzwoniłem, żeby dowiedzieć się, co u ciebie słychać – rzekł Baedecker. – Żeby dowiedzieć się, jak czuł się Scott, gdy go ostatnio widziałas. Chciałem się tylko upewnić, czy już wróciłaś z Indii. Kiedy ta dziewczyna w akademiku powiedziała, że jesteś u swojej rodziny, nie prosiłem o zostawienie żadnej wiadomości. Skąd wiedziałas, że to byłem ja? Jakim cudem znalazłaś mnie tutaj? Maggie uśmiechnęła się, a w jej zielonych oczach pojawił się chytry błysk.

– To żadna tajemnica, Richard. Po pierwsze, wiedziałam, że to ty. Po drugie, zadzwoniłam do twojej firmy w St. Louis. Powiedziano mi, że niedawno rzuciłaś pracę i wyprowadziłaś się z miasta, ale nikt nie wiedział, gdzie można cię znaleźć. Na szczęście udało mi się porozmawiać z Teresą z biura pana Prescottta. Podała mi adres, jaki zostawiłaś, na wypadek gdyby ktoś pilnie potrzebował się z tobą skontaktować. Miałam wolny weekend. Więc przyjechałam.

– Ale dlaczego?

Maggie usiadła na niskiej sosnowej ławeczce i Baedecker usiadł obok niej. Nad nimi wiatr poruszał liśćmi drzew, których cienie przesuwały się po ich twarzach. Z tyłu dobiegał szum owacji towarzyszący wyczynom linoskoczka.

– Chciałam zobaczyć, jak przebiegają twoje poszukiwania.

– Jakie poszukiwania?

Jak gdyby w odpowiedzi Maggie odpięła dwa górne guziki swojej białej sukni. Wyjęła na wierzch łańcuszek, który miała na szyi, i pomimo przyćmionego światła Baedeker natychmiast rozpoznał medalik ze świętym Krzysztofem, który zostawił jej w Punie. Był to ten sam medalik, który otrzymał od ojca w 1952 roku, gdy wstępował do marynarki. Był to ten sam medalik, który miał ze sobą na Księżycu. Pokręcił głową.

– Nie zrozumiałaś mnie.

– Zrozumiałam.

– Nie. Przyznałaś, że zrobiłaś błąd ruszając do Indii za Scottem. Teraz robisz jeszcze większy błąd.

– Nie pojechałam do Indii za Scottem – powiedziała Maggie. – Pojechałam do Indii, by zobaczyć, jak mu się wiedzie, bo wierzyłam, że jego pasją jest zadawanie sobie pytań, które i mnie wydawały się ważne. – Urwała. – Myliłam się. Nie obchodziły go pytania. On szukał gotowych odpowiedzi.

– Co za różnica? – zapytał Baedeker. Czuli, że przestaje panować nad rozmową, jak nad tracącym szybkość i równowagę samolotem.

– Różnica polega na tym, że Scott poszedł po linii najmniejszego oporu – tłumaczyła Maggie. – Jak większość ludzi, uznał za rzecz niebezpieczną pozostawanie sam na sam z osaczającymi wątpliwościami, z dala od bezpiecznego cienia autorytetu. Tak więc gdy pytania stawały się coraz trudniejsze, zadowolili się prostymi wyjaśnieniami.

Baedeker ponownie potrząsnął głową.

– To jakiś nonsens! Nie rozumiem ani słowa z tej paplaniny.

Wszystko ci się pomieszało. Mylisz mnie z kimś innym, Maggie. Jestem zwykłym facetem w średnim wieku, który rzucił w diabły robotę, a ma wystarczająco dużo forsy na koncie, żeby wziąć kilka miesięcy bezpłatnego urlopu.

– Bzdura – przerwała mu Maggie. – Pamiętasz naszą rozmowę w Benares? O magicznych miejscach, które mają moc? Baedeker zaśmiał się w głos.

– Aha. – Spojrzał na dwóch chłopaków w wytartych szortach, którzy przemknęli obok na deskorolkach, zręcznie lawirując wśród tłumu. Za nimi przebiegł szybkim truchtem mężczyzna w obcisłych spodniach kolarskich. Duma go rozpierała, gdy tak biegł, pyszniąc się swym umięśnionym ciałem. Grupa smętnych nastolatków rozstąpiła się, by zrobić mu przejście. – Pewnie zbliżam się do celu?

Maggie wzruszyła ramionami.

– Może w ten weekend. Góry od wieków były znane jako źródła mocy.

– Ale jeśli okaże się, że nie zejdę z... jak się nazywa ta góra?... z Uncompahgre, z parą kamiennych tablic w rękę, to wracasz do Bostonu i od poniedziałku zabierasz się do nauki, czy tak? – zapytał Baedeker.

– Zobaczymy – powiedziała Maggie.

– Słuchaj, Maggie, myślę, że musimy sobie wyjść... – zaczął Baedeker.

– Popatrz, ten facet postawił krzesło na linie i siedzi na nim! Chyba to iluzjonista. Chodźmy zobaczyć. Potem zapraszam cię na lody.

Podniosła się i chwyciła go za rękę.

– A więc gustujesz w linoskoczkach i czarodziejskich sztuczках? – zapytał.

– Uwielbiam magię – powiedziała Maggie i pociągnęła go za sobą.

* * *

– Trzy szóstki to znak bestii – mówiła Deedee. – Mam go na mojej karcie kredytowej.

– No i...? – Baedeker nie rozumiał.

Z ogniska pozostał już tylko żar. Zrobiło się zimno. Baedeker włożył wełniany sweter i starą ortalionową kurtkę lotniczą. Maggie przysiadła skulona obok niego okryta grubą, puchową kurtką. Ognisko po drugiej stronie łąki dawno już zgasło, czwórka młodych ludzi udała się na spoczynek, a Tommy przywłókł się z powrotem i cichutko wpelził do namiotu, który miał dzielić z Baedekerem.

– Apokalipsa, rozdział trzynasty, wersy szesnaście i siedemnaście – powiedziała Deedee. „I sprawia, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na prawą rękę lub na czoło i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia – imienia Bestii lub liczby jej imienia. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć”.

– Na karcie kredytowej? – zapytała Maggie.

– Nie tylko na karcie, ale i na miesięcznych wyciągach z konta – rzekła Deedee z powagą.

– Chyba nie powinnaś mieć kłopotów, o ile nie będziesz tej karty nosić na czole – zakpił Baedeker.

Gavin dorzucił dwie gałązki do ognia. Iskry strzeliły w niebo, mieszając się z gwiazdami.

– W tym naprawdę nie ma nic śmiesznego, Dick – odezwał się. – Księga Apokalipsy dokładnie przewidziała wiele wydarzeń mających poprzedzić czas wielkich cierpień. Kod sześćsześćsześć jest często używany przez komputery... tak samo na rachunkach Visa czy Mastercard. Biblia mówi, że antychryst będzie przewodził konfederacji dziesięciu narodów w Europie. Można to uznać za zbieg okoliczności, ale wielki komputer w budynku administracji Wspólnot Europejskich w Brukseli przez niektórych programistów nazywany jest „bestią”. Zajmuje całe trzy piętra. – No i co z tego? – powiedział Baedeker. – W siedemdziesiątym pierwszym w obu ośrodkach NASA w Houston i w Huntsville komputery zajmowały jeszcze więcej miejsca. Oznaczało to jedynie, że tamtejsze komputery były gorsze od obecnych i miały większe wymogi przestrzenne, a nie że antychryst nadchodzi. – Tak – zgodził się Gavin – ale to było przed wynalezieniem UPC.

– UPC? – Maggie zadrżała i przysunęła się bliżej do Baedekera, szukając osłony przed zimnym wiatrem.

– To uniwersalny kod kreskowy – wyjaśni! Gavin. – Te czarnobiałe paski na opakowaniach towarów. Skaner laserowy odczytuje kod produktu, a komputer podaje cenę.

– W Bostonie robię zakupy w małym sklepiku na rogu – powiedziała Maggie. – Nie mają tam nawet kasy elektrycznej. – Niedługo będą mieli. – Gavin uśmiechał się, jego usta tworzyły prostą cienką kreskę. – Do dziewięćdziesiątego czwartego skanery laserowe zostaną wprowadzone do wszystkich sklepów... przynajmniej w Stanach.

Smuzka dymu owiała Baedekera, powodując łzawienie oczu i kaszel.

– Zgoda, Tom, ale skaner odczytuje cenę na puszkach zupy i paczkach herbatników, a nie na moim czole.

– Tatuaze laserowe – zaczął Gavin. – Profesor R. Keith Farrell z Uniwersytetu Stanowego w Waszyngtonie wynalazł parę lat temu pistolet do laserowego oznaczania ryb w celu ich rejestracji.

Wykonanie tatuażu laserowego zajmuje mniej niż jedną mikrosekundę, jest bezbolesne, a taki tatuaż może być całkowicie niewidoczny dla wszystkich prócz osób obsługujących skaner ultrafioletowy. Czeki zakładu ubezpieczeń społecznych już posiadają oznaczenie kodowe C lub R. Jest niemal pewne, że oznacza to „czoło” lub „ręka”. Następnym krokiem rządu może będzie oznaczanie samych ubezpieczonych w celu szybkiej identyfikacji i rejestracji.

– To byłoby dobre rozwiązanie na koncertach rockowych – odezwała się Maggie. – Bez problemów wpuszczą cię z powrotem, jak wyjdiesz na chwilę z hali.

Deedee pochyliła twarz nad dogasającym ogniskiem. – Jeśli kto wielbi Bestię i obraz jej i bierze sobie jej znamię na czoło lub rękę, ten również będzie pić wino zapalczywości Boga, i będzie katowany ogniem i siarką wobec świętych aniołów i wobec Baranka. A dym ich katuszy na wieki wieków się wznosi i nie mają odpoczynku we dnie i w nocy czciciele Bestii i jej obrazu, i ten, kto bierze znamię jej imienia” – uśmiechnęła się nieśmiało. – Apokalipsa, rozdział czternasty, wersy od dziewiątego do jedenastego.

– Niesamowite! – powiedziała Maggie z podziwem. – W jaki sposób zdołała pani to spamiętać? W liceum nie mogłam sobie poradzić z wykuciem na pamięć dwóch pierwszych zwrotek „Thanatopsis”.

Gavin wziął Deedee za rękę.

– Może łatwiej będzie ci zapamiętać fragment z Ewangelii według świętego Jana, rozdział trzeci, wersy szesnaście i siedemnaście. „Nie znajduję upodobania w śmierci grzesznika. Uwierzcie w Jezusa Chrystusa, a dostacie zbawienia. Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne. Albowiem Bóg nie posłał swego Syna na świat po to, aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony”.

Kilka wielkich kropel deszczu upadło w ognisko, sycząc na szczątkach rozżarzonych głowni. Baedeker spojrzął w górę i zauważył, że gwiazdy znikły, a niebo jest czarne jak ściany kanionu. – Do diabła! – zaklął. – A tak chciałem przespać się na dworze. Leżał w namiocie i myślał o swoim rozwodzie. Rzadko wspominał to wydarzenie, wspomnienia były tak niewyraźne i bolesne jak te z dwóch miesięcy spędzonych w szpitalu po tym, jak w 1962 roku rozbił się F-104. Przewracał się z boku na bok, ale nierówności terenu wciąż były wyczuwalne przez śpiwór i cienką karimatę. Obok niego Tommy junior chrapał w najlepsze, rozsiewając zapach przetrawionego wina i trawki. Kropłe deszczu tworzyły nieregularny rzucik na płótnie namiotu. Na zewnątrz, w odległości kilku metrów rzeczka Cimarron, nie większa niż strumyk, przelewała się z szumem i bulgotaniem.

Wyrok rozwodowy został ogłoszony w sierpniu 1986 roku, na dwa tygodnie przed dwudziestą ósmą rocznicą ich ślubu. Baedeker przyleciał do Bostonu dzień wcześniej, aby załatwić wszystkie formalności, i zatrzymał się w domu Carla Bumbry’ego. Zapomniał, że żona Carla i Joan były dużo bliższymi przyjaciółkami niż Carl i on. Następną noc spędził w „Holiday Inn” w Cambridge. Na dwie godziny przed pójściem do sądu ubrał się w swój najlepszy trzyczęściowy letni garnitur. Joan lubiła to ubranie, które sama pomogła mu wybrać dwa lata wcześniej. Na kilka minut przed wyjściem zdał sobie sprawę, że doskonale wie, jaką suknię włoży Joan z okazji ogłoszenia ich rozwodu. Na pewno nie kupiłaby sobie nowej, bo nigdy więcej nie włożyłaby jej na siebie. Nie zdecyduje się także na swą ulubioną białą suknię ani bardziej elegancki, zielony kostium. Jedyńm strojem, który wyda jej się odpowiednio lekki i wystarczająco oficjalny na ten dzień, będzie z pewnością fioletowa sukienka, której nie znośli. Nigdy nie lubił fioletowego koloru.

Natychmiast przebrał się w białe szorty, niebieską koszulkę z krótkimi rękawami i tenisówki.

Na rękę nałożył przepocony frotowy ściągacz, po czym wrzucił rakieta i komplet piłek na tylne siedzenie wynajętego samochodu. Zanim udał się do sądu, zadzwonił do Carla Bumbry'ego i umówił się na tenisa na wpół do piątej w klubie Carla, zaraz po ogłoszeniu rozwodu. Tak jak przewidział, Joan przyszła w fioletowej sukni. Rozmawiał z nią przed i po krótkiej ceremonii, ale później nie mógł sobie przypomnieć, o czym mówili. Pamiętał za to wynik meczu – Carl wygrał z nim 6–0, 6–3, 6–4 – bez trudu mógł także przywołać w pamięci szczegółowy przebieg gry w każdym secie. Po meczu wziął prysznic, przebrał się, wrzucił rzeczy do swej starej wojskowej torby lotniczej i pojechał do Maine.

Odbył samotną podróż na wyspę. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, iż pojechał właśnie tam, gdyż wcześniej Joan wiele razy chciała, by pojechali na Monhegan razem. Zanim jeszcze przeprowadzili się do Bostonu, w czasie wielu upalnych dni spędzonych w Houston, Joan pociągała myśl spędzenia kilku dni na malej wysepce u wybrzeży stanu Maine. Nigdy nie znaleźli na to czasu.

W pamięci Baedeckera najbardziej utkwiał moment przyjazdu na wyspę po czterogodzinnym rejsie łodzią o nazwie „Laura B”. Jakieś dwa czy trzy kilometry od brzegu mały stateczek wpłynął w chmurę gęstej mgły. Na całym olinowaniu pojawiły się kropelki wody. Ucichły rozmowy, nawet dzieciaki bawiące się na dziobie przerwały hałaśliwe wybryki. Ostatnie dziesięć minut podróży upłynęło w absolutnej ciszy. Łódź minęła dwa betonowe falochrony i wpłynęła do portu. Kryte szarym gontem domy i wilgotne pomosty to znikwały, to znów pojawiały się na brzegu, w miarę jak mgła gęstniała, podnosiła się i opadała na nowo. Wrzaski mew kołujących i nurkujących za rufą statku rozdzierały ciszę na strzępy. Baedeker stał opierając się o reling lewej burty, kiedy zauważył ludzi stojących na brzegu. Na początku nie był pewny, czy to są ludzie, ich zamazane sztywne sylwetki trwały w absolutnym bezruchu. Gdy mgła uniosła się na chwilę, zauważył kolorowe koszulki, słomiane kapelusze i aparaty fotograficzne na sztykach. Widok ten zrobił na nim przygnębiające wrażenie. Później dowiedział się, że tłum gromadził się na brzegu dwa razy dziennie, kiedy łódź przybijała do brzegu. Byli to turyści wracający na stały ląd, mieszkańcy wyspy oczekujący gości oraz sami goście, dla których przyjazd łodzi był pewnego rodzaju urozmaiceniem pobytu na pozbawionej elektryczności wyspie. I chociaż Baedeker spędził tam całe trzy dni, czytając, śpiąc, przemierzając szlaki wiodące przez mroczne lasy, jakby żywcem wyjęte z opowieści o druidach, z całego pobytu zapamiętał tylko ten obraz portu w gęstej mgle i milczących sylwetek na brzegu. Była to jakby scena z Hadesu, z długimi cieniami dawno umarłych oczekujących biernie na przybycie nowych mieszkańców. Czasami, gdy był zmęczony, a jego myśli biegingy ku wspomnieniom z dnia rozwodu i bolesnego roku, który poprzedzał to wydarzenie, wyobrażał sobie siebie jako jedną z takich postaci w porcie, szarą sylwetkę w gęstej szarej mgle, zamarłą w oczekiwaniu.

Deszcz ustal. Zamknął oczy i wsłuchał się w szum wody spadającej po kamieniach w korycie strumienia. Gdzieś z lasu dobiegło pohukiwanie sowy, ale Baedeckerowi wydawało się, że jest to krzyk mew nad falującym morzem.

* *

Hałas, jaki robił wymiotujący Tommy junior, obudził Baedeckera. Na szczęście chłopak zdażył wystawić głowę poza namiot, ale pozostałe w środku nogi miotały się na wszystkie strony rozdzielając kopniaki, a plecy co jakiś czas wyginały się w łuk, wstrząsane torsjami.

Baedeker włożył koszulę i dzinsy i odchylił drugą połowę wejścia do namiotu. Dochodziła siódma rano, lecz światło słoneczne nie dotarło jeszcze do kanionu i było chłodno. Kiedy torsje ustały, Tommy odpoczywał z twarzą opartą na ramieniu. Baedeker ukląkł przy nim i zapytał, czy

może mu jakoś pomóc, ale Deedee już gramoliła się ze swego namiotu i po chwili wycierała chłopcu twarz zwilżoną chustką, mrużąc słowa otuchy. Po kilku minutach Maggie dołączyła do Gavina i Baedeckera krzątających się przy rozpalaniu ogniska. Twarz miała zaróżowioną po porannym myciu w zimnej wodzie strumienia, a włosy świeżo uczesane. Ubrana była w szorty koloru khaki i jasnoczerwoną koszulę.

– Co się stało z Tommym? – zapytała i nadstawiła kubek pod strumień gorącej wody, do której następnie nasypała kawy rozpuszczalnej.

– Może to od wysokości – powiedział Baedeker. – To nie od wysokości – zaprzeczył Gavin. – Na pewno ci hippisi dali mu coś wczoraj w nocy.

Ręką wskazał drugi koniec łąki, gdzie czarne wypalone koło i wygnieciona trawa były jedynym śladem po wczorajszych sąsiadach.

– Kiedy wyruszyli? – zapytała Maggie.

– Przed świtem – odrzekł Gavin. – Podobnie jak my powinniśmy byli zrobić. Dziś już nie dojdziemy na szczyt Uncompahgre. – Jakie są plany wobec tego? – spyta! Baedeker. – Pakujemy się i schodzimy do samochodu?

Gavin wyglądał na zaskoczonego tym nieoczekiwanym rozwiązaniem.

– Nie, co ty! Możemy to zrobić inaczej. Spójrzcie – wyciągnął mapę topograficzną i rozłożył ją na skale. – Pierwszy biwak zaplanowałem w tym miejscu – wskazał palcem biały obszar nad kanionem. – Ale ze względu na nasz spóźniony wyjazd z Boulder i wczorajsze wolne tempo udało nam się dojść zaledwie dotąd – dźgnął palcem zielony obszar o kilka kilometrów na północ. – A więc dzisiaj nie będziemy się szarpać. Po prostu dojdziemy sobie na płaskowyż i rozbijemy obóz w tym miejscu – wskazał obszar znajdujący się na południowy wschód od szczytu Uncompahgre. – W ten sposób w niedzielę rano będziemy mogli wcześniej ruszyć na wierzchołek. Deedee i ja nie chcielibyśmy opuścić niedzielnego nabożeństwa, ale myślę, że uda nam się zdążyć na wieczorną mszę. – Gdzie zostawiłeś drugi samochód? – spytał Baedeker. – O tutaj. – Gavin wskazał zaznaczony zielono obszar. – To zaledwie parę kilometrów na wschód od przełęczy i płaskowyżu. Po zaliczeniu szczytu zejdziemy, podjedziemy na północ po pierwszy samochód, a stamtąd prosto do domu.

Maggie z uwagą przyglądała się mapie.

– To miejsce na biwak jest dość wysoko. Powyżej trzech i pół tysiąca metrów. Jeśli pogoda się załamie, może nas stamtąd zmyć. Gavin potrząsnął głową.

– Słuchałem wczoraj prognozy. Prawdopodobieństwo, że w tym regionie do poniedziałku spadnie jakiś deszcz, wynosi piętnaście procent. Poza tym, w miarę jak będziemy się zbliżać do południowego zbocza, będzie coraz więcej osłoniętych miejsc. Maggie pokiwała głową, ale nie wyglądała na zadowoloną. – Ciekawe, jak idzie tym ludziom od lotni – powiedział Baedeker. Spojrzał w górę na zbocza kanionu, lecz nie mógł dostrzec nikogo na nielicznych fragmentach szlaku widocznych pomiędzy drzewami. Światło słoneczne przesuwano się w dół po zachodniej ścianie, na prawo od nich, odsłaniając ocienione do tej pory zwały różowych skał, niczym lśniący skalpel odkrywający znajdujące się pod skórą mięśnie.

– Jeśli mają choć trochę oleju w głowie, zawrócili i poszli z powrotem na północ w stronę potoku – rzekł Gavin. – No, ale zabierajmy się do pakowania.

– A co z Tommym? – zapytała Maggie.

– Pójdzie za nami z Deedee – postanowił Gavin. – Myślisz, że będzie miał ochotę na dalszą

wspinaczkę? – powątpiewał Baedeker. – Według mapy następne piętnaście kilometrów to cały czas stroma ścieżka pod górę.

– Będzie miał ochotę. – W głosie Gavina nie było ani cienia wątpliwości.

* * *

Po pierwszej upiornej godzinie męczarni nie było już tak źle. Pomimo że z bagażu ubyło nieco produktów spożytych na kolację i śniadanie, plecak wydawał się z początku cięższy niż poprzedniego dnia. Kanion stawał się coraz węższy, a wraz z nim szlak wijący się brzegiem strumyka. Tu i ówdzie błotne osuwiska lub zwalone drzewa zmuszały ich do ostrożnego obchodzenia niebezpiecznych miejsc po kamienistym lub trawiastym urwisku. Z początku Baedeker nabrał przekonania, że grupa ludzi z lotnią nie mogłaby przedostać się tą drogą, ale po jakimś czasie jego oczom ukazały się odciski butów w miękkim błocie i bruzdy będące śladem wleczonych po ziemi rurek. Kiwał z uznaniem głową i kontynuował wędrówkę.

Około dziewiątej rano promienie słoneczne nagrzały skaliste zbocza, zapachniało rozgrzaną żywicą. Baedeker był mokry od potu. Chciał się zatrzymać i zmienić dzinsy na parę szortów, ale obawiał się, że jeśli zostanie na chwilę w tyle, nigdy nie będzie w stanie dogonić idącej na czele dwójki. Z tyłu nie było widać Deedee i Toma juniora, ale Deedee wcale nie wyglądała na zaniepokojoną, gdy zegnali się z nią po zwinięciu obozu. Tom Gavin w ogóle nie odpoczywał. Po prostu stawał na parę sekund, przestępując z nogi na nogę i zezując w górę na rozciągający się przed nimi szlak, a następnie rzucał pytanie „Gotowi?”, po czym ruszał dalej, nie czekając na odpowiedź.

Po pierwszej godzinie nie było już tak źle. Po drugiej Baedekerowi udało się ustalić własny rytm bólu i palpacji, który wydał mu się całkiem do zniesienia. Kilka minut przed południem minęli zakręt, za którym ich oczom ukazały się dwa wysokie szczyty, mimo gorącego lata wciąż pokryte płatami śniegu. Jeden z nich, wyglądem przypominający złożoną z kilku pięter wieżę z płaskim wierzchołkiem, został przez Gavina rozpoznany jako Uncompahgre. Drugi, ostro zakończony, nazywał się Wetterhorn. Był jeszcze trzeci, ledwie widoczny nad linią zbocza.

– Uncompahgre wygląda jak tort weselny, Wetterhorn przypomina trochę prawdziwy Matterhorn, a Matterhorn w ogóle nie przypomina prawdziwego Matterhornu – tłumaczył Gavin. – Kapuję – powiedział Baedeker.

Ruszyli dalej szlakiem nastreczającym coraz więcej trudności, pomiędzy iglicami z czerwonej skały a trafiającymi się co jakiś czas wodospadami. W niektórych miejscach jodły wystrzelały na wysokość trzydziestu metrów. Gdy przedzierali się przez gęsty sosnowy zagajnik, Maggie poleciła im wachać drzewka twierdząc, że pachną jak toffi. Baedeker znalazł pień ze świeżym nacięciem, wciągnął nosem powietrze i orzekł, że pachnie zupełnie jak czekolada. Maggie stwierdziła, że wszystko mu się pomieszało. Gavin zaproponował, by przyspieszyli kroku.

Rozłożyli się na lunch w miejscu, gdzie Srebrny Potok wpadał do rzeki Cimarron. Szlak był zupełnie rozmyty przez wodę, całe pół godziny zajęło im sforsowanie ostatnich kilkuset metrów osypiska aż do krawędzi kanionu. Baedeker obejrzał się za siebie, ale Tommy’ego i Deedee nie było widać. Na południe szlak ciągnął się po drugiej stronie rzeki, lecz Baedeker nie mógł znaleźć żadnego łatwego przejścia przez szerokie na osiem metrów koryto. Zastanawiał się, jak Ludę, Maria i pozostali dwaj chłopcy zdołali przejść przez wartko płynącą wodę.

Maggie cofnęła się do strumyka i minutę później wróciła po Baedekera, by zaprowadzić go do miejsca, gdzie obok pnia zwanego drzewa rosły fioletowe orliki, a czarne i srebrne świerki otaczały malutką polankę porośniętą trawą i paprociami. Przecinał ją malutki strumyczek, wzdłuż

którego, pomimo późnej pory, wciąż kwitły fioletowobiałe kwiaty. Gdzieś obok dzięcioł gorączkowo wystukiwał na pniu drzewa jakiś tajemniczy kod.

– Świetne miejsce na obóz – powiedział Baedeker. – Mhm – potwierdziła Maggie. – Ale również świetne miejsce na nierozbijanie obozu.

Wyjęła czekoladowy batonik, podzieliła go na pół i podała Baedekerowi część, która miała więcej migdałów. Na polanie pojawił się Gavin. Nie miał plecaka, na piersi dyndała mu lornetka.

– Posłuchajcie, przeprawię się przez rzekę tam, w dole, gdzie wpada strumień. Zostawię linę przeciągniętą nad wodą. Potem odszukam szlak po tamtej stronie. Do ostatnich zakosów jest pewnie niecały kilometr. Poczekam na was za linią drzew, zgoda? – Zgoda – odrzekł Baedeker.

– Według mapy gdzieś niedaleko stąd, w górę strumienia, jest stara kopalnia srebra – stwierdziła Maggie. – Może byśmy tak skoczyli tam na parę minut? Tymczasem Deedee i Tommy będą mieli czas, by nas dogonić.

Gavin uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. Ja wolałbym jak najszybciej dotrzeć na płaskowyż, żebyśmy zdążyli rozbić obóz i móc jeszcze zobaczyć południowy stok przed zmrokiem.

Maggie kiwnęła głową i Gavin zniknął wśród drzew. Baedeker poszedł za nim, aby pomóc mu w forsowaniu rzeki w miejscu, gdzie łatwo było o rwące prądy. Kiedy Gavin dotarł na drugi brzeg, pomachał mu i mocno przywiązał linę do pnia drzewa stojącego na brzegu. Baedeker odpowiedział mu machnięciem dłoni i wrócił na polanę.

Maggie leżała na rozłożonej na trawie czerwonej koszuli. Jej brzuch i ramiona były opalone, ale piersi jaśniały białą, wystawiając ku słońcu delikatne, różowe plamki sutków. Baedeker jęknął zakłopotany i przysiadł na zwałonym pniu.

Maggie przysłoniła oczy dłonią i spojrzała na niego.

– Czyżbyś był zmieszany?

Widząc jego wahanie, usiadła i z powrotem włożyła koszulę. – Znów jestem przyzwoita – roześmiała się. – Albo przynajmniej odpowiednio ubrana.

Baedeker w zamyśleniu wyrwał dwa źdźbła trawy, oderwał korzonki i podał jedno Maggie.

– Dzięki – spojrzała w górę na zachodnią ścianę wąwozu. – Twój przyjaciele to ciekawi ludzie.

– Tom i Deedee? Co o nich sądzisz?

Maggie spojrzała mu w oczy.

– Sądzę, że są twoimi przyjaciółmi. A ja jestem ich gościem.

Baedeker pokiwał głową, żując swoją trawkę.

– Chciałem usłyszeć twoją opinię – rzekł po chwili.

Maggie uśmiechnęła się i spojrzała na słońce. – Po wczorajszym kazaniu numerologicznym byłabym skłonna stwierdzić, że ci ludzie mają złote serca, ale czółka miedziane. – Odgryzła kawałek źdźbła. – Ale to byłoby niesprawiedliwe. I wobec nich nieuprzejme. Wydaje mi się, że Tom i Deedee to tacy ludzie, do których sposobu bycia zawsze miałam wiele zastrzeżeń. – Gorliwi neofici?

Maggie potrząsnęła głową.

– Nie, chodzi mi o ludzi, którzy są gotowi zamienić mózg na kilka uświęconych prawd sprowadzonych do plakatowych haseł. – Wygląda na to, jakbyśmy wciąż rozmawiali o Scotcie –

powiedział Baedeker.

Maggie nie zaprzeczyła.

– A co ty myślisz o Tomie? – zapytała.

Baedeker zastanowił się przez chwilę.

– Cóż – odezwał się w końcu – ostatnio cały czas przypomina mi się pewna historia, z wczesnego okresu naszych przygotowań do lotu.

– Uwielbiam słuchać historii.

– Ta jest dosyć długa.

– Uwielbiam długie historie – zapewniła szybko. – To było wtedy, kiedy wysłali nas na dwa tygodnie survivalu – zaczął Baedeker. – Na koniec podzielili nas na trzyosobowe zespoły – ewentualne przyszłe załogi – polecili z nami nad pustynię w Nowym Meksyku i zrzucili gdzieś na północ od Białych Piasków, dając nam trzy dni na odszukanie drogi do cywilizacji. Mieliśmy ze sobą po jednej fince, małe atlasy roślin jadalnych i jeden kompas na trzech. – Niezła zabawa – powiedziała Maggie.

– Mhm – potwierdził Baedeker. – Ci z NASA też tak uważali. Gdybyśmy nie pojawili się w ciągu pięciu dni, zaczęliby poszu – Uncompahgre kiwania. Wcale nie mieli zamiaru tracić kogokolwiek ze swoich kosmonautów drugiej generacji. Nasz zespół składał się z tych samych trzech facetów, którzy potem wyruszyli razem na Księżyc – byłem ja, Dave Muldorff i Tom. Już wtedy Tom pracował więcej niż ktokolwiek inny. Nawet gdy już osiągnął, co chciał... dostał się do oddziału astronautów, został wybrany do załogi, cokolwiek... i tak tyrał dwa razy bardziej, niż trzeba było, jakby zawsze obawiał się, że za chwilę go wywalą. Każdego z nas nachodziły co jakiś czas podobne myśli, ale nigdy nie objawiało się to jak u Toma. Trzecim członkiem naszej grupy był Dave Muldorff – wtedy przezywaliśmy go Rockford – całkowite przeciwieństwo Toma. Dave powiedział mi kiedyś, że jedyna filozofia życiowa, jaką wyznawał, to prawo Ohma – poruszać się po linii najmniejszego oporu. Był bardzo podobny do Neila Armstronga... obaj mogli w razie konieczności dać z siebie tysiąc procent i wyprzedzić pozostałych, ale nigdy w życiu żaden z nich nie zerwałby się o świcie na poranną gimnastykę. Jedyna różnica pomiędzy Muldorffem i Armstrongiem polegała na tym, że Dave miał dość ekscentryczne poczucie humoru.

W każdym razie nasz pierwszy dzień na odludziu przebiegł bez większych przygód. Znaleźliśmy wodę i wymyśliliśmy sposób na jej transportowanie ze sobą. Przed zapadnięciem zmroku Tom złapał dużą jaszczurkę i chciał ją zjeść na surowo, ale Dave i ja zdecydowaliśmy nie śpieszyć się z tym zbyt. Mieliśmy zamiar dotrzeć do drogi, o której wiedzieliśmy, że przecina góry, i spodziewaliśmy się znaleźć ją wcześniej czy później. Na drugi dzień Tom szykował się, by spożyć jaszczurkę na lunch, ale Dave przekonał nas, abyśmy jeszcze trochę pociągnęli na roślinach i zachowali nasze główne źródło pożywienia na kolację. Potem, około drugiej po południu, Dave zaczął się dziwnie zachowywać. Wciąż wachał ziemię i mówił, że jest w stanie po zapachu odnaleźć drogę do cywilizacji. Tom stwierdził, że to pewnie efekt udaru słonecznego, i obaj mocno się zaniepokoiiliśmy. Chcieliśmy obwiązać Dave'owi głowę koszulką, ale biedak tylko zawył w niebo i uciekł biegiem.

Dogoniliśmy go jakieś trzysta metrów dalej. Kiedy wyszliśmy zza skały, zobaczyliśmy Muldorffa siedzącego pośrodku wyschniętego koryta strumienia, rozłożonego na leżaku pod parasolem plażowym, żłopiącego schłodzone piwko. Obok stało włączone radio tranzystorowe, mała chłodziarka pełna obłożonych lodem puszek i dmuchany basen – takie ustawia się małym dzieciom,

by się pluskały w ogrodzie – a w nim dmuchany materac i kilka gumowych kaczuszek. A trzeba ci wiedzieć, że byliśmy w środku absolutnego pustkowia i do najbliższej drogi było jakieś sto kilometrów. Kiedy już Dave wyśmiał się do woli, opowiedział nam, jak namówił pewnego człowieka z biura dowództwa bazy, aby dostał się do papierów i dowiedział się o proponowanych punktach zrzutu zespołów NASA. Potem wyznaczył sobie na mapie prawdopodobną trasę naszej wędrówki i poprosił kumpla, który latał na helikopterach nad Białymi Piaskami, by mu zrzucił cały ten sprzęt do wyschniętego strumyka. Dave uważał, że to znakomity dowcip. Tom był innego zdania. Z początku tak się wściekł, że zaczął uciekać, byle dalej od Dave'a, jego parasola i radiowych przebojów. Na początku byłem po jego stronie. Taki wybryk mógł doprowadzić dowództwo NASA do białej gorączki. Ci faceci nie mieli najmniejszego poczucia humoru i wszyscy dobrze o tym wiedzieliśmy. Dave mógł nas wpakować w niezłe gówno.

Ale wysączywszy dwa piwka, Dave ukrył cały majdan za wielkim głazem i wróciliśmy do przerwanej szkolenia. Tom nie odzywał się do niego przez całe dwadzieścia cztery godziny. Co gorsza, wydaje mi się, że w ciągu dwóch lat, które potem przepracowaliśmy razem, Tom nigdy nie wybaczył Dave'owi tego numeru. Z początku myślałem, że jest wkurzony, bo Dave psuje efekt szkolenia i w dodatku naraża na szwank jego wzorową karierę w lotnictwie. Potem zdałem sobie sprawę, że idzie o coś więcej. Dave złamał reguły gry i Tom nigdy nie mógł się z tym pogodzić. Ale było chyba jeszcze coś...

– Co takiego? – nie wytrzymała Maggie.

– Myślę, że Tom naprawdę chciał zjeść na surowo tę cholerną jaszczurkę, a Dave odebrał mu cały smak.

Deedee i Tom junior pojawili się w chwili, kiedy Baedeker i Maggie zabierali się do forsowania rzeki, tak więc wszyscy czworo przeszli ją razem. Tommy był blady i wyglądał na nieco skruszonego, ale na twarzy miał ten sam ponury wyraz co wczoraj. Za to Deedee była wesoła za oboje. Woda w żadnym miejscu nie sięgała im wyżej niż do kolan, była jednak lodowata i bystra. Baedeker poczekał, aż wszyscy przejdą, a następnie odwiązał linę i przeniósł ją ze sobą na drugą stronę.

Czterdzieści pięć minut później minęli wodospad, ponownie przeszli przez strumień, tym razem po zwałonym pniu, i po chwili już pięli się w górę zakosami. Nad nimi widniała ciężka sylwetka Matterhornu, a przy każdym następnym odpoczynku widzieli coraz większy fragment Uncompahgre. Byli już tylko parę kilometrów od właściwego podejścia i Baedeker mógł podziwiać ogromny masyw góry. Przypominał mu olbrzymie ostańce i płaskowzgórza, które widział kiedyś w Nowym Meksyku i Arizonie, ale ten szczyt miał ostrzejszy wierzchołek, bardziej strome zbocza i w odróżnieniu od tamtych nie wyrastał na środku pustyni, ale z płaskowyżu znajdującego się na wysokości ponad trzech tysięcy metrów.

Wczesnym popołudniem zakończyli wspinaczkę zakosami i oczom ich ukazała się prawdziwa tundra. Zmiana otoczenia była nagła i zaskakująca. Gęste lasy sosnowe, przez które przedzierali się w kanionie, ustąpiły miejsca grupkom bardzo starych karłowatych jodeł, czasem zupełnie pozbawionych gałęzi od zachodu i północy, a następnie wysokim krzakom jałowca, które także wkrótce zostały w tyle. Wędrowcy znaleźli się sam na sam ze skalistym zboczem porośniętym jedynie trawą i czerwono-brązowym janowcem. Dla Baedeckera wyjście z kanionu było jak zrobienie kroku z ostatniego szczebla drabiny na dach wielkiego budynku.

Z wysokiego siodła, na którym się obecnie znajdowali, Baedeker mógł obserwować dziesiątki mniejszych i większych szczytów i nie kończącą się panoramę przełęczy, stoków, wysoko położonych

łąk i falujących krzewów tundry. Tu i ówdzie widać było łąty śniegu. Nad ich głowami gromada pierzastych cumulusów rozciągała się aż po ograniczony zębami gór horyzont. Nakrapiany bielą błękit nieba zdawał się zlewać w dali z nakrapianym bielą ugiem górskiego pejzażu.

Baedecker zatrzyma! się ciężko dysząc, czując jak strużki potu ściekają mu po plecach i niemal słysząc pracę płuc, wciąż domagających się więcej tlenu.

– Fantastyczne! – zawołał.

Maggie uśmiechnęła się. Zdjętą z głowy czerwoną chustką wytarła twarz. Dotknęła ramienia Baedeckera i wskazała palcem na północny wschód, gdzie na dalekiej, falującej od wiatru, wysoko położonej łące pasło się stado owiec. Szarobiałe zwierzęta wyglądały jak małe chmurki, które wraz z splachciami śniegu i cieniami rzucanymi przez cumulusy tworzyły ruchomy deseń przesuwany się powoli wzdłuż całej panoramy.

– Fantastyczne! – powtórzył Baedecker. Serce rozbijało mu się o zębra. Czuł się tak, jak gdyby zostawił wszystkie ciemne strony swojej duszy za sobą, w cieniście kanionie. Maggie podała mu butelkę z wodą. Pijąc czuł, że dziewczyna opiera się na jego ramieniu.

Tommy pośliznął się na skale i zatrzymał wbijając kij, który cały czas niósł w ręce, w pobliską kępkę mchu. Deedee z uśmiechem obejrzała się dokoła.

– Tam jest Tom – powiedziała, wskazując palcem drobną figurkę widoczną w dali, na samym końcu przełęczy. – Wygląda na to, że już zaczął stawiać namiot.

– Cudownie – wyszeptał Baedecker do siebie. Czuł się lekko w zimnym, rozrzedzonym powietrzu. Oddał butelkę Maggie, która piła łąpczywie, odchylając do tyłu głowę, a światło słoneczne odbijało się w jej krótkich kasztanowych włosach. Maggie podała butelkę Deedee, ale ona, zamiast wziąć wodę, chwyciła dziewczynę za rękę. Drugą wolną ręką ujęła dłoń Baedeckera. Cała trójka utworzyła mały krąg. Deedee pochyliła głowę. – Dziękujemy Ci, Panie – powiedziała – za to iż pozwoliłeś nam doświadczyć piękna Twego stworzenia oraz dzielić tę niepowtarzalną chwilę z bliskimi sercu przyjaciółmi, którzy z pomocą Ducha Świętego dojdą do poznania prawdy Twego słowa, przez Chrystusa Pana Naszego. Amen.

Poklepała Baedeckera po ramieniu i spojrzała mu w oczy. – Naprawdę jest cudownie. – W oczach miała łzy. – Przyznaj, pewnie wiele byś dał, żeby Joan mogła być tu razem z nami. Trzy namioty zostały rozstawione wokół wielkiego, płaskiego głazu. Na tej wysokości nie było co marzyć o drzewie na ognisko, jeśli nie liczyć cienkich gałązek małych krzewów rosnących pośród skał, tak więc musieli rozstawić dwie butle gazowe na kamieniu leżącym obok wielkiego głazu i siedzieć, wpatrując się w dwa małe gazowe płomienie, podczas gdy na niebie zapalały się kolejne gwiazdy. Przed kolacją, gdy cienie Wetterhornu i Matterhornu przesunęły się ze zboczy Uncompahgre na płaskowyż, dokonali rozpoznania trasy na następny dzień.

– Tam – powiedział Gavin, podając lornetkę Baedeckerowi.

– U stóp południowego stoku.

Baedecker dostrzegł mały czerwony namiot ocieniony skalami. Wokół niego krzątało dwóch ludzi, chowając sprzęt do namiotu i rozkładając małą butlę gazową. Baedecker oddał lornetkę Gavinowi. – Widzę tylko tych dwóch chłopaków. Ciekawe, gdzie jest ten gość z lotnią i dziewczyna.

– Tam, wyżej. – Maggie palcem wskazała miejsce na stoku, do którego dochodziły jeszcze promienie słońca. Gavin wyregulował ostrość lornetki.

– Widzę ich. Ten idiota wciąż targa ze sobą sprzęt.

– Chyba nie ma zamiaru latać nocą? – spytała Maggie.

Gavin pokręcił głową.

– Nie. Do szczytu zostało im jeszcze dobre kilka godzin wspinaczki. Przypuszczam, że chcą dotrzeć jak najwyżej, zanim zapadnie zmrok.

Podał lornetkę Maggie.

– Biorąc pod uwagę jego plany, najdogodniejsze warunki będzie miał właśnie wcześniej rano – powiedział Baedeker. – Silne prądy powietrzne, niewielki wiatr.

Maggie podała mu lornetkę i Baedeker dwukrotnie przesunął wzrokiem po zboczach, zanim dostrzegł dwie drobne figurki wysoko na postrzępionej grani. Słońce oświetlało jaskrawy, czerwonożółty tobołek z wystającymi aluminiowymi rurkami, pod którym ugiął się chłopak. O kilka kroków za nim podążała kobieta, dźwigając własny ciężar w postaci olbrzymiego plecaka ze stelażem, do którego przytroczone były dwa śpiwory. Wtem słońce zaszło za górę i obie postacie znikły wśród gładów i iglic, ciągnących się na całej długości zbocza.

– Oho! Oho! – zawołała Maggie. Patrzyła ku zachodowi, gdzie w blasku zachodzącego słońca widać było warstwę granatowoczarnych chmur, w których znikają ostatnie promienie. – Najprawdopodobniej przejdą bokiem – stwierdził Gavin, patrząc w tę samą stronę. – Wiatr wieje na południowy wschód. – Mam nadzieję, że tak się stanie – powiedziała Maggie. Baedeker ponownie skierował lornetkę w stronę południowego stoku, ale dwie figurki przestały być widoczne w szybko zapadającym zmroku.

Gwiazdy wciąż lśniły, ale od zachodu niebo było całkiem czarne. We czwórce kulili się wokół butli gazowych, popijając gorącą herbatę. Tommy siedział jakieś dwa metry nad ich głowami, na wielkim gładzie i spoglądał na północ. Bardzo się ochłodziło, ale nie było ani śladu wiatru.

– Nie poznałaś nigdy żony Dicka, Joan, prawda, Maggie? – spytała Deedee.

– Nie, nie miałam okazji.

– Joan to wspaniała osoba. Cierpliwa jak święta. Jak nikt nadaje się na tego typu wycieczki, bo nic nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi. Wszystko zawsze przyjmuje z niewzruszonym spokojem.

– Gdzie planujesz jechać dalej? – Gavin zapytał Baedeckera.

– Do Oregonu. Chcę się zobaczyć z Rockfordem.

– Z Rockfordem? – w oczach Gavina pojawiło się zdziwienie.

– Aha, z Muldorffem. Szkoda mi go. Ta choroba...

– Jaka choroba?

– Joan to najbardziej cierpliwa żona, jaką znam – mówiła Deedee. – Kiedy mąż znika na całe dni... tygodnie... każda z nas powoli zaczyna mieć tego dość... nawet ja, obawiam się... ale Joan nigdy nie narzekała. Wydaje mi się, że przez wszystkie te lata, kiedy ją znałam, nigdy nie słyszałam, żeby skarżyła się na swój los.

– W czerwcu był w szpitalu – powiedział Gavin. – Wiem – przerwał mu Baedeker. – Myślałem, że to wyrostek. Teraz czuje się dobrze, prawda?

– Joan chodziła wtedy do kościoła, ale tak naprawdę nie oddała swego życia Jezusowi. – ciągnęła Deedee. – Teraz, gdy jest z Philipem... on chyba jest księgowym... słyszałam, że bardzo udzielają się w ewangelickim kościele w Bostonie. – To nie był wyrostek – rzekł Gavin. – Rozmawiałem z Jimem Bosworthem, który często przesiaduje w Waszyngtonie. Mówił, że przyjaciele Muldorffa z Kongresu wiedzą, że cierpi on na chorobę Hodgkina. W czerwcu usunięto mu

śledzoną.

– Czy chodzisz czasem w Bostonie do kościoła?

– Nie – odparła Maggie.

– Aha – powiedziała Deedee. – Tak sobie myślałam, że gdybyś chodziła, przecież mogliście się kiedyś spotkać. Świat jest taki mały, prawda?

– Czyżby? – zapytała Maggie.

– O ile wiem, widoki są marne – stwierdził Gavin. – Ale zawsze może się zdarzyć jakiś cud.

– Jasne że tak – pokiwała głową Deedee. – Pewnego razu, kiedy przygotowywaliśmy się do misji naszych mężów, Joan zadzwoniła do mnie i poprosiła, żebym przyjechała zaopiekować się jej synkiem, bo chciała wyjść na chwilę kupić prezent urodzinowy dla Dicka. Była wtedy u mnie przyjaciółka z Dallas, ale powiedziałam:

„Jasne, zaraz u ciebie będziemy”. Scott miał wtedy jakieś siedem lat, a mój Tommy chyba ze trzy czy cztery...

Baedecker podniósł się, poszedł do swojego namiotu i wczłogał się do środka, gdzie nie słyszał już dalszego ciągu opowieści.

* * *

Gdy miał siedem czy osiem lat, zaraz po rozpoczęciu wojny, pojechał z ojcem na ryby, nad jakieś sztuczne jezioro, gdzieś w Illinois. Była to pierwsza wyprawa na ryby trwająca dłużej niż jeden dzień, na którą ojciec zabrał go ze sobą. Pamiętał, jak razem z ojcem spali na jednym łóżku w domku kempingowym na brzegu jeziora. Jak wyruszyli wcześniej rano, w gorący letni dzień. Ogromna tafla wody wydawała się jednocześnie tłumić i wzmacniać wszystkie dźwięki. Słoneczne światło nie było w stanie przedrzeć się przez gęste korony drzew rosnących wzdłuż wysypanej żwirem drogi, a liście, pomimo wczesnej pory, już były pokryte kurzem. Mały rytuał wyprowadzania łodzi i sprawdzania doczepianego silnika sam w sobie dostarczał niezapomnianych wrażeń. Wyglądał jak przygotowania do nie wiadomo jak wielkiej wyprawy. Niezgrabny, pachnący rybą kapok dawał poczucie bezpieczeństwa. Ich mała łódka płynęła wolno po jeziorze, tnąc gładką tafłę wody, niszcząc tęczowe plamy powstałe w miejscu, gdzie wyciekł olej. Warkot małego silniczka zlewał się z zapachem benzyny i rybich łusek, tworząc w świadomości małego Baedeckera niezapomniane wrażenie nieograniczonej swobody i radosnego oczekiwania na niezwykle przygody.

Kiedy kilka lat wcześniej postawiono w tamtym miejscu tamę na rzece, stary most, po którym dawniej biegła autostrada, został wchłonięty przez utworzony w ten sposób zbiornik. Teraz pozostały po nim jedynie dwa wystające przęsła, lśniące białą na tle wody i nieba, niczym kości udowe jakiegoś tajemniczego stwora. Mały Baedecker zachwycił się pomysłem przybicia do mostu i wdrapania się na oddalone od brzegu przęsła, by łowić stamtąd ryby. Jednocześnie wiedział, że jego ojciec będzie chciał łowić na trolling. Znał niezłomną cierpliwość ojca, z jaką ten mógł całe godziny siedzieć na burcie wpatrując się w żyłkę, niemal bez mrugnięcia, podczas gdy łódka wolno przemierzała wody jeziora lub dryfowała z wyłączonym silnikiem. Baedecker nie miał tyle cierpliwości. Łódka wydawała mu się zbyt mała, ich jazda zbyt wolna. Jedynym kompromisowym wyjściem wydawało się wysadzenie chłopca i zostawienie go na jednym z betonowych słupów – wciąż opakowanego w bufiasty kapok – podczas gdy ojciec będzie mógł spokojnie poszukać sobie odpowiedniego łowiska. Baedecker musiał obiecać, że będzie siedział pośrodku większego z przęsła.

Wspaniale było siedzieć sobie absolutnie samemu pośrodku wielkiej wody. Łódka ojca zniknęła

z pola widzenia, słyszał cichnący warkot silnika. Słońce grzało mocno. Przez długą chwilę jak zahipnotyzowany wpatrywał się w uwieczony na żyłce spławik. Małe fale rozbijające się o porośnięte mchem filary stwarzały wrażenie ruchu, tak jakby oba przęsła mostu płynęły wolno po jeziorze. Po półgodzinie to złudzenie i dotkliwy upał przyprawiły chłopca o lekkie nudności i zawroty głowy. Skręcił nieco żyłkę, zatknął wędzisko za splekaną betonową poręcz mostu i usiadł na kawałku dawnej jezdni. Było duszno. Poczul się nieco lepiej, gdy zdjął kapok i obeschnął z potu.

Nie pamiętał, kiedy i dlaczego wpadł mu do głowy pomysł przeskoczenia z jednego fragmentu dawnego mostu na drugi. Oba zrujnowane przęsła znajdowały się w odległości nie większej niż dwa i pół metra. Pozostałości po korycie drogi na drugim fragmencie mostu znajdowały się na wysokości około dwóch metrów nad lustrem wody. Większa część mostu, ta, na której stał, nie osiadła aż tak bardzo i była o jakieś trzydzieści centymetrów wyższa od tamtej, skok więc wydawał się łatwy.

Myśl o przeskoczeniu na drugie przęsło w krótkim czasie stała się obsesją, czuł, jak wewnątrz popycha go jakaś nieznana siła. Kilkakrotnie wymierzył krokami odległość od jednego do drugiego skraju, planując rozbieg i starając się wyznaczyć najdogodniejsze miejsce odbicia. Był przekonany, że ojciec będzie zachwycony i ubawiony, kiedy wróci i zastanie syna na innej części mostu. Parokrotnie wystawił swe nerwy na próbę, podbiegał pędem do krawędzi, lecz za każdym razem nagły strach chwycił go za gardło, więc hamował, zdzierając podeszwy tenisówek o zniszczony beton. Wreszcie odwrócił się, zrobił pięć dużych kroków w tył, wykonał rozbieg i skoczył.

A raczej próbował skoczyć. W ostatniej sekundzie znów starał się wyhamować, ale tym razem pośliznął się na skraju przęsła i upadł. Udało mu się jeszcze obrócić w powietrzu, a w ułamek sekundy później poczul potężne uderzenie w tułów, i już wisiał dyndając nogami w próżni, z łokciami i dłońmi płasko przylegającymi do fragmentu dawnej jezdni.

Poczul ból. Ramiona i dłonie miał mocno podrapane, w ustach czuł smak krwi, a brzuch i klatka piersiowa bolały go nie do zniesienia. Niemiał siły podciągnąć się i wdrapać z powrotem na przęsło. Kolana znajdowały się pod płytą dawnej nawierzchni i chociaż starał się jak mógł, nie potrafił unieść nóg na tyle wysoko, by znaleźć punkt oparcia w popękany beton. Wydawało mu się, że wody jeziora utworzyły wir wsysający go do środka. Po chwili przestał się miotać i wisiał tak, bezradny, siłą tarcia utrzymującej jego poranione ręce i ramiona na powierzchni dawnego mostu zawdzięczając, że jeszcze nie zsunął się do wody. W dziecięcej wyobraźni pojawił się obraz mrocznej otchłani otwierającej się tuż pod mostem. Widział ogromne drzewa zatopione głęboko pod powierzchnią jeziora, niemal czuł, jak opada na muliste dno. Wyobrażał sobie zalane ulice, domy i podwórka, opuszczone przez mieszkańców doliny, którą kiedyś zamieniono w jezioro, oczekujące w ciemnej topieli. Oczekujące na niego.

Jakieś pół metra przed nim, na wysokości jego twarzy, kępka chwastów wyrastała ze szczeliny. Nie mógł jej dosięgnąć. Ale nawet gdyby mu się to udało, wątle zielsko nie utrzymałoby jego ciężaru. Poczul, że siła tarcia utrzymująca w miejscu jego pokaleczone ręce zaczyna maleć. Ramiona mdlały mu z bólu i wiedział, że upadek jest kwestią minut, a nawet sekund; że za chwilę zjedzie w dół, skórę na łokciach i dłoniach zdzierając do krwi o chropowaty beton.

I wtedy, wciąż niby śniąc, niby otrząsając się ze snu, jak nurek wypływający z głębiny na powierzchnię, poczul, że wiatr szamocze namiotem, a powietrze pachnie zbliżającą się ulewą, lecz oprócz tego usłyszał wyraźnie – tak jak czterdzieści pięć lat temu – leniwy warkot zbliżającej się łodzi i łagodny głos ojca:

–Już, Richard, już. Puść. Trzymam cię, Richard. Puść. Kolejny grzmot przetoczył się po niebie. Zimny podmuch dostał się do środka, gdy rozchyliło się wejście do namiotu. Maggie Brown weszła

na czworakach i ułożyła swoją karimatę i śpiwór obok niego.

– Co ty tu robisz?! – zawołał Baedeker. Dłonie i łokcie bolały go, jakby były całe podrapane.

– Tommy chciał się zamienić miejscami – wyszeptała Maggie.

– Myślę, że chce sobie zatankować w samotności. Zgodziłam się.

Ciii...

Położyła palec na ustach. Ciemne wnętrze namiotu zostało nagle rozświetlone blaskiem błyskawicy, a w parę sekund później dało się słyszeć dudnienie tak głośne, jakby między namiotami przetoczył się pociąg towarowy. Następna eksplozja światła ukazała Maggie zdejmującą szorty. Pod spodem miała skąpe białe majteczki.

– Burza – powiedział Baedeker, mrugając oślepiiony kolejną błyskawicą, w świetle której zobaczył, że Maggie zdjęła bluzkę. W nagłym rozbłysku jej piersi wydawały się białe i obfite. – Ciii... – powtórzyła i przyłgnęła do niego w ciemności. Miał na sobie tylko slipy i miękką flanelową koszulę. Rozpięła guziki koszuli, po czym ściągnęła mu ją z pleców. Leżeli blisko siebie na miękkim posłaniu ze splątanych śpiworów. Objął ją i poczuł, jak sięgnęła pod elastyczny ściągacz spodenek.

– Ciii... – szeptała, jedną ręką uwalniając go ze slipów. – Ciii...

Błyskawice chłodnym lśnieniem oświetlały ich akt miłosny. Grzmoty zagłuszyły wszystko prócz przyspieszonego bicia serc i błagalnych szeptów. W pewnej chwili spojrzął na siedzącą na nim okrakiem Maggie, na ich splecione palce, ramiona wyciągnięte jak u pary tancerzy, falujące płótno namiotu podświetlane raz po raz następującymi po sobie wyładowaniami i niemal czuł pioruny przetaczające się nad nimi i przez nich. W chwilę później, ciasno objętyjej ramionami, powstrzymując zbliżającą się eksplozję, był niemal pewny, że usłyszał jej szept przebijający się przez kaskadę grzmotów.

–Już, Richard, już. Puść. Trzymam cię, Richard. Puść. Objęci, wciąż lekko się poruszając, przetoczyli się po skołtunionych śpiworach i karimatach, wsłuchani w coraz głośniejsze wycie wiatru, kołyszącego całym namiotem, którego płótno łopotało głośno, przytrzymywane przez napięte do granic możliwości linki. Przerwy pomiędzy kolejnym błyskiem a grzmotem stawały się coraz krótsze. Przytuleni, leżeli w namiocie, kuląc się po każdym gromie.

– DALEJ, JAZDA, BOGOWIE, POKAŹCIE, CO UMIECIE! NO DALEJ, CHYBA SIĘ NIE BOICIE?! – Wrzask rozległ się tuż obok. Po nim nastąpiły kolejne serie grzmotów.

– Dobry Boże! – szepnęła przerażona Maggie. – A to co? – NO, RUSZCIE SIĘ, OGŁASZAM ZAWODY! POKAŹCIE TERAZ SWOJE SZTUCZKI! CHYBA STAĆ WAS NA COŚ LEPSZEGO NIŻ TO? NO DALEJ, POPISZCIE SIĘ, GNOJKI!!!

Tym razem wrzask był tak dziki i piskliwy, że ledwie przypominał głos ludzki. Ostatnim słowom towarzyszył wielki błysk i trzask, jakby granatowy baldachim nieba został rozdarty gigantyczną ręką. Baedeker włożył szorty i wychylił się z namiotu. Po chwili wysunęła giowę Maggie, okryta jego flanelową koszulą. Jeszcze nie padało, ale oboje musieli przymknąć oczy, gdyż wichura niosła tumany kurzu i drobnych kamieni.

Tommy Gavin junior stał na głazie pomiędzy namiotami. Nagi, w szerokim rozkroku, opierając się podmuchom silnego wiatru, z ramionami wzniesionymi do nieba i głową odrzuconą w tył. Wjednej ręce ścisnął szyjkę niemal pustej butelki johnny walkera.

W drugiej miał aluminiowy maszt pochodzący z jego namiotu. Metal lśnił niebiesko. W tle Baedeker mógł dojrzeć błyskawice przecinające zwały burzowych chmur, ciemniejszych i bliższych niż szczyty gór oświetlane każdym błyskiem.

– Tommy! – zawołał Gavin. On i Deedee wysunęli głowy i ramiona z targanej wiatrem kopułki.
– Zejdź stamtąd! Wycie wiatru zagłuszyło jego słowa.

– NO JAZDA, BOGOWIE! POKAŻCIE MI COŚ CIEKAWEGO! – wrzeszczał Tommy. – TWOJA KOLEJ, ZEUS, DO ROBOTY! Uniósł maszt wysoko nad głowę. Wydawało się, że sinobiała krecha światła trafiła tuż obok pobliskiego wierzchołka. Baedeker i Maggie cofnęli się, gdy obok nich przetoczył się kulisty piorun. Parę kroków dalej namiot Gavinów zawalił się pod naporem wichury. – SZEŚĆ, OSIEM! – obwieścił Tom, oceniając dokonane spustoszenia według wyimaginowanej punktacji. Butelka wypadła mu z rąk, ale rurką namiotową wciąż wywijał w powietrzu. Gavin miotał się, usiłując wypłatać z zawalonego namiotu, ale podarte namiotowe płótno oplotło go tak, że wyglądał jak mumia owinięta w pomarańczowe bandaże.

– SZATANIE, TY NASTĘPNY! – wrzasnął Tommy, śmiejąc się histerycznie. – ZOBACZYMY, CZYJESTEŚ TAKI KOZAK, JAK MÓWI MÓJ STARY!

Wykonał piruet, omal przy tym nie spadając na ziemię, ale na skraju głazu złapał równowagę. Baedeker zauważył, że chłopak ma erekcję. Maggie krzyknęła mu coś do ucha, lecz jej głos zginął w szalejącej nawałnicy.

Dwie rozwidlone błyskawice jednocześnie uderzyły w ziemię po obu stronach obozowiska. Baedeker, oślepiiony ich blaskiem, ni z tego, ni z owego przypomniał sobie elektryczną kolejkę, którą bawił się jako dziecko. „Ozon” – pomyślał. Kiedy znów mógł widzieć, zobaczył, jak Tommy zanosząc się śmiechem podskakuje na głazie, z włosami rozwianymi coraz silniejszym wiatrem. – DZIEWIĘĆ, PIĘĆ! – wrzeszczał – NIEŻLE, KURWA!!! – Złaż mi stamtąd, gówniarzu! – wołał Gavin. Wypłatał się już z namiotu i usiłował schwycić syna za łydkę. Tommy zrobił unik, przesunął się na środek głazu.

– ALE, ALE, ZAPOMNIELIŚMY CHYBA OJEZUSIE! – darł się dalej. – DAJMY CHŁOPAKOWI SZANSE! ZOBACZYMY, CO ZRZUCI ZA GÓWNO! NIECH POKAŻE, CZYJESZCZE COŚ POTRAFI!!!

Gavin obiegnął głaz dookoła, szukając miejsca, gdzie był on najniższy, i zaczął macać brzeg w poszukiwaniu szczelin, których mógłby się schwycić. Kolejny piorun przeciął ciemne, wiszące nisko zwały chmur i z hukiem rozbił się o szczyt Uncompahgre. – PIĘĆ, PIĘĆ! – zawył Tommy. – WIELKIE, PIERDOLONE GÓWNO!!!

Gavin wskoczył na głaz, ześliznął się w tył, spróbował jeszcze raz. Tommy znów wycofał się na najwyżej położoną część głazu. – JESZCZE JEDEN! JESZCZE JEDEN! – skandował przekrzykując wiatr. Baedeker usłyszał i poczuł zbliżającą się ulewę, spadającą na ziemię niczym ciężka kurtyna.

– JAHWE! – nie dawał za wygraną Tommy. – DALEJ, JAHWE, OSTATNIA SZANSA, BY WZIĄĆ UDZIAŁ W ZAWODACH, JEŚLI JESZCZE TAM JESTEŚ, TY STARY PIERDZIELU!!! OSTATNIA SZANSA NA... Wszystko stało się nagle. Metalowa rurka w dłoni chłopca zajaśniała niczym neon. Tommy’emu włosy stanęły na głowie, wijąc się jak gniazdo węży. Zaraz potem Gavin złapał chłopca i obaj zwałili się z olbrzymiego kamienia. Wielka eksplozja światła i huku zatrzęsała okolicą, a jakaś ogromna siła niemal wgniotła Baedekera w ziemię, poddając wszystkie jego zmysły pulsowaniu wyzwolonej energii.

Nigdy nie miał się dowiedzieć, czy rzeczywiście w głaz uderzył piorun. Rankiem nie było na kamieniu żadnych śladów. Kiedy z powrotem odzyskał słuch i wzrok, zorientował się, że całym ciałem zakrył Maggie w chwili, gdy ona próbowała zakryć jego. Oboje usiedli i rozejrzeli się dookoła. Z nieba waliła ściana wody. Tylko namiot Baedekera przetrzymał burzę. Tom Gavin stał

na czworakach, z opuszczoną głową, ciężko dysząc. W błyskach, co jakiś czas jeszcze rozświetlających niebo, widać było, że jest trupio blady. Tommy leżał na mokrej trawie, skulony w pozycji embrionalnej, wstrząsany dreszczami. Dłońmi zakrywał oczy i szlochał. Nad nim pochylała się skulona Deedee, na poły podtrzymując go, na poły osłaniając przed gniewem niebios. Zmoczona koszulka przylegała do jej pleców, ukazując dokładnie każdy krąg. Deedee twarz uniosła ku niebu i w ostatnich rozbłyskach przesuwał się na wschód burzy Baedeker mógł na niej dostrzec wyraz uniesienia. I buntu. Maggie pochylała się w stronę Baedekera, mokry kosmyk włosów przykleił mu się do policzka.

– Dziesięć, zero – powiedziała, całując go delikatnie.

Deszcz lał całą noc.

Tuż przed wschodem słońca doszli do południowego zbocza.

– To wszystko jest takie dziwne – westchnęła zamyślona Maggie. Baedeker pokiwał głową i oboje dalej ruszyli w górę za Gavinem. Około piątej rano, na długo zanim szare światło poranka rozjaśniło mroki nad tonącą w mżawce tundrą, Gavin spakował się i ruszył w drogę.

– Przyjechałem tu zdobyć ten szczyt. I mam zamiar to zrobić – powiedział tylko.

Ani Maggie, ani Baedeker nie zrozumieli, o co mu chodzi, ale ruszyli za nim. Baedeker widział pozostałe daleko w tyle dwa namioty, wciąż kryjące się w cieniu Uncompahgre. W nocy udało im się ponownie ustawić namiot Gavinów, ale z małego namiociku Tommy’ego pozostało zaledwie kilka strzępów nylonowego płótna porozrzucanych po całej tundrze, daleko od obozowiska. Przetrzęsając ciemności w poszukiwaniu spiwora i ubrań chłopaka, Gavin i Baedeker natknęli się na dwie, jeszcze nie napoczęte butelki whisky w walających się szczątkach namiotu. Deedee poznała, że pochodzą one z zapasów, które Gavin przechowywał na potrzeby swojej firmy.

Teraz Gavin zatrzymał się na zboczu, czekając aż go dogonią. Byli już powyżej wysokości trzech i pół tysiąca metrów. Wspinali się najkrótszą drogą prowadzącą bezpośrednio na stok, zrezygnowawszy z łatwiejszego dojścia od strony południowej. Baedeker czuł, jak wali mu serce. Był ogromnie zmęczony, ale nie przeszkadzało mu to iść dalej. Obok niego, ciężko dysząc, szła Maggie, czerwona od wysiłku. Baedeker uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

– Ktoś tam jest – odezwał się Gavin, pokazując w górę, gdzie jakaś postać z trudem forsowała stromiznę.

– Lude – rozpoznał Baedeker. Widział, jak chłopak pośliznął się i upadł, a potem z trudem podniósł się na nogi. – Niesie lotnię.

Gavin pokręcił głową.

– Ciekaw jestem, co skłania ludzi, aby ryzykowali życie dla tak bezużytecznego hobby.

– „O jakżeż pragnę rzucić się w bezdenną przepaść – powiedziała Maggie – i szybować nad straszliwą otchłanią”. Obaj obrócili się do niej. W ich oczach malowało się bezbrzeżne zdumienie.

– To Goethe – powiedziała onieśmielona, jakby na swoją obronę.

Gavin kiwnął głową, poprawił plecak i ruszył naprzód. Baedeker uśmiechnął się drwiąco.

– Nie mogłaś nauczyć się pierwszej zwrotki „Thanathopsis”, co?

Maggie wzruszyła ramionami i odpowiedziała uśmiechem.

Razem ruszyli pod górę, w stronę witającego ich słońca. Na wysokości czterech tysięcy metrów zobaczyli szczątki małego namiotu. Jakieś sto metrów dalej znaleźli Marię. Siedziała przykucnięta za skałą, z rękami wciśniętymi między kolana, drżąc z zimna, pomimo że cała okolica skąpana była w

promieniach słońca. Nie przestała trząść się nawet wtedy, gdy Maggie opatulila ją w puchową kurtkę i objęła ramionami.

– W... w... wiatr ro... ro... zwałił na... namiot na strzępy – słowa z trudem wydobywały się z zaciśniętych ust przez szczękające zęby. – Przemokliśmy d... d... do suchej ni... nitki. – AJe już wszystko w porządku – uspokajała Maggie.

– M... m... muszę i... i... iść do góry.

– Dzisiaj już nic z tego, moja panno – rzekł Gavin rozcierając zgrabiałe ręce dziewczyny. Wargi miała sine, a czubki palców całkiem białe.– Hipotermia. Musisz jak najszybciej zejść na dół. – Powiedzcie L... L... Lude'owi, że g... go przepraszam – wybuchnęła płaczem. Szlochom towarzyszyły fale dreszczy, wstrząsające całym jej ciałem.

– Zejdę z tobą – powiedziała Maggie. – Na dole dostaniesz gorącej kawy i zupy.

Podniosły się. Maria wciąż nie mogła opanować drżenia.

–Ja też zejdę z wami – zaofiarował się Baedecker. – Nie – zdecydowanie zaprotestowała Maggie. Wjej głosie była jakaś determinacja. – Powinieneś iść dalej. Obaj powinniście dojść na szczyt.

Przesyłała mu oczami jakąś wiadomość, ale nie potrafił jednoznacznie jej odczytać.

–Jesteś pewna? – spytał.

– Zupełnie pewna. Powinieneś iść, Richard.

Baedecker kiwnął głową i już miał podążyć za Gavinem, lecz zatrzymała go Maria.

– Niech pan poczeka! – wciąż trzęsąc się niemiłosiernie, wygrzebała z plecaka plastikowe pudełko. – Lude' za... zapomniał, że to jest u m... m... mnie w plecaku. Po... po... powinien sam to mieć przy sobie.

Baedecker otworzył pudełko w chwili, gdy za jego plecami pojawił się zaniepokojony Gavin. W pudełku, w styropianowej oprawie znajdowały się dwie jednorazowe strzykawki i dwie buteleczki z przezroczystym płynem.

– Nie! – zaprotestował Gavin. – Tego mu nie zaniemiemy.

Maria popatrzyła na nich, nic nie rozumiejąc. – M... m... musicie. On tego po... po... potrzebuje. Wczoraj zapomniał.

– Nie – rzekł Gavin kategorycznym tonem.

– Zaniemiemy mu zastrzyki – powiedział Baedecker i wsunął pudełko do kieszeni lotniczej kurtki. Nie cofnął się, gdy Gavin ruszył ku niemu. – To insulina – wyjaśnił. Ponownie uściskał dłoń Maggie i ruszył przed Gavinem w górę zbocza.

Lude' upadł jakieś sto pięćdziesiąt metrów przed szczytem. Gdy go znaleźli, leżał skulony pod ładunkiem owiniętych płótnem rurek. Oczy miał otwarte, twarz bładajak pergamin, oddech krótki i płytki.

Pomogli mu się wydostać spod ciężaru tobołka i we trójkę usiedli na wielkim kamieniu leżącym na skraju sześćsetmetrowego urwiska, pod którym zieleniła się łąka. Cień Uncompahgre rozciągał się teraz na odległość ponad kilometra, dochodząc do stromych zboczy Matterhornu. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko wysokie szczyty i nakrapiane śniegiem płaskowyże. Baedecker spojrzał w dół i dostrzegł czerwoną koszulę Maggie. Dwie dziewczyny schodziły wolno, oddzielnie szukając drogi w dół zbocza. – Dzięki, bracie. – Lude' oddał Gavinowi bidon z wodą. – Tego mi było trzeba. Wczoraj przed burzą skończyła się nam woda. Baedecker podał mu pudełko ze strzykawkami.

– Wielkie dzięki – rzekł cicho Lude, drżącą ręką pogładził się po brodzie. – Ale ze mnie głupol. Zapomniałem, że to było w plecaku Marii. I do tego jadłem wczoraj jakieś świństwo... Baedeker odwrócił wzrok, gdy chłopak wstrzykiwał sobie lekarstwo. Gavin spojrzął na zegarek i powiedział:

– Ósma czterdzieści trzy. Chętnie skoczyłbym na szczyt. Może byś tak pomógł naszemu przyjacielowi zejść na dół, a ja zaraz was dogonię.

Baedeker zawahał się, ale Lude wybuchnął śmiechem. Pakował już pudełko do kieszeni.

– Nic z tego, bracie. Nie po to taszczyłem cały ten majdan dwadzieścia pięć kilometrów, żeby teraz po prostu znieść go na dół. W życiu.

Z trudem stanął na nogi i spróbował podnieść toból. Zrobił pięć kroków w górę stromego, piaszczystego zbocza, po czym osunął się na kolana.

– Spokojnie – powiedział Baedeker. Odwiązał owinięte w żaglowe płótno rurki od plecaka i pomógł chłopakowi podnieść się z powrotem. – Ty nieś plecak. Ja wezmę żelastwo. Ruszył pod górę dziwiąc się, jak lekkie okazały się długie rurki. Tom Gavin mruknął coś pod nosem i ruszył przed nimi. Stok stawał się coraz bardziej stromy, ścieżka coraz węższa, teren coraz bardziej odsłonięty, w miarę jak zbliżali się do szczytu. Na ostatnich stu metrach Baedekerowi najbardziej dała się we znaki wysokość. Płucom wciąż brakowało powietrza, dzwonienie w uszach nie ustawało, potężne pulsowanie w skroniach sprawiało, że wzrok mu się mącił. Całą uwagę skupił na trudnym zadaniu, polegającym na stawianiu stopy za każdym razem wyżej i dalej niż poprzednio i utrzymywaniu obciążającego go ładunku wbrew potężnej sile ciężenia, grożącej rozgnieceniem go o skaliste zbocze. Przeciął szeroki pas płaskiego terenu i omal nie runął ze schodzącej niemal pionowo w dół południowozachodniej ściany, zanim się zorientował, że już są na szczycie. Przysiadł ciężko i zsunął z pleców tobołek z rurkami. Lude zwalił się z jękiem obok niego. Gavin usiadł na pobliskiej szerokiej skale i spokojnie palił fajkę. W czystym powietrzu rozniósł się ostry, słodkawy zapach tytoniu.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, żeby przesiadywać tu na szczycie, Dick – odezwał się. – Przed wieczorem musimy zejść do Henson Creek.

Baedeker nie odpowiedział. Patrzył na Lude'a. Chłopak wciąż był blady i ręce mu drżały. Zaraz jednak podczołgał się do ogromnego ładunku i zaczął wyciągać aluminiowe rurki. Rozłożył na ziemi kwadratową płachtę z czerwonego nylonu, wyciągnął z plecaka płócienną torbę z narzędziami i zaczął rozkładać części lotni.

– Linki – wyliczał. – Stal nierdzewna. Kształtowniki. Baedeker przysunął się do niego i obserwował, jak wyjmuje z plecaka kolejne worki i woreczki.

– Uprząż – ciągnął Lude. – Nakolanniki przyczepiane na rzepy. Podwieszenie na karabinku.

Baedeker dotknął metalowego pierścienia, czując pod palcami nagrzaną słońcem stalową powierzchnię i chłodniejsze warstwy metalu pod spodem.

– Śruby i nakrętki. – Lude rozkładał kolejne części i paczuski na czerwonej płachcie zgodnie z jakimś wcześniej ustalonym planem. Wydawało się, że powtarza kolejne wezwania wyuczonej na pamięć litanii. – Napinacze linek, podpory, listwy, uchwyty, nakładki. – Przeszedł do większych części: – Wspornik skrzydła, osłona nosa, wsporniki, poprzeczka, drążek sterowniczy. – Poklepał ręką złożone płótno. – Żagiel.

– Powinniśmy już schodzić – przypomniał Gavin.

– Za chwileczkę – powiedział Baedeker.

Lude połączył dwie długie aluminiowe rurki i wygiął je pod kątem stu stopni.

Pomarańczowobiałe płótno zostało rozpostarte jak błyszczące w słońcu skrzydła motyla. W parę minut zamocował podporę główną i poprzeczkę. Następnie skupił się na przywiązywaniu linek łączących różne elementy.

– Pomożesz mi, bracie? – zwrócił się do Baedeckera. Baedeker wziął narzędzia i zgodnie ze wskazówkami chłopaka mocował śruby oczkowe, podwiązywał luźne końcówki linek do drążka sterującego i dokręcał nakrętki. Ludę nadmuchał kieszenie znajdujące się pod krawędzią natarcia skrzydła i Baedeker zauważył, że linia profilu lotniczego była regulowana. Trzydzieści lat doświadczenia w oblatywaniu specjalistycznych jednostek powietrznych pozwoliło mu odpowiednio docenić elegancką prostotę rogallo. Wydało mu się, że ta kilkumetrowa konstrukcja ze stali, aluminium i płótna stanowi kwintesencję piękna i precyzji wszelkich urządzeń latających, stworzonych przez człowieka. Kiedy skończyli, Ludę sprawdził wszystkie połączenia dokonane przez Baedeckera i po chwili lotnia stała na szczycie góry niczym olbrzymi owad, gotowy do lotu. Baedeker zdziwił się wielkością lotni; odległość od kilu do nosa wynosiła cztery i pół metra, rozpiętość trójkątnego skrzydła – dziewięć metrów.

Gavin wytrząsnął fajkę, stukając nią o skałę.

– Gdzie hełm? – spytał.

– Maria ma hełm – odparł Ludę. Nagle podniósł wzrok, spojrzał na Gavina, potem na Baedeckera i wybuchnął śmiechem. – Hej, ludzie, widzę, że nic nie rozumiecie! Ja nie latam. Ja je konstruuje, zmieniam, udoskonalam i wybieram miejsce. Maria będzie latać.

Tym razem roześmiał się Gavin.

– Dziś to raczej niemożliwe. Maria zeszła na dół do naszego obozu. Ledwo chodzi, a co tu dopiero mówić o lataniu. – Pieprzysz, człowieku! Maria idzie za mną.

Baedeker potrząsnął głową.

– Hipotermia – wyjaśnił. – Maggie zabrała ją na dół. Ludę rzucił się w stronę południowozachodniego krańca szczytu. Na widok dwóch sylwetek schodzących do podnóża zbocza, dziewięćset metrów niżej, złapał się obiema rękami za głowę. – Cholera, to niemożliwe! – Usiadł ciężko na skale. Opadające włosy przysłoniły mu twarz. Baedeker usłyszał odgłosy, które najpierw odczytał jako szloch, lecz wkrótce zrozumiał, że chłopak zanosi się nerwowym śmiechem. – Dwadzieścia pięć pieprzonych kilometrów dźwigałem to gówno na plecach! – mówił Ludę i wciąż się śmiał. – Całą drogę pod górę, a teraz wszystko na darmo! – W dodatku nici z filmu – powiedział Gavin.

– Do diabła z filmem! – zawołał Ludę. – Raczej nici z hołdu.

– Z hołdu? – zdziwił się Gavin. – Jakiego hołdu?

– Chodźcie. – Ludę wstał i zaprowadził ich na skraj urwiska. – To miał być hołd złożony temu wszystkiemu – zakreślił dłonią koło obejmujące szczyty, doliny i bezchmurne niebo. Gavin pokiwał głową.

– Piękna jest potęga Boskiego stworzenia – zgodził się – ale tego rodzaju szalone wyczyny wcale nie oddają czci ani Stwórcy, ani jego dziełu.

Ludę przyjrzał się uważnie Gavinowi i wolno pokręcił głową.

– Mylisz się, człowieku. To wszystko nie jest czyjąś tam rzeczą.

To wszystko po prostu jest. I koniec. A my jesteśmy tego częścią.

Dlatego to wszystko zasługuje na hołd. Rozumiesz? Tym razem Gavin pokręcił głową z

politowaniem, jakby użalał się nad niedojrzałym dzieciakiem.

– Skały, powietrze, śnieg – powiedział – to wszystko samo w sobie nic nie znaczy.

Ludę długą chwilę spoglądał na Gavina, byłego kosmonautę, gdy ten zarzucał plecak na ramiona. W końcu się uśmiechnął. Łagodny wiatr rozwiewał mu długie włosy.

– Wiesz co, bracie? Ty naprawdę masz coś z głową. – Chodź, Dick. – Gavin odwrócił się do Lude’a plecami. – Musimy już zacząć schodzić.

Baedecker podszedł do lotni, wczuł się pod skrzydło i podniósł uprząż.

– Pomóż mi – poprosił.

Ludę podbiegł do niego podekscytowany.

– Jesteś pewny, bracie?

– Pomóż mi – powtórzył Baedecker. Ludę już uwijał się przy zapinaniu sprzączek, zaciskaniu nylonowej uprząży, dociąganiu pasów w talii i na ramionach. Pasy w kroku i półkoliste pierścienie przypomniały Baedeckerowi spadochrony, które miał okazję zakładać na siebie przez wiele lat.

– Ty chyba nie myślisz poważnie! – zdziwił się Gavin. Baedecker milczał. Ludę zapiął mu rzepy i pokazywał, jak należy wyrzucić ciało w przód, aby uzyskać właściwą pozycję do latania. Baedecker stanął i podniósł lotnię, trzymając za trójkątny czubek metalowej konstrukcji, podczas gdy Ludę przytrzymał kil równoległe do ziemi.

– Ty masz źle w głowie! – wołał Gavin. – Skończ te popisy, Dick, to dziecinada. Nie masz nawet kasku. Będziemy musieli wołać górskie pogotowie, żeby ściągnęli twoje ciało ze ściany. Wiatr dmuchał łagodnie z zachodu z szybkością nie większą niż piętnaście kilometrów na godzinę. Baedecker zrobił dwa kroki naprzód w stronę urwiska. Skrzydło lotni podskakiwało lekko na jego ramionach. Wiatr szarpał naprężone linki i lekko falujące płótno.

– To niedorzeczne, Dick. Zachowujesz się jak nastolatek. – Nos zawsze do góry, bracie! – wołał Ludę. – I balansuj ciałem przy zakręcaniu!

Baedecker zbliżył się do krańca szczytu na odległość dwóch i pół metra. Nie było żadnej pochyłości. Skalny podest gwałtownie się urywał i zaraz za krawędzią otwierała się przepaść. Jakies trzydzieści metrów niżej widać było tarasy uformowane z poszarpanych skał, a za nimi urwisko ciągnęło się pionowo w dół. Baedecker widział w dole czerwoną koszulę Maggie, małą kolorową plamkę na tle brązowobiałej, usianej głazami tundry. – Dick! – warknął Gavin. Zabrzmiało to jak wojskowa komenda. – Nie próbuj pełnych obrotów, póki nie będziesz miał pod sobą co najmniej trzystu metrów powietrza – mówił Ludę. – I trzymaj się z dala od stoków, bracie.

– Jesteś skończonym durniem – rzekł Gavin cicho. To brzmiało jak ostateczny osąd. Jak werdykt. – Chyba się wygłupiasz. Baedecker przecząco pokręcił głową.

– Składam hołd – powiedział. Zrobił pięć kroków w przód i uniósł się w powietrze.

CZEŚĆ CZWARTA

LONEROCK

Ostatni dzień roku. Chmury wiszą nisko nad ziemią. Krótki samochodowy kondukt jechał tu z Salem w stanie Oregon cztery i pół godziny, co jakiś czas przedzierając się przez gęstą śnieżycę. Aczkolwiek nie minęło jeszcze południe, światło dzienne wydaje się wyblakłe i nierównomiernie rozproszone, takjakby oświetlało głównie drzewa, kamienie i drewnianą chatę, resztę otoczenia pozostawiając w szarości jako niewyraźne kontury. Jest zimno. Biały dymek z rury wydechowej stojącego karawanu owiewa sześciu mężczyzn, którzy z sapaniem wyciągają podłużną skrzynię z tyłu pojazdu i niosą ją przez chrzęszczący pod butami, oszroniony trawnik. Przez rękawiczkę Baedecker czuje chłód brązowego uchwytu i dziwi się, jak lekkie wydaje się ciało przyjaciela. Niesienie potężnej trumny z pięcioma innymi ludźmi nie wymaga żadnego wysiłku. Baedecker przypomina sobie zabawę z lat dziecińczych, polegającą na tym, że grupa chłopaków podnosiła leżącego na znak ochotnika w taki sposób, że każdy wkładał pod rozciągnięte na ziemi ciało tylko jeden palec. Leżący dzieciak zostawał uniesiony o kilka centymetrów nad ziemię przy akompaniamencie chichotów całej reszty. Zabawa ta zawsze wywoływała w nim lekki niepokój, gdyż wydawało mu się, że podnosząc kogoś w ten sposób, rzucają wyzwanie prawu ciężenia, próbują podważyć niepodważalne zasady. Ale zawsze piszczący lub skręcający się ze śmiechu dzieciak w sposób mniej lub bardziej gwałtowny w końcu lądował na ziemi, jak gdyby grawitacji ostatecznie udawało się wymusić posłuch. Przy wykopanym grobie stoi dwadzieścia osiem osób. Mogło być ich dużo więcej. Mówiło się o przyjeździe wiceprezydenta, ale ponieważ zbyt pachniało kampanią wyborczą, Diana szybko ukreśliła łeb całej sprawie. Baedecker spogląda w lewo i widzi wieżę kościoła metodystów w Lonerock, w dolinie oddalonej stąd o trzy kilometry. Wydaje się, że nikłe światło na wieży to zapala się, to gaśnie, w miarę jak kolejne warstwy chmur przesłaniają dach świątyni. Przed dzisiejszym nabożeństwem pogrzebowym kościół był zamknięty przez długie lata i kiedy Baedecker rozpałał ogień w metalowym piecu, starając się zdążyć przed przyjazdem pozostałych żałobników, wzrok jego przyciągnęła data na jednym ze strzępów starej gazety: dwudziesty pierwszy października 1971 roku. Baedecker znieruchomiał na chwilę, usiłując przypomnieć sobie, gdzie on i Dave mogli znajdować się dwudziestego pierwszego października tamtego roku. Było to na trzy miesiące przed ich lotem. Najpewniej byli wtedy w Houston lub na Canaveral. Baedecker nie pamiętał.

Ceremonia przy grobie jest krótka i prosta. Pułkownik Terrence Paul, kapelan Wojsk Lotniczych i stary przyjaciel, wypowiada kilka słów o zmarłym. Po nim przemawia Baedecker. Przywołuje obraz przyjaciela przemierzającego powierzchnię Księżyca długimi, płynnymi susami, otoczonego jasną poświatą. Zostaje odczytany głośno telegram od Toma Gavina. Inni także zabierają głos. Wreszcie Diana mówi cicho o miłości męża do latania i do rodziny. Raz czy dwa głos jej się załamuje, ale opanowuje się i kończy przemówienie.

W ciszy, która potem nastaje, Baedecker niemal słyszy szmer, z jakim płatki śniegu osiadają na płaszcach, trawie i trumnie. Nagle słychać głośny warkot, który wstrząsa całą okolicą, i wszyscy unoszą wzrok w górę, by ujrzeć cztery T-38 nadlatujące zwartym szykiem na wysokości nie większej niż sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią, żeby zmieścić się pod niskim pułapem chmur. W chwili gdy cała czwórka przetacza się nad głowami z rykiem, który zdaje się przenikać do szpiku kości, jedna z maszyn na skrzydle gwałtownie wychodzi z szyku, wznosi się niemal pionowo i po chwili znika w chmurach. Pozostała trójka leci dalej. Hurkot dopalaczy słabnie, zmienia się w niski jęk i powoli cichnie. Baedecker widząc ten symboliczny szyk ze znikającym pilotem zawsze się wzruszał. Teraz też mruga gwałtownie, starając się powstrzymać łzy napływające mu do oczu. Generał Layton,

kolejny przyjaciel rodziny, daje znak głową i po chwili poczet honorowy Wojsk Lotniczych w uroczysty sposób zwija amerykańską flagę, dotąd okrywającą trumnę. Generał Layton przekazuje zwinięty sztandar na ręce Diany.

Następnie żałobnicy pojedynczo i małymi grupkami podchodzą do wdowy mruczając kondolencje, na moment przystają przed grobem i z wolna ruszają w stronę czekających za płotem samochodów.

Baedecker czeka z tyłu. Po drugiej stronie doliny brązowe wzgórza usiane są łatami szarego śniegu. Nitka szosy przecina urwisko niczym blizna. Dalej na zachód nad porośniętymi sosnowym lasem wzgórzami wznosi się potężny garb, przypominający grzbiet stegozaura. Baedecker patrzy na mały szalas po drugiej stronie cmentarza i widzi zaparkowaną obok niego żółtą koparkę, ukrytą przed wzrokiem żałobników. Dwaj mężczyźni w grubych szarych kombinezonach i niebieskich czapkach palą papierosy patrząc w jego stronę. „Czekają, kiedy sobie pójdę” – myśli Baedecker. Ostatni raz rzuca okiem na szarą trumnę ułożoną nad dołem wykopanym w zmrożonej ziemi, odwraca się i rusza w stronę samochodów.

Diana czeka przy otwartych drzwiach białego dżipa cherokee i pożegnawszy ostatniego żałobnika sadowiącego się w swym samochodzie, macha ręką na Baedeckera.

– Richard, czy zjedziesz ze mną na dół?

– Jasne – mówi Baedecker. – Mam prowadzić?

– Nie, ja poprowadzę.

Ich samochód jest ostatni. Zjeżdżają w dół zwirowaną alejką. Młoda wdowa nie ogląda się za siebie, by po raz ostatni popatrzeć na cmentarz. Blade dłonie mocno zaciska na kierownicy. W miarę jak zjeżdżają coraz niżej krętą uliczką, zaczyna padać coraz gęstszy śnieg, więc Diana włącza wycieraczki. Przez kilka minut słychać jedynie miarowe stukanie przesuwających się w tę i z powrotem zakończonych gumą piórek i monotony szum ogrzewania.

– Myślisz, że wszystko wypadło jak należy? – Diana odpina płaszcz i zmniejsza ogrzewanie. Pod płaszczem ma ciemnogramatową suknię. Przez trzy dni, jakie miała na przygotowanie pogrzebu, nie udało jej się dostać sukienki ciążowej w czarnym kolorze. – Raczej tak.

– Ja też tak myślę – mówi Diana, kiwając głową. Przejeżdżają przez kratkę osłaniającą rów odchodzący od pastwiska. Samochód jadący przed nimi zahamował tuż przed odcinkiem pełnym wybojów na rozjeżdżonej drodze. Przecinają jakieś pole, a potem skręcają w prawo, w następną zwirową drogę prowadzącą w kierunku doliny.

– Zostaniesz u nas dzisiaj na noc? – pyta Diana. – Zjemy coś ciepłego tutaj, w domu, a potem wracamy do Salem. – Jasne – odpowiada Baedecker. – Obiecałem Bobowi Munsenowi, że dziś po południu zobaczę się z nim na drugich oględzinach komisji, ale do siódmej powinienem się wyrobić. – Tucker też będzie z nami – dodaje szybko, jakby go nie przekonała. – I Katie. Fajnie byłoby jeszcze spotkać się razem ostatni raz.

– To wcale nie musi być ostatni raz, Di – mówi Baedecker. Diana kiwa głową, ale się nie odzywa. Baedecker patrząc na jej twarz przypomina sobie porcelanową lalkę z Niemiec, którą jego matka trzymała na biurku. Pewnego deszczowego dnia rozbił ją pośród jednej z szalonych gonitw z Bootsem, ich przerośniętym spanielem. Chociaż ojcu udało się z mozołem skleić lalkę, od tego czasu widać było ledwo dostrzegalne linie pęknięć na białych porcelanowych policzkach i szyi. Teraz Baedecker przygląda się Dianie, jakby szukał linii pęknięć na jej twarzy. Śnieg zaczyna padać coraz gęściej.

Baedecker przyjechał do Salem w pierwszych dniach października. Wygramolił się z wagonu pociągu, wyciągnął bagaż i rozejrzał się dookoła. Małutki budynek stacji znajdował się w odległości kilkudziesięciu kroków. Był nie większy niż duży domek kempingowy, wyglądał, jakby wybudowano go w początku lat dwudziestych, a następnie porzucono. Spomiędzy dachówek wyrastały kępy mchu.

– Richard!

Ponad głowami witającej się rodziny dostrzegł wysoką sylwetkę Dave’a Muldorffa niedaleko budynku stacji. Pomachał mu ręką, podniósł z ziemi swoją starą, wojskową torbę lotniczą i wolno ruszył w jego kierunku.

– Cholera, dobrze znów cię widzieć – powiedział Dave. Jego dłoń była wielka, uścisk mocny.

– Ja też się cieszę, że cię widzę. – Baedecker w nagłym przypływie uczucia zdał sobie sprawę, że rzeczywiście poczuł się bardzo szczęśliwy na widok starego kumpla z załogi. – Jak długo się nie widzieliśmy, Dave? Dwa lata?

– Prawie trzy. Ostatnio na fecie w Muzeum Lotnictwa i Kosmonautyki u Mike’a Collinsa. Co zrobiłeś sobie w nogę? Baedecker uśmiechnął się smętnie i postukał się w prawą stopę kijkiem, którym podpierał się jak laską. – Skręciłem sobie kostkę, jak byłem w górach z Tomem Gavinem.

Dave podniósł jego torbę i obaj z wolna ruszyli w stronę parkingu.

– Co u Toma?

– W porządku – rzekł Baedecker. – Oboje z Deedee mają się świetnie.

– Słyszałem, że ostatnio działa w branży apostołskiej, czy to prawda?

Baedecker spojrzał z zainteresowaniem na starego kumpla. Gavin i Muldorff nigdy nie pałali do siebie zbyt miłą miłością, toteż był ciekawy, co czuje Dave teraz, prawie siedemnaście lat po ich wspólnym locie.

– Prowadzi grupę ewangelizacyjną o nazwie „Apogeum”.

Całkiem nieźle sobie radzi.

– To świetnie – powiedział Dave. W jego głosie brzmiała szczerłość. Podeszli do całkiem nowego białego dżipa cherokee. Dave wrzucił do tyłu torbę Baedeckera i walizkę. – Miło słyszeć, że u Toma wszystko w porządku.

W dżipie pachniało nowymi obiciami rozgrzany długim oczekiwaniem na słońcu. Baedecker opuścił szybę w oknie. Październikowy dzień był ciepły i bezchmurny. Pożółkłe suche liście chrzęściły poruszane wiatrem na wielkim dębie, tuż przy parkingu. Niebo było ogromną, zapierającą dech płachtą błękitu.

– Myślałem, że tu, w Oregonie zawsze pada – powiedział Baedecker.

– Przeważnie. – Dave wyjechał dżipem na ulicę i włączył się w kolumnę samochodów. – Słońce wychodzi tu na trzy, cztery dni w roku, dając nam czas na wydłubanie grzybków spomiędzy palców u nóg. Ale gliny, stacje telewizyjne i miejscowa baza lotnictwa nienawidzą takich dni jak dzisiaj.

– A to czemu?

– Dostają wtedy setki telefonów z sensacyjną wiadomością, że na niebie pojawił się wielki, okrągły, żółto świecący, niezidentyfikowany obiekt latający.

–Aha.

– Wcale nie żartuję. W całym stanie wampiry biegiem pędzą do swych trumienek. To jedyny

stan w tym kraju, gdzie mogą spokojnie załatwiać swoje sprawy w dzień, bez narażania się na działanie promieni słonecznych. Kilka pogodnych dni to dla licznej rzeszy miejscowych nosferatu prawdziwy szok.

Baedecker wyciągnął się wygodnie na siedzeniu i przymknął oczy. Zanosilo się na długą wizytę.

– Hej, Richard, czy powiedziałbyś, że ostatnio odbyłem stosunek oralny z kurą?

Baedecker otworzył jedno oko. Jego stary kumpel z załogi wciąż stanowił szczuplejszą i nieco podstarzałą wersję Jamesa Garnera, grającego detektywa Rockforda w telewizyjnym serialu. Teraz twarz miał bardziej pomarszczoną, a kości policzkowe bardziej wydatne niż kiedyś, ale w czarnej czuprynie nie było widać ani jednego siwego włosa.

– Nie – odpowiedział Baedecker.

– To dobrze. – Dave odetchnął z ulgą. Nagle zakaszłał dwukrotnie, zasłaniając usta zwiniętą w pięść dłonią. Kawałki podartej chusteczki higienicznej uniosły się w powietrze niczym pierze.

Baedecker ponownie zamknął oczy.

– Naprawdę cieszę się, że przyjechałeś, Richard – powiedział Dave Muldorff.

Baedecker uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

– Naprawdę cieszę się, że tu jestem, Dave.

Baedecker sprzedał samochód w Denver i razem z Maggie Brown wsiadł do pociągu jadącego na zachód. Nie wiedział czy to dobra decyzja – podejrzewał, że raczej nie – ale przynajmniej raz odważył się na podjęcie jakiegoś działania bez przeprowadzania długotrwałej wstępnej analizy.

Pociąg o nazwie „Amtrak California Zephyr” wyjechał z Denver o dziewiątej rano. Razem z Maggie udali się na śniadanie do wagonu restauracyjnego, podczas gdy długi rząd wagonów zagłębiał się w jeden z czekających ich pięćdziesięciu pięciu tuneli Kolorado. Baedecker długo przyglądał się papierowym talerzom, papierowym serwetkom i papierowemu obrusowi.

– Gdy ostatnim razem podróżowałem pociągiem w Stanach, na stole leżał prawdziwy lniany obrus, a jedzenie nie było podgrzewane w kuchence mikrofalowej – powiedział. Maggie uśmiechnęła się.

– Kiedy to było? Podczas drugiej wojny światowej? – zązartowała. Robiła wyraźną aluzję do jego częstego podkreślania dzielącej ich różnicy wieku, ale zaskoczony Baedecker aż zamrugnął ze zdziwienia, bo zdał sobie sprawę, że to rzeczywiście było podczas wojny. W któreś wakacje jechał wraz z matką i siostrą Annę z Peorii do Chicago, w odwiedziny do krewnych. Baedecker przypominał sobie siedzenia ustawione tyłem do kierunku jazdy, przyciszone głosy portierów i kelnerów w wagonie restauracyjnym oraz wstrząsające wrażenie, jakie wywarły na nim oświetlone ulice i okna domów w ogarniętym nocą mieście widzianym z okien pociągu. Chicago wyglądało jak konstelacja światła i ciągnących się rzędami rozświetlonych regularnych prostokątów, migających w oczach, w miarę jak pociąg przemieszczał się po wysokich torach. Mimo że urodził się w Chicago i znał je dość dobrze, widok ten sprawił, iż dziesięcioletniego Baedeckera ogarnęło poczucie zagubienia. W dwadzieścia lat po owej wycieczce do Chicago miał to samo uczucie, kiedy „Apollo” stracił kontakt radiowy z Ziemią, a widok rozciągający się przed jego oczami wypełniła nieregularna powierzchnia tarczy Księżyca. Pamiętał, jak opierał się o malutkie okienko członu dowodzenia i wycierał dłonią zaparowaną szybę, podobnie jak to robił czterdzieści pięć lat wcześniej, gdy pociąg wiozący jego, matkę i siostrę hamował na Union Station.

– Czy państwo już skończyli? – głos kelnera brzmiał wojowniczo.

– Chyba tak – odparła Maggie, dopijając resztkę kawy. Kelner schwycił czerwony papierowy obrus z dwóch przeciwległych rogów, zwinął go razem ze stojącymi na nim papierowymi talerzykami, plastikowymi sztućcami oraz styropianowymi kubkami i wrzucił to wszystko do pobliskiego pojemnika. – Postęp – mruknął Baedeker, gdy przeciskali się pomiędzy stolikami do wyjścia.

– Co mówiłeś? – spytała Maggie.

–Nic.

W nocy, kiedy Maggie spała w jego ramionach, widział przez okno, jak gdzieś na boczniczy w Salt Lake City zmieniają lokomotywę. Pod nie używanym wiaduktem, pośród wysokiego zielska wyniszczzonego jesiennymi przymrozkami grzała się przy ogniu gromada wyrobników. „Czy wciąż mówi się na nich „wyrobnicy”?” – zastanawiał się Baedeker.

Rankiem on i Maggie zbudzili się tuż przed świtem, gdy pierwszy blask zajaśniał na różowych skałach pustego kanionu, przez który pędził pociąg. Baedeker obudził się z przecuciem, że podróż ta okaże się wielką klapą i wszystko, co zbliżyło ich podczas wspólnej wycieczki w Indiach i co na nowo odkryli w górach Kolorado, nie sprostą rzeczywistości nadchodzących dni. W milczeniu przyglądali się wschodzącemu słońcu. Pociąg gnał na zachód, skały i płaskie wzgórza migały im przed oczami. Poranek wypełniała ulotna, delikatna cisza.

* * *

Dave i Diana Muldorffowie mieszkali w bogatej willi na przedmieściu Salem. Taras ich domu wychodził na strumyk porośnięty po obu stronach drzewami, w którego szum wsłuchiwał się Baedeker, pałaszując stek ze smażonymi ziemniakami. –Jutro zabierzemy cię do Lonerock – oznajmi! Dave. – Ciekawa propozycja – rzekł Baedeker. – Chętnie zobaczę to cudo, o którym nasłuchałem się przez tyle lat. – Dave cię zabierze – powiedziała Diana. –Ja mam jutro przyjęcie w Domu Dziecka, a w niedzielę prowadzę kwestę. Zobaczymy się w poniedziałek.

Diana Muldorff miała trzydzieści cztery lata, była o czternaście lat młodsza od męża. Jej zmierzwiona grzywka ciemnych włosów, bystre niebieskie oczy, zadarty nosek i piegi przypomniały Baedekerowi wszystkie dziewczęta z akademika, których nigdy nie poznał. Ale na twarzy Diany malowała się jakaś powaga, ledwie zauważalna, lecz wyraźna dojrzałość rzucająca się w oczy szczególnie teraz, gdy była w szóstym miesiącu ciąży. Tego wieczoru ubrana była w cienkie dżinsy i jasnoniebieską koszulę z długimi połami. – Świetnie wyglądasz, Di – powiedział pod wpływem nagłego impulsu. – Cięża pasuje do ciebie.

– Dzięki, Richard. Ty też dobrze wyglądasz. Chyba trochę schudłeś od czasu tamtego przyjęcia w Waszyngtonie. Baedeker zaśmiał się. W tamtym czasie osiągnął największą nadwagę w swoim życiu – osiemnaście kilogramów. Dzisiaj jednak nadal był o całe dziesięć kilo cięższy niż podczas misji. – Wciąż biegasz? – spytał Dave. Muldorff jako jedyny spośród kosmonautów drugiej generacji nie uprawiał regularnych biegów. Zawsze było to kością niezgody pomiędzy nim a dowództwem. Teraz, w dziesięć lat po wycofaniu się z programu misji, wyglądał na szczuplejszego niż wtedy. Baedeker zastanawiał się, czy przyczyną nie jest czasem choroba Dave'a.

– Czasami – odpowiedział. – Zacząłem znowu kilka miesięcy temu, jak wróciłem z Indii.

Diana postawiła na stole kilka oszronionych butelek piwa. Resztki wieczornego światła rozlały się jasnymi plamami na jej policzkach.

– No i jak było w Indiach? – spytała.

– Ciekawy kraj – odparł lakonicznie Baedeker. – Zbyt mało miałem czasu, żeby wszystko

zwiedzić.

– Spotkałeś się ze Scottem? – spytał Dave.

– Przez moment.

– Dawno nie widziałem Scotta. Pamiętasz nasze wyprawy na ryby do Galveston na początku lat siedemdziesiątych? Baedecker przytaknął ruchem głowy. Pamiętał te nie kończące się upalne popołudnia i ciepłe wieczory, kiedy wraz z synem wracali z tych wypraw spaleni słońcem.

– Czerwonoskórzy nadchodzą! – wołała na ich widok Joan z udawanym przerażeniem. – Wyciągać maści!

– Wiesz, że ten... jak on się nazywa... ten święty Scotta ma przyjechać na stałe do swojego ashramu niedaleko Lonerock? – zapytała Diana.

Baedecker zamrugał zdziwiony.

– Na stałe? Nie, nic o tym nie wiedziałem.

– A jak wyglądał ten ashram Scotta w Punie? – spytał Dave. – Nie bardzo wiem. – Przypomniał sobie sklep na zewnątrz głównego budynku, gdzie można było kupić tylko koszulki z wizerunkiem brodatej twarzy Mistrza. – Byłem w Punie tylko dwa dni i nie zdążyłem dokładnie zwiedzić ashramu.

– Czy Scott wróci do Stanów, kiedy cała grupa przeniesie się tutaj? – zapytała Diana.

Baedecker łyknął piwa.

– Nie mam pojęcia. Może już jest tutaj. Obawiam się, że straciłem z nim kontakt.

– Nie chciałbyś wstąpić do pokoju Billa Yarda na szybką gierkę? – zaproponował zniechęca Dave, zmieniając temat. – Do pokoju Billa Yarda? – powtórzył Baedecker, nic nie rozumiejąc.

– Co jest, stary? – zdziwił się Dave. – Czy to możliwe, żebyś w złotym wieku telewizji nie oglądał ani jednego odcinka „The Beverly Hillbillies”?

– Nie oglądałem – odparł Baedecker.

Dave przewrócił oczami i spojrzał na Dianę.

– Oto cały problem z tym gościem. Jest kulturalnie zacofany.

Diana kiwnęła głową.

– Jestem pewna, David, że pomożesz mu nadrobić te braki. Muldorff dolał piwa do obu kufli i wzięwszy je w dłonie, ruszył ku drzwiom prowadzącym na taras.

–Jego szczęście, że mam nagrane dwadzieścia odcinków na kasetach. Zasiądziemy do nich, jak tylko rozwalę go w szybkiej, acz dla niego całkowicie rujnującej finansowo partyjce poola. Pajdi sa mnoj, mon sewer Baedecker.

– Oui – odpowiedział mu Baedecker. Zebrał naczynia ze stołu i zaniósł je do kuchni. – Einen Augenblick, porfavor, mon ami. Baedecker parkuje wynajęty samochód i idzie dwieście metrów pod górę. Wiele razy widział już miejsca katastrofy, nie spodziewa się, by tym razem coś go miało zaskoczyć. Myli się. Gdy wchodzi na szczyt wzniesienia, czuje uderzenie lodowatego wiatru i w tej samej chwili dostrzega wyraźny kontur Góry Świętej Heleny. Wulkaniczny stożek wznosi się nad doliną i pasmem wzgórz niczym ogromna bryła lodu, kształtem przypominająca olbrzymi pniak, pozostały po ściętym drzewie. Nad płaskim szczytem unosi się smużka dymu lub mały obłoczek. Po raz pierwszy od chwili przybycia tutaj Baedecker zdaje sobie sprawę, że pod stopami ma wulkaniczny popiół. Pod cienką warstwą śniegu gleba jest raczej szara niż brązowa. Płatanina śladów na szczycie wzgórza przypomina mu o zdeptanej powierzchni Księżyca wokół lądownika,

gdy on i Dave wracali z ich ostatniego wyjścia pod koniec drugiego dnia.

Widok miejsca wypadku, groźna sylwetka wulkanu, popiół pod stopami nasunęły mu myśl o nieuniknionym tryumfie katastrofy i chaosu nad porządkiem i ładem. Z pobliskich skał i krzaków zwisały żółtopomarańczowe kawałki plastikowej taśmy oznaczające miejsca, które komisja prowadząca dochodzenie uznała za godne uwagi. Ku zaskoczeniu Baedeckera wrak samolotu wciąż jeszcze nie został usunięty. Widzi dwa pasy wypalanej ziemi oddalone od siebie o jakieś trzydzieści metrów – T-38 najpierw uderzył o wzniesienie, odbił się i poleciał dalej, a potem runął, rozpadając się na części. Większość szczątków rozbitej maszyny leży opodal rzędu skałek, które wystają nad powierzchnię zbocza i przypominają wyrzynające się zęby trzonowe. Śnieg i popiół zostały rozrzucone promieniście. Widok ten przypomina Baedeckerowi pomniejsze księżycowe kratery w pobliżu miejsca, gdzie lądowali, niedaleko Wzgórz Mariusa.

Z samolotu pozostało kilka zniekształconych, poskręcanych szczątków. Sekcja ogona jest niemal nienaruszona – półtora metra błyszczącego metalu, z którego Baedecker odczytuje numer seryjny Straży Powietrznej. Rozpoznaje długie, ciemny kształt jednego z dwóch silników odrzutowych produkcji General Electrics. Dookoła pełno jest nadtopionych kawałków plastiku i poskręcanych fragmentów blachy. Płatania białych, izolowanych przewodów wystaje tu i ówdzie z rozbitego kadłuba niczym wylewające się wnętrzności zaszlachtowanego zwierza. Baedecker widzi fragment nadpalonej pleksiglasowej osłony kabiny pilota, wciąż złączony z częścią kadłuba. Gdyby nie kawałki kolorowej taśmy i mnóstwo śladów stóp, trudno byłoby się zorientować, że w środku tego pogruchotanego metalowego korpusu znajdowało się ciało człowieka. Baedecker robi dwa kroki w stronę zniszczonej kabiny pilota, nadeptuje na coś, patrzy w dół i cofa się przestraszony. – O Boże! – wyrywa mu się, mimo iż po chwili zdaje sobie sprawę, że kawałek kości i spalonego ciała pokrytego osmalonymi włosami ukryty pod krzakiem musi być szczątkiem jakiegoś małego zwierzęcia, które na swoje nieszczęście znalazło się tutaj, gdy samolot runął na ziemię. Przykuca, by przyjrzeć się z bliska szczątkom. Zwierzę musiało być rozmiarów dużego królika, ale zaskakuje go ciemny kolor resztek futra. Sięga po mały patyczek, aby przewrócić martwe ciało.

– Hej, tu nie wolno wchodzić! – jakiś człowiek w mundurze konnej policji sapiąc biegnie pod górę w jego stronę. – W porządku – mówi Baedecker i pokazuje swoją przepustkę z Bazy Lotnictwa imienia McChorda. – Mam tu się spotkać z ludźmi prowadzącymi dochodzenie.

Policjant kiwa głową i zatrzymuje się parę kroków od Baedeckera. Zatyka kciuki za pas i z trudem usiłuje złapać oddech. – Niezłe pobojoństwo, co?

Baedecker spogląda w niebo. Znowu zaczyna padać śnieg. Szczyt Góry Świętej Heleny znika zasłonięty chmurami. W powietrzu unosi się swąd palonej gumy, chociaż o ile Baedecker wie, w konstrukcji samolotu niewiele jest elementów gumowych, jeśli nie liczyć opon.

– Pan też z komisji? – pyta policjant.

– Nie. Znałem pilota.

– Aha – policjant szura nogami i ogląda się do tyłu na drogę.

– Dziwi mnie, że jeszcze nie usunęli wraku – mówi Baedecker. – Zazwyczaj starają się jak najszybciej przetransportować szczątki do najbliższego hangaru.

– Były problemy z transportem. Pułkownik Fields i faceci z rządu załatwiają to całe dzisiejsze popołudnie. Wyjaśniają sprawę ciężarówek z Camp Withycombe w Portland. Jest też problem jurysdykcji. Nawet Straż Leśna jest w to zamieszana. Baedecker kiwa głową. Znowu przykuca, by przyjrzeć się martwemu zwierzęciu, ale jego uwagę odwraca strzęp pomarańczowego materiału

łopoczący na pobliskiej gałęzi. „Fragment plecaka – myśli. – Albo kurtki lotniczej”.

– Byłem tu jako jeden z pierwszych zaraz po wypadku – odzywa się nagle policjant. – Jamie i ja dostaliśmy wezwanie, właśnie jak wyjeżdżaliśmy z Yale na zachód. Przed nami był tylko ten geolog, co ma swoją chatkę niedaleko Koziej Góry.

Baedecker wyprostowuje się.

– Czy ogień był duży?

– Jak już przyjechaliśmy, to nie. Deszcz pewnie zagasił płomienie. Poza tym tu nie miało się co palić. Oprócz samolotu, rzecz jasna.

– Czy mocno padało przed wypadkiem?

– Lało jak jasna cholera! Na piętnaście metrów nie było nic widać. Poza tym strasznie wiało. Tak zawsze wyobrażałem sobie huragan. Pan widział kiedyś huragan?

– Nie – odpowiada Baedecker i przypomina sobie huragan nad Pacyfikiem, który on, Dave i Tom Gavin obserwowali z wysokości trzystu dwudziestu kilometrów po zejściu z orbity okołoksiężycowej. – Więc było już ciemno i mocno padało? – Mhm. – Policjant najwyraźniej stracił już zainteresowanie całą sprawą. – Niech pan mi coś powie. Ten facet z Wojsk Lotniczych, pułkownik Fields, chyba myśli, że pański przyjaciel przyleciał nad park, bo wiedział, że samolot wcześniej czy później spadnie. Baedecker patrzy długo na policjanta, który chrząka i spluwa przed siebie. Śnieg przestaje padać, nie zdołał przysypać śladów katastrofy.

– Więc jeśli wiedział, że z maszyną są problemy – ciągnie policjant – czemu po prostu nie wyskoczył na spadochronie, jak już się znalazł tu, nad tym pustkowiem? Czemu czekał, aż zderzy się z górą?

Baedecker odwraca głowę. Na autostradzie kilka wojskowych samochodów, kilka ciężarówek z płaskimi przyczepami i mały dźwig zatrzymują się tuż obok wynajętej toyoty Baedeckera. Dżip prowadzony przez kogoś w niebieskim lotniczym mundurze rozpoczyna mozolną wspinaczkę pod górę. Baedecker opuszcza policjanta i schodzi w dół na spotkanie nadjeżdżających. – Nie wiem – odpowiada samemu sobie. Jego słowa są tak ciche, że nikną w szumie wiatru i warkocie zbliżającego się samochodu.

– Jak długo jedzie się do Lonerock? – spytał Baedecker. Jechali przez Salem na północ Dwunastą Ulicą. Była trzecia po południu.

– To jakieś pięć godzin jazdy – powiedział Dave. – Trzebajechać trasą 1–5 na północ do Portland, a potem do Gorge przez Dalles. A potem jeszcze jakieś półtorej godzinki drogą przez Wasco i Condon.

– Nie zdążymy tam przed zmrokiem.

– Zdążymy.

Baedecker uniósł brew i spojrzał na przyjaciela znad mapy, nad której powtórny złożeniem biedził się od dobrej chwili. – Znam skrót – wyjaśnił Dave.

Zjechali z Turner Road na alejkę prowadzącą do małego lotniska. Obok dwóch wielkich hangarów widać było kilka odrzutowców gotowych do lotu. Za szerokim pasem płyty do kołowania stały chinook, cessna A–37 dragonfly i stary C–130. Dave zaparkował swojego cherokee obok wojskowego hangaru, wyjął ich bagaże z tyłu samochodu i rzucił Baedeckerowi pikowaną puchową kurtkę.

– Przymierz, Richard. Tam, gdzie jedziemy, jest dosyć zimno. Gdy ruszył naprzód, z hangaru

wyszedł ku niemu sierżant i dwóch mężczyzn w kombinezonach mechaników.

– Witam, pułkowniku Muldorff. Wszystko gotowe i sprawdzone – odezwał się sierżant.

– Dziękuję, Chico. Przedstawiam ci pułkownika Dicka Baedeckera.

Baedecker podał sierżantowi rękę i w chwilę później wraz z Dave'em ruszył za nim przez płytę lotniska w stronę, gdzie dwaj mechanicy otwierali już drzwi helikoptera stojącego za większym chinookiem.

– Cholera jasna! – zawołał Baedecker. – To huey! – Dla ciebie, żółtodziobie, to śmigłowiec Bell HU-1 Iroquis – powiedział Dave. – Dziękuję, Chico, będziemy startować z tego miejsca. Podałem już Nate'owi trasę lotu.

– Przyjemnej podróży, panie pułkowniku – powiedział sierżant. – Miło było pana poznać, pułkowniku Baedecker. Gdy Baedecker obchodził dookoła maszynę, poczuł nagły zawrót głowy, jakby zapadał się gdzieś w dół. Nieraz leciał hueyem – we wczesnej fazie przygotowań prowadzonych w NASA wylatał nimi ponad trzydzieści pięć godzin – i nienawidził każdej minuty spędzonej na pokładzie tych ogromnych, przyciężkich śmigłowców.

Dave uwielbiał te zdradliwe maszyniska. Większość próbnych lotów jako pilot oblatywacz odbył właśnie na helikopterach. W 1965 roku został wypożyczony do Hughes Aircraft, aby pomóc im rozwiązać problemy z prototypem szkoleniowego modelu TH-55A. Nowy śmigłowiec miał tendencję do opuszczania nosa bez uprzedzenia. Badania polegały na terenowych próbach właściwości lotu, które należało porównać z właściwościami starszego modelu – Bell HU-1, używanego w owym czasie w Wietnamie. Dave został wysłany do Wietnamu na sześć tygodni, aby odbyć loty obserwacyjne z pilotami wojskowymi, o których mówiono, że ze swoimi maszynami wyczyniają nieprawdopodobne rzeczy. Po upływie czterech i pół miesiąca został odwołany, bo odkryto, że odbywał także codzienne loty bojowe z eskadrą medyczoewakuacyjną.

Zdobyte doświadczenia pomogły mu rozwiązać problem modelu TH-55A firmy Hughes, ale za loty bez zezwolenia ominął go awans. Przysłano mu także zawiadomienia z dowództwa Wojsk Lotniczych i ze Sztabu Armii, że pod żadnym pozorem nie ma prawa ubiegać się o wypłatę za odbyte loty bojowe. Dla Dave'a cała sprawa była śmiechu warta. Na dwa tygodnie przed wyjazdem z Wietnamu wiedział już, że został zaakceptowany przez NASA jako uczestnik programu przygotowawczego dla kosmonautów.

– Niezła zabawka – powiedział Baedecker, gdy już zakończyli zewnętrzny przegląd i weszli do wnętrza śmigłowca. – To twoja limuzyna na weekendowe wypady? Czasami nieźle być kongresmanem, co nie, Dave?

– Jasne! – Muldorff roześmiał się i rzucił mu wykaz kontrolny kabiny. – Goldwater odbywał darmowe przejażdżki F-18. Ja mam swojego hueya. Oczywiście wiele znaczy fakt, iż wciąż jestem tu zarejestrowany jako czynny rezerwista.

Podał Baedeckerowi czapkę baseballówkę z naszytym napisem „Wojska Lotnicze 1-j”. Baedecker nacisnął ją na głowę i nałożył słuchawki na uszy.

– Poza tym, Richard, jako podatnika powinien cię zainteresować fakt, że ta oto kupa zardzewiałych blach służyła jeszcze w Wietnamie, przez dziesięć lat wożąc w tę i nazad urlopowanych wojowników na weekendowe przepustki, a obecnie jest wpisana na listę części zamiennych. Chico i chłopaki trzymają ten złom na wypadek, gdyby ktoś zapragnął skoczyć do Portland po paczkę papierosów.

– Mhm – mruknął Baedecker. – To wspaniale.

Przypiął się pasami do fotela po lewej stronie, podczas gdy Dave poruszał drążkiem sterowania okresowego, a lewą ręką sięgał do przełącznika startowego na dźwigni sterowania skoku ogólnego. Właśnie konieczność jednoczesnego panowania nad kilkoma układami sterowniczymi – sterowaniem azymutalnym skoku, sterowaniem skoku ogólnego, pedałami sterowania kierunkowego, rączką przepustnicy – doprowadzała go do szału, gdy zmuszony był latać na tych przewrotnych maszynach dwadzieścia lat temu. W porównaniu z wojskowym helikopterem ładownik „Apollo” wydawał mu się dziecinną zabawką.

Usłyszeli ryk silnika, wycie szybkoobrotowego rozrusznika i dwie czternastoipółmetrowe łopaty wirnika zaczęły się obracać. Dave wrzasnął radośnie przez interkom.

Na różnych wskaźnikach ukazały się właściwe odczyty, podczas gdy obaj niemal fizycznie odczuli głośnie łopotanie wirnika nośnego. Po chwili trzy tony wiekowego żelastwa uniosły się w górę, by zawisnąć półtora metra nad płytą.

– Chcesz zobaczyć mój skrót? – głos Dave’a w interkomie był płaski i metaliczny.

– Z chęcią – odpowiedział Baedecker.

Dave wyszczerzył zęby w uśmiechu, powiedział coś szybko do mikrofonu i pewnym ruchem skierował śmigłowiec naprzód, rozpoczynając ich powolne wznoszenie w kierunku wschodnim. Dwa dni, które Baedecker i Maggie spędzili w San Francisco, były deszczowe i zimne. Na prośbę Maggie zatrzymali się w odremontowanym starym hotelu niedaleko Union Square. Skąpo oświetlone korytarze pachniały tu świeżą farbą, prysznice były jak przytwierdzono do masywnych wanien, wszędzie wystawały rury instalacji przeciwpożarowej. Baedecker i Maggie kolejno wzięli prysznic, by zmyć z siebie brud czterdziestoosmiodzinnej podróży pociągiem, położyli się, by uciąć sobie krótką drzemkę, ale zamiast tego kochali się, następnie ponownie wzięli prysznic i wyszli na miasto.

– Nigdy tu jeszcze nie byłam! – wykrzyknęła Maggie rozradowana. – Jak tu pięknie!

Na ulicach tłoczno było od widzów śpieszących do teatrów i park – głównie męskich – objętych czule pod błyszczącymi światłami neonów oferujących wszelkie możliwe rozkosze dla oczu i dla innych części ciała. Wiatr niósł zapach morza i spalin. Wszystkie linie tramwajowe były w remoncie, a wszystkie taksówki w zasięgu wzroku były albo zajęte, albo znajdowały się w takiej odległości, że żaden krzyk nie mógł dojść uszu kierowcy. Baedecker i Maggie podjechali autobusem do Nabrzeża Rybackiego, skąd kontynuowali spacer w milczeniu, lecz wkrótce chłodna mżawka i ból w kostce Baedeckera zmusiły ich do schronienia się w restauracji. – Drogo – uznała Maggie, gdy podano im zamówione dania – ale małże są pycha.

– Mhm – potwierdził Baedecker.

– No dobrze, Richard – powiedziała Maggie kładąc dłoń na jego dłoni. – O co chodzi?

Baedecker pokręcił głową.

– O nic.

Maggie czekała dalej.

– Zastanawiałem się właśnie, czemu takie spędzenie tego tygodnia miałyby być dla ciebie bardziej atrakcyjne niż zajęcia na uniwersytecie – rzekł, dolewając wina do kieliszków. – Nieprawda. – W blasku świec oczy Maggie lśniły turkusowo. Mimo że już wcześniej twarz miała ładnie opaloną, jej policzki znowu spaliło słońce. – Powiedz mi.

Baedecker milczał przez chwilę.

– Przypominam sobie, jak syn Toma Gavina wyciął ten głupi numer w górach – powiedział

wreszcie.

– Wtedy jak wlażł nago na kamień w czasie burzy z piorunami? – uśmiechnęła się Maggie. – Z masztem od namiotu w ręce? O ten głupi numer ci chodzi?

Baedecker pokiwał głową.

– Mógł zginać.

– To prawda – zgodziła się Maggie. – Zwłaszcza gdy zabrał się do wymyślania po kolei wszystkim bogom, aż wreszcie zbluzgał nie tego, co trzeba.

Nagle zdała sobie sprawę, że Baedeckerowi daleko do śmiechu. – Hej, przecież wszystko dobrze się skończyło! Czemu jeszcze się tym trujesz?

– Nie truję się tym, co robił ten szczeniak. Raczej tym, co ja robiłem, kiedy on szalał.

– Przecież nic nie robiłeś.

– Otóż to. – Baedecker dopił wino i znów napełnił sobie kieliszek. – Nie zrobiłem nic.

– Ojciec Tommy’ego zdjął go stamtąd, zanim którekolwiek z nas miało czas, żeby zareagować.

Baedecker kiwnął głową. Przy stoliku obok grupka kobiet śmiała się z jakiegoś dowcipu.

– Oho! – zawołała Maggie. – Widzę, że znów rozmawiamy o Scotcie.

Baedecker wytarł ręce w czerwoną lnianą serwetkę. – Sam nie wiem, ale Tom Gavin przynajmniej zauważył, że jego syn całkiem oszalał, i uratował go od nieszczęścia. – Tak – powiedziała Maggie – ale mały Tommy ile miał lat?...

Siedemnaście! A Scott w marcu będzie miał dwadzieścia trzy.

– Owszem, lecz...

– Poza tym mały Tommy był o trzy metry od swego ojca – dodała – a Scott jest w Indiach.

– Wiem, ale...

– A poza tym skąd wiesz, że Scottowi grozi tam nieszczęście? On już nie potrzebuje tatusia. Jest dużym chłopcem i jeśli ma ochotę przez kilka lat śpiewać mantry i oddawać kieszonkowe jakiemuś brodatemu dupkowi z kompleksem Jehowy, nic nie możesz na to poradzić, więc może byłoby lepiej, żeby pan Richard E. Baedecker zajął się wreszcie własnym pokręconym życiem? – Maggie pociągnęła długi łyk ze swojego kieliszka. – Cholera jasna, Richard, czasami mam już dosyć twojego... Gwałtowny atak czkawkki przerwał ten potok wymowy. Baedecker podał jej wody z lodem i odczekał chwilę. Dziewczyna siedziała cicho przez kilka sekund, po czym znów otworzyła usta, by mówić, lecz zamiast tego wydała kolejne głośne czknięcie. Oboje wybuchnęli śmiechem. Panie siedzące dookoła pobliskiego stolika obrzuciły ich spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Następnego dnia, gdy w parku Golden Gate przyglądali się spod nowo zakupionego parasola ogromnym, pomarańczowym, metalowym kolumnom, co chwila nikającym w chmurach, Maggie odezwała się nagle:

– Będziesz musiał się zastanowić, jak rozwiązać problem ze Scottem, zanim uporządkujemy nasze własne sprawy, prawda? – Sam nie wiem. Niech to się jakoś uleży przez parę dni, dobra? Porozmawiamy o tym pod koniec tygodnia.

Maggie starła dłonią kroplę deszczu, która upadła jej na nos. – Kocham cię, Richard – powiedziała cicho. Wtedy pierwszy raz usłyszał od niej te słowa.

Rano, gdy promienie słoneczne wkradające się do pokoju poprzez szparę w zasłonach i hałasy dobiegające z ulicy obudziły Baedeckera, Maggie już nie było.

Polecieli na wschód, potem na północ, a potem znowu na wschód, wciąż nabierając wysokości, nawet gdy byli już nad lasem. Kiedy wysokościomierz wskazał dwa i pół tysiąca metrów, Baedeker spytał:

– Czy Straż Powietrzna nie ma tu gdzieś stacji zaopatrzenia w tlen?

– Aha – odparł Dave. – W przypadku nagłej utraty ciśnienia kabinowego maski tlenowe wypadną ze schowków znajdujących się w suficie i spadną każdemu z państwa na głowę. Trzeba nałożyć maski na japy i oddychać spokojnie. Jeśli podróżują państwo z dzieckiem lub niemowlęciem na kolanach, do państwa należy podjęcie decyzji, które z was ma większe prawo do oddychania. – Dzięki – powiedział Baedeker. – Czy to Mount Hood? Od jakiegoś czasu zbliżali się do wulkanicznego stożka. Teraz widać go było po lewej stronie. Ośnieżony wierzchołek wciąż znajdował się o sześćset metrów nad nimi. Cień śmigłowca przesuwiał się w dole po liściastym kobiercu.

– Popatrz! – zawołał Dave. – Tam jest Timberline Lodge, gdzie kręcili zdjęcia plenerowe do „Lśnienia”. – Mhm – mruknął Baedeker.

– Widziałeś ten film?

–Nie.

– A książkę czytałeś?

–Nie.

– A czytałeś w ogóle cokolwiek Stephen Kinga?

– Nie.

– O Boże! – jęknął Dave. – Jak na wykształconego człowieka, Richard, strasznie jesteś słabo otrzaskany w klasykach. Ale Stanleya Kubricka pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć! Pięć razy zaciągnąłeś mnie na „2001: Odyseję kosmiczną”, kiedy grali to w „Cinerama” w Houston.

Nie było w tym ani cienia przesady. Muldorff miał bzika na punkcie tego filmu i z uporem maniaka nalegał na kumpli z załogi, by towarzyszyli mu w kolejnych seansach. Przed ich lotem przedstawiał im entuzjastyczne plany przemycenia nadmuchiwanego czarnego monolitu w celu jego „odkrycia” na powierzchni Księżyca podczas jednego z wyjść. Tylko absolutny brak nadmuchiwanego czarnego monolitu na rynku skłonił go do rezygnacji z tego wspaniałego projektu i zadowolenia się niepokojeniem obsługi Centrum Kontroli Lotów za pomocą odtwarzania pierwszych akordów „Tako rzecze Zaratustra” na koniec każdej przerwy w łączności. Z początku Baedekerowi wydawało się to nawet zabawne.

– To było jego największe arcydzieło – powiedział Dave skracając w prawo. Przelecieli nisko nad przełęczą, gdzie widać było kilka namiotów i przyczep kempingowych rozstawionych wokół małego górskiego jeziora, którego tafla odbijała promienie słońca. Za przełęczą zboczyło gwałtownie w dół. Las był tu mniej zielony, a na południu i wschodzie ukazały się pasma niskich brązowych wzgórz. Lecieli równo na wysokości tysiąca pięciuset metrów. Pod nimi lasy ustąpiły miejsca polom poprzecinanym rowami nawadniającymi, za którymi z kolei rozciągała się wysoko położona pustynia. Dave rozmawiał cicho przez mikrofon z kontrolą lotów, rzucił jakiś żart do kogoś z obsługi prywatnego lotniska na wschód od Maupin, a następnie przełączył się z powrotem na interkom.

– Widzisz tę rzekę?

–No.

– To John Day. Guru Scotta kupił małe miasteczko niedaleko stąd, na południowy zachód. To samo, które kilka lat temu stało się sławne za sprawą Rajneesha.

Baedecker rozłożył mapę i pokiwał głową. Rozpiął kurtkę puchową, nalał kawy z termosu i podał Dave’owi kubek. – Dzięki. Chcesz przejąć stery na chwilkę?

– Niespecjalnie.

– Nie przepadasz za helikopterami, co? – zaśmiał się Dave.

– Niespecjalnie.

– Ciekawe dlaczego. Latałeś chyba na wszystkim, co ma skrzydła, łącznie z maszynami o pionowym albo skróconym starcie i lądowaniu, a nawet na tym cholernym małym pogo marynarki, przez które zginęło więcej ludzi, niż tego był warty cały pomysł. Co możesz mieć przeciwko helikopterom?

– Czy chodzi ci o coś więcej prócz tego, że są to wyjątkowo zawodne i zdradzieckie kupy złomu, które tylko czyhają na moment nieuwagi, żeby runąć w dół i z hukiem rozpłaszczyć się o ziemię z tobą, rzecz jasna, w środku? – zapytał Baedecker. – Tak – odpowiedział Dave, śmiejąc się do rozpuku – chodziło mi o coś więcej.

Zeszli do wysokości dziewięciuset metrów, a zaraz potem do sześciuset. Na rozpościerającej się przed nimi suchej łące widać było kroczące ospale niewielkie stado krów, których ciała przybierały w padających niemal poziomo promieniach zachodzącego słońca kolor złoty i czekoladowy.

– Richard – odezwał się Dave – pamiętasz tę konferencję prasową z Neilem, Buzzem i Mike’em, na której byliśmy przed lotem „Apollo 11”?

– Kiedy?

– Tuż przed wystrzeleniem.

– Nie bardzo – powiedział Baedecker.

– W czasie tej konferencji Armstrong powiedział coś, co mnie naprawdę wkurzyło.

– Co to było?

– Ten dziennikarz –już nie żyje, jak on się nazywał... – aha, Frank McGee, zadał Armstrongowi jakieś pytanie o sny i wtedy Neil powiedział, że często powraca do niego pewien sen z dzieciństwa.

–No i...?

– W tym śnie Neil potrafił unosić się nad ziemią jak poduszkowiec, jeśli tylko udało mu się na dłuższy czas wstrzymać oddech. Pamiętasz to?

–Nie.

– Aja tak. Neil mówił, że po raz pierwszy śniło mu się to, kiedy był małym chłopcem. Wstrzymywał oddech i unosił się tuż nad ziemią. Nie latał, ale unosił nad ziemią. Jak poduszkowiec. Baedecker dopił kawę i wrzucił styropianowy kubek do worka na śmieci za siedzeniem.

– I czemu tak cię to wkurzyło?

Dave obrócił się do niego. Oczy miał ukryte za ciemnymi szklami przeciwsłonecznych okularów.

– Bo to był mój sen – powiedział.

Huey opadł nosem w dół do wysokości stu metrów nad nierównym terenem, sporo poniżej

minimum ustalonego przez Federalną Agencję Lotnictwa. Gałęzie bylic i sosen migały pod spodem, przypominając im o szybkości, z jaką się poruszali. Baedeker spojrzął w dół przez dolne okno i pod stopami mignął mu samotny dom pośród drzew. Ściany miał brązowe i zniszczone, blaszany dach pokryty rdzą. W tyle stała rozwalona stodoła. Dwie niewielkie koleiny ciągnące się aż po horyzont znaczyły ścieżkę stanowiącą jedyny dostęp do domu. Obok chaty lśniła nowością biała tarcza anteny satelitarnej.

Baedeker włączył interkom. Przy lewym fotelu nie było przełącznika na podłodze, tak więc za każdym razem, kiedy chciał pogadać, musiał sięgać aż do przełącznika na sterach. – Tom mówił mi, że zeszłej wiosny byłeś bardzo chory – zagadnął.

Dave spojrzął w lewo, a następnie znowu w dół na ziemię umykającą im spod płóz z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Skinął głową.

– Aha. Trochę niedomagalem. Myślałem, że to grypa – miałem gorączkę i spuchnięte migdałki. A mój lekarz w Waszyngtonie, zamiast stwierdzić grypę, poinformował mnie, że mam chorobę Hodgkina. Do tamtej pory nigdy o takiej nie słyszałem. – Poważna rzecz?

– Istnieją cztery stopnie tego choróbska. Przy pierwszym stopniu należy wziąć aspirynkę i przesłać czterdzieści dolców na rachunek przychodni. Czwarty stopień to OPiSZMA. Baedeker wiedział dobrze, co oznacza ten skrót. W ciągu setek godzin, które spędzili razem w ciasnych symulatorach, niejednokrotnie słyszał, jak Dave określa tak sugerowany przez niego środek zaradczy na każdą, nowo wymyśloną przez konstruktorów i techników symulantów sytuację awaryjną – Odklep Paciorek i Swemu Zadkowi Mów Adieu.

– Mój przypadek to stopień trzeci. Wczesne stadium. Polepszyło mi się po lekach i kilku sesjach chemioterapii. Dla pewności wycięli mi śledzionę. Teraz wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Jeśli uda się zwalczyć chorobę na początku, to na ogół pacjent zostaje wyleczony. Trzy tygodnie temu przeszedłem pozytywnie wszystkie testy na kartę zdrowia pilota – uśmiechnął się, wskazując palcem miasteczko ledwo widoczne w oddali. – To Condon. Następny przystanek – Lonerock. Miejsce przyszłego Białego Domu Stanów Zachodnich.

Przelecieli nad drogą wysypaną żwirem i Dave wykonał ostry zwrot, aby lecieć wzdłuż niej, obniżając wysokość lotu do piętnastu metrów nad ziemią. Wzdłuż szosy po lewej stronie biegła linia telefoniczna. Gruby przewód zwisał smętnie z niskich słupów, które wyglądały, jakby stały tam od zawsze. Nie było drzew. Kolczasty drut, którym ogrodzono pola, rozpięto pomiędzy słupkami z metalowych kotłów, przypominających stare bojłery na wodę.

Huey przeleciał nad skrajem wąwozu. W jednej chwili wysokość zwiększyła się z piętnastu metrów do około dwustu pięćdziesięciu. Pod nimi rozciągała się osłonięta ze wszystkich stron dolina, po dnie której toczył się strumyk przecinający topolowe zagajniki i pola porośnięte trawą i oziminą. Pośrodku doliny widać było jakieś wymarłe miasteczko. Tu i ówdzie spomiędzy nagich gałęzi wyglądał blaszany dach, odcinając się matowym poblaskiem na tle opadłych liści. W jednym miejscu wystrzelała w górę kościelna wieża. Baedeker zauważył duży budynek szkoły na wzgórzu wznoszącym się nad miastem. Była dopiero piąta po południu, ale słońce już od jakiegoś czasu nie oświetlało tej doliny. Dave zanurkował śmigłowcem i skręcił tak gwałtownie, że przez kilka sekund łopatki wirnika znajdowały się w pozycji prostopadłej względem podłoża. Przelecieli nisko nad główną ulicą, na której znajdowało się pięć opuszczonych budynków i pokryte rdzą zabudowania stacji benzynowej. Skręcili w lewo i minęli kościół; jego wieża wydawała się mała w porównaniu z ogromnym głazem narzutowym w kształcie potężnego kła, leżącego kawałek za świątynią. Baedeker usłyszał trzask w interkomie.

– Witamy w Lonerock – powiedział Dave.

* * *

W chwili gdy Baedeker wraca do domu Dave'a i Diany w Salem, większość przyjaciół i żalobników już odjechała. Śnieg, który padał niedaleko Góry Świętej Heleny, teraz zamienił się w lekką mżawkę.

W drzwiach wita go Tucker Wilson. Na pogrzebie zobaczyli się pierwszy raz od dwóch lat, od czasu katastrofy „Challenger”. Tucker, pilot Wojsk Lotniczych i członek rezerwowy załogi programu „Apollo”, w końcu doczekał się chwili, kiedy powierzono mu dowodzenie misją „Skylab” na rok przed odejściem Baedekera z NASA. Tucker Wilson to niski mężczyzna o budowie zapaśnika, rumianej twarzy, z resztką jasnych włosów w postaci małych kosmyków nad uszami.

– Di jest na górze z Katie i siostrą – mówi Tucker. – Chodźmy do pokoiku Dave'a na małego drinka.

Baedeker idzie za nim. Duże, wypełnione książkami pomieszczenie, w którym stoją obite skórą krzesła i biurko z żaluzjowym zamknięciem, przypomina raczej biblioteczkę niż mały pokój do pracy. Baedeker zagłębia się w fotelu i rozgląda dookoła, podczas gdy Tucker nalewa szkocką do szklanek. Na półkach widnieje eklektyczna mieszanka drogich bibliofilskich serii, klasyków w twardych oprawkach, popularnej literatury kieszonkowej oraz stopy czasopism i gazet. Fragment ściany pomiędzy regałami wypełniają zdjęcia. Baedeker rozpoznaje swą twarz na jednym – stoi roześmiany obok Toma Gavina, podczas gdy Richard Nixon ściska dłoń wyszczerzonemu Dave'owi.

– Woda czy lód? – pyta Tucker.

– Daj mi czystą – odpowiada Baedeker.

Tucker podaje szklanę Baedekerowi i siada na zabytkowym krześle obrotowym przy biurku. Poprawia się na niewygodnym antyku, bierze z biurka jakąś zadrukowaną kartkę, odkładają i pociągają długi łyk.

– Jak tam poranny lot? Żadnych problemów? – pyta Baedeker.

Tucker leciał rano nad cmentarzem w szyku ze znikającym pilotem. – Jakoś poszło – odpowiada. – Mogło być gorzej, gdyby chmury zeszły jeszcze trochę niżej. Upieklibyśmy wszystkie kury okolicznym farmerom.

Baedeker kiwa głową i próbuje szkockiej.

– Czy będziesz w załodze nowego promu po wznowieniu programu? – pyta Tuckera.

– Aha. W listopadzie, o ile wszystko wróci do normy, tak jak powinno. Na pokładzie będziemy mieć sprzęt Departamentu Obrony, tak więc mamy z głowy te wszystkie beznadziejne popisy bohaterów na konferencjach prasowych przed lotem. Baedeker kiwa głową. Whisky jest marki „The Glenlivet”, czysta. Ulubiony trunek Dave'a.

– Jak myślisz, Tucker, czy da się tym bezpiecznie latać?

Tucker Wilson wzrusza ramionami.

– Dwa i pół roku to mnóstwo czasu na usunięcie wszelkich usterek. Nie mieli tyle po tym, jak Gus, Chaffee i White zginęli w „Apollo 1”. Rzecz jasna, rakiety wspomagające oddali do poprawki Morton Thiokol, a to jest ta sama firma, która za pierwszym razem dała atest na te cholerne pierścienie samouszczelniające.

Baedeker nawet się nie uśmiecha. Był świadkiem tylu niezrozumiałych dla niego przepychanek i konszachtów pomiędzy wykonawcami i agencjami rządowymi, że – tak jak wielu innym pilotom –

nie było mu zbytnio do śmiechu.

– Słyszałem, że będzie całkiem nowy system ewakuacyjny w porównaniu z pierwszym lotem.

Tucker wybucha śmiechem.

– Widziałeś to cudo, Dick? Wpakowali długi słupek do dolnej przegrody i podczas gdy pilot dowodzący utrzymuje statek w locie poddźwiękowym, poziomym, po prostej, pozostali muszą się podciągnąć i wystrzelić na zewnątrz jak pstrągi na żyłce. – Ludziom z „Challengera” i tak by to nie pomogło – stwierdził Baedeker.

– To mi przypomina taki dowcip o AIDS, gdzie jeden ćpun mówi, że nie boi się nic złapać, kiedy używa brudnych igieł, bo ma założonego kondoma. – Tucker nalewa sobie kolejną szkocką. – Do diabła! W całym wahadłowcu jest ponad siedemset części, które zostały oznaczone jako krytyczne pierwszego stopnia, i wydaje mi się, że te pieprzone pierścienie będą jedyną rzeczą, o którą naprawdę nie mamy się co niepokoić.

Baedeker wie, że część, oznaczona jako krytyczna pierwszego stopnia stanowi element systemu, który nie ma niezawodnej rezerwy. Oznaczało to, że jeśli część ta nawali, całą misję diabli wezmą. – Nie będzie już lądowania na Canaveral? – pyta Baedeker. Tucker kręci głową. Podczas pierwszej misji lądował wahadłowcem „Columbia” na długim pasie przylądka Canaveral, gdzie przy hamowaniu tak starł ogumienie, że opony pękały jedna po drugiej, a ponadto doszczętnie starł klocki hamulcowe. – Wiedzą, że to cholernie ryzykowne – mówi. – W przyszłości będziemy jeździć z bazy Edwardsa albo z Białych Piasków. – Upija długi łyk. – Ale co tam, do diabła – dodaje z uśmiechem – kto nie ryzykuje, ten nie leci.

– A jak się lata na tej maszynie? – pyta Baedeker. Po raz pierwszy od wielu dni jest w stanie myśleć o czymś innym niż śmierć Dave’a.

Tucker, ożywiony, gestykułuje zawzięcie dłońmi. – To niewiarygodne, Dick! Jak schodzisz w dół, to jakbyś próbował lądować DC-9 z wyłączonym silnikiem i piątką na machometrze. Musisz się wyklócać z komputerami, żeby pozwoliły ci prowadzić, ale kiedy już, cholera, lecisz, to czujesz, że naprawdę lecisz. Byłeś w nowym symulatorze?

– Raz. Nie miałem czasu spróbować jazdy na lewym fotelu. – Musisz to sobie zafundować. Przyjedź na Canaveral w następnym sezonie, załatwię ci parę godzin.

– Kusząca propozycja – mówi Baedeker. Kończy drinka i obraca w dłoni pustą szklanę, przyglądając się refleksom światła na szkle. – Czy Dave często bywał na Canaveral?

Tucker kręci głową.

– Nie podobało mu się to, że wszyscy chętni deputowani i senatorowie dostawali darmowy czas, kiedy my, byli piloci wojskowi, musieliśmy czekać po kilka lat w kolejce. Był we wszystkich właściwych komisjach parlamentarnych i aktywnie działał na rzecz programu, ale te bzdurne akcje typu „Nauczyciel w kosmosie” albo „Dziennikarz w kosmosie” nieźle go wkurzały. Mówił, że prom kosmiczny to nie miejsce dla ludzi, którzy naciągają spodnie po jednej nogawce.

Baedeker chichocze cicho. To powiedzenie Dave’a znane mu było od czasów pierwszego incydentu, który dał początek wszelkim utarczkom pomiędzy jego przyjacielem a kierownictwem NASA. Było to podczas pierwszego lotu Muldorffa w module „Apollo”, zwykłego, technicznego orbitowania okołoziemskiego. Właśnie nadawano przekaz telewizyjny z pokładu, bezpośrednio do amerykańskich widzów. Tucker Wilson był tam z nim, gdy nagle Dave wygłosił coś w rodzaju przemowy:

– Drodzy państwo! Przez całe lata my, kosmonauci, wmawialiśmy państwu, że jesteśmy

zwykłymi ludźmi. Żadnymi tam bohaterami, tylko normalnymi obywatelami, jak każdy z was. Ludźmi, którzy wkładając spodnie, naciągają najpierw jedną nogawkę, a potem drugą. Dziś z tego miejsca mam zamiar pokazać wam, że jest zupełnie inaczej.

Po czym Dave uniósł się lekko i zawisł, dzięki nieważkości, kilka centymetrów nad podłogą, mając na sobie jedynie długie szorty i czapkę z wizerunkiem Snoopy'ego, po czym jednym, pełnym wdzięku ruchem wciągnął na siebie dolną część kombinezonu, wkładając nogi naraz do obu nogawek.

Baedecker podchodzi do półki z książkami i wyciąga stamtąd tom Yeatsa. Pomiędzy stronicami tkwi kilka małych karteluszków, służących jako zakładki.

– Dowiedziałeś się dziś czegoś? – pyta Tucker. Baedecker zaprzecza ruchem głowy i wstawia książkę z powrotem na regał.

– Rozmawiałem z Munsenem i Fieldsem. Właśnie załatwiają przewóz resztek wraku do bazy McChorda. Bob się tym zajmuje, więc jutro będę mógł posłuchać taśmy. Komisja dochodzeniowa ma już wstępny pogląd, ale jutro się rozjeżdżają. – Słuchałem taśmy wczoraj – mówi Tucker. – Nie ma tam zbyt wiele. Dave zgłosił awarię układu hydraulicznego piętnaście minut po starcie z Portland. Użyli cywilnego lotniska, bo Munsen przyjechał na tę konferencję...

– Aha – przerwał Baedecker. – A potem zdecydował się zostać dzień dłużej.

– Właśnie – potwierdził Tucker. – Dave poleciał sam w kierunku wschodnim, zgłosił awarię hydrauliki po piętnastu minutach, a w minutę później zawrócił. Potem ten cholerny prawy silnik przegrzał się i zgasł. Stało się to chyba w osiem minut po rozpoczęciu powrotu. Lotnisko międzynarodowe w Portland było najbliżej, więc tam go skierowali. Na płycie był lód, ale raczej by sobie z tym poradził. Dave nie mówił zbyt wiele, a ten gość z wieży kontrolnej gadał jak jakiś niedoświadczony dupek. Tuż przed upadkiem Dave zgłosił, że widzi światła.

Baedecker dopija resztkę szkockiej i odkłada szklankę na ruchomy barek.

– Czy wiedział, że spada?

Na twarzy Tuckera widać grymas.

– Trudno powiedzieć. Nie mówił zbyt wiele, pytaj tylko o potwierdzenia co do wysokości. Człowiek z wieży w Portland przypominał, że wokół ciągną się pasma górskie do wysokości tysiąca pięciuset metrów. Dave potwierdził, że wie o tym, i powiedział, że wychodzi z chmury na wysokości tysiąca ośmiuset metrów, i że widzi światła. A potem już nic nie mówił, po paru sekundach zniknął im z radaru.

– Czy coś było słyhać w jego głosie?

– Nic a nic. Gagarin do samego końca – mówi Tucker. Baedecker kiwa głową. Jurij Gagarin, pierwszy człowiek na orbicie Ziemi, zginął w katastrofie samolotu MIG podczas rutynowego lotu szkoleniowego, w marcu 1968 roku. Wśród pilotów oblatywaczy mówiło się o tym, jak spokojnie brzmiał głos Gagarina na taśmie, gdy spadał w płonącym MIG-u na pustą działkę w gęsto zabudowanej dzielnicy na przedmieściach. Dopiero podczas wizyty w Związku Radzieckim, gdzie pojechał jako członek zespołu administracyjnego na rok przed projektem testowym „Apollo–Sojuz”, dowiedział się od jednego z rosyjskich pilotów, że Gagarin spadł na jakimś odległym leśnym obszarze i że jako przyczynę katastrofy podano „błąd pilota”. Słyszał plotki o tym, że kosmonauta był pijany. Że na taśmie nie zarejestrowano żadnego głosu. Niemniej pomiędzy oblatywaczami z pokolenia Baedeckera i Tuckera powiedzenie „Gagarin do samego końca” było wyrazem najwyższego uznania dla tych, którzy w sytuacji awaryjnej potrafili zachować zimną krew. – Nic nie rozumiem – mówi Tucker i w jego głosie słyhać rozdrażnienie. – T-38 to najbezpieczniejsza z

wszystkich maszyn w całym lotnictwie wojskowym, cholera!

Baedecker milczy.

– Średnio dwa wypadki na sto tysięcy godzin w powietrzu – ciągnie Tucker. – Powiedz, Dick, jaki inny odrzutowiec ma takie wyniki?

Baedecker podchodzi do okna i wygląda na dwór. Wciąż pada deszcz.

– Cholera, to i tak nie ma żadnego znaczenia – mówi zrezygnowany Tucker. Nalewa sobie trzeciego drinka. – To nigdy nie ma znaczenia, co nie?

– Nigdy – potwierdza Baedecker.

Słychać pukanie i do pokoju wchodzi Katie Wilson. Żona Tuckera, blondynka o mocno kręconych włosach i ostrych rysach, na pierwszy rzut oka robi wrażenie podstarzałej hostessy 0 ptasim mózdzku, lecz po chwili rozmowy każdy zdaje sobie sprawę, jak bardzo mylący może być ciężki, niegustowny makijaż, gdyż ma przed sobą kobietę o wyjątkowej inteligencji i wrażliwości. – Hej, Richard! – woła Katie. – Dobrze, że już wróciłeś.

– Przepraszam, że tak późno.

– Diana chce z tobą porozmawiać. Ubrałam ją do łóżka, bo wiem, że w przeciwnym razie nie zmrużyłaby oka, odgrywając rolę pani domu. Nie spała od czterdziestu ośmiu godzin, a w przyszłym tygodniu ma termin rozwiązania, na miłość boską. – Nie będę jej długo męczył, Katie – zapewnia Baedecker i wchodzi po schodach na piętro.

Diana Muldorff siedzi ubrana w szlafrok na niebieskim szezlongu, przeglądając jakieś czasopismo. Baedeckerowi jej brzuch wydaje się ogromny. Ruchem ręki Diana zaprasza go do środka. – Cieszę się, że już jesteś, Richard.

– Przepraszam, że tak późno, Di. Byłem w bazie McChorda z Bobem Munsenem i Stephenem Fieldsem.

Diana kiwa głową i odkłada pismo na bok.

– Wejdz i usiądź, proszę.

Baedecker zamyka drzwi i siada na niskim krzeselku przy toaletce. Diana ma włosy świeżo wyszczotkowane, jej policzki są zaróżowione po wieczornej kąpieli, ale w oczach nadal widać zmęczenie i smutek.

– Czy mogę cię prosić o przysługę, Richard?

– Co tylko zechcesz. – Baedecker mówi to zupełnie szczerze. – Pułkownik Fields, Bob... inni... obiecali mi, że będą mnie na bieżąco informowali o wynikach śledztwa w sprawie katastrofy... – urywa.

Baedecker czeka w milczeniu.

– Richard, czy mógłbyś zająć się tym osobiście? Nie chodzi mi o oficjalne procedury, ale osobiście przyjrzyj się temu wszystkiemu i powiedz mi, co o tym myślisz, dobrze? Baedecker waha się przez chwilę, zmieszany, ale po chwili chwytają za rękę.

– Oczywiście, Di, zrobię to, jeśli chcesz. Ale wątpię, żebym dowiedział się czegoś więcej niż komisja dochodzeniowa. Diana kiwa głową, lecz zimną dłoń uporczywie zaciska na dłoni Baedeckera.

– Ale obiecaj mi, że spróbujesz.

– Obiecuję – mówi Baedecker.

Diana dotyka policzka i patrzy w dół, jakby nagle zakręciło się jej w głowie.

– Jest tyle drobnych szczegółów – mówi.

– Co masz na myśli?

– Są rzeczy, których nie rozumiem. David zabrał helikopter do Lonerock, wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Pogoda się załamała, więc wrócił samochodem, który tam trzymamy na wszelki wypadek. Ale po co w ogóle tam pojechał? – Myślałem, że pracuje tam nad swoją książką. – Miał się zatrzymać na noc w Salem po tym zjeździe w Portland. Zamiast tego poleciał do Lonerock, chociaż dom był już zamknięty na zimę. Nie zamierzaliśmy jechać tam do czasu, kiedy będziemy mieli dziecko.

Baedecker delikatnie kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Czy David mówił ci, że miał nawrót choroby? – pyta Diana. – Przypuszczałam, że nie mówił o tym nikomu, ale potem pomyślałam sobie, że może zadzwonił do...

– Byłem w miejscu, gdzie nie ma telefonu, pamiętasz? Musiałaś mi przecież wysłać telegram.

– Tak, pamiętam – jej głos zdradza skrajne wyczerpanie. – Myślałam tylko... Mnie też nie powiedział. Ten lekarz w Waszyngtonie to nasz przyjaciel... Zadzwonił w dzień po wypadku. Mówił, że choroba przerzuciła się na wątrobę i szpik kostny. Chcieli zrobić kompletną chemioterapię na wiosnę przy użyciu kombinacji leków o nazwie MOPP. David odmówił. Po takiej chemioterapii na ogół jest się bezpłodnym. Davida napromień iowywali i zrobili mu operację, to wiedziałam. Ale o tym później, już nie... – W październiku Dave napomknął mi, że lekarzom udało się zatrzymać chorobę – mówi Baedecker.

– Tak, to prawda, ale odnowiła się tuż przed Bożym Narodzeniem. David nie powiedział mi o tym. W następnym tygodniu miał testy na kartę zdrowia pilota. Nigdy by ich nie przeszedł. – Richard! – z dołu słychać głos Katie. – Telefon do ciebie! – Zaraz schodzę! – woła Baedecker. Znowu chwytła Dianę za rękę. – Co o tym myślisz?

Diana patrzy mu prosto w oczy. Pomimo widocznych śladów zmęczenia i zaawansowanej ciąży, nie wydaje się załamana. Na jej pięknej twarzy maluje się jedynie wyraz zaciętej determinacji.

– Chcę wiedzieć, po co pojechał do Lonerock, skoro nie musiał. Chcę wiedzieć, po co sam leciał T-38, kiedy mógł poczekać kilka godzin na normalny samolot pasażerski. Chcę wiedzieć, po co został w samolocie, skoro musiał się zorientować, że spada. Bierze głęboki oddech i poprawia szlafrok. Wykręca sobie dłoń wystarczająco mocno, by poczuć ostry ból. – Chcę wiedzieć, Richard, dlaczego David nie żyje, zamiast być tu ze mną i oczekiwać naszego dziecka.

Baedecker wstaje.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, co będę mógł – mówi całując ją w czoło i pomagając jej się podnieść. – Pora już, żebyś poszła spać. Na śniadanie będziesz mieć gości. Ja mogę wyjechać wcześniej rano, ale zadzwonię do ciebie, zanim wrócę. Diana zatrzymuje się przy drzwiach.

– Dobranoc, Richard.

– Dobranoc, Di.

Na dole czeka Katie.

– To zamiejskowa, Richard. Mówiłam, żeby ten ktoś zadzwonił za chwilę, ale nadal czeka.

Baedecker idzie do kuchni, by tam odebrać telefon.

– Dzięki, Kate – mówi. – Wiesz, kto dzwoni?

– Jakaś Maggie. Maggie Brown. Twierdzi, że ważna sprawa. Dave posadził śmigłowiec na ranczu znajdującym się jakiś kilometr za Lonerock. Było tam małe, porośnięte trawą poletko, postrzępiony rękaw lotniskowy zwisający luźno z dachu starej stodoły i stary, dwuosobowy steerman uwiązany pomiędzy stodołą a domem.

– Witamy na Międzynarodowym Lotnisku Lonerock! – zawołał Dave, wyłączając ostatni przełącznik. – Prosimy o pozostanie na swoich miejscach aż do ostatecznego zakończenia manewrów i zatrzymania się przy terminalu.

Wirniki zwolniły pracę, wreszcie zatrzymały się zupełnie. – Czy każde takie miasto duchów ma swoje lotnisko? – zapytał Baedeker. Zdjął słuchawki i czapkę, przyglądził dłonią rzadkie włosy i potrząsnął głową. Wciąż w uszach słyszał warkot silnika. – Tylko te, gdzie duchy są pilotami – powiedział Dave. Od strony stodoły wolno zbliżał się jakiś mężczyzna. Był młodszy od nich, ale jego twarz była ogorzala i pomarszczona na skutek wielu lat pracy pod gołym niebem. Miał na sobie wysokie buty, wyblakłe džinsy, a przy nich pas z turkusową sprzączką, oraz kraciastą koszulę, której lewy rękaw był przypięty agrałkami na ramieniu.

– Czołem, Dave! – zawołał. – Właśnie się zastanawiałem, czy będziesz tu w ten weekend.

– Dobry wieczór, Kink – powiedział Dave. – Kink, przedstawiam ci Richarda Baedeckera, mojego przyjaciela z dawnych czasów. – Jak się masz, Kink – Baedeker podał mu dłoń. Czuł, że farmer stara się, by uścisk nie był zbyt mocny. Kurze stopki wokół niebieskich oczu, powstałe na skutek częstego uśmiechania się, budziły sympatię.

– Kink Weltner służył jako dowódca helikoptera w Wietnamie – opowiadał Dave. – Czasem pozwala mi zaparkować tu mojego ptaka. W tajemniczy sposób stał się właścicielem wielkiego podziemnego zbiornika paliwa lotniczego.

Farmer minął ich i podszedł do maszyny. Czule pogładził dłonią jej bok.

– Nie mogę uwierzyć, że ten zardzewiały truposz jeszcze lata. Czy Chico wymienił stary dalmierz?

– Aha – potaknął David. – Jak chcesz, możesz zajrzeć do środka. – Doleję mu paliwa i może trochę ogarnę kabinę – oświadczył Kink.

– No to na razie – powiedział Dave.

Poszli w stronę stodoły. Tu, w dolinie, było chłodno. Baedeker w jednej ręce niósł puchową kurtkę, a w drugiej torbę. Odwrócił się w stronę wzgórz na wschodzie, oświetlanych ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Suche liście topoli odbijały się ciemnymi plamami na tle błękitnego nieba. Przy stodole stał zaparkowany džip. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Dave wrzucił swój bagaż na tył wozu i wskoczył na siedzenie. Baedeker usiadł obok i po chwili kurczowo chwycił się pałaka zabezpieczającego, gdyż Dave na pełnym gazie ruszył w dół żwirówką.

– No proszę, dowódca helikoptera z czasów wojny opiekuje się twoim sprzętem, całkiem nieźle – odezwał się Baedeker. – Poznałeś go w Wietnamie?

– Nie. Poznaliśmy się dopiero, kiedy Di i ja kupiliśmy tu dom w siedemdziesiątym szóstym.

– Stracił rękę na wojnie?

David pokręcił głową.

– Na wojnie nawet go nie drasnęli. W trzy miesiące po wyjściu z wojska jechał pijany furgonetką i miał dachowanie na drodze do Dalles.

Wjechali do Lonerock, mijając głąz podobny do wielkiego kła i zamknięty kościół. Po drugiej

stronie doliny widzieli drogę, nad którą lecieli tu od strony Condon. Wyglądała jak cienka biała linia na ocienionej ścianie zbocza. Baedeker zauważył opuszczone domy obrosłe zielskiem, stojące wzdłuż ulicy, dostrzegł kawałek szkolnego budynku pomiędzy drzewami na prawo i wtedy Dave zatrzymał się przed białym domem z blaszonym dachem i niskim drewnianym płotkiem z przodu. Trawnik był dobrze utrzymany, z tyłu znajdował się taras wyłożony płytkami, a przed domem rósł krzak bzu, na którym wisiało poidełko dla kolibrów. – „Casa Muldorff” – obwieścił Dave i wyjął torbę Baedekera z tyłu wozu.

Pokój gościnny mieścił się na piętrze. Była to izdebka wciśnięta pod belkowanie dachu. Baedeker podziwiał, ile pracy włożono w odremontowanie starego budynku. Dave i Diana wyburzyli ściany, wzmocnili stropy, dodali kominek w salonie i piec w kuchni, odnowili fundamenty, założyli elektryczność i kanalizację, przebudowali kuchnię i przekształcili niski strych w małe, lecz przytulne piętérko.

– Nie tylko go odnowiliśmy – chwalił się Dave – ale udało nam się przy wszystkich zmianach zachować styl budynku. W dniach gdy Szlak Oregoński był jeszcze świeżym wspomnieniem, w budynku tym mieściła się poczta, następnie biuro szeryfa, służył nawet jako kostnica, a potem wraz z całym miasteczkiem zamienił się w ruinę. Pokój gościnny miał obecnie białe ściany i także zasłony, stało tu łóżko z wysokogatunkowego mosiądzu oraz staroświecka toaleta z miską i dzbanem do kompletu. Baedeker spojrział przez okno nieco przesłonięte nagimi gałęziami na placyk przed domem i zakurzoną drogę. Był pewien, że nikt z niej nie korzysta prócz żuczków i innego robactwa. Pod płotkiem leżały spróchniałe resztki dawnego drewnianego chodnika.

– Chodź! – zawołał go z dołu Dave. – Pokażę ci miasteczko, zanim zrobi się ciemno.

Zwiedzenie całego miasta nie zajęło im wiele czasu, mimo iż poruszali się piechotą. Jakieś trzydzieści metrów za domem Dave’a polna droga skręcała ostro na północ i na chwilę zmieniała się w główną ulicę miasteczka. Droga asfaltowa odchodziła w lewo od niej, wiodła przez mały mostek, a następnie skręcała na zachód w stronę zbocza, przecinając pola pszenicy i lucerny. Strumyk, który Baedeker widział z góry, opływał posiadłość Muldorffów obok sfatygowanej szopy, nazywanej przez Dave’a garażem. W głębokiej ciszy ich kroki głośno chrzęściły na żwirowej nawierzchni głównej ulicy. Tylko niektóre domy w miasteczku wyglądały na zamieszkane, większość budynków stanowiły pochylone, zwieńczone nagimi krokwiemi, drewniane rudery opanowane przez chwasty. Przy jednej z takich budowli zabitej deskami stała nowoczesna, luksusowa przyczepa mieszkalna. Na zachodnim krańcu głównej ulicy widać było trzy zamknięte na głucho sklepy. Dwa z nich miały nad drzwiami zardzewiałe oprawy oświetleniowe bez żarówek. Stacja benzynowa przed opuszczonym sklepem oferowała wysokogatunkowy olej napędowy po cenie trzydzieści jeden centów za galon. Na upstrzonym przez muchy oknie przylepiono na ukos napis głoszący „Coca-Cola ZAMKNIĘTE chwila orzeźwienia”.

– Czy to oficjalnie jest wymarłe miasto? – zapytał Baedeker. – Jasne – powiedział Dave. – Oficjalne dane statystyczne mówią, że w pełni sezonu letniego miasteczko zamieszkuje czterysta osiemdziesiąt dziewięć duchów zmarłych obywateli i osiemnastu żywych mieszkańców.

– A co robią ludzie, którzy mieszkają tu na stałe?

Dave wzruszył ramionami.

– To garstka emerytowanych farmerów. A Solly, który mieszka w tym domu na kółkach, wygrał kilka lat temu główną nagrodę na waszyngtońskiej loterii i osiedlił się tutaj razem ze swoimi dwoma milionami doków.

– Żartujesz! – zawołał Baedeker.

– Ja nigdy nie żartuję – oburzył się Dave. – Chodź, przedstawię ci kogoś.

Przeszli dwie przecznice na wschód, na skraj miasta, a potem stromymi schodami wspięli się w stronę ceglanego budynku szkoły. Była to okazała, dwupiętrowa budowla z nieco zbyt dużą, oszkloną dzwonnica na dachu. W miarę jak się zbliżali, Baedeker mógł dostrzec, iż ktoś dołożył wiele starań, aby jak najlepiej odnowić budynek. Część dawnego szkolnego boiska zajmował dobrze utrzymany ogród, cegły musiały zostać kilka lat temu oczyszczone piaskiem, frontowe drzwi były pięknie rzeźbione, a w wysokich oknach widać było podwiązane zasłony.

Baedeker zasapał się nieco, zanim doszli do frontowych drzwi.

– Powinieneś więcej biegać, Dickie – rzekł z uśmiechem Dave. Kilka razy głośno zastukał mosiężną kołatką. Baedeker aż podskoczył, gdyjakiś głos odezwał się z metalowej tuby przytwierdzonej do framugi drzwi, tuż nad jego uchem.

– To ja, Dave Muldorff, pani Callahan! – wrzasnął Dave do tuby. – Jestem z przyjacielem!

W staroświeckiej tubie Baedeker rozpoznał fragment używanego w dawnych czasach systemu komunikowania się między piętrami budynku, który miał okazję widzieć w kilku starych filmach oraz podczas zwiedzania domu Marka Twaina w Hartford. Usłyszeli niewyraźny bełkot – Baedeker przetłumaczył to sobie jako „Wejdźcie, proszę” – a następnie zabrzączał mechanizm zwalniający drzwi. Baedeker przypomniał sobie wejście do kamienicy na Kildare Street w Chicago, w której mieszkał z rodzicami przed wojną. Wchodząc niemal spodziewał się poczuć mieszaninę zapachów starego dywanu, bejcowanego drewna i gotowanej kapusty, który we wczesnym dzieciństwie zawsze kojarzył mu się z zapachem domu. Ale tu zapach był inny. Wnętrze szkoły pachniało politurą i wieczornym wiatrem, który dostawał się tu przez otwarte na oścież okna.

Baedeker jak zafascynowany zaglądał do mijanych pomieszczeń. Ogromna klasa na pierwszym piętrze została przekształcona w obszerny salon. Fragment długiej, wmurowanej w ścianę tablicy szkolnej pozostał widoczny, aczkolwiek częściowo zasłoniły go regały obciążone setkami tomów. Tu i ówdzie na wyfroterowanej podłodze widać było piękne antyki, a w jednym miejscu parkiet zakrywał perski dywan, na którym stała komfortowa sofa i krzesła. Na drugim piętrze, znajdującym się na wysokości, na jakiej zazwyczaj zaczyna się trzecie piętro, Baedeker dostrzegł wypełniony książkami gabinet za rozsuwanymi drzwiami i sypialnię, w której stało samotne pojedyncze łóżko z baldachimem na sześćdziesięciu metrach kwadratowych błyszczącego parkietu. Na dźwięk kroków dwa koty zerwały się z łóżka i zniknęły w cieniu. Baedeker szedł za Dave’em po spiralnych schodkach z kutego żelaza, które musiały tu zostać dobudowane po tym, jak budynek przestał być szkołą. Przeszli przez otwór wejściowy w suficie i nagle znaleźli się w oświetlonym pomieszczeniu przypominającym sterówkę jakiegoś bardzo wysokiego sternika.

Baedeker był tak zaskoczony i olśniony, że nie zwrócił uwagi na starszą kobietę, która uśmiechała się do niego z wiklinowego fotela.

Stara dzwonnica została powiększona o szklaną kopułę o wymiarach co najmniej pięć na pięć metrów, a nawet sam wierzchołek dzwonnicy został przeszklony świetlikami. Po sposobie przenikania światła przez szyby Baedeker poznał, że szkło było polaryzowane – wzmacniało i tak już bogate kolory wieczornego nieba i liści; wiedział, że w ciągu dnia szyby z zewnątrz wydają się ciemne, a obserwatorowi wewnątrz kopulki barwy otoczenia będą się zdawały czystsze i intensywniejsze. Na zewnątrz, wzdłuż szczytu dachu po obu stronach dzwonnicy, biegł wąski pomost z misternie giętymi poręczami z kutego żelaza. Wewnątrz znajdowało się kilka wiklinowych mebli,

stół z serwisem do herbaty, rozłożone mapy nieba i stary mosiężny teleskop na wysokim trójnogu. Ale największe wrażenie zrobił na Baedeckerze widok roztaczający się z oszklonej kopułki. Z wysokości dwunastu metrów nad miastem ponad czubkami drzew i dachami domów widać było ściany wąwozu i zbocza wzgórz, a za nimi wysokie góry, gdzie kamienne iglice starych skał osadowych przebijały się przez warstwę gleby jak ciernie przez przetarte ubranie. Niebo widziane przez polaryzowane szkło było tak ciemne, że Baedeckerowi przypomniały się rzadko odbywane loty na wysokości powyżej dwudziestu tysięcy metrów – wtedy w środku dnia można zobaczyć gwiazdy i miejsce, gdzie kobaltowy błękit nieba przechodzi w czerń. Baedecker zdał sobie sprawę, że właśnie gwiazdy zaczynały pokazywać się na niebie pojedynczo i grupkami, niczym zapaleni teatromani przychodzący wcześniej na spektakl, by zająć najlepsze krzesła. Powiew wiatru przedostał się do pokoju poprzez siatki w dolnej części szklanych ścian, lekki podmuch zaszeleścił stronicami książki rozłożonej na podpórce fotela i Baedecker spojrzał na uśmiechającą się kobietę.

– Pani Callahan – odezwał się Dave – to jest Richard Baedecker. Richard, to pani Elizabeth Sterling Callahan. – Serdecznie witam, panie Baedecker – powiedziała kobieta wyciągając dłoń.

Na pierwszy rzut oka wydała mu się damą dobiegającą siedemdziesiątki, teraz jednak zdał sobie sprawę, że musi być starsza o co najmniej dziesięć lat. Jednakże pomimo swego wieku nadal imponowała urodą, zbyt pilnie strzeżoną, by mógł ją zniszczyć czas. Miała siwe, krótko przystryżone włosy sterczące sztywno do góry, jakby pod wpływem fal energii bijących od jej twarzy o mocnych rysach. Kości policzkowe mocno napinały skórę pomarszczoną przez słońce i nieubłagany czas, ale małe brązowe oczy wciąż były żywe i bystre, a uśmiech nie zatracił intrygującego powabu.

– Milo mi panią poznać, pani Callahan – powiedział Baedecker, ściskając jej rękę.

– Każdy przyjaciel Davida jest także moim przyjacielem – odezwała się, a Baedecker uśmiechnął się pod nosem na dźwięk jej krzepkiego, ochryplego głosu. – Usiądźcie, proszę. Sable, przywitaj się z naszymi przyjaciółmi.

Dopiero teraz Baedecker zauważył czarnego labradora zwiniętego w kłębek w mrocznym kąciku za krzesłem swej pani. Suka z ożywieniem podniosła głowę, gdy Dave przykucnął, aby ją pogłaskać.

– Długo jeszcze? – spytał Dave, poklepując zwierzę po grzbiecie. – Cierpliwości, cierpliwości – zaśmiała się pani Callahan. – Wszystko, co dobre, wymaga odrobiny czasu. – Spojrzała na Baedeckera. – Czy to pańska pierwsza wizyta w naszym miasteczku? – Tak, proszę pani – odparł Baedecker, czując się w jej obecności jak mały chłopczyk, co w obecnej chwili nie wydawało mu się wcale nieprzyjemne.

– To małe, ciche miasteczko, ale mam nadzieję, że przypadnie panu do gustu.

– Już mi się podoba. Tak samo jak pani dom. Zrobiła pani z niego istne cacko.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała i Baedecker zauważył, że się uśmiecha. – Mój świętej pamięci mąż wykonał wraz ze mną większość prac w tym budynku, kiedy po raz pierwszy przyjechaliśmy tu w końcówce lat pięćdziesiątych. Szkoła stała opuszczona już od trzydziestu lat i była w opłakanym stanie. W niektórych miejscach dach zupełnie się zapadł, na drugim piętrze gołębie gnieździły się we wszystkich pokojach... o tak, ten budynek był w opłakanym stanie. Davidzie, na stoliku stoi dzbanek z lemoniadą. Czy mógłbyś nalać nam po szklaneczce? Dziękuję ci, mój drogi.

Baedecker sączył lemoniadę z kryształowej szklanki, a na zewnątrz robiło się coraz ciemniej. W niewielu oknach paliły się światła, widać było także palące się przy drodze latarnie, z których jedna stała niedaleko domu Dave'a, ale ich blask został zasłonięty przez gałęzie drzew, tak że nie przeszkadzały w kontemplowaniu nocnego nieba, na którym coraz więcej gwiazd zajmowało swoje

miejsca.

– Mars wschodzi – powiedział Dave.

– Nie, mój drogi, to Betelgeza – zaprzeczyła pani Callahan. – Widzisz, jest naprzeciwko Rigela, nad Pasem Oriona. – Interesuje się pani astronomią? – spytał Baedeker, śmiejąc się ze zmieszania przyjaciela. Przypomniawszy sobie, jak dawał mu korepetycje podczas ćwiczeń z astronawigacji na kilka miesięcy przed misją.

– Mąż był astronomem – powiedziała pani Callahan. – Poznaliśmy się, gdy był profesorem Uniwersytetu DePauw w Greencastle, w stanie Indiana. Uczyłam tam historii. Widział pan kiedyś DePauw, panie Baedeker?

– Nie, proszę pani.

– Bardzo ładna, mała szkółka. Jeśli chodzi o poziom, to raczej drugorzędna uczelnia, zagubiona na odludziu, wśród pól kukurydzianych Indiany, ale za to był tam naprawdę ładny kampus. Dolać panu lemoniady, panie Baedeker?

– Nie, dziękuję.

– Pan Callahan był zagorzałym kibicem Chicago Cubs. Co roku w sierpniu jeździliśmy koleją do Chicago, aby uczestniczyć w rozgrywkach na Wrigley Fields. Tak wyglądały nasze wakacje. W 1945 całkiem nieźle im poszło. Mąż robił plany, żeby zostać tydzień dłużej w hotelu „Blackstone”. Ach, rozgrywki w Chicago... to była jedyna rzecz, której bardzo mu brakowało od czasu, gdy w pięćdziesiątym dziewiątym przeszedł na wcześniejszą emeryturę i przenieśliśmy się tutaj.

– Dlaczego zdecydowali się państwo przyjechać akurat do Lonerock? – spytał Baedeker. – Czy mieli państwo jakąś rodzinę w Oregonie?

– Ależ nie, skądże – zachnęła się pani Callahan. – Przed przeprowadzką do Lonerock żadne z nas nie było nigdy w zachodnich stanach. Pan Callahan po prostu wyliczył za pomocą swoich map, że w tym miejscu magnetyczne linie siły są najlepsze, tak więc załadowaliśmy cały nasz dobytek i przyjechaliśmy tutaj. – Magnetyczne linie siły? – zdziwił się Baedeker.

– Czy lubi pan oglądać niebo, panie Baedeker?

Zanim Baedeker zdążył odpowiedzieć, odezwał się Dave.

– Richard był ze mną na Księżycu szesnaście lat temu. – O nie, Davidzie, nie zaczynaj znowu z tą swoją historią! – pani Callahan wymierzyła mu żartobliwego klapsa w dłoń. Dave odwrócił się do Baedekera.

– Pani Callahan nie wierzy, że Amerykanie byli na Księżycu – wyjaśnił.

– Naprawdę? – zdziwił się Baedeker. – Myślałem, że wszyscy w to wierzą.

– Tylko niech pan nie próbuje przyłączać się do tej bzdurnej zabawy – zaprotestowała starszka. W jej ochryłym głosie słychać było lekkie rozbawienie. – Wystarczy, że David zdręcza mnie tymi wymysłami.

– Ale przecież to pokazywali w telewizji – wyrwał się Baedeker i natychmiast uświadomił sobie, jak mizerny jest to argument. – Jasne – powiedziała pani Callahan – podobnie jak słynne dementi pana Nixona w sprawie Watergate. Czy pan naprawdę wierzy we wszystko, co pan zobaczy lub usłyszy, panie Baedeker? Nie mam telewizora od czasu, kiedy w ostatnim nawalił kineskop. To było pewnej niedzieli. W samym środku „Omnibusa”. Mieliśmy aparat marki Sylvania Halolite. Nagle ekran stał się cały czarny, została tylko aureolka. Muszę powiedzieć, że sprawiło mi to ulgę. – Ale o lądowaniach na Księżycu pisały wszystkie gazety – tłumaczył Baedeker. – Pamięta pani lato

sześciesiątego dziewiątego roku? Neila Armstronga? „Mały krok dla człowieka, wielki krok dla ludzkości”?

– Tak, tak – chichotała staruszka. – Niech pan mi powie, panie Baedeker, czy to brzmi jak spontaniczna myśl, która nagle przychodzi człowiekowi do głowy? Czy podobne słowa wypowiedziałby pan w takiej chwili? Oczywiście, nie! Te słowa są pompacyjną kwestią z podległego napisanego sztuczki. Baedeker chciał coś powiedzieć, ale spojrzał na Dave’a i zamilkł.

– Jak się czuje Diana, Davidzie? – zmieniła temat pani Callahan.

– Dziękuję, dobrze – odparł Dave. – Byłem z nią na badaniu ultrasonograficznym.

– Punkcję owodni też jej zrobili? – dopytywała się dalej.

– Nie, tylko ultrasonogram.

– To rozsądnie – pochwaliła pani Callahan. – Diana jest wystarczająco młoda, aby nie trzeba było podejmować choćby jednoprocetowego ryzyka poronienia, jeśli to niepotrzebne. Kiedy oczekujecie rozwiązania?

– Lekarz mówi, że siódmego stycznia. Di myśli, że trochę później. Ja głosuję za tym, żeby dzieciak urodził się trochę wcześniej. – Jeśli to pierwsze dziecko, raczej się urodzi później.

Baedeker przerwał chrząknięciem.

– Co pani mówiła o magnetycznych liniach sił? Pani Callahan poklepała sukę po grzbiecie, wstała i wolnym, ostrożnym krokiem ruszyła w stronę stołu. Spojrzała w niebo, a potem na swoje mapy, pokiwała głową z zadowoleniem i powróciła na swoje miejsce.

– Właściwie chodzi tu o linie elektromagnetyczne – powiedziała. – Nigdy do końca tego nie rozumiałam, ale kiedy pan Callahan po raz pierwszy zdołał nawiązać kontakt, spisał wszystko dokładnie. Może pan to przejrzeć któregoś dnia, jeśli będzie pan miał ochotę. W każdym razie pan Callahan upewnił się, że oni mieli rację, a to miejsce jest najlepsze w całych Stanach... w całej Ameryce Północnej... więc się przeprowadziliśmy. Pan Callahan zmarł w sześćdziesiątym czwartym roku, a ponieważ oni nie rozmawiają ze mną bezpośrednio tak, jak rozmawiali z nim, muszę polegać na jego wczesnych obliczeniach. Zgodzi się pan ze mną?

– Chyba tak – powiedział niepewnie Baedeker. – Pan Callahan bez wątplenia dobrze ustalił miejsce – ciągnęła dalej – ale nigdy nie był pewny co do czasu. Po prostu oni nie mieli ochoty ustalić konkretnej daty. Setki razy ich widziałam, jak przelatywali, ale kiedyś przecież muszą wylądować. Mogliby się z tym pośpieszyć. Coraz szybciej się starzeję i w niektóre dni wstąpienie na górę moich starych kości to wszystko, na co mnie stać. Dziś nie jest zbyt dobra noc do obserwacji, bo wkrótce będzie pełnia i... o mój Bo... patrzcie!

Baedeker spojrzał we wskazanym kierunku i dostrzegł mały, świetlisty punkt tuż obok zenitu. Pewnie był to satelita albo samolot lecący wyjątkowo wysoko z zachodu na wschód. Cała trójka przyglądała się jego przelotowi aż do chwili, gdy znikł na tle rozgwieżdżonego nieba, a potem siedzieli kilka minut milcząc, w zupełnej ciemności.

– Komu dolać lemoniady? – odezwał się w końcu Dave.

* * *

Po śmierci matki, która zmarła na atak apopleksji jesienią 1956 roku, ojciec przeniósł ich dom z Chicago do „chaty z drewnianych bali” w Arkansas. Rodzice Richarda Baedekera wygrali kawałek ziemi w konkursie „Herald Tribune” i przez pięć lat budowali tę chatę, spędzając w niej każde lato, a czasami nawet święta Bożego Narodzenia. Ojciec odszedł z marynarki na emeryturę w 1952 roku i

podjął pracę na pół etatu jako sprzedawca sprzętu sportowego firmy Wilson. W tym samym roku jego syn zaczął latać na F-86 sabre w Korei. Rodzice planowali przenieść się do Arkansas w czerwcu 1957 roku. Ojciec musiał zamieszkać tam sam rok wcześniej, w listopadzie.

Baedeckerowi mocno utkwily w pamięci dwie wyprawy do tego domu: pierwsza w październiku 1957 roku, na dwa miesiące przed śmiercią ojca, który umarł na raka płuc, i druga, ze Scottem, w upalne lato 1974 roku, którego gorącą atmosferę dodatkowo podgrzewała afera Watergate.

Scott miał wtedy dziesięć lat, ale już wszedł w fazę szybkiego rośnięcia, która miała się zakończyć na wysokości stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów, co czyniło go wyższym o pięć centymetrów od ojca. Rude włosy sięgały mu tamtego roku do ramion; Richardowi się to nie podobało – według niego chłopak wyglądał zniewieściale – ale jeszcze bardziej denerwował go nerwowy odruch syna, polegający na ciągłym odrzucaniu do tyłu opadającej na oczy grzywy. Jednak Baedecker nie przywiązywał aż tak wielkiej wagi do wyglądu swego dziecka, aby głośno wypowiedzieć swoje zastrzeżenia.

Podróż z Houston upłynęła im w potwornym upale i była wyjątkowo nudna. W tym roku jego stosunki z Joan zaczęły się psuć, a przynajmniej tak zawsze potem myślał, w każdym razie był zadowolony, że może wyrwać się z domu na parę tygodni. Joan zdecydowała się zostać w Houston ze względu na zobowiązania, jakie miała wobec różnych klubów kobiecych. Baedecker właśnie przed miesiącem odszedł z NASA i zamierzał od września rozpocząć pracę dla firmy z St. Louis, produkującej sprzęt lotniczy i kosmonautyczny. Miał pierwsze wakacje od ponad dziesięciu lat. Scott nie był zadowolony z wyjazdu. Przez pierwsze dni wypełnione pracą wokół chaty – karczowaniem krzaków, naprawianiem zniszczonych okien, wymianą dachówek i w ogóle oporządzaniem od zewnątrz domu, który przez całe lata był nie zamieszkały – chłopak dąsał się i milczał. Baedecker wziął ze sobą radio tranzystorowe, które wciąż raczyło ich spekulacjami na temat rychłego odwołania Nixona lub jego nieuchronnej rezygnacji. Afera Watergate bez reszty pochłonięła Joan od czasu, kiedy pierwsze wzmianki o całej sprawie pojawiły się w telewizji rok wcześniej. Na początku wściekała się, bo programy poświęcone aferze kolidowały z jej ulubionymi serialami, ale w końcu sama czekała z niecierpliwością na dalszy rozwój wydarzeń, co wieczór oglądając powtórki na PBS, i trudno było z nią porozmawiać o czymkolwiek innym. Baedecker, kończący swą trwającą od osiemnastego roku życia karierę pilota, obserwował ostatnie podrygi gabinetu Nixona z głębokim niesmakiem i zażenowaniem. Afera odkrywała fałsz i obłudę, jakie rządziły społeczeństwem, któremu już od jakiegoś czasu przyglądał się z rosnącą goryczą.

Drewniana chata była właściwie piętrowym domem, o zupełnie niemodnej fasadzie w porównaniu z pojawiającymi się w pobliskich osiedlach chatkami z kamienia i cegły oraz daczami o spadzistych dachach. Chata stała na małym wzgórzu pośrodku hektara lasów i łąk. U stóp wzgórza znajdowało się wąskie wyjście na jezioro i mała przystań zbudowana przez ojca Baedeckera latem tego roku, kiedy Eisenhower po raz drugi został prezydentem. Rodzice pracowali nad wykończeniem pokoi na piętrze i dobudowaniem tylnego tarasu, ale kiedy ojciec wprowadził się tu po śmierci matki, zostawił robotę nie dokończoną. Baedecker i Scott zniszczyli gnijące resztki tarasu w dniu, w którym Nixon ogłosił swoją rezygnację. Baedecker pamiętał, jak w czwartkowy wieczór siedzieli razem przed domem, jedząc usmażone przez siebie hamburgery, słuchając ostatnich, budzących politowanie słów ustępującego prezydenta, w których użalał się nad własnym losem i urągał przeciwnikom. Nixon zakończył swoją mowę następującym zdaniem: „Służyć na tym stanowisku, to jakby być krewnym każdego Amerykanina. Opuszczając je, odchodzę z modlitwą na ustach. Niech

laska Boska będzie z wami przez wszystkie nadchodzące dni”. Spotkało się to z natychmiastową repliką Scotta:

– Kończ już i spadaj, zasrany oszuście! Nie będziemy za tobą tęsknić.

– Scott! – warknął Baedeker. – Do jutra, do godziny dwunastej w południe ten człowiek jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nie wolno ci tak o nim mówić!

Chłopak otworzył usta, aby coś odpowiedzieć, ale dwadzieścia lat wojskowej dyscypliny wyniesionej z marynarki nadały poleceniu Baedeckera ton nie znoszący żadnego sprzeciwu, Scott mógł więc jedynie rzucić na ziemię swój talerz i uciec z poczerwieniałą twarzą. Jego biała koszulka znikła w mroku gdzieś w okolicy przystani. Baedeker wiedział, że odtąd chłopak będzie się dąsał jeszcze bardziej. Wiedział także, że to, co powiedział Scott, aczkolwiek w sposób dość uproszczony, wyrażało jego własne odczucia związane z odejściem Nixona. Spojrzał na dom i pomyślał o dniu, w którym zobaczył go po raz pierwszy. Nigdy przedtem nie był w stanie Arkansas. Przyjechał tu prosto z Yumy w Arizonie swoim nowym thunderbirdem, mijając małe miasteczka o nazwach przywodzących na myśl podobne miasta w Nowej Anglii:

Choctaw, Leslie, Yehdille i Salesville; niemal oczekiwał, że za chwilę ujrzy wyłaniający się zza drzew ocean, a nie długie jezioro, nad którym znajdowała się posiadłość jego rodziców. Widok ojca wstrząsnął nim do głębi. Mimo swoich sześćdziesięciu czterech lat ojciec Baedeckera zawsze wyglądał na dziesięć lat młodszego niż w rzeczywistości. Teraz jego włosy były nadal czarne jak smoła, ale policzki porastała siwa, kilkudniowa szczecina, a skóra na szyi była bardziej luźna i pomarszczona niż w dniu, gdy widzieli się w Illinois, osiem miesięcy wcześniej. Baedeker zdał sobie wtedy sprawę, że nigdy nie widział swego ojca nie ogolonego. Przyjechał z wizytą wieczorem piątego października 1957 roku, w dzień po wystrzeleniu „Sputnika”. Tej samej nocy ojciec zszedł na dół do przystani, aby łowić ryby i „popatrzeć na satelitę”, nie zważając na zapewnienia Baedeckera, że „Sputnik” jest zbyt mały, by móc go dostrzec gołym okiem. Była chłodna, bezksiężycowa noc, a las po przeciwnej stronie jeziora odcinał się czarnym pasem na tle rozgwieżdżonego nieba. Baedeker spoglądał na jarzący się punkcik papierosa w ojcowskich wargach, przysłuchiwał się skrzypieniu kołowrotka naciągającego żyłkę. Od czasu do czasu jakaś ryba wyskakiwała z pluskiem nad wodę, niewidoczna w ciemnościach.

– Kto wie, czy ten satelita nie przewozi bomb atomowych – odezwał się nagle ojciec.

– Musiałyby to być bardzo małe bombki – odrzekł Baedeker. – Ten satelita jest wielkości piłki do kosza. – Ale skoro potrafią wysłać w kosmos taką rzecz, to mogą równie dobrze zbudować coś większego, z bombami na pokładzie, prawda? – powiedział ojciec zrzędliwie.

– To prawda – zgodził się Baedeker – ale jeśli potrafią wystrzelić taką masę na orbitę, nie muszą wcale łądować bomb na pokład. Mogą użyć raket wspomagających jako pocisków balistycznych.

Ojciec nic nie odpowiedział i Baedeker żałował, że sam nie siedział cicho. Wreszcie ojciec zakaszłał i ponownie odezwał się, zwijając gwałtownie żyłkę i zarzucając ją po raz kolejny. – Czytałem w gazecie o nowym samolocie raketowym, X-15, który jeszcze jest w fazie projektowania. Mówi się, że będzie mógł wylecieć w przestrzeń kosmiczną, okrążyć Ziemię i wylądować jak normalny samolot. Czy będziesz latał na tych maszynach, jak już będą gotowe?

– Chciałbym, pewnie. Niestety przede mną jest kilku innych gości o takich nazwiskach jak Joe Walker albo Ivan Kincheloe. Poza tym te nowe modele na pewno będą w bazie Edwardsa. A ja zwykle jestem w Yumie albo w Pax River. Myślałem, że do tego czasu będę już żył tylko z latania,

ale jeszcze nawet nie skończyłem uniwerku. Rozżarzony koniec papierosa – czerwony punkcik w ciemności – przesunął się wolno z góry na dół i z dołu do góry. – Twoja matka i ja spodziewaliśmy się, że teraz będziemy się przygotowywali do naszej pierwszej zimy we własnym domku. Czasami to, co planujesz, lub to, na co czekasz, w ogóle nie ma żadnego znaczenia. Po prostu żadnego znaczenia.

Baedecker przejechał ręką po gładkich deskach pomostu. – Najgorszym błędem jest oczekiwanie na lepsze czasy, tak jakby to była nagroda, która ci się należy – ciągnął ojciec, a w jego głosie nie było już zrędliwego tonu, który został zastąpiony przez inny, daleko smutniejszy. – Pracujesz i czekasz, potem jeszcze trochę pracujesz, ciągle wmawiając sobie i innym, że nadchodzą już upragnione lepsze czasy, a potem wszystko wali się w gruzy i czekasz już tylko na śmierć.

Chłodny wiatr powiał od jeziora i Baedecker zadrżał.

– Jest – powiedział ojciec.

Baedecker spojrzał w górę, w stronę, w którą wskazywał ojciec palcem, i na tle czarnego nieba pomiędzy gwiazdami rozsiewającymi chłodny blask ujrzał nieprawdopodobnie jasny punkt, pomarańczowy jak końcówka ojcowego papierosa, przemieszczający się z zachodu na wschód, zbyt szybki jak na samolot. Był to „Sputnik”, za mały, by go dostrzec gołym okiem.

* * *

Dave zrobił chili i obaj zjedli późny obiad po powrocie od pani Callahan, siedząc w długiej kuchni i słuchając Bacha z przenośnego magnetofonu. Kink Weltner wpadł na piwko. Dave i Kink zaczęli rozmawiać o futbolu; Baedecker wyłączył się, gdyż futbol zawsze wydawał mu się jednym z niewielu absolutnie bezsensownych sportów. Kiedy wyszli odprowadzić Kinka, księżyc właśnie wschodził, oświetlając skalne rumowiska i sosny porastające pasma wzgórz.

– Chcę ci coś pokazać – odezwał się Dave.

W małym, całkowicie zawałonym książkami pokoiku na piętrze stało prowizoryczne biurko zrobione z drzwi ułożonych poziomo na kozłach, jakich używa się do piłowania desek. Na biurku znajdowała się maszyna do pisania i kilkaset stron rękopisu ułożonych w stosik przygniety przyciskiem, wykonanym z części jednego z przełączników statku „Gemini”.

– Jak długo nad tym pracujesz? – spytał Baedecker, przeglądając pierwsze pięćdziesiąt stron rękopisu.

– Od paru lat – powiedział Dave. – To zabawne, ale pracuję nad tym tylko tutaj, w Lonerock. Wszystkie materiały, które udało mi się zebrać, musiałem przytargać do tego domu, a potem odwozić z powrotem.

– Będiesz nad tym pracował w ten weekend?

– Nie. Rzuć na to okiem, jeśli możesz. Chcę usłyszeć twoją opinię. Jesteś pisarzem.

– Bzdura – zachnął się Baedecker. – Żaden tam ze mnie pisarz. Przez dwa lata zmagalem się z tym moim, pożałuj Boże, dziełem i nigdy nie udało mi się wyjść poza rozdział czwarty. W końcu zdałem sobie sprawę, że nie da się napisać nic porządnego, jeśli nie ma się nic ważnego do powiedzenia. – Jesteś pisarzem – powtórzył Dave. – Byłbym wdzięczny, gdybyś powiedział mi, co o tym sądzisz.

Wręczył Baedeckerowi pozostałą część kartek.

Baedecker dwie godziny czytał w łóżku. Była to nie dokończona książka – niektóre rozdziały były zaledwie naszkicowane, złożone z kilku naprędce spisanych myśli – ale to, co przeczytał, zafascynowało go. Roboczy tytuł dzieła brzmiał: „Zapomniane granice”, a pierwsze fragmenty

zawierały wprowadzenie do historii wczesnych wypraw na Antarktydę i na Księżyc. David chciał ukazać podobieństwa pomiędzy tymi ekspedycjami. Niektóre z nich były oczywiste, takie jak wyścig z zatykaniem flagi, ogromne pragnienie, by być pierwszym, biorące górę nad wszelkimi poważnymi, usystematyzowanymi programami naukowymi. Inne podobieństwa były bardziej subtelne, na przykład porównanie surowego piękna śnieżnej pustyni wokół bieguna południowego z wrażeniem, jakie zrobił na autorze krajobraz powierzchni Księżyca. Informacje pochodziły z dzienników podróży, notatek i zapisanych wypowiedzi. Zarówno w przypadku Antarktydy, jak i Księżyca nieadekwatność wszelkich relacji – chociaż opisy odkrywców śnieżnego kontynentu wydawały się tu bardziej precyzyjne – świadczyła o tajemniczym uczuciu wewnętrznej pustki, towarzyszącym człowiekowi przy zetknięciu się z porażającym pięknem nowego miejsca, całkowicie obcego jego wcześniejszym doświadczeniom, oraz o pociągającym uroku tych miejsc, tak niedostępnych i wrogich, tak absolutnie obojętnych wobec wszelkich ludzkich aspiracji i słabości. Poza roztrząsaniem estetycznych aspektów zdobywania świata, Dave przedstawił minibiografie i portrety psychologiczne kilku postaci – pięciu zdobywców Antarktydy oraz pięciu zdobywców kosmosu. Spośród polarników wybrał Amundsena, Byrda, Rossa, Shackletona i Cherry–Ganarda, a jako ich współczesnych odpowiedników przedstawił czterech mniej znanych uczestników programu „Apollo”, z których trzech było na Księżycu, a jeden – podobnie jak Tom Gavin – został na orbicie okołoksiężycowej w członie dowodzenia. Opisał także losy jednego Rosjanina – Pawła Bielajewa. Baedeker poznał Bielajewa na pokazie lotniczym w Paryżu w 1968 roku. Stał właśnie obok niego wraz Dave’em Muldorffem i Michaeliem Collinsem, kiedy Bielajew powiedział: „Być może, niedługo będę pierwszym, który zobaczy drugą stronę Księżyca”. Teraz Baedeker mógł się dowiedzieć, że istotnie Bielajew został wybrany jako pierwszy kosmonauta, który miał odbyć lot dookoła Księżyca w zmodyfikowanej wersji „Sondy”. Data wystrzelenia została wyznaczona na kilka miesięcy po ich rozmowie z Bielajewem, wiosną 1968 roku. Zamiast tego „Apollo 8” jako pierwszy okrążył Księżyc na Boże Narodzenie tego samego roku, co spowodowało, że Rosjanie po cichu wycofali się z księżycowego programu, ogłaszając wszem wobec, że nigdy nie planowali wyprawy na Księżyc. Bielajew umarł w rok później podczas operacji jakiegoś krwawiącego wrzodu i zamiast zdobyć sławę jako pierwszy człowiek, który widział drugą stronę Księżyca, został pierwszym zmarłym rosyjskim „zdobycą kosmosu” nie pochowanym pod murem kremłowskim. Baedeker przypomniał sobie słowa ojca: „...a potem wszystko wali się w gruzy i czekasz już tylko na śmierć”.

Fragmenty poświęcone amerykańskim kosmonautom pozostały na etapie wstępnego szkicu, ale było więcej niż oczywiste, w jakim kierunku zmierza autor. Podobnie jak w przypadku portretów polarników, rozdziały opowiadające o uczestnikach programu Apollo” miały zawierać przemyślenia kosmonautów z lat po zakończeniu ich misji, ich nowe spojrzenie na życie po powrocie z wyprawy, poglądy, które porzucili, oraz omówienie wszelkiego rodzaju frustracji, jakie ewentualnie czuli w związku z niemożnością powrotu do miejsca, które zdobyli. Baedekerowi podobał się dobór kosmonautów, był bardzo ciekaw, co mieliby do powiedzenia i co ich może łączyć. Czuł, że jeśli ta część zostanie ukończona, będzie najważniejsza w całej książce, ale jednocześnie wiedział, że do tej części najtrudniej zdobyć odpowiednie materiały i napisanie jej nie jest łatwym zadaniem.

Właśnie myślał o tym, stojąc przy oknie i wpatrując się w krzak bzu oblany księżycowym światłem, kiedy usłyszał pukanie i do pokoju wszedł Dave.

– Wciąż jeszcze ubrany, jak widzę – powiedział. – Nie możesz spać?

– Jeszcze mi się nie chce – odparł Baedeker.

– Mnie tak samo. – Dave rzucił mu czapkę. – Masz ochotę na przejażdżkę?

Jadąc na północ trasą 1-5 w stronę Tacoma, Baedeker myśli o telefonie Maggie z poprzedniego wieczoru.

– Maggie? – zapytał zdziwiony, że znalazła go w domu Muldorffa. Zdał sobie sprawę, że na wybrzeżu jest prawie pierwsza w nocy. – Co się stało, Maggie? Skąd dzwonisz? – Z Bostonu – odparła Maggie. – Dostałam numer od Joan.

Przykro mi z powodu śmierci twojego przyjaciela. – Od Joan? – zdziwił się jeszcze bardziej. Myśl, że Maggie Brown mogła spotkać się z jego byłą żoną, wydała mu się zupełnie nierealna.

– Dzwoniłam, żeby powiedzieć jej o Scotcie – wyjaśniła Maggie. – Czy kontaktowałeś się z nim?

– Nie. Próbowałem parę razy przez ostatnie kilka miesięcy. Wysyłałem listy i telegramy na stary adres w Punie, ale nie było żadnej odpowiedzi. W listopadzie dzwoniłem do tego domu tu, w Oregonie, ale ktoś poinformował mnie, że nazwiska Scotta nie ma na liście rezydentów. Czy wiesz, gdzie on może być? – Jestem niemal pewna, że jest właśnie w Oregonie. Na farmie przerobionej na ashram. Nasz wspólny przyjaciel, który też był w Indiach, wrócił niedawno na uniwersytet. Powiedział, że pierwszego grudnia wrócili do Stanów razem ze Scottem. Bruce mówi, że w Indiach Scott bardzo chorował, nawet spędził tam kilka tygodni w szpitalu, to znaczy w izbie chorych, która pełni rolę szpitala na farmie Mistrza, na przedmieściach Puny. – Astma? – spytał Baedeker.

– Tak, i ciężki przypadek dyzenterii.

– Czy Joan nie mówiła ci, że Scott jest z nią w kontakcie? – Mówiła, że ostatni list od niego dostała w listopadzie... z Puny – odpowiedziała Maggie. – To ona dała mi telefon do Muldorffów. Nie dzwoniłabym, Richard, gdybym wiedziała, w jaki inny sposób można się z tobą skontaktować, a Bruce, mój przyjaciel, który wrócił z Indii, mówił, że Scott jest bardzo chory. Nie mógł sam wyjść z samolotu, kiedy wylądowali w Los Angeles. Jest niemal pewien, że Scott jest na ranchu w Oregonie.

– Dzięki, Maggie. Zaraz tam zadzwonię.

– A co u ciebie, Richard? – ton jej głosu zmienił się, stał się bardziej łagodny, ciepły.

– U mnie wszystko w porządku.

– Przykro mi, że twój przyjaciel Dave nie żyje. Lubiłam słuchać, jak mi o nim opowiadałeś w Kolorado. Myślałam, że kiedyś go poznam.

– Też tak myślałem – powiedział Baedeker i zdał sobie sprawę, jak wiele prawdy było w tym zdaniu. Maggie na pewno podobałoby się poczucie humoru Dave'a. Dave'owi podobałoby się, że Maggie podoba się jego poczucie humoru. – Przepraszam, że nie dzwoniłem.

– Dostałam twoją kartkę z Idaho. Co robiłeś od czasu, gdy w październiku odwiedziłeś siostrę?

– Byłem parę dni w Arkansas. Remontowałem chatę, którą wybudował mój ojciec. Od dawna jest nie zamieszkana. A co u ciebie? Nastąpiła cisza wypełniona lekkim trzaskiem jakichś elektronicznych urządzeń w tle.

– W porządku – odpowiedziała wreszcie Maggie. – Przyjaciel Scotta, Bruce, wrócił z Indii, żeby mi się oświadczyć. Baedeker poczuł, że duch w nim upada, podobnie jak to było cztery dni temu, gdy dostał telegram od Di. – I co ty na to? – spytał po dłuższej chwili. – Myślę, że nie będę się z niczym śpieszyć do maja, bo wtedy obronię pracę magisterską. Muszę już kończyć. Proszę, uważaj na siebie.

– Jasne – odparł.

Fragmety T-38, którym leciał Dave, zajmują sporo miejsca na podłodze hangaru. Mniejsze i

ważniejsze kawałki leżą porozkładane na długim rzędzie stołów. Każdy ma przytwierdzoną etykietkę z opisem.

– Więc co ustaliła komisja dochodzeniowa? – pyta Baedeker Boba Munsena.

Major lotnictwa Munsen krzywi się i wkłada ręce do kieszeni kurtki.

– Jak na razie wygląda na to, Dick, że nastąpiło jakieś uszkodzenie konstrukcyjne podczas startu, które spowodowało wyciek w układzie hydraulicznym. Dave zobaczył czerwone światełko, gdy był jakieś czternaście minut od lotniska międzynarodowego w Portland. Natychmiast zawrócił.

– Nadal nie wiem, dlaczego wylatywał z Portland – mówi Baedeker.

– Ponieważ tam właśnie zaparkowałem tę cholerną maszynę tuż przed Bożym Narodzeniem. Miałem ją odstawić do Ogden dwudziestego siódmego i Dave chciał lecieć ze mną. Miał zamiar złapać jakiś samolot pasażerski w Salt Lake.

– Ale musiałeś zostać na czterdzieści osiem godzin w bazie McChorda.

– Tak. – W tym krótkim słowie słychać niezadowolenie i żal, jakby Munsen miał sobie za złe, że to nie on był w kabinie, gdy samolot rozbijał się o ziemię.

– Dlaczego więc Dave nie skorzystał ze swoich przywilejów deputowanego i nie wtrynił się na jakiś lot pasażerski, skoro tak mu się śpieszyło? – spytał Baedeker, wiedząc, że i tak nikt z obecnych nie będzie mu potrafił udzielić odpowiedzi. Munsen wzrusza ramionami.

– Ryan chciał mieć T-38 w Bazie Lotniczej Hill na dwudziestego ósmego. Dave miał wszystkie papiery i chciał nim polecieć. Kiedy zadzwonił, powiedziałem mu: „Dobra, bierz maszynę, jakoś się dostanę do Hill”.

Baedeker podchodzi do stołów i spogląda na leżące na nich osmalone kawałki metalu.

– No dobrze – mówi – uszkodzenie konstrukcji, wyciek hydrauliczny. Na ile to było poważne?

– Wydaje nam się, że do chwili upadku straci! około sześćdziesięciu procent wspomaganie – mówi Munsen. – Czy słuchałeś taśmy?

– Jeszcze nie. A co z prawym silnikiem?

– Minutę po awarii hydrauliki Dave dostał sygnał z silnika.

Wyłączył go na osiem minut przed katastrofą.

– Kurwa jego mać! – wrzeszczy Baedeker i wali pięścią w stół tak mocno, że wszystkie oznaczone etykietkami fragmenty podskakują do góry. – Kto, do cholery, dowodził na co dzień tym głównym?!

– Sierżant Kitt Toliver z bazy McChorda – mówi cicho Munsen. – Najlepszy dowódca naszej najlepszej załogi. Kitt przyleciał ze mną na to seminarium w Portland podczas Bożego Narodzenia. Pogoda się pogorszyła, więc wróciłem do McChorda dwudziestego szóstego, ale Kitt został w mieście. Przeprowadził dwa przeglądy naziemne w dniu, w którym Dave wziął maszynę. Sam wiesz najlepiej, jak to wygląda, Dick.

– Jasne. – W głosie Baedekera wciąż słychać gniew. – Jasne, wiem, jak to wygląda. Czy Dave sprawdził wszystko dokładnie przed lotem?

– Spieszył się – mówi major – ale Toliver twierdzi, że tak. – Bob, chciałbym porozmawiać z Fieldsem i innymi – mówi Baedeker. – Możesz to jakoś załatwić?

– Dziś raczej nie. Wszyscy rozeszli się po całej bazie. Mogę to zrobić jutro, ale chyba nie będą zbyt zadowoleni. – Zrób to, proszę.

– Kitt Toliver jest tutaj – mówi Munsen. – W mesie dla podoficerów. Chcesz z nim pogadać?

– Nie. Porozmawiam z nim później. Najpierw muszę przesłuchać taśmę. Dzięki, Bob, do zobaczenia jutro rano. Baedeker podaje Munsenowi rękę i idzie po raz ostatni posłuchać głosu przyjaciela.

– Upijemy się i damy czadu! – zawołał Dave, a jego głos odbił się gromkim echem w ciemnych uliczkach Lonerock. – Słodki Jezu, ale piękna nocka!

Baedeker zapiął kurtkę puchową i wskoczył do dżipa, gdzie Dave znęcał się już nad silnikiem.

– Pełnia! – wrzasnął Dave i zawył jak wilk. Gdzieś spomiędzy wzgórz rozciągających się poza miastem doszło ich wysokie zawodzenie kojota. Dave zaśmiał się i ruszył w kierunku zabitego deskami kościoła metodystów. Nagle zatrzymał gwałtownie wóz i schwycił Baedeckera za ramię.

– Byliśmy tam – powiedział niskim głosem pełnym radosnego napięcia. – Richard, byliśmy tam. Zostawiliśmy nasze antropoidalne ślady kończyn tylnych odbite w księżycowym pyłe, chłopie. I tego nikt nam nie zabierze.

Dave znów dodał gazu i ruszył dalej, śpiewając „Nie mogą mi tego zabrać” ochryplym falsetem.

Przejażdżka dżipem skończyła się niecały kilometr dalej, na polu Kinka Weltnera. Dave wyciągnął listy kontrolne i latarki z bagażnika śmigłowca, po czym zaczął przeprowadzać dokładny przegląd, posuwając się aż do wpełznięcia pod maszynę, aby upewnić się, że nie nastąpiło skroplenie pary wodnej na przewodzie paliwowym. Stali właśnie na płaskim dachu helikoptera, sprawdzając piastę wirnika, maszt, pręty sterujące i głowicę, kiedy Baedeker spytał:

– Chyba nie mamy zamiaru lecieć?

– Czemu nie?

– Obudzimy Kinka – to był jedyny argument, jaki udało mu się naprędce wymyślić.

– Kinka nic nie jest w stanie obudzić – zaśmiał się Dave. – Chodź!

Baedeker zszedł z dachu maszyny i wszedł do środka. Usadowił się na lewym siedzeniu, przypiął pasy bezpieczeństwa przytrzymujące ramiona do szerokiego pasa obejmującego go w biodrach, wcisnął na głowę przepisowy kask – którego nie wkładał, gdy lecieli tutaj – założył słuchawki i zmrużył oczy, patrząc na czerwone światelka mrugające do niego z pulpitu sterowniczego. Dave pochylił się, żeby przeprowadzić przegląd urządzeń kabinowych, podczas gdy Baedeker odczytywał pozycje wyłączników. Po zakończeniu przeglądu David wsunął jakąś podłużną skrzynkę pomiędzy metalowe wsporniki znajdujące się po jego stronie pulpitu i podłączył do niej wtyki radia.

– A co to, u diabła?

– Magnetofon – odparł Dave. – Żaden szanujący się pilot hueya nie lata bez magnetofonu.

Zawył rozrusznik, śmigła poruszyły się, silnik zakaszłał parę razy, aż w końcu złapał rytm. David włączył interkom. Jego głos brzmiał, jakby dochodził gdzieś z daleka.

– Następny przystanek Stonehenge.

– Jakim cudem?

– Patrz i czekaj, amigo. Czy nie mam przekrzywionych gogli? Baedeker obrócił się w prawo. Dave miał na sobie okulary noktowizorowe, ale twarz widoczna pod okularami i wokół nich nie należała do Dave'a. Nie była to nawet ludzka twarz. W czerwonym świetle lampek pulpitu Baedeker ujrzał dwoje ogromnych, wybaluszonych oczu na mięsistych szypułkach, odstających od głowy pod kątem czterdziestu pięciu stopni, szerokie, żabie usta pozbawione warg, zakłęsła brodę i

pomarszczoną, luźno zwisającą, workowatą szyję jak u starego indora.

– Nie, leżą bardzo dobrze – powiedział.

– Dzięki.

Trzy minuty później lecieli jakieś siedemdziesiąt metrów nad Lonerock. Pod spodem widzieli nieliczne światła. – Nie podoba ci się moja maska Admirała Ackbara na Halloween? – spytał Dave.

– Au contraire – odparł Baedeker. – To najpiękniejsza maska Admirała Ackbara, jaką widzę od tygodni. Po co to robisz? Dave uruchomił przełącznik pokładowego reflektora lądowania na dźwigni sterowania ogólnego i zaczął na zmianę włączać i wyłączać światła. Przez dolną szybę Baedeker widział pulsujące błyski.

– Wysłałam pozaziemskie pozdrowienia pani Callahan, żeby mogła wreszcie uznać, że nadeszła noc i udać się na spoczynek. – Dave wyłączył światła i wprowadził hueya w ostry nawrót. Przelecieli nad Condon na wysokości tysiąca pięciuset metrów. Baedeker zauważył aureolę lampek wokół pustej estrady w malutkim parku, wyludnioną główną ulicę w zimnej poświacie lamp rtęciowych i ciemne przecznice z plamami światła wokół ulicznych latarni, na tle których odbijały się cienie wysokich drzew. Baedeker pomyślał sobie, że małe amerykańskie miasteczka miały się lepiej niż wielkie metropolie, ponieważ dane im było zapadać w głęboki sen.

– Czy mógłbyś to puścić, Richard? – Dave podał mu kasetę. Baedeker przybliżył ją do podświetlonej tarczy dalmierza. Na kasecie było napisane tylko: „Jean Michael Jarre”. Włożył ją do kieszeni magnetofonu. Przypomniawszy mu się malutki magnetofonik, który mieli ze sobą w kapsule załogowej. Każdy zabrał w podróż trzy kasety. Tom Gavin miał na swoich muzykę country i największe hity Barry’ego Manilowa, Baedeker wziął Bacha, Brubecka i Preservation Hali Jazz Band, a Dave – ten rzecz jasna musiał przytargać największe cholerstwo – taśmę ze śpiewem wielorybów, utwór „Icarus” w wykonaniu grupy Paula Wintera o nazwie Consort, Beach Boys, duet grający na japońskim flecie i hinduskim sitarze oraz nagrania z jakiejś ceremonii plemiennej Masajów.

– Co teraz? – spytał Baedeker.

Dave włączył odtwarzanie i spojrzał na niego przez lśniące czerwono tuleje noktowizora – OPiSZMA!!! – ryknął rozradowany.

Pierwsze dźwięki muzyki wypełniły słuchawki na uszach Baedekera dokładnie w chwili, gdy Dave gwałtownie zanurkował śmigłowcem, opuszczając nos maszyny niemal pionowo w dół. Baedeker ześliznął się do przodu, pozostał na fotelu jedynie dzięki mocno dopiętym pasom. Czuł się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy w Riverview Park w Chicago wagonik kolejki górskiej zakończył swą powolną wspinaczkę pod górę za pomocą klekoczącej wciągarki i zabójczym pędem runął w dół po stromych szynach, tyle że pojazd, w którym obecnie się znajdował, miał pod sobą tysiącpięćsetmetrową przepaść, na dole nie było szyn biegnących w górę lub w bok, gwarantujących ochronę przed katastrofą, a tylko oświetlone blaskiem księżycy wzgórze półtora kilometra niżej, ocienione tu i ówdzie plamami ciemnej trawy, fragmentami lasu, rzeką i skałami.

Baedeker odsunął ręce jak najdalej od obu dźwigni sterowania i zdjął stopy z pedałów, co dodatkowo spotęgowało uczucie całkowitego braku kontroli nad lotem. Wzgórza przed ich oczami stawały się coraz większe, a prędkość opadania nie zmniejszyła się aż do chwili, kiedy huey zszedł do wysokości zerowej, potem poniżej wysokości zerowej, w ostatniej chwili skręcając ostro tuż nad wzgórzami i ścianami urwisk, kładąc się niemal poziomo w powietrzu tak, że księżycowy blask wypełnił całe okno po lewej ręce Baedekera, podczas gdy za oknem od strony Dave’a widać było

jedynie czarne cienie, a po chwili byli już w wąwozie, dźwignia sterowania okresowego ruszała się w tę i z powrotem pomiędzy nogami Baedeckera, aż w końcu zatrzymała się pośrodku, gdy oni tymczasem lecieli dalej, mając po każdej stronie ścianę lasu oddaloną o dziesięć metrów od boków maszyny, korony drzew wznosiły się wysoko nad śmigłowcem, pędzącym z szybkością dwustu kilometrów na godzinę, niecałe pięć metrów nad bystrym strumykiem, od czasu do czasu robiąc gwałtowne zwroty w miejscach, gdzie wąwóz skręcał to w lewo, to w prawo, zostawiając za sobą na tle ciemnego nieba opalizujący blask wirujących śmigieł, niczym ślad na wodzie.

Tempo rozbrzmiewającej w słuchawkach muzyki mieszało się z tempem, z jakim obrazy przesuwały się przed ich oczami, zmieniając się jak w kalejdoskopie. Elektronicznym, syntetycznym, jak gdyby pozaziemskim dźwiękom towarzyszył mocny, uporczywy rytm, który wydawał się jednym z pulsujących odgłosów dochodzących z turbiny lub wirnika. Oprócz brzmienia instrumentów słyszeć było także inne efekty: laserowe echa, podmuchy elektronicznego wiatru, szum fal rozbijających się o skaliste wybrzeże, ale całość była podporządkowana dominującej linii melodycznej wyznaczanej przez frenetyczne pulsowanie.

Baedecker cofnął się na fotelu, podczas gdy huey kolejny raz przewrócił się na bok, omal nie zanurzając łopatek wirnika w wodzie, wchodząc w następny, szeroki zakręt wąwozu. W razie jakiegokolwiek awarii silnika nie byłoby ani czasu, ani miejsca na wykonanie bezpiecznego opadania w autorotacji. Mało tego, gdyby na II ich drodze pojawił się nagle jakiś pojedynczy drut, przewód wysokiego napięcia, most albo nadziemny rurociąg przecinający wąwóz, nie udałooby się im uniknąć zderzenia. Dave siedział rozparty wygodnie przed pulpitem sterowniczym, prawą ręką, niby od niechcenia, wykonywał drobne ruchy dźwignią sterowania, spokojnie przepatrując drogę, i Baedecker nabrał pewności, że nie napotkają żadnego kabla, przewodu, mostu czy rury, że każdy centymetr wąwozu został przebadany podczas nie kończących się dziennych i nocnych przelotów. Tak więc, rozluźniony, skupił się na słuchaniu muzyki i rozkoszowaniu się wieczorną przejażdżką. I przypomniał sobie inną przejażdżkę.

Obniżali się powoli, z twarzami zwróconymi w stronę na wpół zasłoniętej Ziemi, mając przed sobą płomienie buchające z silników ładownika, kończącego swe ponadczterystukilometrowe hamowanie. Stali w bufiastych skafandrach ciśnieniowych, bez hełmów i rękawic, unieruchomieni przez skomplikowane uprząże, podczas gdy podłoga ich dziwnego pojazdu podskakiwała z łoskotem pod stopami opakowanymi w potężne buciory, niczym pokład małej łódki na wzburzonym morzu. David stał po jego lewej stronie z prawą dłonią zaciśniętą na drążku układu automatycznej regulacji, z lewą na przełączniku odwracania ciągu, podczas gdy Baedecker odczytywał wskazania na sześciuset przeróżnych instrumentach i przekazywał je ludziom z Centrum Kontroli Lotów, od których dzieliło ich trzysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów pustki wypełnionej zakłóceniami atmosferycznymi, starając się przewidzieć wszelkie kaprysy i sygnały ostrzegawcze przeciążonego komputera sterującego. A potem nastąpiło odchylenie i wreszcie stali wyprostowani, dwa i pół tysiąca metrów nad górami Księżyca, wciąż opadając równo i prosto jak spadająca strzała, i właśnie wtedy, nie zważając na wykonywane zadania, obaj podnieśli wzrok znad instrumentów i przez pięć trwających wieczność sekund patrzyli przez trójkątne okna na błyszczące szczyty, trupio blade wąwozy i odbijające światło Ziemi zbocza księżycowych gór. – W porządku – szepnął wtedy Dave, podczas gdy ostre wierzchołki przybliżały się ku nim szybko niczym ogromne zęby, a wzgórza zaczęły przypominać zmrożone na kamień morskie fale. – Będę potrzebował twojej pomocy, amigo.

Urwała się muzyka i huey wydostał się z wąwozu. Lecieli teraz nad szeroką rzeką i Baedecker zdał sobie sprawę, że to Kolumbia. Wiatr rzucał śmigłowcem, Dave musiał wyrównać kierunek lotu

pedałami. Nad zaporą wspięli się na wysokość trzydziestu metrów. Baedeker spojrział przez dolną szybę i zobaczył sznur świateł, a dalej blask księżyca odbijający się w grzbietach spienionych fal. Podnieśli się na wysokość stu pięćdziesięciu metrów i skręcili w prawo, wciąż wznosząc się ku górze. Baedeker zobaczył, jak przelatują nad północnym brzegiem, rzucił okiem na stromy klif na prawo od nich, a potem znów wspięli się wyżej, helikopter obrócił się wokół własnej osi i zawisnęli w powietrzu. Wisieli tak dobrą chwilę. Nie było słychać żadnego dźwięku. Raz czy dwa wiatr pchnął do przodu nieruchomą maszynę, ale wkrótce zapanował spokój. Dave wskazał coś palcem, a Baedeker otworzył okno i wychylił się, żeby lepiej widzieć. Trzydzieści metrów pod nimi na wzgórzu wznoszącym się nad pomarszczonymi od wiatru wodami Kolumbii był mlecznobiały, kamienny krąg Stonehenge, rzucający ostry cień w świetle pełni. – W porządku – odezwał się Dave – będę potrzebował twojej pomocy, amigo.

Wiatr wzniecał tumany kurzu, gdy opuszczali się w dół. Reflektor lądowania wysunął się i zapalił, oświetlając wnętrze kłębówiska. Baedeker zauważył wysypany żwirem parking usytuowany na płaskim wierzchołku wzgórza, a po chwili zostali otoczeni chmurą pyłu. Drobne kamyki uderzały o podwozie śmigłowca niczym grad.

– Słucham cię – powiedział spokojnie Dave.

– Zejdź do ośmiu metrów i lekko do przodu – pilotował Baedeker. – Teraz zejdź do pięciu. Wygląda dobrze. Trzy metry. Poczekaj, wróć trzy metry do góry, tu jest jakiś głaz. Dobra. Teraz w dół. Półtora metra. Dobrze. Pół metra. Super. Dziesięć centymetrów. Kontakt.

Huey zabujał się lekko i pewnie usiadł na płozach. Otoczył ich tuman kurzu, który wnet zniknął rozwiany wiatrem. Dave wyłączył silniki. Zgasły czerwone światełka na pulpicie sterowniczym i Baedeker pomyślał, że znów są we władaniu siły grawitacji. Zdjął kask, odpiął pasy i otworzył drzwi. Wyszedł z maszyny do Dave'a, który miał mokre od potu włosy i radosny błysk w oku. Wiatr wiał teraz mocniej, podnosząc rzadkie włosy na głowie Baedeckera i szybko chłodząc ciało. Podeszli do kamiennego kręgu.

– Kto to zbudował? – zapytał Baedeker po dobrych paru minutach ciszy. Księżyc w pełni wisiał dokładnie nad największym łukiem. Wielki głaz leżący w centrum kręgu częściowo skrywał się w cieniu. Tak właśnie musiało wyglądać to miejsce zaraz po tym, jak druidowie zakończyli prace, zanim czas i turyści zdążyli zaznaczyć swą obecność na kolumnach i głazach.

– Gość o nazwisku Sam Hill – powiedział Dave. – Pracował przy budowie dróg. Przybył tu w początkach wieku, żeby założyć miasto i winnice. Coś na kształt kolonii rodem z „Utopii”. Twierdził, że ta część przełomu Kolumbii to idealne tereny do uprawy winorośli – deszcze z zachodu, słońce na wschodnich stokach. Cudowna harmonia.

– Udało mu się?

– Nie. Pomylił się o jakieś trzydzieści kilometrów. Ruiny jego miasta są za tym wzgórzem. Grób Sama jest tam, w dole. – Dave wskazał palcem wąską ścieżkę wiodącą w dół stromego zbocza. – Dlaczego Stonehenge?

Dave wzruszył ramionami.

– Każdy chce zostawić po sobie jakiś pomnik. Sam pożyczył swój od Anglików. Był w Anglii podczas pierwszej wojny światowej, kiedy eksperci stwierdzili, że Stonehenge to coś w rodzaju ołtarza ofiarnego. Budowla Sama miała być czymś w rodzaju antywojennego memento.

Baedeker podszedł bliżej i zauważył, że krąg, który wydawał się zbudowany z kamienia, w rzeczywistości cały był z cementu. Przeszli na południową stronę kręgu i spojrzeli na rzekę. W dali,

kilka kilometrów na zachód od nich, zobaczyli światła miasta i oświetlony most nad rzeką. Silne podmuchy wiatru przyginały do ziemi wysoką trawę porastającą stoki, niosąc ze sobą intensywny zapach jesieni.

– Szlak Oregoński kończy się kawałek dalej – powiedział Dave wskazując światła. Potem dodał: – Czy zastawiałeś się kiedyś nad tym, dlaczego ci ludzie gotowi byli przebyć pięć tysięcy kilometrów, mijając po drodze setki wspaniałych miejsc, gotowych do zasiedlenia, tylko po to by zrealizować jakieś marzenia, jakiś sen? – Nie – odparł Baedeker – nigdy o tym nie myślałem. – A ja tak. Zastanawiałem się nad tym setki razy, od kiedy byłem małym dzieckiem. Jezu, nieraz przejechałem w poprzek Stany, ale nigdy nie mogłem sobie wyobrazić, jak można było przejść tę drogę pieszo albo na tych gównianych wozach ciągniętych przez woły. Im bardziej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się, że każdy facet, który chce zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, musi być wyjątkowo nadętym pyszałkiem. Poczekaj tu chwilę, zaraz wrócę.

Dave wszedł do środka kamiennego kręgu, a Baedeker został na skraju urwiska, wystawiając twarz na chłodny wiatr, słuchając dochodzącego z dołu śpiewu jakiegoś nocnego ptaka. Dave wrócił, trzymając w rękach lekko fosforyzujące frisbee. – O Jezu! – zawołał Baedeker. – To chyba nie to frisbee?

– Pewnie że to – mruknął Dave.

Podczas ich ostatniego wyjścia na powierzchnię Księżyca, stojąc przed przymocowaną do „Rovera” kamerą, Dave wyjął ze swojej torby frisbee, latający krążek, i obaj zaczęli rzucać nim ku sobie, śmiejąc się na widok nieporadnego szybowania krążka w próżni i przedziwnego toru, jaki zakreślał w warunkach sześciokrotnie mniejszego ciężenia. Obaj mieli niezły ubaw. Kiedy w cztery dni później wrócili na Ziemię, rozpętała się „Wielka Afera Frisbee”. Szefostwo NASA nie kryło niezadowolenia, gdyż Dave użył nazwy „Frisbee”, która była nazwą firmową, zapewniając w ten sposób bezcenną reklamę nie związanej z agencją firmie produkującej „magiczne krążki”. Wszystkie dzienniki i liczni komentatorzy na ogół z aprobatą zareagowali na te niewinne igraszki – jeden z dziennikarzy określił je jako „rzadki przykład typowo ludzkiego odruchu podczas wyprawy, która w przeciwnym wypadku byłaby jedynie kolejnym bezdusznym przedsięwzięciem” – ale z drugiej strony zakwestionowali potrzebę kontynuowania badań na Księżycu przez statki załogowe, przekonując, iż w pełni zautomatyzowane sondy rosyjskie były tańsze i z większą powagą podchodziły do wypełniania swoich zadań. Pewien senator z Connecticut mówił o „turnieju frisbee za sześć miliardów dolarów”, a przywódcy murzyńscy dostawali amoku, określając całe zajście jako przejaw pogardy i obojętności wobec potrzeb milionów ubogich. – Dwóch białych chłoptasiów zabawia się w kosmosie na koszt podatników – wołał jeden z nich w telewizji – podczas gdy czarne niemowlęta giną zagryzane przez szczury w zapuszczonych gettach! Podczas codziennego przekazywania wiadomości z Ziemi przesłano im drogą radiową niektóre z tych wypowiedzi, na cztery godziny przed wejściem w atmosferę. Potem człowiek z Centrum Kontroli spytał, czy któryś z nich chce coś powiedzieć na temat incydentu albo ma jakąś propozycję co do ułagodzenia krytyków agencji.

– Czy to zastrzeżony kanał? – spytał wtedy Dave.

Po chwili otrzymali potwierdzenie z Houston.

– Powiedźcie, że mamy ich wszystkich w dupie – powiedział krótko Dave, zapisując się tym samym jako pierwszy człowiek w historii – przynajmniej wśród astronautów – który przyczynił się do zaistnienia tego powiedzonka w protokołach rozmów przeprowadzanych na żywo z uczestnikami wypraw kosmicznych. Kosztowało to Dave’a utratę możliwości udziału w przyszłych lotach w ramach programu „Skylab”. Mimo to Dave jeszcze pięć lat czekał na następny lot, śledząc do końca

losy „Skylabu” oraz zapóźnionej, propagandowej misji „Apollo–Sojuz”, zanim w końcu zwolnił się z NASA. Teraz Dave rzucił frisbee w kierunku Baedeckera. Fosforyzujący plastikowy krążek zajaśniał w świetle księżyca zielonkawym blaskiem. Baedeker podbiegł kilka kroków i go schwycił. – W powietrzu lata dużo lepiej – stwierdził Dave. Przez kilka minut rzucali do siebie krążkiem. Wokół panowała cisza. Baedeker poczuł nagły przyływ ciepłych uczuć. – Wiesz, co sobie myślę? – odezwał się Dave po chwili.

– Co sobie myślisz?

– Myślę, że Sam i wszyscy inni mieli rację. Człowiek mija po drodze różne wspaniałe okolice i idzie dalej, bo wie, że miejsce, dokąd zmierza, jest najlepsze ze wszystkich. – Złapał frisbee i schwycił je oburącz. – Nie rozumieli tylko jednego. Że ich własne marzenia i sny uczyniły to miejsce najdoskonalszym. Podszedł na skraj urwiska i wyciągnął ręce w stronę gwiazd, jakby składał im magiczny krążek w darze.

– Wszystko ma swój koniec – powiedział, po czym wziął potężny zamach, obrócił się dokoła własnej osi i z całej siły cisnął krążek przed siebie. Zabawka poszybowała niewiarygodnie daleko, z wdziękiem przechyliła się na bok oświetlana mocnym blaskiem księżyca i cicho znikła w ciemnościach spowijających brzegi rzeki.

* * *

Baedeker wyszedł z chaty i zszedł do przystani, gdzie usiadł na balustradzie, aby popatrzeć na jezioro. Radio pełne było komentarzy o uldze, jaka zapanowała po ustąpieniu Nixona, i spekulacji na temat prezydentury Geralda Forda. Niektórzy reporterzy żarliwie komentowali wypowiedź Forda, który oświadczył, że w ciągu wszystkich lat spędzonych w Kongresie nigdy nie miał ani jednego wroga. Baedeker rozumiał ulgę dziennikarzy – po tylu latach kontaktów z Nixonem, głęboko przeświadczonym, że otaczają go sami wrogowie, zmiana musiała zostać przyjęta z zadowoleniem – ale jednocześnie pamiętał słowa ojca, który mawiał, że człowieka można ocenić po jego wrogach równie dobrze, a może nawet lepiej niż po sposobie dobierania sobie przyjaciół, i zastanawiał się, czy wyznanie Forda jest dla niego dobrą rekomendacją. Scott siedział na poręczy po drugiej stronie przystani. Jego biała koszulka zdawała się błyszczeć w mroku. Pomost zapadł się w niektórych miejscach, a w balustradzie gdzieniegdzie brakowało szczebli. Baedeker przypominał sobie zapach świeżego drewna bijący od nowo zbudowanej platformy, kiedy stał na niej, rozmawiając ze swym ojcem siedemnaście lat wcześniej. – Hej! – zawołał.

– Hej! – odpowiedział Scott. W jego głosie nie słychać już było nadąsania, tylko obojętność.

– Zapomnijmy o wszystkim, dobra?

– W porządku.

Baedeker oparł się na balustradzie i obaj przez kilka minut wpatrywali się w wodę. Gdzieś słychać było silnik łodzi, monotony i wyraźny warkot rozchodził się po spokojnej wodzie, ale nie było widać żadnych świateł.

Na drugim brzegu latały świetliki – migające światełka z daleka wyglądały jak ogień z pistoletu maszynowego. – Kiedyś byłem tu u twojego dziadka na krótko przed jego śmiercią – odezwał się Baedeker. – Jezioro było wtedy dużo mniejsze.

– Aha – w głosie Scotta nie było słychać większego zainteresowania. Urodził się w osiem lat po śmierci ojca Baedeckera i rzadko interesował się którymś ze swoich dziadków ze strony ojca. Dziadkowie ze strony matki oboje żyli. Zamieszkiwali spokojne osiedle emerytów na Florydzie i od urodzenia wnuka zajmowali się radosnym psuciem chłopaka.

– Pomyślałem sobie, że jutro rano wywalimy resztę starych mebli, a po południu zrobimy sobie wolne. Masz ochotę wybrać się na ryby?

– Niespecjalnie – odparł Scott.

Baedecker kiwnął głową, starając się nie poddać nagłemu przyływowi złości.

– W porządku – powiedział. – Po południu popracujemy nad podjazdem.

Scott wzruszył ramionami i zapytał:

– Czy ty i mama się rozwiedziecie?

Baedecker spojrział na swojego dziesięcioletniego syna ze zdziwieniem.

– Nie – odpowiedział. – Skąd, u diabła, przyszło ci to do głowy? – Nie za bardzo się lubicie – rzekł Scott stanowczo, w jego głosie wyczuwało się jednak lekkie drżenie.

– To nieprawda. Twoja mama i ja bardzo się kochamy. Czemu mówisz takie rzeczy, Scott?

Chłopiec ponownie wzruszył ramionami, jak robił to wiele razy, kiedy skrzywdził go kolega albo nie udało mu się zrobić jakiejś prostej rzeczy.

– Nie wiem – powiedział.

– Wiesz dobrze. Powiedz mi, co masz na myśli. Scott odwrócił wzrok i potrząsnął głową, żeby odrzucić włosy do tyłu. Jego głos stał się wysoki, ale jeszcze nie płaczący. – Nigdy cię nie ma w domu.

– Praca wymagała ode mnie częstych wyjazdów – tłumaczył Baedecker. – Przecież dobrze o tym wiesz. Teraz wszystko się zmieni.

– Jasne, jasne. Ale nie o to chodzi. Mama nigdy nie jest szczęśliwa, a ty nawet tego nie zauważasz. Nienawidzi Houston, nienawidzi tej całej agencji, ma dość twoich kolegów i moich tak samo. Nic jej się nie podoba oprócz tych jej cholernych klubów.

– Uważaj, co mówisz, Scott.

– To prawda.

– Mimo to licz się ze słowami.

Scott gwałtownie odwrócił głowę i spoglądał na jezioro. Baedecker wziął głęboki oddech i starał się skupić na podziwianiu pięknego sierpniowego wieczoru. Zapach wody, ryb i benzyny rozlanej na wodzie przypomniał mu o jego wakacjach z czasów dzieciństwa. Zamknął oczy i przywołał w pamięci trzy tygodnie spędzone z ojcem na łowieniu ryb i polowaniu w okolicach Big Pine Lake w stanie Minnesota, tuż po wojnie, kiedy miał trzynaście lat. Strzelał do puszek ze swojej trójlufki, ale kiedy przyszło do czyszczenia broni, okazało się, że zostawił w domu wycior. Ojciec pokręcił tylko głową z wyrazem najwyższej dezaprobaty, co dla młodego Baedeckera było w owym czasie bardziej bolesne niż lanie, ale już po chwili odłożył wędzisko, z którym się właśnie zmagał, przywiązał mały ołowiany ciężarek do żyłki, po czym włożył ją do lufy sztucera, uprzednio przymocowawszy do niej szmatkę. Baedecker chciał dalej sam wyczyścić broń, ale ojciec schwycił jeden koniec żyłki i wspólnie zaczęli przeciągać gałgan przez lufę w tę i z powrotem, rozmawiając cicho o jakichś nieważnych rzeczach. Przeciągali tak tę szmatkę kilka dobrych minut, mimo że lufa dawno już była czysta. Baedecker pamiętał to dobrze: wełnianą koszulę ojca w czerwono-brązową kratę, rękawy podwinięte do łokcia, pieprzyk na opalonym przedramieniu, zapach tytoniu i mydła, ton głosu. Pamiętał też coś jeszcze: pamiętał świadomość, z jaką rejestrował wszystkie wrażenia i uczucia towarzyszące mu w tamtej chwili, już wtedy głęboko odczuwaną niemożność przeżycia jej w sposób zwykły i spontaniczny. Nawet podczas powolnego czyszczenia strzelby w zgodnej bliskości,

towarzyszyła mu świadomość, że jego ojciec kiedyś umrze, a on wciąż będzie pamiętał każdy szczegół tego ulotnego momentu, łącznie z towarzyszącą mu wtedy świadomością.

– Wiesz, czego najbardziej nienawidzę? – spytał Scott. Jego głos był spokojny.

– Czego?

– Pierdolonego księżycyca – powiedział chłopiec, wskazując palcem do góry.

– Księżycyca? – zdziwił się Baedeker. – Dlaczego? Scott obrócił się w taki sposób, że teraz siedział okrakiem na poręczy. Odgarnął włosy znad oczu.

– Kiedy byłem w pierwszej klasie, powiedziałem wszystkim na lekcji, że zostałeś wybrany do załogi, która ma polecieć na Księżyc. Pani Taryton powiedziała, że to wspaniała wiadomość. Ale był tam taki jeden, nazywał się Michael Bizmuth. Gnojek, którego nikt nie lubił i nikt się z nim nie chciał bawić. W czasie ferii przyszedł do mnie i powiedział: „Twój tato umrze na Księżycu i będą musieli go tam pochować, a ty będziesz musiał patrzeć na jego grób przez całe życie”. Dałem mu w ryja, a potem mama nie pozwalała mi oglądać telewizji przez dwa tygodnie. Co noc, zanim tam poleciałeś, modliłem się godzinę dziennie. Co noc. Kolana mnie bolały, ale zawsze starałem się wytrzymać co do minuty.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś. – Baedeker chciał powiedzieć coś innego, lecz nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Scott i tak go nie słuchał. Znowu odrzucił włosy znad oczu, a na jego twarzy pojawił się grymas wyrażający ogromne skupienie. – Czasem modliłem się o to, żebyś tam nie jechał, a czasem o to, żebyś tam nie zginął... – przerwał i spojrzał ojcu prosto w oczy. – Ale wiesz, o co najczęściej się modliłem? Modliłem się, żeby jeżeli tam zginiesz, zwieźli cię na dół i pochowali w Houston albo w Waszyngtonie, albo gdziekolwiek, bylebym tylko nie musiał do końca życia co noc patrzeć w niebo na twój grób.

* * *

– Richard, czy myślisz czasem o samobójstwie? – spytał Dave. Była niedziela rano. Wstali wcześniej, zjedli sute śniadanie i jechali furgonetką pożyczoną od Kinka do lasu porastającego wzgórze wokół Lonerock, aby narąbać drzewa na opał. – Nie – odparł Baedeker. – A przynajmniej bardzo rzadko.

– Ja tak. Nie o swoim rzecz jasna, tylko w ogóle.

– O czym tu można myśleć? – zdziwił się Baedeker. Dave zwolnił, aby przejechać mały strumyk. Droga w górę Słonecznego Wąwozu zmieniła się ze żwirówki w zwykłą drogę gruntową, a następnie w dwie równoległe koleiny, które z czasem stały się dwoma wąskimi ścieżkami, ledwo widocznymi pośród drzew.

– O, można myśleć o wielu rzeczach – powiedział Dave. – Dlaczego, kiedy, gdzie i – może najważniejsze – jak? – Czemu akurat to miałyby być najważniejsze?

– To jest najważniejsze! Weźmy na przykład... Seltzera Shermana. Musiałeś o nim słyszeć...

– Nie.

– Na pewno słyszałeś. Sherman był proktologiem z Buffalo w stanie Nowy Jork, w roku sześćdziesiątym piątym popadł w straszliwą depresję. Mówił, że nie widzi już dla siebie żadnego światła w tunelu. Poleciał do Arizony, kupił słup telegraficzny, zaostriżył go na jednym końcu i z pomocą muła zataszczył go do Wielkiego Kanionu. Na pewno to pamiętasz.

– Nie.

– Pisali o tym we wszystkich gazetach. Dziesięć godzin zajęło mu zwiezenie słupa na sam dół.

Wkopał go w ziemię zaostrozonym końcem do góry, czternaście godzin wspinał się z powrotem pod górę, wycelował i skoczył na ten pał ze wschodniej krawędzi kanionu. – I co? – spytał Baedeker.

– Nie trafił. Tyle mu brakowało. – Dave pokazał palcami odstęp wielkości centymetra.

– Przypuszczam, że pał stoi tam nadal jako wyzwanie dla naśladowców – zadrwił Baedeker.

– Rzecz jasna. Aczkolwiek stary Seltzer powiada, że kiedyś może spróbuje jeszcze raz.

– Rozumiem – powiedział Baedeker.

– Kiedy Di była pracownikiem socjalnym w Dallas, widziała, jak wielu nastolatków porywało się na swoje życie – ciągnął Dave. – Podobno chłopcy byli na ogół bardziej skuteczni niż dziewczyny. Wybierali metody bardziej nieodwołalne – strzelali sobie w łeb, wieszali się, te rzeczy. Dziewczyny głównie brały dawkę midolu, uprzednio zadzwoniwszy do chłopaka, żeby się pożegnać. Di mówiła mi, że wiele dzieciaków to urodzeni samobójcy. Mówiła, że niemal zawsze im się to udaje, jeśli tylko spróbują. – To brzmi sensownie – powiedział Baedeker. – Możemy trochę zwolnić? Na tych wertepach pogubię nerki. – Dwóch facetów, których naprawdę podziwiałem, skończyło strzelając sobie w łeb. Pierwszy to Ernest Hemingway. Dlaczego? Pewnie dlatego że nie umiał już pisać. Kiedy? W lipcu sześćdziesiątego pierwszego roku. Gdzie? W przedpokoju własnego domu w Ketchum, w stanie Idaho. Jak? Za pomocą dwulufowej strzelby myśliwskiej typu Boss, używanej do polowania na gołębie. Wypalił sobie prosto w czoło z obu luf.

–Jezu, Dave! –jęknął Baedeker. – Ranek jest zbyt piękny, żeby rozmawiać o takich rzeczach!

Przez jakiś czas jechali w ciszy, podskakując na wybojach. Droga wiodła skrajem porośniętego lasem zbocza i Baedeker widział przed sobą rozciągające się pod nimi doliny.

– A ten drugi facet, którego podziwiałeś? – spytał.

– Mój ojciec.

– Nie wiedziałem, że twój ojciec popełnił samobójstwo. Czy nie mówiłeś mi kiedyś, że umarł na raka?

– Nie. Mówiłem ci, że rak doprowadził go do śmierci. Podobnie jak picie. A także straszliwa samotność. Chcesz zobaczyć jego ranczo?

–Jest tu gdzieś niedaleko? – spytał Baedeker. –Jakieś dziesięć kilometrów na północ stąd. Rzeszli się z mamą, kiedy nie było to jeszcze takie modne jak teraz. Byłem wtedy małym dzieckiem. Czasem wsiadałem w pociąg z Tulsa i przyjeżdżałem spędzić lato na jego ranczu. Jest pochowany na cmentarzu parę kilometrów za Lonerock.

– Dlatego kupiłeś tutaj dom? – domyślił się Baedeker. – Dlatego znałem te okolice. Di i ja zawsze fascynowaliśmy się wymarłymi miasteczkami, jeszcze jak mieszkaliśmy w Teksasie i w Kalifornii. Kiedy sprowadziliśmy się do Salem, przywiozłem ją tutaj i znaleźliśmy dom na sprzedaż w Lonerock. – I dlatego myślisz o samobójstwie? Ze względu na Hemingwaya i twojego ojca?

– Nie, po prostu interesuje mnie ten temat – rzekł Dave. – Jak składanie modeli czy oglądanie wymarłych miasteczek. – Ale nie odnosisz tego do siebie?

– Ani trochę. Chociaż, wiesz, nie, to nie całkiem prawda. Pamiętasz, jak podczas naszego ostatniego wyjścia na Księżyc mieliśmy w planie ośmiominutową transmisję na żywo? Wtedy przyszło mi to do głowy. Pamiętasz, jak Dave Scott odwalił ten numer z młotkiem skalnym i piórem sokoła? Trudno byłoby to powtórzyć, więc sobie wymyśliłem, że może stanę przed kamerą i powiem coś w rodzaju: „Kochani! Jedną z rzeczy, o których niewiele wiemy tu na Księżycu, jest to, jaki wpływ może wyrzucić dekompresja wybuchowa w próżni na przeciętnego pracownika instytucji

rządowej. A więc, drodzy państwo, proszę o uwagę!” A potem otworzyłbym zaworek kolektora moczu na przodzie skafandra i zacząłbym wyciskać jego zawartość tak, jak się wyciska pastę z tubki, prosto na ekran telewizji w audycji nadawanej na żywo dla całej Ameryki przez trzy sieci w godzinie największej oglądalności.

– Cieszę się, że tego nie zrobiłeś – powiedział Baedeker. – Taaak. – Dave przez chwilę prowadził samochód w milczeniu. – Zdecydowałem, że jeśli nie wymyślimy nic innego, by jakoś wypełnić te osiem minut, to wygłoszę jeszcze parę uwag w tym stylu, a następnie otworzę twój zaworek.

– Scott?

– Tato, czy to ty?

– Tak – mówi Baedeker. – Boże, bardzo trudno cię tam zastać. Dzwoniłem już pięć razy, zawsze mówili, że mnie z tobą połączą, a potem mnie rozłączano. Jak się czujesz, Scott? – W porządku, tato. Gdzie jesteś?

– W tej chwili jestem w Bazie Lotnictwa McChorda w Tacoma, ale będę w Salem przez kilka dni. Dave Muldorff zginął w zeszłym tygodniu.

– Dave? – dziwi się Scott. – Cholera, tato, strasznie mi przykro. Co się stało?

– Rozbił się samolotem. Ale nie po to dzwonię. Słyszałem, że byłeś bardzo chory, że nawet leżałeś w szpitalu. Jak się teraz czujesz?

– W porządku, tato – mówi Scott, ale Baedeker słyszy wahanie w jego głosie. – Wciąż jestem trochę osłabiony. Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj?

– Maggie Brown mi powiedziała.

– Maggie? Aha, pewnie rozmawiała z Bruce'em. Posłuchaj tato, trochę mi głupio z powodu naszej rozmowy latem w Punie.

W słuchawce słychać jakieś trzaski i przez chwilę do Baedekera nie dociera żaden głos.

– Scott?

– Tak, tato.

– Co tam się dzieje? Jak tam twoja astma? Podobno ci się pogorszyło?

Chwila ciszy.

– Mhm. Myślałem, że Mistrz wyleczył mnie latem, ale czasami miewam ciężkie noce. Oprócz tego złapałem jeszcze jakąś inną chorobę w Indiach.

– Masz ze sobą lekarstwa i inhalator? – pyta Baedeker.

– Nie, zostawiłem wszystko rok temu na uniwerku.

– Czy byłeś u lekarza?

– Tak jakby – mówi Scott. – Tato, czy jesteś tutaj, w Oregonie, tylko z powodu Dave'a?

– Na razie – odpowiada Baedeker. – Rzuciłem... – Proszę wrzucić siedemdziesiąt pięć centów za ostatnie dwie minuty – mówi nagrany głos.

Baedeker szuka drobnych po kieszeniach i wrzuca kilka ćwierćdolarówek do automatu.

– Scott?

– Co mówiłeś, tato?

– Mówiłem, że latem rzuciłem pracę. Od tamtego czasu trochę podróżuję.

–Jezu, nie pracujesz? Gdzie byłeś?

– Tu i tam – mówi Baedeker. – Na Dzień Dziękczynienia byłem w Arkansas, w chacie mojego ojca. Posłuchaj, Scott, jutro będę w tamtych okolicach, więc chciałbym przyjechać do ciebie i porozmawiać. Słysząc jakieś zakłócenia i szmer stłumionych szeptów.

– Halo, Scott, co mówisz?

– Mówiłem... mówiłem, że nie wiem, tato.

– Czemu nie?

– Wiesz... w okolicach ashramu mamy pewne kłopoty...

–Jakie kłopoty?

– To znaczy nie w samym ashramie – dodaje chłopak szybko – ale dookoła. Niektórzy miejscowi farmerzy są podenerwowani. Była mała strzelanina. Mistrz ma zamiar zamknąć teren dla ludzi z zewnątrz.

Słysząc jakiś głos mówiący do Scotta.

– Posłuchaj, tato, muszę już kończyć...

–Jeszcze chwilkę, Scott. – Baedeker czuje, jak narasta w nim niewytłumaczalna panika. – Posłuchaj, jutro będę tamtędy przejeżdżał. Potrzebuję trochę pomocy, żeby ukończyć remontowanie chaty w Arkansas. Chciałbym zdążyć do końca wiosny. Czy mógłbyś wziąć sobie parę tygodni wolnego i pomóc mi?

– Tato, ja nie...

– Zastanów się nad tym, proszę – mówi Baedeker. – Porozmawiamy jutro.

– Tato, obawiam się, że...

W słuchawce zapada cisza. Baedeker próbuje zadzwonić jeszcze parę razy i daje za wygraną.

Idzie do pomieszczenia, gdzie siedzi Kitt Toliver. Toliver ma na oko trzydzieści pięć lat, jest wysoki i potężnie zbudowany. Ma krótko ostrzyżone włosy i bystre spojrzenie.

– Dziękuję, że na mnie zaczekaliście, sierżancie – mówi Baedeker.

– Nie ma za co, panie pułkowniku.

– Wiecie, że nie jestem członkiem oficjalnej komisji śledczej. Zresztą w ogóle jestem tu jako osoba prywatna. Staram się znaleźć odpowiedź na niektóre wątpliwości, ponieważ Dave był moim przyjacielem.

– Tak, panie pułkowniku. Chętnie opowiem panu wszystko, co już mówiłem pułkownikowi Fieldsowi i pozostałym członkom komisji.

– Znakomicie. Czy to wy przeprowadzaliście przegląd samolotu przed lotem?

– Tak, panie pułkowniku, dwukrotnie – mówi Toliver. – Pierwszy raz z samego rana i potem drugi raz, kiedy zadzwonił do mnie pan major Munsen z wiadomością, że deputowany Muldorff będzie nim leciał.

– Czy Dave zrobił przegląd przed samym startem? – Pewnie że tak. Powiedział, że musi zdążyć na samolot pasażerski do Salt Lake, ale pomimo to miał jeszcze dość czasu, by rzucić okiem na mój raport przeglądowny i samemu wszystko sprawdzić. Zrobił to dokładnie.

– I jesteście przekonani, że samolot był zdalny do lotu?

– Tak jest – potwierdza Toliver, a jego głos jest jak ze stali. – Może pan przeczytać mój raport przeglądowny numer 720, panie pułkowniku. Mówią, że było uszkodzenie konstrukcji po starcie, i nie

mogę negocjować tego, co się stało, niemniej zgodnie z przeprowadzoną kontrolą zewnętrzną i przeglądem kabiny maszyna była w doskonałym stanie. Silniki były całkiem nowe, panie pułkowniku. Miały za sobą mniej niż dwadzieścia godzin lotu.

Baedecker kiwa głową.

– Sierżancie, czy Dave w czasie przeglądu zrobił lub powiedział coś, co wydało się wam dziwne?

Na twarzy Tolivera pojawił się lekki grymas.

– W czasie przeglądu? Nie, panie pułkowniku. To znaczy, opowiedział mi dowcip o... hm... o stosunkach oralnych z kurą. Ale nic innego, panie pułkowniku.

Baedecker uśmiecha się pod nosem.

– Czy miał ze sobą bagaż?

– Tak, panie pułkowniku. Wojskową torbę lotniczą. I duży pakunek.

– Duży pakunek?

– Tak, panie pułkowniku. Mówiłem już o tym pułkownikowi Fieldsowi i komisji.

– Opowiedzcie mi o tym.

Toliver zapala papierosa.

– Nie ma tu zbyt wiele do opowiadania. Poszedłem do szatni po kurtkę i kiedy z powrotem wyszedłem na dwór, deputowany Muldorff właśnie wyjmował jakieś pudło ze swojego samochodu.

– Jak duże to było pudło?

Toliver wyciąga rękę, by pokazać rozmiary pakunku: sześcian o boku około pół metra.

– Czy włożył go do schowka na bagaż? – pyta Baedecker. – Nie, panie pułkowniku. Kiedy podszedłem z powrotem do samolotu, deputowany właśnie sadowił się na swoim fotelu, a pakunek był przypięty pasami do tylnego siedzenia. – Dobrze przypięty? Nie było możliwości, żeby wypadł podczas lotu?

– Nie, panie pułkowniku. Był dobrze zabezpieczony. Zapięte pasy i nałożona uprząż.

– Czy tylne siedzenie miało spadochron? – pyta Baedecker.

Toliver kręci głową.

– Nie, nie było potrzeby.

– Ale siedzenie, na którym siedział Dave, miało? – Tak, panie pułkowniku – mówi Toliver i nikt nie słyszy cichego: „Jasne, ty idioto”.

Baedecker notuje coś w małym notesie.

– Czy mówił wam, co znajduje się w pudle?

– Tak, panie pułkowniku. – Toliver uśmiecha się. – Mówił, że wiezie tam prezent urodzinowy dla swojego synka. Spytałem: „Ile lat ma pański chłopak?”, a on mi na to: „Za dwa tygodnie będzie miał jedną minutę”. Powiedział, że jego żona będzie rodzić około siódmego stycznia.

– Mówił co to za prezent? – pyta Baedecker.

– Nie, panie pułkowniku. Pogratulowałem mu tylko i już byliśmy gotowi do startu.

Baedecker zamyka notes i wyciąga rękę do sierżanta. – Dziękuję, Kitt, że poświęciliście mi tyle czasu. Jeśli przypomniałobyście sobie coś jeszcze, możecie skontaktować się ze mną przez majora Munsena.

– Na pewno się zgłoszę. – Toliver odwraca się, by odejść, lecz po chwili przystaje. – Panie pułkowniku, mówiłem już komisji o jednej rzeczy, która wydała mi się dziwna. Myślałem, że pewnie już panu mówili o tym, co powiedział deputowany przed samym odlotem, ale może jeszcze nic pan nie wie.

– O co chodzi?

– Kiedy już miałem zabrać drabinę, życzyłem szczęśliwego lotu. Każdemu to mówię. A deputowany Muldorff uśmiechnął się na to i powiedział: „Dziękuję, sierzancie, na pewno będzie szczęśliwy. To mój ostatni lot”. Wtedy wcale się nad tym nie zastanawiałem, ale od czasu katastrofy te słowa ciągle chodzą mi po głowie. Co mógł mieć na myśli, panie pułkowniku?

– Nie wiem – mówi Baedeker.

Toliver kiwa głową, lecz jeszcze nie odchodzi.

– Czy znał go pan dobrze, panie pułkowniku?

Baedeker już ma odpowiedzieć, milczyjednak.

– Nie jestem pewien – mówi w końcu. – Okaże się.

* * *

– Hej! – zawołał Dave. – Jestem nieco beaucoup ubzdryngolony.

– Potwierdzam – powiedział Baedeker.

Cały niedzielny ranek spędzili na wzgórzach wokół Lonerock, rąbiąc drzewo na opat. Baedekerowi podobała się ciężka praca wyciskająca pot, wyparowujący szybko w chłodnym, górskim powietrzu. Po skończonej pracy załadowali furgonetkę, zjedli lunch złożony z kanapek przełożonych grubymi płatami peklowanej wołowiny, obłożonych istną górą musztardy, wypili kilka dobrze schłodzonych piw, wrócili do Lonerock wypijając po drodze następne dwa piwka, rozładowali furgonetkę, ułożyli drewno w szopie za domem Dave'a, wypili po jeszcze jednym piwie i odwieźli samochód do Kinka, z którym także wypili parę piw. Następnie wrócili do domu, gdzie usadowili się ganku, popijając piwo.

Było około czwartej po południu, gdy Dave obwieścił głośno:

– O Jezus, schlałem się piwem. Całkiem jak szczeniak z liceum, Richard.

– Potwierdzam – rzekł Baedeker.

– Słuchaj, wiesz, czego zapomnieliśmy zrobić? Zapomnieliśmy powiedzieć ci, żebyś mi powiedział, żebym ci przypomniał o tym, żebyś mi przypomniał, że miałem cię zabrać na ranczo mojego tatki.

– Owszem – zgodził się Baedeker. – Więc przypomnij mi, żebym ci o tym przypomniał jutro.

– O nie, do diabła! – zaprotestował Dave. – Pojedziemy tam teraz.

Baedeker ruszył za nim w stronę dżipa i patrzył, jak Dave wrzuca różne rzeczy na tył wozu. Wolno opadł na siedzenie obok kierowcy, starając się nie wylać piwa.

– Wyprowadzamy się, czy jak?

– Zjemy tam obiad. – Dave upakował resztę ładunku i wgramolił się za kierownicę. – Odliczanie przedstartowe. – Jest: odliczanie przedstartowe.

– Chłodziarka?

– Jest: chłodziarka.

– Piwo?

–Jest: piwo.

– Grill?

–Jest: grill.

– Bułki?

–Jest... nie, poczekaj. Czerwone światło dla... a nie, są pod węglem. Jest: bułki.

– Węgiel do grilla?

– Jest: węgiel do grilla.

– Latarka?

–Jest: latarka.

– Winchester?

–Jest: winchester. Po diabła nam broń?

– Grzechotniki – wyjaśnił Dave. – Cała masa grzechotników. 1 tam, i tu. Pomyśl o tym. Mamy bardzo ciepłą jesień. Wciąż jeszcze ich pełno.

–Aha.

– Wstępne chłodzenie i szybkie napełnianie trzeciego członu ciekłym wodorem, uzupełnienie zbiornika oksylikwitu w pierwszym członie, dopełnianie paliwem glikolowym. – Jest – odpowiedział Baedecker. Otworzył puszkę piwa i podał ją Dave'owi.

– No to startujemy!

Dave włączył silnik dżipa, wycofał z podjazdu na drogę i pełnym gazem ruszył na północ główną ulicą. Pędem minęli zardzewiałą stację benzynową.

– Houston, właśnie wyszliśmy z wyrzutni – cedził słowa Dave.

– Przyjąłem – odparł Baedecker.

Dave skręcił w wąską drogę wjeżdżającą w wąwóz ciągnący się na północny wschód. Jakies pół kilometra jechali wyboistą koleiną, potem wjechali na bardziej równy teren.

– Ustawianie nachylenia zakończone – powiedział Dave. – Gotowość do fazy pierwszej.

– Potwierdzam.

Gdy przejeżdżali przez metalową kratkę osłaniającą rów przy pastwisku, kawałki węgla drzewnego wypadły z papierowej torby i zniknęły w tumanie kurzu ciągnącym się za samochodem. – Wyłączenie silników wewnętrznych – zarządził Baedecker.

– Przygotowanie do podziału na człony.

Prawe koło dżipa zabuksowało na sporym kamieniu, czapeczka z napisem „Wojska Lotnicze 1L” sfrunęła z głowy Dave'a i wylądowała na tylnym siedzeniu obok małego grilla. – Odrzucanie silników startowych! – zawołał Dave.

– Przyjąłem.

Wjechali w ostry zakręt i rozpoczęli wspinaczkę po stromo nachylonym stoku. Dave zmienił bieg na dwójkę, a potem na jedynekę.

– Uwaga, Houston – powiedział. – Jesteśmy gotowi do podziału na człony.

Wyjechali na prosty teren na szczycie pasma wzgórz wznoszącego się ponad doliną. Ścieżka wiodła wzdłuż wąskiego pasa pomiędzy usypiskiem głazów po lewej i potężnym urwiskiem po prawej.

– Potwierdzam – rzekł Baedeker – OPI...

– ...SZMA – dokończył Dave.

Droga ciągnęła się dłużej niż dziesięć kilometrów. Z nagich wzgórz wjechali w ocieniony parów, z którego wydostali się na płaskie, wysoko położone pustkowie, którym jechali pół godziny, zanim Dave skręcił na zwirowaną jezdnię i po chwili ranczo ukazało się ich oczom. Przejechali obok zniszczonego ogrodzenia pastwiska, następnie ruszyli w dół zarośniętą alejką i zatrzymali się przed drewnianym budynkiem. Poniżej widać było stodołę i parę małych przybudówek.

Przeszli trawnikiem w stronę domu. Baedeker przeszukiwał każdy centymetr ziemi w poszukiwaniu węży. Gospodarstwo nosiło wyraźne ślady długotrwałego opuszczenia – w oknach nie było szyb, w wielu pokojach tynk odpadał całymi płatami, schody nie miały poręczy, ganek na tyłach domu zapadł się z jednej strony – ale dało się zauważyć, że wszystko zostało zbudowane z pietyzmem i wielką starannością. Na ganku ciągnącym się po trzech stronach domu zachowały się pozostałości ręcznie wycinanego, ludowego ornamentu, wewnątrz domu było pieczołowicie wyłożone drewnem, a centralny kominiek zbudowany z dużych kamieni. – Od jak dawna nikt tu nie mieszka? – spytał Baedeker, gdy znaleźli się w kuchni. Podłoga była zawałona pokruszonym tynkiem.

– Tato zmarł w pięćdziesiątym szóstym – powiedział Dave. – Potem dom przechodził z rąk do rąk. Mieszkało tu kilka rodzin, ale żadnej nie udało się związać końca z końcem. Niełatwo wyżyć z takiego małego kawałka ziemi. Mój ojciec nigdy nie mógł się zdecydować, czy ma być rolnikiem, czy hodowcą. Miał za mało wody, żeby móc dobrze nawodnić pola, i za mało pastwisk, żeby wykarmić porządne stado.

– Ile miałeś lat, jak umarł?

Dave pociągnął długi łyk piwa i spojrzał na dwór przez kuchenne okno.

– Siedemnaście. To było pierwsze lato, kiedy nie przyjechałem tutaj. Miałem wtedy dziewczynę i dostałem pracę na lato w Tulsa. Tyle ważnych spraw – cisnął opróżnioną puszkę do zlewu. – Chodź. Chcę ci coś pokazać.

Wyszli na zewnątrz i udali się w stronę stodoły i innych zabudowań. Podobnie jak dom, stodoła została tak zbudowana, by mogła służyć całe wieki. Baedeker odczytał miejsce i datę produkcji wygrawerowane na jednym z ogromnych zawiasów – „Lebanon, Pensylwania, opatentowano w 1906”. Minęli zabudowania i weszli na pole. Baedeker znów przypomniał sobie o czyhających wokół węzach, gdy nagle Dave zatrzymał się, wskazał na duże okrągłe wgłębienie pośrodku łąki i oznajmił:

– Jezioro Łysek.

Minęła dobra minuta, zanim Baedeker je zauważył. Wybrzuszenie, na kt(rym stali, musiało kiedyś stanowić część wschodniego brzegu, zbutwiałe deski pod ich nogami były pozostałością koryta odprowadzającego wodę z rowu odwadniającego do stawu, a w wymytm kanale, na północ od nich, rozpoznał śluzę. Pięćdziesiąt metrów od miejsca gdzie stali, po drugiej stronie zalanego wodą wgłębienia ciągnął się drugi kanał, obok którego kilka pokrytych kurzem topól porastało zachwaszczone wzniesienia dawnego zachodniego brzegu.

– Richard – odezwał się Dave – czy kiedykolwiek zastanawiałeś się nad tym, ile czasu poświęciłeś temu, by zadowolić nieżyjących? – Usadowił się na pobliskim kamieniu i włożył do ust długie źdźbło trawy.

Baedeker łyknął piwa i zastanawiał się nad tymi słowami. – Myślę, że nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak dużą część naszego życia poświęcamy na to, by spełnić jaczekiwania tych, którzy

już nie żyją – kontynuował Dave. – Czasami nawet o tym nie myślimy, po prostu robimy to i już.

Wskazał ręką kępę krzaków i zielska znajdującą się pośrodku łąki.

– W tamtym miejscu był nasz pływający pomost. Coś w rodzaju tratwy. Pod spodem było nie więcej niż dwa i pół metra wody, ale ojciec nie pozwalał mi pływać po południowej stronie pomostu, bo rosły tam trzciny i mnóstwo innego wodnego zielska, można się było niezłe zaplątać. Ojciec co roku wszystko wrywał, ale i tak następnego lata zarastało na nowo. Zanim przyszedłem na świat, utonął tam jeden z jego psów, których używał do polowania. Pewnego lata, to chyba było za trzecim razem, kiedy tu przyjechałem sam, miałem wtedy jakieś dziewięć lat, mój pies, Blackie, zaplątał się w tym świństwie, kiedy płynął do mnie na pomost.

Dave przerwał opowiadanie i przez chwilę przygryzał źdźbło. Słońce chyliło się ku zachodowi i cienie topól wyciągały się nad zarośniętym jeziorem.

– Black to był skundlony labrador – powiedział Dave. – Tato dał mi go, kiedy się urodziłem, i z jakiegoś powodu było to dla mnie bardzo ważne. Dlatego chyba do końca został moim psem, chociaż jak w wieku sześciu lat wyniosłem się stąd razem z mamą, widywałem go tylko latem. W Tulsa nie było miejsca dla psa. Ale wydawało mi się, że czeka na mnie cały rok, na te dziesięć tygodni w czasie wakacji. Nie wiem, czemu miał wtedy dla mnie ogromne znaczenie fakt, że byliśmy w tym samym wieku i że urodził się niemal w tym samym czasie co ja, ale tak właśnie było. Pewnego dnia rano, gdy skończyłem pomagać ojcu, leżałem sobie na brzuchu na pomoście, kiedy usłyszałem, że Blackie płynie do mnie. I wtedy nagle ustało chlapanie. Podniosłem głowę i zauważyłem, że po psie nie ma ani śladu, tylko zmarszczki na wodzie. Od razu wiedziałem, że musiał zaplątać się w trzciny, i nie namyślając się wiele, wskoczyłem do wody. Kiedy się wynurzyłem, słyszałem, jak ojciec krzyczy do mnie od strony stodoły, ale ja nurkowałem dalej, trzy, może cztery razy, przeciskając się przez trzciny, które owijały mi się wkoło nóg. Wierzgałem wtedy mocno, żeby się uwolnić, wypływałem na powierzchnię i próbowałem jeszcze raz. Pod wodą nie było nic widać, a zielsko przykryte mułem chwyciło za kostki i nie puszczało. Kiedy po kilku razach wynurzyłem się, miałem pełen nos cuchnącej wody i byłem cały oblepiony szlamem. Widziałem tatę, jak drze się na mnie z brzegu, ale zanurkowałem jeszcze raz i właśnie kiedy zaczynało mi brakować powietrza, a trzciny oplatały mi ręce, kiedy pomyślałem sobie, że nie ma sensu szukać dalej, poczułem grzbiet Blacka tuż przy dnie. Biedne psisko już nie starało się uwolnić, najwyraźniej poddał się losowi. Nie było czasu, żeby się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza, więc po prostu zacząłem rękami rwać zielsko, a nogami wściekle kopać w mule, trzymając psa z całych sił, bo wiedziałem, że jeśli puszcę na chwilę, to mogę go już więcej nie znaleźć. Zacząłem się dusić. Pamiętam, że usta miałem pełne tej śmierdzącej wody, ale cholera jasna, nie miałem zamiaru wychodzić bez przyjaciela. I wtedy nagle udało mi się uwolnić i wyciągnąć Blacka na płyciznę po drugiej stronie, gdzie był już ojciec, który wytaszczył nas na brzeg, cały czas to wrzeszcząc na mnie, to pytając, czy nic mi się nie stało, a ja krztusiłem się wodą i ryczałem, że trzeba ocucić Blacka. Byłem pewny, że się utopił, bo był taki ciężki, jakby cały wypełniony wodą. Wyglądał jak nieżywy. Ale ja raz za razem uciskałem mu klatkę piersiową, sam rzygając wodą, i niech mnie diabli, jeśli nie wycisnąłem z tego zwierzaka co najmniej pięciu litrów gnojówki z jeziora, aż wreszcie zaskomlał i znowu zaczął oddychać.

Dave wyjął trawkę z ust i wyrzucił przed siebie. – Wydaje mi się, że była to najszcześniejsza chwila w moim życiu. Tato mówił, że omal nie oszalał, jak mnie zobaczył wskakującego do wody – zagroził, że jeśli jeszcze raz zobaczy, jak pływam w tamtym miejscu, to obedrze mnie ze skóry – ale wiedziałem, że jest ze mnie dumny. Kiedyś, jak pojechaliśmy razem do Condon i siedziałem na tyle furgonetki, słyszałem, jak opowiadał to swoim kolegom, i wiedziałem, że jest ze mnie dumny. Ale

chyba nie dlatego byłem taki szczęśliwy. Wiesz, Richard, myślałem o tym, jak latałem z oddziałem sanitarnym w Wietnamie, i wiem, że było to coś więcej. Nienawidziłem Wietnamu. Przez cały czas miałem serce w gaciach i wiedziałem, że jeśli ktoś się dowie, co tam robię, to spieprzę sobie całą karierę w wojsku. Nienawidziłem tego klimatu, całej tej wojny, robactwa, wszystkiego. Ale byłem szczęśliwy. Myślałem o tym wtedy i zdałem sobie sprawę, że jestem szczęśliwy, kiedy mogę pomóc, kiedy mogę uratować jakieś stworzenie, jakiegoś człowieka. Tak jakby cały świat sprzysiął się, żeby wciągnąć tych wszystkich biednych skurczybyków w jakieś cuchnące bagno, i wtedy ja przybywam tą pierdoloną maszyną, żeby ich wydostać, nie pozwolić im utonąć w błocku.

Przeszli z powrotem pod dom, ustawili grill obok samochodu i przygotowywali sobie posiłek. Ledwie słońce zdążyło schować się za górami, zrobiło się bardzo chłodno. Baedeker widział w dali na północnym wschodzie dwa wierzchołki wulkanów oświetlone ostatnim blaskiem dnia. Poczekali, aż kawałki węgla rozżarzą się do białości. Osmaliwszy z zewnątrz hamburgery, dodali cebuli, po czym pożarli wszystko łapczywie, popijając kolejnym piwem.

– Nigdy nie chciałeś odkupić i odbudować tej chaty? – spytał Baedeker.

Dave pokręcił głową.

– Za dużo tu duchów.

– Ale przecież wróciłeś, żeby zamieszkać niedaleko stąd.

–Aha.

– Moja przyjaciółka mówi, że istnieją magiczne miejsca, które mają w sobie moc. Twierdzi, że człowiek może całe życie spędzić na poszukiwaniu takich miejsc. Co o tym myślisz? – Miejsca, które mają moc – powtórzył Dave. – To coś jak magnetyczne linie siły pani Callahan.

Baedeker kiwnął głową. Porównanie wydało mu się trafne.

– Myślę, że twoja przyjaciółka ma rację – powiedział Dave.

Wyciągnął następne piwo z chłodziarki i otrząsnął puszkę z lodu. –Ale założę się, że to dużo bardziej skomplikowane. Miejsca, które mają moc – tak, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości. Ale pamiętasz, o czym rozmawialiśmy wczoraj w nocy? To ty musisz sprawić, aby te miejsca miały moc. Musisz znaleźć właściwe miejsce we właściwym czasie i wiedzieć o tym. – Skąd mam wiedzieć, że znalazłem miejsce, które ma moc?

– Musisz wcześniej o nim marzyć, ale nie myśleć o nim. Dom powoli stawał się niewyraźną sylwetką na tle ciemniejącego nieba. Baedeker otworzył kolejne piwo i oparł nogi o deskę rozdzielczą. Zapiął kurtkę.

– Marzyć o nim, ale o nim nie myśleć – powtórzył z zadumą.

– Tak właśnie. Brałeś kiedyś udział w medytacjach zen?

–Nie.

– Chodziłem na takie medytacje przez parę lat – powiedział Dave. – Polega to na tym, że trzeba pozbyć się wszystkich myśli, tak aby nie było nic między tobą a obiektem medytacji. Nie patrząc, widzisz lepiej.

– I co, udało się?

– Niestety, nie w moim przypadku. Siedziałem godzinami, śpiewając jakieś mantry czy inne modły, i myślałem o wszystkim, co mi tylko przyszło do głowy. Prawie cały czas musiałem się opędzać od erotycznych fantazji. Ale była inna xtc.cl, która mi pomogła.

– Co takiego?

– Nasze przygotowania do misji – rzekł Dave. – Dzięki nie kończącym się symulacjom osiągnąłem to, do czego miały mnie doprowadzić medytacje i co się im nie udało.

Baedecker pokręcił głową.

– Nie zgadzam się. Było wręcz przeciwnie. Gdy wreszcie osiągnęliśmy ten cholerny cel, czułem się dokładnie jak w czasie symulacji. Nie doświadczyłem niczego, bo przygotowania i symulacje obrzydziły mi wszystko dokumentnie.

– Aha – przytaknął David i połknął ostatni kęs hamburgera – też tak wtedy czułem. A potem zdałem sobie sprawę, że przecież nie o to chodziło. Te nasze dwa dni spędzone na Księżycu to było wejście w sakrament.

– Sakrament? – Baedecker uderzył trzymaną w ręce czapkę w kolano i popatrzył zdziwiony na przyjaciela. – Sakrament? – Joan była katoliczką, prawda? – spytał Dave. – Pamiętam, że czasem chodziłeś z nią na msze w Houston.

– Tak.

– No więc powinieneś wiedzieć, co mam na myśli, choć obecnie to już nie to samo, co w czasach kiedy jako dziecko chodziłem z mamą do kościoła. Łacina bardziej się nadawała. – Nadawała do czego?

– Do podtrzymania tajemnicy rytuału – powiedział Dave. – To tak jak podczas misji. Symulacje pomagały podtrzymać rytuał. Im bardziej wszystko ma charakter rytuału, tym mniej angażujesz swoje myśli. Pamiętasz pierwszą rzecz, jaką zrobił Buzz Aldrin, kiedy mieli kilka minut przerwy po wylądowaniu „Apollo 11”? – Przyjął komunię – rzekł Baedecker. – Miał ze sobą wino i wszystko inne w osobistym przybórniku. Kim on był?... Prezbiterianinem?

– To nieistotne. Ale Buzz nie zrozumiał, że sama misja była rytuałem, a sakrament, który należało przyjąć, już dawno czekał tam, na miejscu.

– Skąd to wiesz? – spytał Baedecker, ale w głębi czuł, że Dave ma rację.

– Widziałem fotografię, którą zostawiłeś na Księżycu. Na zdjęciu była Joan, ty i Scott. Przy zestawie sejsmografów. Baedecker milczał. Przypomniał sobie, jak klęczał w księżycowym pyłe naprzeciwko fotografii, w sztywnym, niezgrabnym skafandrze, czując, że ostre światło słonecznych promieni spływa nań niczym błogosławieństwo.

– Ja zostawiłem starą sprzączkę od pasa mojego ojca – powiedział Dave. – Położyłem ją obok luster odbijających promienie laserowe.

– Naprawdę? – Baedecker był szczerze zaskoczony. – Kiedy? – Kiedy przygotowywałeś „Rovera” do jazdy na Rill 2, podczas pierwszego wyjścia. Cholera, zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że był choć jeden spośród całej dwunastki tych, co stanęli na Księżycu, który niczego tam nie zostawił.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – rzekł Baedecker. – Cała reszta to tylko przygotowania, wstępne formalności. Nawet magiczne miejsca na nic się nie przydadzą, jeśli nie jesteś przygotowany na to, by przynieść coś ze sobą. I nie chodzi wcale o to, co tam przynosimy – te rzeczy znaczą tyle w sakramencie, co opłatek w Eucharystii. Poza tym, jeśli odchodzisz z tego miejsca taki sam, jaki tam przybyłeś, to wiesz, że nie było to żadne magiczne miejsce. – No właśnie, w tym leży cały problem – westchnął Baedecker. – Nic się nie zmieniło.

Dave roześmiał się i chwycił Baedeckera za ramię okryte grubą kurtką.

– Mówisz serio, Richard? – spytał łagodnym głosem. – Czy pamiętasz, kim byłeś wtedy, i

zdajesz sobie sprawę, kim jesteś teraz? Baedeker zaprzeczył ruchem głowy.

Dave zamilkł. Wyskoczył z wozu, aby wyrzucić resztkę żaru, starannie zakopał go w piasku i ułożył grill na tylnym siedzeniu samochodu. Potem podszedł do drzwi od strony, gdzie siedział Baedeker.

– Posuń się. Teraz ty prowadzisz. Ja za dużo wypilem. Baedeker, który przez całe popołudnie i wieczór wypił dokładnie tyle samo piwa co Dave, kiwnął głową i przesunął się na siedzenie kierowcy.

Reflektory omiotły światłem krzaki bylicy i karłowate sosny, gdy dżip wolno ruszył w powrotną drogę. Chmury zasłoniły gwiazdy, a na księżyc trzeba było jeszcze poczekać parę godzin. – Tom Gavin nigdy tego nie zrozumie – powiedział Dave. – Biedny skurczybyk im bardziej szuka w tym wszystkim sakramentów, tym bardziej się od niego oddala. Widziałem go w telewizji, jak mówił o swoich powtórnych narodzinach podczas orbitowania wokół Księżyca. Gówna prawda! Wciąż gada i gada, ale biedaczyna nie ma zielonego pojęcia, co to znaczy narodzić się na nowo. Ty się na nowo narodziłeś, Richard. Widziałem to. – Nie. – Baedeker wolno pokręcił głową. – W ogóle tego nie odczułem. Nie wiem, jakie to wszystko miało dla mnie znaczenie. – Myślisz, że nowo narodzony wie, jakie to ma dla niego znaczenie? – spytał Dave. – To po prostu się zdarza, a ty żyjesz dalej. Świadomość przychodzi później, o ile w ogóle przychodzi. Wyjechali z parowu i posuwali się wzdłuż ostatniego zbrocza przed zjazdem. Baedeker wrzucił jedynekę i wolniutko zaczął przedzierać się wąskim traktem. Czuł się całkiem trzeźwy, aczkolwiek w miejscach, gdzie blask reflektorów przestawał rozpraszać ciemności, wciąż widział wijące się grzechotniki. – Narodzić się na nowo to nie znaczy, że dotarłeś od jakiegoś celu – ciągnął Dave. – To znaczy tylko, że jesteś gotowy, by wyruszyć w drogę. Na pielgrzymkę do nowych magicznych miejsc, w poszukiwaniu osób i rzeczy, które kochasz, aby ocalić je przed wciągnięciem w cuchnącą topiel. Stań, proszę. Baedeker zatrzymał wóz. Dave wychylił się na zewnątrz i zwymiotował cicho po drugiej stronie dżipa. Potem obmył twarz wodą ze starej mienajki schowanej pod siedzeniem. Opadł na oparcie, beknał i naciągnął czapkę daszkiem na oczy. – Tak oto kończy się ewangelia według świętego Davida. Jedziemy dalej.

Baedeker przyhamował dżipa tuż przed zakosami prowadzącymi do ostatniego wąwozu na trasie. W dali przed nimi widać było Lonerock – wysepkę światła prześwitujących pomiędzy drzewami.

– Wyłącz i włącz parę razy reflektory – powiedział Dave.

Baedeker spełnił tę prośbę.

– Dobra, jedziemy.

– Czy pani Callahan naprawdę myśli, że przybysze z innych planet mają reflektory na swoich pojazdach? – spytał Baedeker. Dave wzruszył ramionami.

– Może też mają swoje wyjścia w przestrzeń kosmiczną. Baedeker chciał zmienić bieg. Nie udało mu się to za pierwszym razem, silnik zacharczał, lecz druga próba zakończyła się powodzeniem.

– Delikatnie, proszę – powiedział Dave. – Co myślisz o mojej książce?

– O „Granicach”? Podobała mi się.

– Czy myślisz, że warto to ciągnąć dalej?

– Zdecydowanie tak.

– To dobrze – powiedział Dave. – Chciałbym, abyś mi pomógł ją napisać.

– Po co? Przecież jak na razie świetnie ci idzie. – Nie za bardzo – wyznał Dave. – Za cholere nie potrafię napisać tych części dotyczących ludzi. Nawet jeśli praca w Kongresie dawałaby mi czas na podróże i zbieranie materiałów – czego raczej nie należy się spodziewać – i tak nie umiałbym napisać tych kawałków.

– Przecież fragment o tym Rosjaninie, Bielajewie, jest znakomity!

– Materiały do tego zebrałem, kiedy byliśmy tam z wizytą w ramach „Apollo–Sojuz” – powiedział Dave – najnowsze dane pochodzą sprzed dziesięciu lat. Najważniejsza część książki to ta, gdzie będzie opisane, co teraz robią pozostali czterej Amerykanie. Ale nie chodzi rni o żadne tam kawałki w stylu „Reader’s Digest”, typu: „Od kiedy porzucił pracę dla NASA, podpułkownik Brick Masterton odnosi sukcesy jako dystrybutor piwa oraz współwłaściciel jednej z kobiecych drużyn wolnoamerykańskich zapasów w błocie”. Nic z tych rzeczy, Richard, ja chcę wiedzieć, co te skurczybyki czują. Chcę wiedzieć, czego nie mówią swoim żonom, gdy nie mogą zasnąć w nocy. Chcę wiedzieć, co jest w stanie sprawić, żeby krew znowu zagrała im w żyłach. Nieważne że wszyscy, byli piloci, nie potrafimy dokładnie wyrazić, o co nam naprawdę chodzi. Chciałbym, żebyś dotarł w ich najintymniejsze miejsca swoim epistemologicznym proktoskopem... o cholera, nieźle... chyba nie mogę być w sztok zalany, skoro mówię takie rzeczy, co nie? Chcę, abyś wniknął w ich dusze i dowiedział się, co tak naprawdę pragniemy wiedzieć o sobie samych. Zgoda, Richard? – Wątpię, czy... – zaczął Baedeker.

– Zamknij się, proszę – uciął Dave. – Pomyśl o tym. Odpowiesz mi, powiedzmy, zaraz jak urodzi się dziecko. Jak będzie miało parę tygodni, wracamy do Salem i do Lonerock. Zastanów się nad tym do tego czasu. To rozkaz, Baedeker.

– Tak jest, panie pułkowniku.

– O Boże! – zakrzyknął Dave. – Przejechałeś węża, a to wcale nie był grzechotnik.

Leżąc na sofie w gabinecie Dave’a, Baedeker obserwuje, jak prostokąty światła przesuwają się po regałach, gdy samochody przejeżdżają tonącą w mroku szosą obok domu. Jest zatopiony w myślach. Przypomina sobie słowa Dave’a: „Wydaje mi się, że była to najszcześniejsza chwila w moim życiu” i stara się odszukać podobny moment we własnych wspomnieniach. Przed oczami przesuwają się obrazy z różnych szczęśliwych chwil – z dzieciństwa, z pierwszych lat małżeństwa z Joan, z nocy gdy Scott przyszedł na świat – ale każda z tych chwil, mimo iż sama w sobie ważna i szczęśliwa, zostaje ostatecznie odrzucona. Wreszcie przypomina mu się małe, nieistotne wydarzenie, którego wspomnienie nieraz przywoływał z zakamarków pamięci w chwilach samotności i rozterki, niczym stare, wyświechtane zdjęcie upamiętniające dawne dobre czasy. Chodziło o rzecz zupełnie banalną. Kilka podniosłych minut. Wraciał właśnie samolotem z Canaveral do Houston w czasach ostatnich przygotowań do lotu. Był sam w swoim T-38 – podobnie jak Dave tydzień temu – gdy pchany jakimś nagłym impulsem skierował samolot nad rozległą dzielnicę, w której znajdował się jego dom. Pamięta chwilę, gdy jego żona i siedmioletni syn pojawili się na progu domu, widział ich oboje, lecąc na wysokości dwustu pięćdziesięciu metrów nad ziemią z szybkością ośmiuset kilometrów na godzinę. Pamięta promienie słońca odbijające się w pleksiglasowej osłonie, gdy wykonywał tryumfalną beczkę, a potem jeszcze jedną, radując się bezchmurnym niebem, czekającą go misją i miłością, jaką odczuwał dla tych dwóch maleńkich figurek daleko w dole.

Ktoś w głębi domu kaszle głośno i Baedeker budzi się natychmiast, przyzwyczajony przez lata do wsłuchiwania się w ciężki oddech swego syna. Znów patrzy na przesuwające się po regałach prostokąty światła i stara się uspokoić.

Wreszcie zasypia. I śni mu się sen.

Jest to jeden spośród dwóch czy trzech powtarzających się snów, o których Baedeker wie, że wcale nie są snami, tylko wspomnieniem, nawiedzającym go od kilku lat. Gdy budzi się gwałtownie, chwytając oparcia kanapy, wie od razu, że to był ten sen. Ale siedząc w ciemnym pokoju Dave'a, czekając aż pot wyschnie na twarzy i ciele, wie, że tym razem – po raz pierwszy – sen był nieco inny niż zwykle.

Do dzisiejszej nocy we śnie na ogół wszystko przebiegało tak samo. Startuje z Whiting Field niedaleko Pensacola na Florydzie. Jest sierpień 1962 roku. Panuje potworny upał, zaduch jest nie do wytrzymania, tak więc wtłoczenie się w ciasną kabinę F-104 starfightera, gdzie można pooddychać chwilę chłodnym tlenem, sprawia Baedekerowi pewną ulgę. To nie jest żaden lot próbny. W tym modelu wszystko już zostało dokładnie przetestowane, chromowany samolot jest już na liście wyposażenia eskadry lotniczej w Bazie Lotnictwa Homestead, na południe od Miami. Przez ostatnie dwa tygodnie Baedeker zajmował się oblatywaniem maszyny po całym kraju w ramach „dobrych usług” pomiędzy poszczególnymi wojskami sił zbrojnych, obwożąc na żądanie VIP-ów z marynarki i wojsk lądowych mających ochotę na przejażdżkę nowym myśliwcem z pierwszej linii. Było to jego pierwsze „polityczne” zadanie w NASA. Tu, w Pensacola, obwoził admirała w stanie spoczynku – zwalistego chłopa o brzuchu zbyt wielkim, by mieścił się w kurtce lotniczej, ledwie mieszczącego się na tylnym siedzeniu – który na koniec przejażdżki poklepał go po ramieniu, mówiąc: „Absolutnie pierwszorzędna maszyna”. Podobnie jak wielu pilotów, którzy mieli okazję latać F-104, Baedeker niezupełnie zgadzał się z tą opinią. Samolot robił wrażenie, zwłaszcza ze względu na przyśpieszenie i moc silnika – używany był w bazie Edwardsa do lotów szkoleniowych przed przesiadką na X-15, którym Baedeker leciał po raz pierwszy parę tygodni wcześniej tego samego lata – ale nie była to wcale pierwszorzędna maszyna. Był to raczej silnik z dołączonym fotelem, w tym wypadku dwoma, i małutkimi skrzydełkami, których unrtWIIAl.II powierzchnia lotna porównywalna była z powierzchnią piórek strzały.

Siedząc w kabinie w ten upalny sierpniowy dzień Baedeker jest zadowolony, że to już koniec eskapady. Ma teraz przed sobą jedynie dziesięćminutowy samotny lot do Homestead, a stamtąd zostanie odwieziony C-130 do Kalifornii. Wcale nie zazdrości pilotom Wojsk Lotniczych, którzy będą codziennie latać F-104. Rozgrzane powietrze faluje, zniekształcając widok pasa startowego i ciągnącego się w dali pasa namorzynów. Baedeker staje na pozycji startowej i łączy się z wieżą, prosząc o pozwolenie startu, a następnie włącza hamulce, jednocześnie ustawiając silniki na pełny ciąg. Zanim na wskaźnikach pojawiły się odpowiednie odczyty, Baedeker czuł, że maszyna pracuje doskonale. Samolot wydaje się walczyć z powstrzymującymi jego zryw mechanicznymi przeszkodami, niczym oszalały wyścigowy ogier nacierający na bramkę startową tuż przed rozpoczęciem gonitwy. Baedeker ponownie kontaktuje się z wieżą i zwalnia hamulce. Maszyna wyskakuje do przodu, wciskając go w fotel, podczas gdy linia na środku pasa startowego rozmywa się białą plamą pod nosem samolotu. Pomimo to mechaniczne monstrum potrzebuje sporego rozbiegu, żeby unieść się w powietrze. Baedeker gwałtownie podrywa przód, ustawiając nos na niewidzialnej linii dwudziestu stopni w stosunku do zbliżającej się w szaleńczym tempie linii drzew, czuje, jak maszyna ciężko odrywa się od ziemi, wreszcie przyśpiesza i włącza dopalacz.

Potem wszystko dzieje się niemal jednocześnie. Moc spada dziesięciokrotnie, na tablicy zapalają się czerwone lampki, Baedeker momentalnie zdaje sobie sprawę, że kołnierze wokół dopalacza zostały wypchnięte, i starając się przyśpieszyć, powiększa jedynie ciągnącą się za nim fontannę ognia, podczas gdy sygnalizator przeciągnięcia wydaje z siebie paniczne jęki. Instynktownie

opuszcza nos, ale w porę się orientuje, że nie ma ani czasu, ani odpowiedniej wysokości na podobne manewry, więc natychmiast z całej siły pociąga za drążek, dokładnie w chwili gdy pierwsze gałęzie drzew uderzają o spodnią część spadającego F-104. Baedeker kuli się na fotelu niemal w pozycji embrionalnej, pociąga za półokrągły pierścień i widzi, jak zwinięty spadochron wylatuje w górę, odczekuje trwające całą wieczność dwie sekundy, zanim mechanizm wyrzucanego krzesła zadziała, wysyłając go w ślad za spadochronem, ale jest już za późno, samolot rozbija się o grube konary, zmieniając kierunek po każdym uderzeniu o pień sosny, utracona część ogona uderza w podstawę wylatującego w górę fotela, niezbyt mocno, ale wystarczająco, by Baedeker przekoziółkował w powietrzu razem z siedzeniem, wypadając z niego głową w dół, co powoduje rozwinięcie się spadochronu w stronę gęstych koron drzew, podczas gdy on sam zwisa na linkach z wyłamanymi stawami w kostkach i wielkim szumem w głowie. Tymczasem spadochron się otwiera, Baedeker na chwilę gwałtownie unosi się w górę zataczając łuk, niczym dziecko na zbyt rozbujanym huśtawce, szarpnięcie jest zbyt mocne, zaraz po otwarciu się spadochronu wyłamuje mu lewe ramię, a przy następującym po chwili szaleńczym okręcaniu zostaje mu wykręcone prawe, czasza spadochronu prześlizguje się pod nim niczym odwrócony pomarańczowy parasol, który lada chwila zamknie się i runie wraz z nim w dół, wprost na płonące drzewa. Ale tak się nie staje i Baedeker zostaje ponownie szarpnięty w przód, bezwładnymi stopami niemal uderzając o górne gałęzie ukwiecone płomieniami płonącego paliwa, nosem i ustami wdychając parzące opary. Po chwili jednak, na dwie ciągnące się w nieskończoność sekundy, zawisa pod jedwabną kopułą, jak Pan Bóg przykazał, szybując naprzód niby jakiś turysta na paralotni ciągniętej za motorówką, ale pod nim nie ma wody, tylko potrzaskane gałęzie i wystające kikuty, dziesięć tysięcy zaostrzonych pali powstałych w jednej chwili na skutek przelotu płonącej maszyny, i morze ognia, jak okiem sięgnąć same płomienie, wznoszące się coraz wyżej wokół niego i ponad nim, czerwone języki już liżą jego kombinezon, linki spadochronu i zmartwiałe od bólu stopy, zwisające w dół pod niespotykanym kątem, a za niecałe dwie sekundy znajdzie się cały pośrodku tego piekła, pośród oplecionych warkoczami ognia ostrych pali i potwornego żaru, wylądowuje na obolałych stopach, potrzaskanych kościach, jego ciało i spadochron zamieniają się w wielką pochodnię, w swym kombinezonie stanie się jak ogromny owad, gotujący się w swym pancerzu, aż do chwili gdy twarda chityna pęknie, pozwalając, by parujące wnętrza wylały się na zewnątrz, skwiercząc w płomieniach.

I wtedy Baedeker się budzi.

Budzi się – jak zawsze – rękami starając się schwycić wyżej linki spadochronu, znajdując zamiast nich krawędź łóżka i ścianę. Budzi się – jak zawsze – milczący, spocony, pamiętając każdy szczegół, którego nie mógł sobie przypomnieć podczas kilku bolesnych godzin, spędzonych w pełnej przytomności zaraz po katastrofie, ani podczas dziesięciu tygodni powolnej rekonwalescencji w szpitalu, a nawet w ciągu trzech lat, które upłynęły od tamtego sierpniowego dnia, do owej nocy, kiedy po raz pierwszy wyśnił ten sen i zbudził się w taki sam sposób, rękami szukając linek, spocony, pamiętając najdrobniejszy szczegół wydarzenia, które nie mogło utkwic mu w pamięci.

Ale tym razem sen był inny. Baedeker siada na łóżku, opiera głowę na drżących rękach i stara się znaleźć różnicę. I znajduje.

Deska rozdzielcza łśni czerwonym światłem, wskaźnik przeciągnięcia wyje przeraźliwie, Baedeker czuje, jak samolot szoruje brzuchem po gałęziach, jak wali się między drzewa. Nie ma żadnego sposobu, by zapobiec temu upadkowi, ziemia przyciąga go z całą mocą w dół. Ale Baedeker z całej siły pociąga za drążek, niemal wbijając go sobie w brzuch, kuli się na fotelu i pociąga za półkolisty pierścień, wiedząc, że ma zbyt mało czasu. Czasza spadochronu przeciska się

przez drobne gałązki, łamiąc je, aż wreszcie Baedeker z ulgą czuje zbawienne wypchnięcie w górę, gdy fotel wyrzucany katapultuje go z rozpadającej się trumny kadłuba, pozwalając mu wznosić się powoli i majestatycznie, jakby jechał starą, wiktoriańską windą, i gdy jego osłonięta hełmem głowa przechodzi linię lusterka wiszącego nad instrumentami kabiny, przez chwilę widzi w nim swą twarz, osłonę przeciwsłoneczną odbijającą się w swym odbiciu, a w chwilę później widzi coś, o czym zapomniał, widzi coś, o czym w ogóle nie pomyślał w tej krótkiej chwili, w której musiał śpieszyć się, by ratować swoje życie – coś, o czym tak naprawdę dobrze wiedział, o czym tak naprawdę wcale nie zapomniał, o czym tylko przestał myśleć w momencie, gdy walczył o przeżycie – widzi, że na tylnym fotelu siedzi Scott. Scott, I który przyjechał tego dnia przelecieć się z tatą, Scott – wciąż ufający swemu ojcu, ostrzyżony na zapałkę siedmiolatek w koszulce z krótkimi rękawami z logo Centrum Lotów Kosmicznych. Jego oczy w lusterku są pełne ufności, chłopak oczekuje, że ojciec na pewno coś wymyśli, w tych oczach jeszcze nie ma strachu, tylko zaufanie, i po chwili Baedeker jest już w górze, cały i bezpieczny – lecz cóż za gorzkie to bezpieczeństwo! – wykrzykując imię syna, podczas gdy Scott niknie w dole, w szalejących bałwanach ognia. Baedeker wstaje, robi dwa kroki w stronę okna. Opiera czoło i policzek o chłodną szybę, po której na zewnątrz spływają strumienie deszczu, i ze zdziwieniem zauważa, że twarz ma mokrą od łez. W cichych godzinach poranka Baedeker stoi z twarzą opartą o chłodną szybę i jest pewny, że wie, dlaczego zginął jego przyjaciel.

Baedeker wyjeżdża przed świtem, aby być w Tacoma przed siódmą trzydzieści rano. Niektórzy członkowie komisji wypadkowej nie są zbyt zadowoleni z ранego spotkania, ale około ósmej piętnaście Baedeker przeprowadza z nimi rozmowę, którą kończy krótką przemową; już o dziewiątej jest z powrotem w stanie Oregon, tuż obok Dalles. Dzień nastał szary, wietrzny; w powietrzu unosi się zapach śniegu i choć Baedeker bacznie wpatruje się w urwiste wzgórza ciągnące się na północy, nie jest w stanie dostrzec pomnika Stonehenge.

Około pierwszej spogląda na Lonerock ze szczytu wzniesienia, znajdującego się po zachodniej stronie miasta. Na stromym zboczu widać splachcie śniegu. Wynajętą toyotę jedzie na drugim biegu. Gdy przejeżdża wzdłuż głównej ulicy, miasteczko wydaje mu się bardziej puste niż zwykle. Luksusowa przyczepa mieszkalna Solly'ego jest zamknięta na zimę. Okna w domu pani Callahan są zasłonięte grubymi storami, a zasypany śniegu, uniemożliwiająca skręcenie w którąkolwiek z przecznic, wydają się nie ruszone od początku zimy. Baedeker parkuje przy płocie z palików i otwiera drzwi domu kluczami, które dwa dni wcześniej pożyczył od Di. W wysprzątanym pomieszczeniu jeszcze unosi się ledwo wyczuwalny zapach szynki, którą podgrzewali tutaj przed pogrzebem. Baedeker udaje się do pokoju, w którym Dave pisał swoją książkę, pakuje stosy zapisanych kartek i karteluszków z notatkami w karton po dużych kopertach i wynosi je do samochodu. Następnie udaje się w kierunku dawnej szkoły. Nie doczekuje się odpowiedzi na pukanie ani na wołanie przez tubę. Robi kilka kroków w tył, by spojrzeć na dzwonnice, ale szyby są teraz jedynie szarymi lustrami odbijającymi płynące nisko chmury. W ogrodzie widać krzaki okryte słomą i sfatygowanego stracha na wróble, ubranego w wytarty smoking.

Samochodem podjeżdża na rancho Kinka Weltnera. Parkuje toyotę i już ma ruszyć w stronę domu, kiedy nagle przeżywa prawdziwy wstrząs. Widzi wielki śmigłowiec, zabezpieczony sznurami na polu za stodołą. Po chwili dopiero przypomina sobie, że przed śmiercią Dave przyleciał helikopterem do Lonerock. Baedeker podchodzi od maszyny, przesuwając ręką po przytrzymujących ją linach i zagląda do kabiny. Przednia szyba jest cała oszroniona, ale i tak widzi kask Straży Powietrznej przymocowany do oparcia fotela. – Cześć, Dick.

Baedeker odwraca się i widzi zbliżającego się Kinka Weltnera. Pomimo zimna Kink ubrany

jest tylko w ciemny garnitur z lewym rękawem zgrabnie upiętym przy ramieniu.

– Jak się masz, Kink. Dokąd się wybierasz taki wystrojony? – Jadę do Las Vegas na chwilę odpocząć od tej chaty, bo inaczej rozchoruję się na dobre. Pogoda robi się paskudna. – Przepraszam, że nie miałem czasu pogadać z tobą po pogrzebie – mówi Baedecker. – Chciałem ci zadać kilka pytań. Kink wyciera nos w czerwoną chustkę, którą chowa do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Ja też miałem jeszcze kupę roboty. Cholera, strasznie mi szkoda Dave’a.

– Mnie też. – Baedecker dłonią klepie kadłub helikoptera. – Zdziwiłem się, że to jeszcze jest tutaj.

Kink kiwa głową.

– Dzwoniłem już dwa razy. Rozmawiałem z Chico, ale nikt nie chce brać odpowiedzialności za maszynę, która oficjalnie istnieje. Pewnie czekają, aż pogoda się trochę polepszy. Nie wiem, czy boją się jechać tym złomem taki kawał, czy może nie chcą latać nad górami. Bak jest pełny i mogą go stąd zabrać, kiedy tylko będą chcieli. Sam bym go odwiózł, ale raczej trudno jest prowadzić hueya jedną ręką.

– Ja i dwoma rękami zawsze miałem kłopoty – mówi Baedecker. – Kink, rozmawiałeś z Dave’em, kiedy tu przyjechał, prawda? – Tylko się przywitaliśmy. Zdziwiłem się, widząc go tu zaraz po świętach. Wiedziałem, że mieli tu przyjechać razem z Dianą, jak urodzi się dziecko, ale nie spodziewałem się, że będzie tu wcześniej.

– Czy widziałeś się z nim potem, zanim stąd wyjechał? – Nie. Pogoda się popsowała, zaraz jak tylko wylądował, więc powiedział mi, że weźmie cherokee, którego zostawił w szopie przy swoim domu. Miał za parę tygodni wrócić tu po maszynę, jeśli wcześniej ktoś jej stąd nie zabierze.

– Czy mówił, po co przyjechał do Lonerock?

Kink kręci głową, aż nagle nieruchomieje, jakby coś sobie przypominał.

– Spytałem go, jak spędził święta, i powiedział, że bardzo dobrze, ale że zostawił tu jeden prezent. Wydawało mi się to nieprawdopodobne, bo żadne z nich nie było tu od czasu, jak ty przyjechałeś razem z nim, przed Halloween.

– Dzięki, Kink – mówi Baedecker. – Czy mogę skorzystać z twojego telefonu?

– Jasne. Jak będziesz wychodził, po prostu zatrzasknij drzwi. Nie trzeba ich zamykać na klucz. – Kink wsiadł do swej furgonetki. – Na razie, Dick.

– Do zobaczenia, Kink.

Baedecker wchodzi do domu i próbuje dodzwonić się do Diany. Nikt nie podnosi słuchawki. Mimo że jest dopiero wczesne popołudnie, wygląda, jakby był już wieczór. Tak jakby w całym wszechświecie zabrakło energii.

Baedecker jedzie z powrotem do Lonerock, mija zamknięty dom i skręca w prawo, w stronę budynku szkolnego. Widzi, że okna są nadal zasłonięte, zawraca na zaśnieżonym podwórku i już ma zjechać w stronę głównej ulicy, kiedy kątem oka zauważa kobietę o siwych włosach, wychodzącą zza budynku. Zatrzymuje się, wyskakując z samochodu i pędzi w jej stronę, myśląc w duchu, że w swoim długim ciemnym płaszczu pani Callahan przypomina stracha na wróble ze swego ogrodu.

– Pan Baedecker! – woła kobieta i ujmuje wyciągniętą rękę w obie dłonie. – Właśnie przygotowywałam samochód do podróży. Zdecydowałam się pojechać na wybrzeże i spędzić parę tygodni u siostrzenicy pana Callahana.

– Cieszę się, że udało mi się jeszcze panią złapać – mówi Baedecker.

– Czy to nie straszne, to co stało się z Davidem? – mówi pani Callahan, a jej starcze dłonie zaciskają się kurczowo. – To prawda – mówi Baedecker i patrzy na wielką sukę rasy labrador, Sable, wylaniającą się zza węgła i biegnącą susami w ich stronę.

W ślad za nią podąża czwórka małych szceniąt, ledwie trzymających się na nogach. Baedecker przykłęka, głaszcze je, drapie za uszami wiedząc, że nie musi już zadawać starszycie żadnych pytań, by upewnić się w swych przypuszczeniach. – Naprawdę straszne – mówi pani Callahan – a David właśnie przyjechał tutaj, żeby wybrać jednego szczeniaczka dla swojego syna.

Baedecker dzwoni z Condon. Po trzecim sygnale Diana podnosi słuchawkę.

– Przepraszam, że nie było mnie rano na śniadaniu – mówi Baedecker. – Zdecydowałem, że pojedę spotkać się z Bobem i resztą komisji, aby zdobyć ich wstępny raport.

–No i...?

Baedecker waha się przez chwilę.

– Porozmawiamy o tym wieczorem, kiedy będzie więcej czasu, Di. Nie chcę mówić o tym przez telefon.

– Proszę cię, Richard. Chcę już znać najważniejsze szczegóły – jej głos jest miękki, ale zdecydowany.

– W porządku – mówi Baedecker. – Po pierwsze, boczny silnik wyłączył się całkowicie, tak jak myśleli, ale obecnie są niemal pewni, że Dave’owi udało się go uruchomić na kilka sekund przed katastrofą. Awaria hydrauliki wynikała ze zbyt dużego obciążenia, to była awaria konstrukcyjna... ciężko coś takiego wykryć... ale mimo to chyba udało się jakoś odzyskać panowanie nad maszyną. Nie wiadomo, czy zgasł główny silnik, ale Dave właśnie miał się nim zająć, kiedy samolot zderzył się z górą. Po drugie, na pewno nie widział tego szczytu, Di. Na taśmie słychać, jak mówi, że widzi światła, gdy wychodził z chmur na wysokości tysiąca ośmiuset metrów, ale to trwało tylko przez dwie sekundy. Zbocze, o które uderzył, znajdowało się w środku chmury deszczowej, mocno padało i widoczność, przynajmniej na piętnaście kilometrów w kierunku północnym, była absolutnie zerowa. Po trzecie – i najważniejsze, Di – operator z lotniska w Portland powiedział Dave’owi, że dookoła znajdują się szczyty do wysokości tysiąca pięciuset metrów, a zbocze, z którym się zderzył, miało tysiąc sześćset osiemdziesiąt i ciągnęło się na wschód w stronę Góry Świętej Heleny. Założę się o cokolwiek, że Dave leciał na wysokości tysiąca sześciuset. Może trochę wyżej, ale problem w tym, że zdawało mu się, iż już panuje nad maszyną – z hydrauliką sytuacja się wyklarowała, nie miał już lodu na szybie, zdołał uruchomić silnik, a do Portland zostały mu już tylko cztery minuty. Robił, co mógł, Di, i na pewno by mu się udało, gdyby nie uderzył o tę górę. Baedecker urywa, widząc w wyobraźni... nie, raczej czując te ostatnie sekundy. Walka z drążkiem ciężkim nagle jak łom, który utknął wśród kamieni, pedały unoszące się w górę, jakby chciały wbić kolana w brzuch, nie ma czasu, żeby spoglądać przez zalaną kroplami deszczu osłonę, bo trzeba starać się zapanować nad nie kontrolowanymi przechyłami pozbawionego napędu samolotu, sprawdzając odczyty szybkościomierza i wysokościomierza, przymykając przepustnicę i czekając na odpowiedni moment, aby znów włączyć silnik, wciąż słysząc przez dochodzące z zewnątrz odgłosy wiatru i burzy ciche popiskiwanie z pudła na tylnym siedzeniu. W głębi duszy Baedecker wie, że Dave nie był szaleńcem i że on sam pierwszy by się skrzywił ironicznie, słysząc sentymentalną sugestię, że jakiś pilot został o dwie sekundy za długo w spadającym na ziemię samolocie z powodu jakiegoś szczeniaka, ale jednocześnie pamięta jego głos, gdy trzy miesiące wcześniej mówił do niego: „Wydaje mi się, że była to najszczęśliwsza chwila w moim życiu” i w tonie tego głosu wyczuwał coś, co mówiło mu, że to możliwe, aby nastąpiła jedno- lub dwusekundowa chwila wahania, tam gdzie nie ma czasu na

żadne wahanie. Widzi, jak na szalę i tak już mocno obciążoną przez determinację doświadczonego pilota, do końca starającego się uratować maszynę, zostaje dołożony jeszcze jeden mały ciężar, który ściąga ją w dół.

– ...ęcna, że mi to mówisz, Richard – słyszy głos Diany. – Nigdy nie miałam wątpliwości. Chciałam tylko uzyskać odpowiedź na kilka małych pytań, które wciąż chodziły mi po głowie. – Di – mówi Baedeker – wiem, po co Dave przyjechał do Lonerock. Miał tutaj prezent, który chciał ofiarować tobie i dziecku... Nie był... nie był jeszcze gotowy, gdy tu przyjechał – kłamie – ale jeśli chcesz, przywiozę go dziś wieczorem. Spogląda na toyotę, gdzie szczeniak wierci się w koszu obok pudła, w którym znajduje się rękopis Dave'a.

– Dobrze. – Diana bierze głęboki oddech. – Richard, czy wiesz, że według sonogramu dziecko będzie chłopcem? – Dave mówił mi o tym – odpowiada Baedeker.

– Czy mówił ci, nad jakim imieniem się zastanawialiśmy?

– Nie. Chyba nic mi nie mówił.

– Oboje stwierdziliśmy, że Richard to bardzo ładne imię.

Zwłaszcza jeśli ty też jesteś tego zdania.

– Owszem – mówi Baedeker. – Jestem tego zdania. Baedeker jedzie drogą numer 218 przez Mayville i Fossil, przecinając rzekę John Day tuż za Clarno. Droga prowadząca do ashramu, szeroka i wysypana żwirem, odbija na północ od asfaltówki. Baedeker jedzie nią jakieś pięć kilometrów, wciąż myśląc o Scotcie. Przypomina sobie, jak obaj wracali do Houston pamiętnego lata Watergate, tak dawno temu, kiedy starał się jakoś zagadać do chłopca, co raczej mu nie wychodziło, czując – pomimo wszystko – że Scott także pragnie nawiązać z nim jakiś kontakt, by wszystko zmieniło się na lepsze.

W miejscu gdzie dwa głębokie na półtora metra, biegnące równolegle wzdłuż jezdni rowy zbliżają się do siebie, droga jest zatarasowana. Niebieski wóz wyglądający na autobus lotniczy zaparkowany jest w poprzek, absolutnie blokując przejazd. Po lewej stronie widać małą chatkę ze stromym dachem, brązowymi ścianami i jednym okienkiem. Szłas ten wygląda na wartownię, choć Baedekerowi kojarzy się raczej z krytymi przystankami szkolnych autobusów, jakich pełno w całym Oregonie. Zatrzymuje się i wysiada z toyoty. Szczeniak zasnął w koszyku. – Słucham pana, w czym mogę pomóc? – śpieszy z pytaniem jeden z trzech mężczyzn wynurzających się spod dachu szłasasu. – Chciałbym tędy przejechać.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, dalej nie ma wjazdu. Dwóch spośród całej trójki to potężni brodacze, ale rozmawiający z Baedekerem jest najpotężniejszy ze wszystkich, ma co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i około trzydziestu lat. Spod puchowej ortalionowej kamizeli wystaje mu czerwona koszula. Na szyi ma medalion, na którym Baedeker widzi fotografię guru.

– To jest dojazd do ashramu, prawda? – pyta Baedeker. – Tak, ale zamknięty – odzywa się drugi mężczyzna. Ubrany jest w ciemną, kraciastą koszulę, do której ma przypiętą tandetnie wykonaną odznakę ochroniarza.

– Ashram jest zamknięty?

– Dojazd jest zamknięty – mówi najwyższy i Baedeker słyszy zmianę tonu. Nie będzie już więcej żadnego „proszę pana”. – A teraz proszę zawrócić wóz – dodaje.

– Przyjechałem tu, żeby zobaczyć się z synem. Rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon. Ostatnio był chory, więc chciałbym się z nim na chwilę zobaczyć i porozmawiać. Zostawię tu mój samochód, jeśli sami chcecie mnie podwieźć.

Olbrzym potrząsa głową i robi trzy kroki naprzód. Ten mały ruch pełen zuchwałego lekceważenia, a zarazem czujności, wystarcza. Baedeker rozumie, że go nie wpuszczą. Nigdy nie widział tego człowieka, ale dobrze wie, z kim ma do czynienia. Widział mnóstwo takich typków w barach od San Diego po Dżakartę. Kilku – zbyt wielu – miał okazję poznać bliżej podczas służby w marynarce. Przez pewien czas, gdy był bardzo młody, sam stawał się podobny.

Baedeker spogląda na trzeciego ze strażników, jeszcze chłopaka – chudzińcę o twarzy pokrytej trądzikiem. Ubrany jest tylko w czerwoną bawełnianą koszulę i trzęsie się z zimna za każdym powiewem chłodnego wiatru wiejącego z północy. – Nie ma mowy – mówi wysoki mężczyzna, podchodząc blisko do Baedeckera. Zbyt blisko. – Zawracaj, ojczulku. – Chciałbym zobaczyć się z moim synem – powtarza Baedeker. – Jeśli macie telefon w tej budce, może zadzwońmy do kogoś. Robi krok w bok, ale olbrzym zatrzymuje go w sposób zdecydowany, kładąc trzy palce na jego piersi.

– Powiedziałem, żebyś zawracał, człowieku. Wycofaj wóz i zawracaj .

Baedeker czuje, jak narasta w nim dobrze znany, ostry chłód, ale opanowuje się i robi dwa kroki do tyłu. Wysoki mężczyzna ma wypiętą do przodu klatkę, szerokie ramiona, potężne łapska i grubą szyję zakrytą rozwichrzoną brodą, ale poza tym ma też ogromny, miękki brzuch wystający spod ortalionowej kamizeli. Baedeker spogląda w dół na swój własny brzuch i kręci głową. – Zaczniemy od początku – mówi. – Ta droga nadal jest drogą publiczną. Pytałem o to w Condon. Tak więc jeśli macie jakiś telefon lub radiostację, pozwólcie mi porozmawiać z kimś, kto umie myśleć i podejmować dojrzałe decyzje. Jeśli nie macie, to zawieźcie mnie do ashramu i kogoś tam chyba znajdziemy. – Dobra, dobra – odzywa się wysoki pokazując zęby. Drugi brodacz robi krok w kierunku kolegi, podczas gdy najmłodszy wycofuje się do wartowni. Baedeker cofa się jeszcze jeden krok. Wysoki coraz bardziej wyszczerza zęby, wyraźnie zadowolony z tego, że Baedeker się cofa, wysuwa ramię próbując go odepchnąć. Baedeker staje, chwyta wysuniętą rękę, wykręcając ją do tyłu i do góry, nie na tyle mocno, by złamać kość, ale wystarczająco szybko, żeby nadwerężyć parę ścięgien. Wysoki wrzeszczy i wyrывa się, ale Baedeker posuwa się równo z nim, bacznie obserwując drugiego przeciwnika. Następnie jeszcze mocniej wykręca ramię dużego, uwalniając tym samym jedną rękę i pochylając się nieco nad uwięzionym rywalem, który zgina się wpół, kładąc twarz na masce toyoty.

Mężczyzna z odznaką krzyczy coś i zbliża się z rękami wyciągniętymi do przodu, niczym atakujący zapaśnik. Baedeker wymierza mu trzy ciosy lewą ręką, pierwsze dwa bardzo szybkie, z małego zamachu, a więc i o małej sile, a potem trzeci, solidny i dobrze wyprowadzony, po którym tamten zaczyna się słaniać na miękkich nogach, trzymając się za szyję. Obcasy kowbojskich butów ześlizgują się na skraju przydrożnego rowu, co sprawia, że mężczyzna z odznaką chwieje się, po czym ciężko siada w głębokim wykopie.

Wysoki wciąż sapie i zsuwa się po masce samochodu. Wierzgając i szamocząc się, usiłuje uwolnić ramię. Baedeker zsuwa się razem z nim, gotów w razie potrzeby użyć drugiej ręki, kiedy nagle widzi, jak z szalasu wychodzi trzeci chłopak, trzymając w dłoniach samoczynny sztucer kaliber dwanaście.

Odległość dzieląca Baedeckera od chłopaka wynosi trzy metry. Wypłosz trzyma broń ukośnie do góry, trochę jak żołnierz prezentujący broń, a trochę jak Scott trzymał raketę tenisową, kiedy był małym chłopcem, zanim Baedeker nauczył go, jak należy robić to prawidłowo. Baedeker nie widział, czy chłopak wkładał nabój do komory, i ma mocne przeczucie, że tego nie zrobił. Przez moment waha się, lecz po chwili poryw gniewu, który przed sekundą czuł jeszcze tak wyraźnie, znika

zastąpiony przez złość na samego siebie. Obraca wysokiego mężczyznę i popycha go w stronę przyszczatego wypłoszą na tyle mocno, że olbrzym potyka się i zapominając, że wykręcone ramię nie zdąży uchronić go przed upadkiem, pada twarzą w żwir i błoto tuż pod nogi chłopaka trzymającego strzelbę.

Mały krzyczy coś wymachując sztucerem, jakby to była magiczna różdżka, ale Baedeker już nie zwraca na niego uwagi. Wsiada do toyoty, wycofuje wóz, zawraca w miejscu, gdzie droga nieco się rozszerza, i odjeżdża w stronę, z której przyjechał. Baedeker wysłuchał taśmy sam, w małym pokoiku w Bazie Wojsk Lotniczych imienia McChorda. Nagranie było krótkie. Głos młodego kontrolera z wieży był profesjonalnie rzeński, ale w jego tonie wyczuwało się strach. Dave mówił głosem, który Baedeker znał z wielu wspólnie odbytych lotów: niespiesznie wypowiedane wyrazy z wyraźnym akcentem z Oklahomy, który pozostał mu jeszcze z czasów dzieciństwa.

Sześć minut przed katastrofą. Kontroler: „Przyjąłem, Delta Eagle dwusiedemdziesiąt, wyłączenie silnika. Czy chcesz ogłosić stan alarmowy? Odbiór”. Dave: „Nie, Portland. Przywiozę wam go z powrotem i pomyślimy, co z nim zrobić, zanim zawalimy cały rozkład lotów. Odbiór”.

Dwie minuty przed katastrofą. Kontroler: „Potwierdzam wolny pas trzysiedem, Delta Eagle dwusiedemdziesiąt. Czy masz... czy masz potwierdzenie, że podwozie jest sprawne? Odbiór”. Dave: „Bez potwierdzenia, Portland. Nie mam zielonego światła, ale czerwonego też nie. Odbiór”.

Kontroler: „Przyjąłem, Delta Eagle dwusiedemdziesiąt. Czy masz jakąś przygotowaną procedurę na wypadek zablokowania podwozia i niemożliwości lądowania? Odbiór”.

Dave: „Potwierdzam, Portland”.

Kontroler: „W porządku, Delta Eagle dwusiedemdziesiąt.

Jaka procedura? Odbiór”.

Dave: „Podaję procedurę, Portland: OPI SZMA. Odbiór”. Kontroler: „Powtórz, proszę, Delta Eagle dwusiedemdziesiąt. Nie zrozumiałem. Odbiór”.

Dave: „Nie mam czasu, Portland. Jestem zajęty. Odbiór”. Kontroler: „Przyjąłem, Delta Eagle. Obecna twoja... obecna twoja wysokość wynosi dwadziesięć tysięcy metrów. Na trasie twojego lotu znajdują się wzniesienia do wysokości tysiąca pięćset metrów. Powtarzam: wzniesienia do wysokości piętnaście tysięcy metrów. Odbiór”. Dave: „Przyjąłem. Schodzę do dwóch tysięcy metrów. Przyjąłem przeszkody do wysokości piętnaście tysięcy metrów. Dzięki, Portland”. Szesnaście sekund przed katastrofą. Dave: „Wychodzę z chmur na wysokości tysiąc osiemset pięćdziesiąt, Portland. Na prawo widzę światła. No, już w porządku...”

I nic więcej.

Baedeker przesłuchał taśmy trzykrotnie i za trzecim razem zauważył, że ostatnie, urwane słowa „No, już w porządku...” były wypowiedziane jakoś inaczej. W głosie przyjaciela słyszał coś jakby tryumf. W ostatnich sekundach Dave musiał uznać, że sytuacja zaczyna się klarować.

Nagranie głosu Dave'a przypomniało Baedekerowi o innym locie, dawno temu. Przypomniał sobie datę, którą widział na starej gazecie w dzień pogrzebu Dave'a – dwudziesty pierwszy października 1971 roku. To mogło być wtedy. To mogło być w ostatniej dekadzie października, na kilka tygodni przed misją. Lecieli właśnie T-38 z Canaveral do Houston. Baedeker siedział na przodzie. Przelatywali nad zatoką, ale jedyne morze, jakie widzieli, to rozciągające się jakieś tysiąc metrów pod nimi, zalane światłem dopełniającego się księżycy morze chmur, wypełniające całą przestrzeń od horyzontu po horyzont mlecznobiałym blaskiem. Od jakiegoś czasu lecieli w ciszy, gdy nagle usłyszał głos Dave'a w interkomie.

– Za parę miesięcy pojedziemy tam, amigo.

– O ile wreszcie opanujesz sekwencję zamykania bramy w symulatorze – rzekł Baedeker.

– Pojedziemy tam bez dwóch zdań – powiedział Dave. – I nic już nie będzie takie, jak było przedtem.

– A to dlaczego? – zapytał Baedeker spoglądając w górę. Światło załamywało się w pleksiglasowej osłonie, zniekształcając tarczę księżycą.

– Ponieważ my nie będziemy już tacy sami. Ludzie, którzy dotkną stopami świętego miejsca, odchodzą zeń odmienieni, przyjacielu.

– Świętego miejsca? – zdziwił się Baedeker. – O czym my rozmawiamy?!

– Uwierź mi.

Baedeker zamilkł na chwilę, otoczyło go regularne pulsowanie silników i pompowanego tlenu. Potem odezwał się:

– Wierzę ci.

– To dobrze – powiedział Dave. – Daj mi stery.

– Masz.

Dave rozpoczął ostre wznoszenie się pod dużym kątem, cały czas przyśpieszając, aż Baedekerowi wydało się, że leży na plecach wpatrując się prosto w księżyc, podczas gdy samolot wzbija się coraz wyżej w niebo. Wzgórza Mariusa błyszczały wspaniale w świetle księżycowego poranka. Dave nie przerwał wznoszenia, dopóki T-38 nie znalazł się na wysokości dwudziestu kilometrów nad ziemią, o dwa tysiące metrów powyżej dopuszczalnego pułapu wysokości, a potem, zamiast rozpocząć wyrównywanie, pociągnął dźwignię maksymalnie do tyłu, tak że stanęli prawie pionowo, nie mogąc wzlecieć wyżej, ale też nie opadając, jakby maszyna zawisła na nosie pomiędzy przestrzenią kosmiczną a morzem chmur rozciągającym się szesnaście tysięcy metrów pod nimi, grawitacja na chwilę przestała działać, a wszystkie siły we wszechświecie zostały zharmonizowane i zrównoważone. Nie mogło to trwać długo. Zanim samolot zdążył wpaść w korkociąg, Dave dodał gazu, jednocześnie szarpiąc mocno lewym sterem, aż mała treningowa maszyna rzuciła się do przodu niczym zwierzę spuszczone z uwięzi, po czym runęła w dół, zaczynając wolne opadanie, które miało zakończyć się siedemdziesiąt kilometrów dalej w Houston i w domu.

Baedeker dojeżdża do Lonerock na pół godziny przed zachodem słońca, ale pochmurny dzień już zmienił się w szary, niemal pozbawiony światła wieczór. Zatrzymuje się przy ranczu Kinka, parkuje toyotę i zanoszącego psiaka do domu. Daje mu mleko, układa pudło przy wciąż jeszcze ciepłym kuchennym piecu, zadowolony, że szczeniak nie zmarznie w tym domu, zanim on zdąży wrócić.

Odwiązuje liny przytrzymujące helikopter, wyjmuje listę kontrolną z kabiny i zaczyna regularny przegląd hueya, nie zważając na mroźny północny wiatr. Zabiera mu to trzy razy więcej czasu niż wtedy, gdy robił to razem z Dave'em, a kiedy staje na czworakach, by znaleźć zawór paliwa, lewa ręka zaczyna mu drżeć z zimna i bólu. Trzy opuchnięte palce dłoni są dwa razy grubsze niż normalnie. Baedeker siada na zmrożonej ziemi i zastanawia się, czy któryś z palców nie jest czasem złamany. Przypomina sobie dzień, kiedy w wieku chyba dwunastu lat wrócił do mieszkania na Kildare Street po jakiejś bójkę na szkolnym boisku. Jego ojciec obejrzał posiniaczoną dłoń, potrząsnął głową i powiedział tylko: Jeśli już naprawdę musisz walczyć i koniecznie chcesz dać komuś w twarz, to nigdy nie rób tego gołą ręką”.

Po zakończeniu przeglądu zewnętrznego Baedeker chce wejść do środka lewymi drzwiami,

łapie się na tym, po czym obchodzi maszynę i siada po prawej stronie. W helikopterze panuje dojmujący chłód. Huey ma ogrzewanie wewnętrzne i ogrzewanie szyby, ale Baedeker wie, że nie powinien zużywać akumulatora, dopóki nie włączy silnika. O ile w ogóle uda mu się go włączyć.

Zapina pasy, zwalnia rolkę inercyjną tak, aby mógł się swobodnie pochylać się w przód, i sprawdza przełączniki na pulpicie sterowniczym oraz wyłączniki automatyczne. Zakończywszy sprawdzanie, odchyła się do tyłu i uderza głową o kask nasadzony na wspornik uprząży. Nakłada go na głowę wraz ze słuchawkami. Nie ma zamiaru używać radia, ale słuchawki grzeją go w uszy. Sadowi się w ciężkim fotelu i porusza dźwignią sterowania okresowego, a dźwignię sterowania ogólnego chwytą lewą ręką. Obolała dłoń nie do końca zamyka się na rączce dźwigni, lecz Baedeker uznaje chwyt za wystarczająco mocny. Próbuje, czy jest w stanie manipulować przepustnicą tylko palcem wskazującym i kciukiem.

Oddycha głęboko. Zdaje sobie sprawę, że już od ponad trzech lat nie kierował żadną maszyną latającą. Cieszy się, że nie musi przechodzić żadnych badań, gdyby bowiem komisja lekarska sprawdziła pracę jego serca, do razu wykryliby częstokurcz i z miejsca zakazano by mu wszelkich lotów. Drżącą lewą ręką otwiera przepustnicę i sprawnym palcem naciska spust startera. Daje się słyszeć przeciągłe wycie i silnik zostaje uruchomiony z głośnym sykiem, jakby ktoś otworzył zawór kotła grzejnego. Wskaźnik temperatury spalin zapala się na czerwono, a łopaty wirnika zaczynają się obracać.

– W porządku – mruczy Baedeker do wyłączzonego mikrofonu. – Co teraz?

Włącza nawiew ogrzewania i odszraniacz szyb, czeka pół minuty, aż przednia szyba zostanie oczyszczona, i lekko pociąga za drążek sterowania skoku ogólnego. Nawet tak lekkie pociągnięcie za małą dźwignię, która przywodzi mu na myśl filigranowy hamulec ręczny ze starego volvo jego żony, na tyle zwiększa kąt ustawienia śmigła, że huey wznosi się na wysokość około dwóch metrów. „Warto byłoby pójść wyżej” – myśli Baedeker. Otwiera nieco mocniej przepustnicę, żeby skompensować zwiększony kąt ustawienia, podczas gdy jego lewa ręka ostrym bólem buntuje się przeciw zmuszaniu jej do wykonywania dwóch czynności naraz. Baedeker zmniejsza szybkość na wysokości trzech metrów, planując przez chwilę utrzymać hueya na tym pułapie, mając piętnaście metrów przed sobą wejście na strych stodoły Kinka. Maszyna zaczyna sama okręcać się w lewo wokół własnej osi. Baedeker naciska prawy pedał, ale robi to zbyt mocno, przez co śmigło ogonowe zaczyna okręcać maszynę w przeciwnym kierunku. Baedekerowi udaje się zatrzymać hueya w pozycji obróconej o sto osiemdziesiąt stopni w stosunku do pozycji startowej, ale tymczasem zmniejszony kąt ustawienia śmigła spowodował opuszczenie się maszyny o jakieś półtora metra, potem o dwa i pół, wobec czego Baedeker pociąga za dźwignię sterowania okresowego, lecz znów czyni to za mocno, przeskakując z wysokości dziesięciu centymetrów nad ziemią do wysokości czterech i pół metra. Z powrotem opada na trzy metry, gorączkowo operując przepustnicą, dźwigniami sterowania i pedałami, starając się wykonać najprostszy zawis. Kiedy ma wrażenie, że już mu się to udało, spogląda w lewo i widzi, że sunie lekko, jakby po beztarciowych szynach jakiejś niewidocznej prowadnicy, prosto na stodołę Kinka. Naciska nogą pedał wystarczająco silnie, aby obrócić wyjąca i rzucająca się na boki maszynę, przesuwając drążek w przód, a następnie szybko w tył, by wreszcie posadzić śmigłowiec na ziemi w niezbyt elegancki jak na doświadczonego pilota sposób, co sprawia, że helikopter kilkakrotnie zgrzyta płozami o żwir, robiąc dwa czy trzy drobne skoki, nim w końcu zatrzyma się pośrodku podwórka. Baedeker wierzchem dłoni ociera czoło i czuje, jak strużki potu ściekają mu po karku. Wypuszcza z ręki drążki sterowania. Uprząż rusza się razem z nim, przytrzymując go ściśle w fotelu.

Śmigła wciąż obracają się bez potrzeby.

– W porządku – mówi cicho Baedeker. – Będę potrzebował twojej pomocy, amigo.

„Postaraj się wstrzymać oddech, matolku”. Głos Dave’a z wyłączonego interkomu rozbrzmiewa w nie podłączonych słuchawkach. Głos Dave’a w jego wyobraźni.

Baedeker postanawia się rozluźnić. Powoli wypuszcza powietrze z płuc i przez długi czas nie bierze nowego wdechu, pozwalając umysłowi unosić się w próżni, podczas gdy ciałem stara sobie przypomnieć długie godziny spędzone na szkoleniowych lotach śmigłowcami. Wciąż lekko wstrzymując oddech, podnosi dźwignię przekręcania łopat, delikatnie pociąga za dźwignię sterowania okresowego, wyrównuje przepustnice i naciska nogami na pedały, po czym lekko unosi się w górę na wysokość trzech metrów. Powoli wciąga powietrze do płuc. Pewnie wisi w powietrzu, ręka przestaje kurczowo zaciskać się na sterach, wszystko zaczyna wydawać się łatwe, jak sterowanie małą łódką po spokojnym morzu. Baedeker obraca maszynę, pochyla nos, żeby nabrać szybkości, i rozpoczyna długie, powolne wznoszenie, które ponownie wyniesie go nad Lonerock, na wysokość sześciuset metrów. Jeszcze nie jest ciemno, widać promienie słońca, które po raz pierwszy tego dnia wychodzi zza grubej zasłony chmur. Mimo to Baedeker szuka palcami przełącznika świateł, a znalazłszy go, kilkakrotnie włącza i wyłącza reflektor lądowania. Przelatując nad szkołą widzi, że w oszklonej kopułce na dachu panuje ciemność. Z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę cały przejazd powinien zająć mu nie więcej niż piętnaście minut. Zachodzące słońce świeci mu prosto w oczy. Spuszcza osłonę, ale w ten sposób wszystko wydaje się zbyt ciemne, więc zsuwają i patrzy przez przymrużone powieki. Na zachodzie widzi lśniącą aureolę wokół Mount Hood, a nabrzmiałe brzuszyska chmur lśnią czerwienią i żółcią, jakby wypuszczały z siebie kolory, które gromadziły w sobie przez cały tydzień, wisząc nad doliną.

Przelatując nad rzeką John Day, Baedeker schodzi do wysokości dziewięćdziesięciu metrów. Uśmiecha się. Wydaje mu się, że znów słyszy głos Dave’a: „Ten styl latania dla żółtodziobów nazywamy LND: Lecę Nad Drogami”. O mały włos mija dojazd do ashramu, nie zauważywszy zwirowanej drogi, wpatrzony w stado bydła gdzieś w dali, ale w porę orientuje się i łagodnie skręca w prawo, czując, że maszyna powoli zaczyna z nim współpracować. Rozgląda się na boki i przez prawe okienko dostrzega w dole długie cienie bylicy, karłowatych sosen i śniegowych zasp na dnie wyschniętego strumienia.

Przelatuje nad blokadą drogi na wysokości czterdziestu pięciu metrów. Przez dolną szybę widzi, jak dwóch mężczyzn wyskakuje na drogę. Ledwie powstrzymuje chęć zawrócenia i przejechania im tuż nad głowami z szybkością dwustu kilometrów na godzinę. Nie po to tu przybył.

Trzy kilometry dalej przelatuje nad wzniesieniem, skąd ma już pełny widok na ashram, i zdaje sobie sprawę, że popełnił błąd.

Ashram okazuje się sporym miasteczkiem. Dolinę przecina asfaltowa droga, wzdłuż której po jednej stronie roi się od różnej wielkości namiotów ustawionych na stałe, na drewnianych lub betonowych podestach, a po drugiej stronie widać budynki i duże parkingi. U zbiegu dwóch ulic znajduje się jakaś ogromna budowla, prawdziwy ratusz, za którym stoi kilka rzędów zaparkowanych autobusów, na ulicach zaś jest mnóstwo ludzi. Baedeker przelatuje w tę i z powrotem nad główną arterią na wysokości trzydziestu metrów, ale hałas wirnika powoduje, że coraz więcej ludzi wychodzi z budynków i namiotów na ulicę. Błotniste uliczki zapełniają się mrówkami w czerwonych szatach. Baedeker niemal spodziewa się usłyszeć za chwilę charakterystyczny terkot działek przeciwlotniczych. Niezdecydowany, wisi w powietrzu tuż nad ogromnym nibyratuszem, długim budynkiem o murowanych fundamentach i solidnym dachu, ze ścianami z brezentowego płótna, i

zastanawia się: „Co teraz?”

„Rozluźnij się”.

Baedecker idzie za tą radą. Przez szyby helikoptera widzi, jak słońce znika za linią wzgórz. Nagły półmrok wieczoru wydaje się nieco przyjemniejszy niż szarość, która panowała przez cały, kończący się właśnie dzień. Omiótłszy wzrokiem rozciągające się pod nim na długości półtora kilometra miasteczko, zauważa małe wzniesienie o płaskim wierzchołku obok nie ukończonego drewnianego budynku na południowowschodnim skraju całego kompleksu. Zarówno wzgórze, jak i stojący osobno budynek są oddalone o jakieś kilkaset metrów od reszty zabudowań. Robi jedno małe kółko i zaczyna ostrożnie opuszczać się w dół. Wciąż jest na wysokości dziesięciu metrów nad wierzchołkiem wzniesienia, gdy nagle kątem oka zauważa czuprynę rudych włosów. Z nie dokończonego budynku wyszło pięciu ludzi, ale Baedecker patrzy tylko na chłopaka idącego przodem. Postać wciąż jest jakieś sześćdziesiąt metrów od niego, na wpół ukryta w cieniu budynku, ale Baedecker od razu wie, że to Scott – Scott chudszy niż kiedykolwiek, Scott bez brody, którą nosił w Indiach, i z włosami krótszymi niż nosił przez ostatnie dziesięć lat, ale to na pewno Scott.

Lądowanie jest łagodne, Huey osiada na ziemi bez większych wstrząsów. Przez minutę Baedecker musi skupić całą uwagę na pulpicie, nie wyłącza wirnika, lecz ustawia go na taką szybkość, by helikopter nie odleciał bez niego. Kiedy znów kieruje wzrok w stronę budynku, widzi, jak cztery postacie trwają nieruchomo w cieniu, podczas gdy Scott zaczyna biec w górę zbocza, wolnym truchtem wspinając się po wyboistym i usianym skałami stoku. Baedecker otwiera kopniakiem drzwi, zostawia hełm na fotelu i wychodzi spod wirujących śmigieł, schylając się instynktownie. Dochodzi do skraju płaskiego szczytu, tam staje wyprostowany, z rękami na biodrach, wpatrując się w nadbiegającego syna. A potem szybkim i pewnym krokiem rusza mu na spotkanie.

CZEŚĆ PIĄTA

NIEDŹWIEDZIE WZGÓRZE

Baedecker biegł. Biegł ile sił w nogach, chociaż dyszał ciężko, pot zalewał oczy, dokuczala mu kolka, a serce waliło jak szalone. Mimo to nie ustawał. Na ostatnim z sześciu kilometrów, który miał być najłatwiejszy, biegło mu się najgorzej. Trasa wiodła przez wydmy, aby pod koniec zawrócić na plażę i tam właśnie Scott zdecydował się podkręcić tempo. Baedecker został o jakieś pięć metrów za synem, ale nie chciał pozwolić, by dystans się powiększył.

Gdy w oddali zobaczyli budynek hotelu, Baedecker poczuł, że goni resztkami sił, że jego wyczerpane serce i płuca domagają się, by zwolnił, podczas gdy on właśnie przyśpieszał, dając z siebie wszystko, aby tylko zrównać się z synem. Scott obejrzał się przez ramię i uśmiechnął, a następnie rozpoczął zabójczy sprint, schodząc z twardego, mokrego piasku tuż nad wodą na suchy i sypki piasek plaży. Baedecker biegł w tym samym tempie jeszcze jakieś pięćdziesiąt kroków, ale w końcu został w tyle, ostatnie sto metrów do niskiego betonowego murku otaczającego hotel przemierzając chwiejnym truchtem.

Scott zatrzymał się, by wykonać parę skłonów i ćwiczeń rozciągających, Baedecker zaś runął na piach i usiadł, opierając plecy o rozgrzany beton. Głowę spuścił między ramiona i dyszał. – Niezły bieg. Najlepsze tempo jak dotąd – odezwał się Scott po chwili.

– Hrrh – zgodził się Baedecker.

– Od razu lepiej się człowiek czuje, co nie, tato?

– Hrrh.

– Idę sobie popływać. Idziesz też?

Baedecker pokręcił głową.

– Idź sam – wydyszał. – Ja zostanę tu i wypluję płuca. – W porządku. Zaraz wracam. – powiedział Scott i pobiegł plażą do oceanu.

Słońce Florydy świeciło jasno, piasek był oślepiająco biały, jak księżycowy pył w samo południe. Baedecker cieszył się, że Scott zupełnie wrócił do zdrowia. Osiem miesięcy wcześniej poważnie zastanawiał się, czy nie położyć syna z powrotem do szpitala, ale lekarstwa na astmę dość szybko postawiły chłopaka na nogi, a po kilku tygodniach ustała też dyzenteria. Podczas długich miesięcy diety i pracy w Arkansas Baedeckerowi udawało się zrzucić kolejne kilogramy, Scott zaś regularnie przybierał na wadze i obecnie nie wyglądał już jak więzień obozu koncentracyjnego. Scott poddawał się ogromnym falom, które niosły go do brzegu. Baedecker podniósł się z wysiłkiem i wolno ruszył w dół plaży, aby popływać z synem.

* *

Był wieczór, gdy obaj jechali na północ trasą numer 1 do Centrum Lotów Kosmicznych. Baedecker patrzył na nowe budynki i supermarkety pobudowane wzdłuż autostrady i przypominał sobie, jak biednie wyglądały te okolice w połowie lat sześćdziesiątych.

Ogromny budynek Działu Montażu Pojazdów zobaczyli z daleka, na długo zanim skręcili w drogę dojazdową o nazwie NASA Causeway.

– No i co? Czy wszystko wygląda tak samo jak dawniej? – spytał Baedecker. Scott był absolutnym fanem stacji na Canaveral. Gdy miał sześć czy siedem lat, przez całe lato nie zdejmował niebieskiej koszulki z logo Centrum Kennedy’ego. Joan często musiała prac ją w nocy, aby zmusić go do włożenia czegoś innego. – Chyba tak – odparł Scott.

Baedecker wskazał palcem gigantyczną konstrukcję znajdującą się na północny wschód od nich.

– Pamiętasz, przywiozłem cię tu kiedyś, żebyś zobaczył, jak budują wieżę montażową.

Na twarzy Scotta pojawił się wyraz niepewności.

– Nie pamiętam. Kiedy to było?

– Hm... w sześćdziesiątym piątym. Pracowałem już wtedy dla NASA, ale to było na rok przed tym, jak zostałem wybrany na potencjalnego członka załogi do Piątej Grupy kosmonautów. Pamiętasz? Scott spojrział na ojca z wyrzutem.

– Tato, przecież miałem wtedy zaledwie roczek.

Baedecker uśmiechnął się do siebie.

– Przypomnij sobie tylko. Cały czas niosłem cię na ramionach.

Zanim dojechali do części przemysłowej, dwa razy zatrzymywano ich na punktach kontrolnych. Port kosmiczny, zazwyczaj otwarty dla turystów i ciekawskich, został niedawno zamknięty ze względu na mające nastąpić niedługo wystrzelenie statku, którego lot był finansowany całkowicie przez Departament Obrony. Baedecker okazał identyfikatory oraz przepustki dostarczone im przez Tuckera Wilsona i szybko przepuszczono ich dalej. Przejechali wolno obok rozległego budynku Kwatery Głównej i zjechali z Parkway na parking przed budynkiem Działu Lotów Załogowych. Potężny, trzypiętrowy kompleks wyglądał tak samo brzydko i funkcjonalnie jak za czasów, kiedy Baedecker odbywał tu wszystkie przygotowania przed i w czasie trwania programu „Apollo”. Gdy parkowali samochód, ostatnie błyski zachodzącego słońca odbijały się w szklanych wstęgach szyb na zachodniej ścianie budowli.

– Obiad z kosmonautami w Dzień Dziękczynienia. To chyba wielkie wydarzenie, prawda? – spytał Scott.

– Nie będzie to prawdziwy świąteczny obiad. – powiedział Baedecker. – Członkowie załogi zjedli obiad wcześniej ze swymi rodzinami. To raczej podwieczorek... kawa i ciasto... coś w rodzaju tradycyjnego, ostatniego spotkania w dzień przed lotem. – Dziwne, że NASA zarządza lot właśnie w takie święto. – Nic w tym niezwykłego – odparł Baedecker, gdy pokazywali identyfikatory strażnikowi przy drzwiach. – „Apollo 8” oblatywał Księżyc w czasie świąt Bożego Narodzenia. Poza tym Departament Obrony na pewno wyznaczył taką datę ze względu na możliwość wstrzelenia się w okno pomiędzy satelitami.

Jakiś młody lotnik poprowadził ich w górę wąskimi schodami. – No a poza tym – uzupełnił Scott – Dzień Dziękczynienia jest dzisiaj, a raketę wystrzelą jutro.

– Właśnie – rzekł Baedecker.

Minęli jeszcze dwa punkty kontrolne, zanim zostali wprowadzeni do malutkiej poczekalni obok sali jadalnej załogi. Baedecker spojrział na zieloną sofę, niewygodne krzesła i mały stolik do kawy zawalony czasopismami, z pewnym zadowoleniem stwierdzając, że wyposażenie prywatnych pomieszczeń załogi zachowało ten sam klimat lat sześćdziesiątych, znany mu sprzed dwóch dekad. Z jadalni wyszła grupa biznesmenów prowadzonych przez młodego majora lotnictwa. Jeden z mężczyzn, ubrany w ciemny garnitur, z dyplomatką pod pachą, zatrzymał się na widok Baedeckera. – Dick, ty tutaj?! – zawołał. – Do diabła, więc to prawda, że pracujesz dla Rockwell?!

– Nieprawda, Cole. – Baedecker wstał i uściśnił mu rękę. – Jestem tu przejazdem w celach towarzyskich. Cole, nie wiem, czy znasz mojego syna. Scott, to jest Cole Prescott, mój dawny szef z St. Louis.

– Poznaliśmy się parę lat temu – powiedział Prescott ściskając dłoń Scotta. – Na wspólnym pikniku, gdy Dick zaczął dla nas pracować. Miałeś wtedy chyba jedenaście lat.

– Biegliśmy razem w wyścigu na trzech nogach – przypomniał Scott. – Miło znów pana spotkać, panie Prescott. Prescott obrócił się do Baedeckera.

– Więc co tam u ciebie, Dick? Nie mieliśmy o tobie żadnych wieści chyba od sześciu miesięcy.

– Od siedmiu – uściślił Baedeker. – Scott i ja spędziliśmy wiosnę i lato remontując stary dom w Arkansas. – W Arkansas?! – zawołał Prescott i mrugnął do Scotta. – A co jest ciekawego w Arkansas?

– Właściwie nic – rzekł Baedeker.

– Słyszałem, że rozmawiałeś z ludźmi z North American.

Prawda li to?

– Tylko rozmawiałem.

– Właśnie, oni też tak mówią. Ale posłuchaj, Dick, jeśli jeszcze z nikim nic nie podpisywałeś... – Prescott przerwał i rozejrzał się dookoła. Pozostali biznesmeni zniknęli już w korytarzu. Z uchylonych drzwi do jadalni słychać było śmiechy i szcęk naczyń. – Cavanaugh odchodzi w styczniu na emeryturę, Dick. – Tak?

– Tak. – Prescott pochylił się, jakby chciał mu coś powiedzieć na ucho. – Będę szukał kogoś na jego miejsce. Jeśli w ogóle myślałeś kiedykolwiek o powrocie, wtedy będzie najlepsza sposobność. – Dzięki, Cole – powiedział Baedeker – ale obecnie mam pracę. No, nie jest to właściwie praca, lecz na pewno będę zajęty przez kilka najbliższych miesięcy.

– Co będziesz robił?

– David Muldorff zaczął parę lat temu pisać książkę, a ja ją kończę. Część, którą muszę opracować, wymaga sporo podróży i przeprowadzania licznych wywiadów. Na przykład już w poniedziałek muszę lecieć do Austin.

– Pisziesz książkę? – zdziwił się Prescott. – Dostałeś jakąś zaliczkę?

– Skromną. Większość honorarium zostanie przekazane żonie Dave’a, Dianie, i ich małemu, lecz zaliczka starczy na pokrycie niektórych wydatków.

Prescott pokiwał głową i spojrzał na zegarek. – W porządku. Ale miej na uwadze, co ci powiedziałem. Miło was było znów zobaczyć. Czołem, Scott.

– Na razie – pożegnał się Baedeker.

Prescott zatrzymał się w drzwiach.

– Naprawdę szkoda mi Muldorffa. Straszny wypadek.

– Tak, to prawda....

Jak tylko Prescott zniknął za drzwiami, z jadalni wychylił się rzecznik NASA w samej koszuli i czarnym krawacie, – Pułkownik Baedeker?

– Tak.

– Wszyscy już czekają na deser. Czy pan i pański syn zechcecie do nas dołączyć?

* * *

Przy długim stole siedziało dwunastu mężczyzn; pięciu było kosmonautami. Tucker Wilson przedstawił wszystkich nowo przybyłym. Poza Tuckerem Baedeker znalazł tylko Freda Hagena, drugiego pilota misji, oraz Donalda Gilrotha, jednego z obecnych szefów administracyjnych NASA.

Od kiedy Baedeker widział go po raz ostatni, Gilroth mocno przybrał na wadze i powadze.

Pozostali trzej kosmonauci, dwaj specjaliści zadaniowi i specjalista od ładunku użytecznego, również byli oficerami Wojsk Lotniczych. Tucker był jedynym pilotem pracującym tylko dla NASA, który brał udział w tej misji. Ostatnio usiłowano włączyć kobiety oraz przedstawiciele mniejszości do programu badań kosmicznych, a ten ściśle wojskowy lot stanowił krok w tył ku dawnej tradycji obsadzania załóg wyłącznie białymi mężczyznami. Connors i Miller, dwaj specjaliści zadaniowi, byli poważnymi milczkami, ale najmłodszy członek załogi, blondyn o nazwisku Holmquist, co chwila wybuchał głośnym, zaraźliwym śmiechem, który z miejsca wzbudzał do niego sympatię.

Po kilku minutach wypełnionych nieodzownymi w takiej chwili wspominkami na temat starych dobrych czasów programu „Apollo”, Baedeker skierował rozmowę na misję mającą się rozpocząć następnego dnia.

– Długo czekałeś na taką chwilę, co, Fred?

Hagen pokiwał głową. Był o kilka lat młodszy od Baedeckera, ale krótko ostrzyżone włosy miał już zupełnie siwe. Baedeker nagle zdał sobie sprawę, że większość pilotów wahadłowca zbliżała się do pięćdziesiątki. Przestrzeń kosmiczna, nie tak dawno jeszcze na tyle przerażająca, że eksperci obawiali się, czy najmłodszy, najsprawniejszy i najsilniejszy oblatywacze z całych Stanów sprostają trudom wyprawy, teraz stawała się terenem podbojów mężczyzn noszących okulary o podwójnej ogniskowej i mających problemy z prostatą.

– Czekałem od czasu nieudanej misji OLZ – powiedział Hagen. – Przy odrobinie szczęścia może uda mi się wynieść na orbitę następcę, który będzie stanowił część stacji kosmicznej. – Co to było OLZ? – spytał Scott.

– Orbitalne Laboratorium Załogowe – wyjaśnił Holmquist. On jedyny wyglądał na rówieśnika Scotta. – To stary projekt, oczko w głowie Wojsk Lotniczych, podobnie jak X-20 „Dyna Soar”, który nigdy nie oderwał się od ziemi. Straszliwie dawno, nas jeszcze nie było na świecie, Scott.

– Aha – przerwał mu rozdrażniony Tucker, rzucając zmiętą serwetką w młodego kosmonautę – jeszcze w erze przedtranzystorowej.

– Myślę, że orbiter wahadłowca to większa, ulepszona wersja „Dyna Soar” – mówiąc to, Baedeker zdał sobie sprawę, że samo brzmienie słowa „Dyna Soar” kojarzy mu się ze słowem „dinozaur”. W połowie lat sześćdziesiątych oblatywał te nieruchawe kadlubopłaty w bazie Edwardsa na zlecenie NASA, biorąc udział w tym chybionym projekcie Wojsk Lotniczych.

– Jasne – powiedział Hagen. – A „Spacelab” to coś w rodzaju unowocześnionej, międzynarodowej wersji OLZ... spóźnionej o kilkadziesiąt lat. Zresztą samo laboratorium jest czymś w rodzaju projektu testowego, poprzedzającego budowanie modułów stacji kosmicznej, które będziemy wystrzeliwać w przestrzeń za parę lat.

– Ale w tej misji nie zabieracie ze sobą „Spacelabu”, prawda?

– spytał Scott.

Nad stołem zapadła cisza. Kilku obecnych pokręciło głowami. Ładunek, który wahadłowiec wynosił w przestrzeń kosmiczną na zlecenie Departamentu Obrony, był tematem tabu w tej rozmowie i Scott dobrze o tym wiedział.

– Czy nadal są kłopoty z pogodą? – zmienił temat Baedeker.

Od wielu dni nad zatoką każdego ranka krążyły burze z piorunami. – Do pewnego stopnia – odpowiedział Tucker. – Po ostatniej prognozie meteorologa mówili, że możemy spokojnie startować, ale nie brzmiało to zbyt szczerze. Zresztą, co tam. Wolne okno mamy jeszcze przez całe

trzy dni. Będziecie jutro na stanowiskach dla VIP-ów, Dick?

– Pewnie. Muszę to zobaczyć – odparł Baedeker. – A co ty o tym myślisz, Scott? – spytał Hagen z przyjaznym zainteresowaniem.

Scott chciał wzruszyć ramionami, ale się powstrzymał. Spojrzał na ojca, a następnie z powrotem na Hagen. – Jeśli mam być szczerzy, proszę pana, wydaje mi się to bardzo ciekawe, ale jednocześnie trochę smutne.

– Smutne? – zdziwił się Miller, jeden ze specjalistów, ciemnowłosa, nerwowy, impulsywny. – Dlaczego smutne? Scott wziął głęboki oddech i zaczął wyliczać, rozkładając kolejno palce u lewej ręki.

– Nie było żadnych informacji na temat jutrzejszego startu, prawda? Reporterzy nie mają wstępu na Canaveral. O całej misji nie wiadomo nic prócz absolutnego minimum. Ludzie nie wiedzą nawet, kiedy dokładnie statek zostanie wystrzelony, prawda?

– Oczywiście – odezwał się kapitan Conners. W jego głosie słychać było stanowczy ton, jakiego używali wszyscy wykładowcy w Akademii Wojsk Lotniczych. – Tak się postępuje, aby zapewnić bezpieczeństwo narodowe w przypadku poufnej misji. Conners rozejrzał się po twarzach pozostałych, podczas gdy kelner zbierał talerzyki po ciście i dolewał kawy do filiżanek. Holmquist i Tucker uśmiechali się patrząc na Scotta. Pozostali po prostu patrzyli.

Scott w końcu wzruszył ramionami, ale uśmiechnął się, zanim zaczął mówić, i Baedeker zdał sobie sprawę, że gniewne napięcie, które od wielu lat wyczuwał w synu, częściowo zniknęło w ciągu ostatnich kilku tygodni.

– Rozumiem – powiedział Scott – ale pamiętam te dni, kiedy ojciec miał lecieć, kiedy gazety wiedziały o każdym pierdnięciu członka załogi... przepraszam, ale tak to właśnie wyglądało od strony rodzin. Przynajmniej podczas misji. Chcę powiedzieć, że wszystko wtedy było bardziej jawne, a co dopiero w porównaniu z Rosjanami, o których programie kosmicznym nikt nic nie wiedział. Byliśmy dumni, że u nas o wszystkim wie każdy, przeciętny obywatel. Teraz wydaje mi się smutne, że powoli stajemy się bardziej podobni do nich.

Miller już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz uprzedził go śmiech Holmquista.

– Prawda – powiedział młody kosmonauta – ale powiem ci, że do Rosjan jeszcze nam daleko. Widziałeś reporterów na lotnisku robiących notatki, jak przywożono ładunek od wykonawców zakontraktowanych przez Departament Obrony? To im wystarczyło, żeby dowiedzieć się, co za sprzęt będziemy mieli na pokładzie. Widziałeś może dzisiejsze wydanie „Washington Post” albo „New York Timesa”?

Scott pokręcił głową.

Młody specjalista zaczął przedstawiać treści artykułów i informacji pojawiających się w prasie i telewizji, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając ich prawdziwości, ale z humorem opisując daremne wysiłki rzeczników prasowych Wojsk Lotniczych, starających się palcami zatkać dziury w tamie, która już dawno zamieniła się w sito. Jeden z pracowników administracyjnych NASA opowiedział, jak musieli wyganiać łódki dziennikarzy tuż spod brzegu półwyspu, podczas gdy rosyjskie pływające jednostki wywiadowcze stały porozstawiane poza granicami obszaru zamkniętego.

Fred Hagen opowiedział, jak w czasach misji X-15 jakiś przedsiębiorczy reporter podał się za goszczącego w Stanach przedstawiciela Brazylijskich Wojsk Lotniczych, aby zdobyć informacje. Baedeker opowiedział o swojej wyprawie do Związku Radzieckiego przed projektem „Apollo-

Sojuz” i o tym, jak pewnej chłodnej nocy Dave Muldorff podszedł do lampy wiszącej w ich prywatnej kwaterze w Gwiezdnym Miasteczku i głośno powiedział, że nie od rzeczy byłoby łyknąć czegoś mocniejszego na rozgrzewkę przed snem, ale niestety skończył się już alkohol, dostarczony wcześniej przez gospodarzy. Po dziecięciu minutach zjawił się jakiś Rosjanin, posłusznie niosąc ze sobą butelki wódki, szkockiej i szampana.

Atmosfera się rozluźniła; przy stole potworzyły się mniejsze grupki, a kilku pracowników administracyjnych opuściło biesiadników. Holmquist i Tucker rozmawiali właśnie ze Scottem, kiedy Don Gilroth, obszedłszy stół dookoła, położył dłoń na ramieniu Baedeckera.

– Czy mogę cię prosić na chwilę, Dick?

Baedecker poszedł za nim do pustej poczekalni. Gilroth zamknął drzwi i podciągnął spodnie zsuwające mu się po potężnym brzuchu.

– Dick, nie wiem, czy będziemy mieli okazję porozmawiać jutro, więc wolałbym to zrobić już dziś.

– O czym mamy rozmawiać? – spytał Baedecker.

– O twoim powrocie do NASA.

Baedecker zamrugał zaskoczony. Nigdy nie przyszło mu to do głowy.

– Rozmawiałem z Cole’em Prescottem, Wietzelem i innymi, i słyszałem, że rozważasz propozycje z różnych stron, ale chciałem, żebyś wiedział, że NASA również jest zainteresowana. Wiem, że nasze płace nie wytrzymają konkurencji z prywatnymi firmami, ale ostatnio dzieje się tu wiele pasjonujących rzeczy. Staramy się przywrócić na nowo cały program.

– Don – powiedział Baedecker – niedługo będę miał pięćdziesiąt cztery lata.

– A ja w sierpniu skończę pięćdziesiąt dziewięć. Nie wiem, czy zauważyłeś, Dick, ale obecnie tym interesem nie kręca nastolatki. Baedecker pokręcił głową.

– Tyle lat poza agencją...

Gilroth wzruszył ramionami.

– Nie rozmawiamy o powrocie do latania, chociaż jeden Bóg wie, co jeszcze będzie możliwe za parę lat. Niemniej Harry potrzebowałby kogoś z doświadczeniem w Biurze Obsługi Kosmonautów. Wliczając starych, wysłużonych wygów i młodych na szkoleniu, mamy tu co najmniej siedemdziesięciu kosmonautów. Nie tak jak dawniej, kiedy Dekę i Al musieli pilnować zaledwie niecałego tuzina takich rozrabiaków jak wy, – Don – zaczął tłumaczyć Baedecker – właśnie pracuję nad książką, której Dave Muldorff nie zdążył skończyć i... – Wiem, słyszałem o tym – przerwał mu Gilroth i poklepał go po ramieniu. – Ale nie ma pośpiechu, Dick. Przemyśl to. Spotkajmy się w tej sprawie jeszcze w tym roku. Aha, Dick... Dave Muldorff chyba myślał, że powinieneś wrócić do pracy tutaj. Mam od niego list z listopada zeszłego roku, w którym coś o tym wspomina. Ten list jakby potwierdził moje własne zamiary sprowadzenia tu z powrotem któregoś z dawnych zawodowców... Baedecker myślał o tym, co usłyszał od Gilrotha, kiedy Tucker i Scott pojawili się w drzwiach.

– A, tu jesteś! – zawołał Tucker. – Właśnie planowaliśmy małą przejażdżkę do wyrzutni. Chcesz jechać z nami? – Pewnie – odrzekł Baedecker. Odwrócił się do odchodzącego Gilrotha. – Dzięki za propozycję, Don. Odezwę się do ciebie za jakiś czas.

– Znakomicie – powiedział tamten, salutując całej trójce na pożegnanie.

Służbowym zielonym plymouthem Tuckera podjechali dwanaście kilometrów czteropasmową

aleją Kennedy'ego do wyrzutni 39–A. Wieża montażowa oświetlona od góry i od dołu reflektorami szerokostrumieniowymi stawała się coraz większa, w miarę jak się zbliżali. Baedeker rzucił okiem na amerykańską flagę namalowaną na jednym z boków i zdał sobie sprawę, że sama flaga była wielkości boiska futbolowego. Za wieżą montażową ich oczom ukazał się pojazd otoczony całym systemem suwnic i rusztowań. Światła szperaczy przecinały jasnymi pasmami wiszącą w powietrzu mgiełkę, mnóstwo zapalonych lamp zwisało z istnej płataniny rur i dźwigarów. Baedeker pomyślał, że cała wyrzutnia wygląda jak ogromna wieża wiertnicza wypełniająca paliwem jakiś ogromny międzyplanetarny zbiornikowiec.

Minęli kilka punktów kontrolnych i Tucker zjechał wzdłuż długiej pochylni aż do stóp olbrzymiej wieży obsługi. Jeszcze jeden strażnik zbliżył się do nich, zauważył Tuckera, zasalutował i zniknął w cieniu. Baedeker i Scott wyszli z samochodu i stanęli, by spojrzeć na wznoszącą się nad ich głowami maszynę. Baedekerowi wahadłowiec – albo System Transportowy Promu Kosmicznego, jak inżynierowie nazywali cały zestaw, na który składał się orbiter, zbiornik zewnętrzny i rakiety wspomagające – wydał się tandetnym i naprędce skleconym połączeniem rakiety i samolotu, niepodobnym ani do jednego, ani do drugiego, stanowiącym jakąś pośrednią formę ewolucyjną, niezgrabną hybrydę tych dwóch pojazdów. Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że patrzy na kosmicznego dziobaka. Uderzyła go myśl, że obecnie prom kosmiczny – symbol i duma amerykańskiej technologii – stał się jedynie kupą starzejącego się, niemal wychodzącego z użycia sprzętu. Podobnie jak podtatusiali piloci, którzy stanowili większość załogi, stare wahadłowce wychodziły z marzeniami z lat sześćdziesiątych i technologią lat siedemdziesiątych naprzeciw nowym, nieznanym wyzwaniom lat dziewięćdziesiątych, zastępując nabyty za cenę bolesnych doświadczeń rozsądek niewyczerpaną energią minionej młodości.

Baedekerowi podobał się rdzawy kolor zewnętrznego zbiornika. Nie było sensu marnować dodatkowych ilości cennego paliwa, by móc wynieść w przestrzeń kosmiczną pojazd pokryty kilkoma tonami farby, skoro i tak stanowiący większą część statku, odrzucany, cienkościenny zbiornik miał spłonąć w kilka sekund po starcie. Jednakże na skutek tak zdroworozsądkowego podejścia wahadłowiec bardziej przypominał zwykłą, wysłużoną, zdezelowaną furgonetkę niż pamiętne, lśniące modele, jak z salonu wystawowego, którymi latali w początkach programu kosmicznego. Pomimo, albo może właśnie ze względu na to wrażenie świeżo podmalowanego grata, jakie robiła niezgrabna maszyna, Baedeker pomyślał, że gdyby wciąż był jednym z członków personelu latającego, żywiłby do wahadłowca coś w rodzaju bezinteresownego i irracjonalnego uczucia, które mężczyźni na ogół rezerwują dla żon lub kochanek. – Piękna sztuka, co nie? – odezwał się Tucker, jakby czytając w jego myślach.

– To prawda – zgodził się Baedeker. Bezwiednie jego wzrok ześliznął się po kadłubie statku aż do złącza rakiety wspomagającej na prawej rufie. Ale jeśli w ogóle można było tam zobaczyć demony sławetnych pierścieni uszczelniających wysuwające swe ohydne gęby w oczekiwaniu na okazję do zniszczenia statku i jego załogi poprzez oplecenie językami ognia bomby wodorowej zewnętrznego zbiornika, dziś nie było ich widać. Podobnie jak w dniu katastrofy „Challengera”.

Dookoła kręciło się wielu mężczyzn w białych kombinezonach z właściwym ekipom technicznym, mrówczym zapachem. Tucker wyjął z samochodu trzy żółte kaski i rzucił po jednym Baedekerowi i Scottowi. Zbliżyli się do pojazdu i jeszcze raz zadarli głowy, by mu się przyjrzeć.

- Piękna tzzcl, prawda? – zachwycił się Tucker.
- Niezły widok – mruknął Baedeker.
- Zamrożona energia – powiedział do siebie Scott.

– A co to znaczy? – spytał Tucker.

– Kiedy byłem w Indiach – wyjaśnił Scott cicho, że ledwo go było słychać na tle hałasów dochodzących od strony pojazdu i sapania pracującej w pobliżu sprężarki – zacząłem myśleć o rzeczach widzialnych... a nawet czasem je widzieć jako skumulowane cząstki energii. Ludzi, rośliny, wszystko co mnie otaczało. Patrzyłem na przykład na drzewo i widziałem gałęzie i liście. A potem widziałem zagęszczone w materię promienie słonecznego światła – zawahał się przez chwilę. – Ten pojazd jest właśnie tym... wielką fontanną zamrożonej energii kinetycznej, czekającej na to, by zamienić się w ruch.

– Aha – zgodził się Tucker. – Tu rzeczywiście jest cała masa oczekującej energii. Albo przynajmniej będzie jutro, kiedy silniki zostaną wypełnione paliwem. Trzy i pół tysiąca ton ciążę, kiedy zapalą się te doczepiane rakiety. Chcecie wejść na górę? Obiecałem ci mały przegląd, Dick.

–Ja zaczekam – powiedział Scott. – Na razie, tato. Baedeker i Tucker podjechali windą i wysiedli na wysokości kabiny ciśnieniowej. Kilku techników w białych, firmowych kombinezonach Rockwell International, białych ochraniaczach nakładanych na buty i białych kaskach uwijało się w jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu.

– Trochę łatwiej się tu dostać niż na „Saturna V” – zauważył Baedeker.

– Wchodziło się przez taki śmieszny rękaw, prawda? – Dziewięćdziesiąt sześć metrów do góry. Nieraz włożyłem tym cholernym rękawem numer dziewięć w pełnym skafandrze ciśnieniowym, niosąc ze sobą mały przenośny wentylator, który ważył chyba z pół tony, wstrzymując dech, dopóki nie znalazłem się w kabinie. Byłem pewny, że jestem jedynym członkiem programu „Apollo”, który nabawi się lęku wysokości.

– Tutaj jesteśmy trochę bliżej podłoża... Dobry wieczór, Wendell. – Tucker pozdrowił jednego z techników ze słuchawkami na głowie, podłączonymi do ściany kadłuba wahadłowca. – Dobry wieczór, pułkowniku. Wchodzą panowie do środka? – Na parę chwil. Chcę pokazać temu mamutowi z czasów „Apollo”, jak wygląda prawdziwy statek kosmiczny. – W porządku, tylko niech pan mi da jeszcze parę sekund. Bolton jest w kabinie pilotów, sprawdza system łączności. Za chwilę stamtąd zejdzie.

Baedeker przejechał dłonią po poszyciu wahadłowca. Białe płytki były chłodne. Przy bliższych oględzinach widoczne stawały się ślady zużycia pojazdu – lekkie odbarwienia niektórych płytek, odłupane kawałki czarnej farby, wyrobione zawiasy luku wejściowego. Sfatygowana furgonetka została umyta i nawoskowana, ale wciąż była tylko sfatygowaną furgonetką.

Przez okrągły właz wyszedł jakiś technik i Wendell powiedział:

– Proszę się rozgościć.

Baedeker wszedł za Tuckerem, zastanawiając się, co też mogło stać się z Gunterem Wendtem. Starzy członkowie załogi „Mercurego” i „Gemini” mieli Wendta, pierwszego „fihrera wyrzutni”, w tak wielkim poważaniu, że wymusili na North American Rockwell wynajęcie go od firmy Mc Donnell, gdy tylko rozpoczęto pracę nad programem „Apollo”.

– Uważaj na głowę, Dick – rzekł Tucker.

Przeszli środkowy pokład i wspięli się na przednie fotele w kabinie pilotów. Dla kogoś, kto pamiętał program „Apollo”, wnętrze wahadłowca wydawało się ogromne. Za fotelami pierwszego i drugiego pilota stały po dwie dodatkowe leżanki, a obok mała drabinka wiodła do osobnego fotela usytuowanego na dolnym pokładzie.

– Komu dostanie się to osobne miejsce? – spytał Baedeker. – Holmquistowi, z czego raczej

nie jest zbyt zadowolony. – Tucker ułożył się na poziomej leżance pilota dowodzącego. – Robił, co mógł, żeby przekupić któregoś z pozostałej dwójki i dostać miejsce przy oknie.

Baedecker usadowił się ostrożnie na prawym fotelu. W członie dowodzenia „Apollo” zajmował miejsce w środku. Niewygoda tego usadowienia doprowadzała go do szału. Lekkie ześlizgnięcie się spowodowałoby obsunięcie się jakieś półtora metra w dół do okna i znajdującej się pod nim przegrody z instrumentami na tyłach kabiny. Wbrew zwyczajom naciągnął uprząż na ramiona, zabezpieczył pas przytrzymujący na wysokości ud, ale zupełnie zignorował pas krokowy.

Na hakach wisiało parę przenośnych lamp; rzucały jasne światło na instrumenty, przez co narożniki kabiny tonęły w mroku. Tucker zgasił jedną z tych lamp i włączył kilka przełączników kabinowych. Nagle zostali zalani czerwonozielonym blaskiem. Ekran znajdujący się tuż przed Baedeckerem zamigotał, a w chwilę potem zaczęły się na nim pojawiać całe litanie pozbawionych znaczenia danych. Szybko przemykające linijki różnych informacji przypomniały Baedeckerowi prom kosmiczny linii Pan Am z „2001: Odysei kosmicznej”. Zimą 1968 roku Dave kilka razy z uporem maniaka wyciągał go do kina na ten film. Po czternastogodzinnej zmianie jako naziemna ekipa wspomagająca misję „Apollo 8” wieczorem pędzili na złamanie karku ulicami Houston, żeby zdążyć obejrzeć perypetie Keira Dulle’a, Gary’ego Lockwooda, HAL-a i australopiteków z muzyką Bacha, Straussa i Ligetiego w tle. Pewnego wieczoru Dave Muldorff wpadł w szal, kiedy Baedecker zasnął na początku czwartej rolki.

– Podoba ci się? – spytał Tucker.

Baedecker przebiegł wzrokiem po pulpicie sterowniczym.

Położył lekko dłoń na obrotowym ręcznym sterowniku.

– Elegancki pojazd – odparł i naprawdę tak myślał. Tucker wystukał coś na klawiaturze komputera, znajdującej się w dolnej części pulpitu. Na trzech ekranach pojawiły się nowe informacje.

– Wiesz, on ma rację – odezwał się.

– Kto ma rację?

– Twój chłopak. – Tucker przetarł twarz dłonią z wyrazem zmęczenia. – To naprawdę jest smutne.

Baedecker spojrzał na niego. Tucker Wilson odbył czterdzieści lotów bojowych w Wietnamie i zestrzelił trzy MIG-i nieprzyjaciela w wojnie, podczas której rzadko było słyszeć o wyczynach asów lotnictwa. Wilson był regularnym pilotem wojskowym, oddelegowanym jedynie do służby w NASA.

– Nie chodzi mi o to, że w końcu tylko wojskowi biorą teraz udział w misjach – powiedział Tucker. – Do cholery, Rosjanie nie wysyłali w kosmos nikogo prócz wojskowych, nawet do drugiej stacji „Salut”... przez ile lat? Dziesięć co najmniej. Ale i tak to, co się tutaj dzieje, jest dosyć przygnębiające.

– A to czemu?

– Jest jakoś inaczej niż kiedyś, Dick. Kiedy ty latałeś, a ja byłem w rezerwie, wszystko wydawało się dużo prostsze. Wiedzieliśmy, jaki jest nasz cel.

– Księżyc.

– Tak. Może i wyścig nie odbywał się w zbyt przyjaznej atmosferze, ale reguły były jakieś... boja wiem... jakieś bardziej czyste. Cholera, teraz Departament Obrony zatwierdza nawet rozmiar tych drzwi w przegrodzie.

– Przecież wieziecie tylko satelitę zwiadowczego, a nie bombę – powiedział Baedeker. Przypomniawszy sobie ojca stojącego późnym wieczorem na przystani w Arkansas, trzydzieści jeden lat wcześniej, wpatrującego się w niebo w poszukiwaniu „Sputnika” i mówiącego: „Skoro potrafią wysiać w kosmos taką rzecz, to mogą równie dobrze zbudować coś większego, z bombami na pokładzie, prawda?”

– Całe szczęście, to nie bomba – rzekł Tucker. – A teraz, kiedy skończyły się rządy Reagana, istnieje szansa, że nie będziemy marnować następnych dwudziestu lat na wywożenie w górę części Obrony Strategicznej.

Baedeker pokiwał głową i spojrzawszy przez okno. Miał nadzieję, że zobaczy gwiazdy, ale szyby zostały zasłonięte na czas startu.

– Myślałeś, że to się nie uda? – spytał, mając na myśli program Inicjatywy Obrony Strategicznej, który prasa, z pewną dozą ironii, ochrzciła programem Wojen Gwiazdnych. – Wręcz przeciwnie, myślałem, że się uda. Ale nawet jeśli nasz kraj byłoby stać na realizację podobnego programu – co jest, rzecz jasna, niemożliwe – wielu z nas uważa go za zbyt ryzykowny. Wiem, że jeśli Rosjanie wypuściliby na orbitę broń laserową i jeszcze inne wynalazki, którym nasza technologia nie mogła dorównać przez dwadzieścia lat... lub wynaleźć sposobu obrony przed nimi... większość facetów na górze, których znam, zdecydowałaby się na prewencyjny atak, cokolwiek by to miało oznaczać. – Głowice przeciwsatelitarne wystrzeliwane na F-16? – Aha. Ale powiedzmy, że nie udałoby się nam zestrzelić wszystkiego. Albo że tamci zdołaliby wymieniać wszystko na tyle szybko, że nie nadążalibyśmy ze strącaniem. Co byś w takim wypadku doradził prezydentowi, Dick?

Baedeker spojrzawszy na kolegę. Wiedział, że Tucker był osobistym przyjacielem człowieka, który właśnie wygrał wybory, by zająć stanowisko opuszczone przez Ronalda Reagana. – Zagrozić prewencyjnym bombardowaniem wszystkich poligonów raketowych – powiedział Baedeker. Cały wahadłowiec wydawał się chwiać wraz z podmuchami wieczornego wiatru, co przyprawiało go o lekkie zawroty głowy.

– Zagrozić? – powtórzył Tucker z drwiącym uśmiechem. Ze swego dzieciństwa spędzonego w Chicago, a także z późniejszych lat w marynarce Baedeker wyniósł doświadczenie o bezużyteczności wszelkich gróźb nie popartych konkretnymi działaniami. – Dobrze. Doradziłbym wystrzelenie rakiet na Bajkonur i inne obiekty, gdzie znajdują się wyrzutnie.

– Otóż to.

Przez chwilę trwała cisza, przerywana jedynie przez huk i zgrzyty towarzyszące mocowaniu czterdziestopięciometrowego zbiornika zewnętrznego do spodniej części orbitera. Tucker wyłączył migające ekrany.

– Kocham to miejsce, Dick – powiedział cicho. – Wcale nie chcę, żeby je rozpirzyli w cholere podczas jakiejś bezsensownej wymiany ciosów.

W niewielkim wnętrzu nagle zapadła ciemność. Kabina pilotów pachniała ozonem, smarem i tworzywami sztucznymi, a nie jak dawniej ozonem, skórą obiciową i ludzkim potem. – Cóż – odezwał się Baedeker – układy rozbrojeniowe z ostatnich lat to początek nowych czasów. Satelita, którego wyniesiecie na orbitę, zapewnia możliwość weryfikacji przestrzegania tych układów w stopniu, który nawet dziesięć lat temu wydawał się niemożliwy do osiągnięcia. A likwidacja międzykontynentalnych pocisków balistycznych, zanim zostały naprawdę skonstruowane, wydaje się bardziej rozsądna niż ładowanie biliona dolarów w sprzęt wartym tylko co kosmiczną bronią laserową, z pobożnym życzeniem, że w razie czego okażemy się szybsi. Tucker położył dłonie na

pulpicie, tak jakby opuszkami palców chciał wyczuć nagromadzone pod nim dane i uśpioną energię.

– Wiesz, Dick, obecny prezydentelekt zmarnował dobrą okazję podczas swojej kampanii.

– Co za okazję?

– Powinien zawrzeć umowę z wszystkimi obywatelami Stanów i Związku Radzieckiego, że z każdego dziesięciu dolarów i dziesięciu rubli zaoszczędzonych dzięki układom o ograniczeniu zbrojeń lub zmniejszeniu nakładów na Inicjatywę Obrony Strategicznej, dziesięć rubli lub dziesięć dolarów zostanie przeznaczone na wspólne projekty kosmiczne. Mielibyśmy wtedy do czynienia z dziesiątkami miliardów dolarów, Dick.

– I co wtedy? Na Marsa? – rzucił Baedeker. Kiedy on i Tucker przygotowywali się do programu „Apollo”, wiceprezydent Agnew ogłosił wszem wobec, że celem NASA jest doprowadzenie do lądowania człowieka na Marsie do końca lat dziewięćdziesiątych. Niestety, Nixon nie był zainteresowany kontynuowaniem podbojów kosmosu, NASA wkrótce po okresie upojnej euforii weszła w fazę kaca, a pierwotne cele oddaliły się na tyle, że przestały być widoczne.

– To potem – powiedział Tucker. – Najpierw trzeba uruchomić stację kosmiczną, a później stałą bazę na Księżycu. Baedeker ze zdziwieniem zauważył, że na samą wzmiankę o powrocie ludzi na Księżyc jeszcze za jego życia poczuł radosne podniecenie.

– I chciałbyś dzielić to wszystko z Rosjanami?

Tucker parsknął zniecierpliwiony.

– Dopóki nie będziemy zmuszeni z nimi sypiać – mruknął – albo latać ich statkami. Pamiętasz „Apollo–Sojuz”? Baedeker pamiętał. On i Dave weszli w skład pierwszej grupy Amerykanów, którzy odwiedzili radzieckie centrum lotów kosmicznych, jeszcze przed misją „Apollo–Sojuz”. Do dziś pamiętał uwagi Dave’a, wygłaszane cicho podczas powrotnego lotu do Stanów: „Najnowsze osiągnięcia! Jezu, Richard, oni to nazywają najnowszymi osiągnięciami! I pomyśleć, że tyle energii poświęciliśmy na straszenie siebie nawzajem i całego Kongresu, sami niemal wierząc w opowieści o ich straszliwej kosmicznej broni i supertechnologiach, które są w zasięgu ich ręki, i co widzimy? Odkryte nity, podzespoły elektroniczne wielkości starego radia mojej babki i statek kosmiczny, który nie będzie w stanie wykonać poprawnie manewru połączenia na orbicie przy pełnym hamowaniu”. Ich pisemny raport nie zawierał aż tak ostrych uwag, niemniej podczas misji „Apollo–Sojuz” to amerykański statek wykonywał wszystkie manewry zbliżania i łączenia, a zatogi, wbrew pierwotnym planom, nie zamieniły się statkami na czas lądowania. – Nie mam zamiaru latać tym ich złomem – powtórzył Tucker. – Ale jeśli współpraca z nimi miałaby pomóc NASA we wznowieniu badań kosmicznych, chyba jakoś bym to zniósł. Odpiął pasy i zaczął schodzić w dół, ostrożnie chwytając się właściwych poręczy.

– Wielbłąd szczający na zewnątrz, co? – powiedział Baedeker, ostrożnie idąc za nim.

– Nie rozumiem. – Tucker schylił się przed niskim, okrągłym włazem.

– Stare arabskie przysłowie. Lepiej mieć wielbłąda w namiocie, żeby szczał na zewnątrz, niż trzymać go poza namiotem, żeby szczał do środka.

Tucker zaśmiał się, wyciągnął z kieszeni koszuli tanie cygaro i włożył je do ust.

– Wielbłąd szczający na zewnątrz – powtórzył ze śmiechem. – Niezłe.

Baedeker poczekał, aż Tucker wyjdzie, a następnie przykucnął, schwycił się metalowego prętu przymocowanego nad włazem i zsunął się w dół do zalanego jasnym światłem pomieszczenia.

* * *

Wczesnym rankiem w dniu startu Baedeker usiadł sam w kafejce motelu w Cocoa Beach, patrząc na rozbijające się u brzegu fale i ponownie czytając list, który trzy dni wcześniej otrzymał od Maggie Brown.

17 listopada 1988

Richard,

Twój ostatni list sprawił mi wielką radość. Piszesz tak rzadko, ale za to każdy Ust wiele dla mnie znaczy. Znam Cię wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, jak wiele o wszystkim myślisz, jak bardzo ci zależy... i jak niewiele o tym mówisz. Czy kiedykolwiek podzielisz się z kimś tym, co chowasz w głębi serca ? Mam nadzieję, że tak.

W Twoich opowieściach Arkansas jawi się jak jakieś cudowne miejsce. Twoje opisy jeziora spowitego w poranne mgły, odbijającego echem krakanie gawronów obsiadających bezlistne drzewa, sprawiają, że chciałabym tam być razem z Tobą.

Boston to teraz sama plucha i chlupa, nieznośny hałas i szary beton. Uwielbiam być nauczycielką, a doktor Thurston uważa, że w kwietniu będę mogła rozpocząć pracę magisterską. Zobaczymy. Twoja książka jest fantastyczna –przynajmniej te kawałki, które przysłałeś mi do przeczytania. Myślę, że Twój przyjaciel Dave byłby z Ciebie bardzo dumny. Analizy charakterologiczne sprawiają, że postacie pilotów ozywają w sposób jak dotąd w literaturze nie spotykany, a ukazanie ich dziejów w perspektywie historycznej pozwala laikowi (za jakiego się uważam) zobaczyć nasze współczesne dzieje w zupełnie innym świetle –jako dzieje kultury dokonującej wyboru pomiędzy możliwością nowych odkryć i podbojów napawających lękiem przed nieznanym, a odwrotem do bezpiecznej i dobrze znanej przystani morderczych wojen, stagnacji i upadku.

Jako adeptce socjologii nasuwa mi się kilka pytań (na które nie znajduję odpowiedzi w książce... lub przynajmniej w przeczytanych przeze mnie fragmentach) dotyczących szczególnego rodzaju ludzi, jakimi są kosmonauci. Na przykład – dlaczego tak wielu z was pochodzi ze Środkowego Zachodu? Albo dlaczego większość z was to jedynacy lub najstarsze dzieci w rodzinie? (Czy to dotyczy także nowych specjalistów – szczególnie kobiet – czy tylko byłych oblatywaczy?) A także jakie są długotrwałe efekty psychiczne wykonywania zawodu (pilota oblatywacza), w którym prawdopodobieństwo śmiertelnego wypadku przy pracy wynosi jeden do sześciu ? (Czy może to doprowadzić do pewnego zahamowania w okazywaniu uczuć?) Bardzo się cieszę, że Scott wraca do zdrowia. Twoje wzmianki o jego samopoczuciu brzmią bardzo optymistycznie. Proszę, przekaż mu ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia. Z tonu Twego listu wnoszę, że ponownie odkrywasz, jak bardzo wrażliwy jest Twój syn. Mogłam Ci powiedzieć to samo dużo wcześniej! Scott zmanifestował swój upór, marnując okrągły rok w tym beznadziejnym ashramie, ale zgodnie z tym, co już kiedyś mówiłam, po części upór ten wynika z faktu, iż Scott nie jest w stanie pozwolić, aby jakiegokolwiek doświadczenie nie zostało przez niego dokładnie przeanalizowane lub do końca zrozumiane.

Jak myślisz, po kim to ma ?

Wracając do uporu, odmawiam ustosunkowania się w jakikolwiek sposób do rachunkowej części Twego listu. Po prostu nie uważam, by była ona godna jakiegokolwiek odpowiedzi (prócz zaznaczenia, że w dniu gdy ukończysz sto osiemdziesiąt lat, ja będę jeszcze zwawą stopięćdziesiątką i wtedy może to stać się problemem). (W co jednak wątpię.) Pytasz mnie o moje religijne albo filozoficzne poglądy na niektóre sprawy. Czy wciąż mówimy o magicznych miejscach, o których rozmawialiśmy w Indiach półtora roku temu ?

Wiesz, że uwielbiam magię i że fascynuje mnie to wszystko, co nazywam sekretami duszy. Dla mnie nasze poszukiwanie magicznych miejsc jest czymś rzeczywistym i ważnym. Ale to wszystko już wiesz. W porządku, pomówmy o tym, w co wierzę. Właśnie wyrzuciłam do kosza dwunastostronicową epistolę, którą spłodziłam w odpowiedzi na to pytanie, ponieważ myślę, że cała moja wiara da się streścić w następującym zdaniu:

Wierzę w bogactwo i tajemnicę wszechświata i nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone.

Oto i wszystko. Aha, wierzę jeszcze w to, że Ty i ja musimy podjąć pewne wspólne decyzje, Richard. Nie będę nas obojga męczyła frazesami lub opowieściami o trudzie, z jakim staram się trzymać Bruce 'a na dystans w siedem rfiiesięcy po terminie, jaki sama wyznaczyłam na danie mu ostatecznej odpowiedzi, ale faktem jest, że musimy wreszcie zdecydować, czy mamy przed sobą jakąś wspólną przyszłość.

Jeszcze do niedawna byłam pewna, że tak. Te parę godzin i dni, które spędziliśmy razem w zeszłym roku, niemal mnie przekonały, że świat jest ciekawszy – i co dziwniejsze, bardziej tajemniczy – gdy poznajemy go razem. Obecnie życie przynagła nas do dokonania wyboru. Jakakolwiek będzie nasza decyzja, chcę, abyś wiedział, że nasze wspólne chwile uczyniły piękniejszym i głębszym to, czego już doświadczyłam, i to, co jeszcze przede mną.

Chyba pójde się przejść nad rzekę. Dziś odbywają się tam regaty wioślarskie.

* * *

Scott przysiadł się do stolika.

– Wcześniej dziś wstałeś, tato. Na którą jedziemy popatrzeć na start? ii – Na ósmą trzydzieści – odparł Baedeker, chowając list Maggie. Do stolika podeszła kelnerka i Scott zamówił kawę, sok pomarańczowy, jajecznicę, grzanki z pszennego chleba i porcję kaszy.

Kiedy kelnerka odeszła, spojrzał na nie dopitą kawę ojca i zapytał:

– Czy to całe twoje dzisiejsze śniadanie?

–Jakoś nie jestem głodny – odparł Baedeker.

– Pomyśl, przecież wczoraj nic nie jadłeś. Pamiętam też, że nie chciałeś jeść obiadu w środę, a wczoraj wieczorem nawet nie tknąłeś ciasta. Co się dzieje, tato? Dobrze się czujesz? – Znakomicie. Naprawdę. Ostatnio po prostu nie mam na nic apetytu. Odrobie to przy lunchu.

Na twarzy Scotta pojawił się grymas zdziwienia. – Uważaj, tato. Kiedy w Indiach długo pościłem, bywało, że po paru dniach głodówki w ogóle traciłem ochotę najedzenie. – Czuję się świetnie – powtórzył Baedeker. – Od kilku lat tak się dobrze nie czułem.

– Wyglądasz dużo lepiej niż kiedyś. Od stycznia, kiedy zaczęliśmy biegać, zrzuciłeś chyba z dziesięć kilo. Tucker Wilson pytał mnie wczoraj, jakie witaminy bierzesz. Rzeczywiście wyglądasz wspaniale, tato.

– Dzięki. – Baedeker upił łyk kawy. – Czytałem właśnie list od Maggie Brown. Przesyła ci pozdrowienia.

Scott kiwnął głową i popatrzył na ocean. Na wschodzie błękitne niebo było całkiem bezchmurne, ale na tle tarczy wschodzącego słońca pojawiła się już delikatna mgiełka. – Nie mieliśmy jeszcze czasu, żeby porozmawiać o Maggie.

– Nie mieliśmy.

– Więc porozmawiajmy teraz – powiedział Scott.

– Proszę bardzo.

W tej właśnie chwili kelnerka podała śniadanie i dołała kawy do filiżanek. Scott odgryzł kawałek grzanki.

– Przede wszystkim – zaczął – myślę, że mylisz się co do tego, co było między Maggie a mną. Przez parę miesięcy przed moim wyjazdem byliśmy przyjaciółmi, ale nie aż tak bliskimi. Byłem zaskoczony, kiedy zeszłego lata zjawiała się nagle w Indiach. Chcę tylko powiedzieć, że chociaż nieraz myślałem o tym, nigdy tak naprawdę nie byliśmy ze sobą.

– Widzisz, Scott...

– Daj mi skończyć – przerwał ojcu Scott, ale zanim znowu zaczął mówić, zdążył zmieść z talerza sporą część jajecznicy z takim samym nabożnym skupieniem, jakie Baedeker pamiętał z czasów, kiedy karmił małego smyka uwięzionego na wysokim krzeselku. – Muszę ci to wytłumaczyć. Wiem, że zabrzmiało to trochę dziwnie, tato, ale od pierwszego razu gdy spotkałem Maggie na uniwerku, zawsze przypominała mi ciebie.

– Mnie? – zapytał Baedeker zupełnie zdezorientowany. – A to dlaczego?

– Może „przypominała” to nie jest zbyt dobre słowo, ale było w niej coś takiego, co cały czas kazało mi myśleć o tobie. Może to, że zawsze z taką uwagą słuchała innych ludzi. Albo może ten nawyk zapamiętywania najdrobniejszych rzeczy, które inni powiedzieli lub zrobili, i przypominania im o tym po jakimś czasie. Może to, że nigdy nie zadowalały jej wyjaśnienia, które wszystkim innym wydawały się wystarczające. Tak więc, kiedy w Indiach nadarzyła się okazja, zorganizowałem wszystko tak, abyście oboje mogli poznać się i spędzić ze sobą parę dni.

Baedeker wpatrywał się w syna osłupiały.

– Czy chcesz powiedzieć, że właśnie dlatego wysłałeś ją na lotnisko w Nowym Delhi z wiadomością dla mnie? Że właśnie dlatego kazałeś mi czekać cały tydzień, zanim mogłem się z tobą spotkać w Punie?

Scott skończył jajecznicę, wytarł usta lnianą serwetką i lekko wzruszył ramionami.

– Niech mnie diabli! – wrzasnął Baedeker.

Scott siedział uśmiechając się aż do chwili, gdy Baedeker złapał się na tym, że odpowiada synowi uśmiechem. Start został odwołany na trzy minuty przed wystrzeleniem wahadłowca.

Baedeker i Scott siedzieli na stanowisku dla VIP-ów niedaleko budynku Działu Montażu Pojazdów i patrzyli ponad kanałem obrotnicy, jak na niebie pierzaste cirrusy zostają wyparte przez kłębiaste, deszczowe cumulonimbusy. Start był zaplanowany na godzinę 9:54. O 9:30 chmury wisiały nisko nad dachami zabudowań, a wiatr wiał z prędkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, niemal sięgając najwyższej dopuszczalnej prędkości. O 9:49 na północy ukazały się błyski piorunów i zaczął padać ulewny deszcz. Baedeker przypomniał sobie, że siedział na tym samym miejscu i widział, jak piorun uderzył w „Apollo 12”, kiedy statek odrywał się od ziemi. Rozregulowało to wszystkie instrumenty w członie dowodzenia, co skłoniło Pete’a Conrada do wygłoszenia przez mikrofon kilku miłych uwag. O 9:51 w głośnikach usłyszano głos rzecznika prasowego NASA, który oznajmił wszystkim zebranym, że start został przełożony. W związku z wyjątkowo wąskim oknem i krótkim czasem na wystrzelenie, odliczanie miało zostać powtórzone następnego dnia pomiędzy drugą a trzecią po południu. O 10:03 spiker oznajmił, że kosmonauci są już poza wahadłowcem, ale nikt go nie słuchał, jako że publiczność rozbiegła się w popłochu bądź w kierunku swych samochodów, bądź w stronę zabudowań NASA, szukając schronienia przed deszczem.

Baedeker pozwolił Scottowi poprowadzić wynajętą beretę, którą prędko włączyli się w sznur samochodów posuwających się wolno w dół podjazdu.

– Scott, jakie masz plany po jutrzejszym starcie? – Takie same jak do tej pory. Pojadę do Daytona na kilka dni odwiedzić Terry’ego i Samantę. W następnym tygodniu polecę do Bostonu zobaczyć się z mamą, kiedy już wróci z Europy. Czemu pytasz?

– Zastanawiam się... – Baedeker przerwał. Wsłuchiwał się w odgłos wycieraczek, na próżno starających się zgarniać strumienie wody z przedniej szyby. Przed sobą widzieli długą linię zapalonych świateł hamulcowych. – Myślałem o tym, żeby polecieć dziś do Bostonu – powiedział w końcu. – Jeśli poleciałbym dopiero jutro po starcie, miałbym zbyt mało czasu przed umówionym spotkaniem w Austin, w poniedziałek.

– Do Bostonu? – zdziwił się początkowo Scott, ale wkrótce twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu. – Jasne, jasne... to nie jest zły pomysł.

– W takim razie pojedziesz dziś wieczorem do Daytona?

Scott zastanowił się przez chwilę, przebierając nerwowo palcami zaciśniętymi na kierownicy.

– Chyba raczej nie – zdecydował. – Umówiłem się już z Terryem, że będę jutro wieczorem albo w niedzielę. Myślę, że zostanę tu i popatrzę na start.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym ja wyjechał? – spytał Baedeker patrząc na syna. Cała wiosna i lato spędzone razem nauczyły go właściwie rozpoznawać reakcje Scotta. – Nie, absolutnie nic – odparł Scott, najzupełniej szczerze. – Jedźmy do motelu spakować twoje rzeczy.

Deszcz nie padał już tak mocno, kiedy skręcili na południe w autostradę.

– Mam nadzieję, że Święto Dziękczynienia nie było zbyt smutne – rzekł Baedeker. Przed pójściem na spotkanie z załogą zjedli świąteczny obiad sami w opustoszałej restauracji hotelu. – Chyba żartujesz. Było wspaniale.

– Scott, czy mogę cię spytać, jakie masz plany? Chodzi mi o długofalowe plany na przyszłość.

– Chyba pobędę trochę u mamy. – Scott przeciągnął ręką po krótkich, zmoczonych włosach. – Skończę ten semestr. – Naprawdę zamierzasz skończyć studia?

– Pytanie! Jasne że tak. Miałbym rzucić uniwersytet na pięć tygodni przed magisterką?

– A co potem? – pytał dalej Baedeker.

– Po magisterce? Bo ja wiem, myślałem o tym, tato. W zeszłym tygodniu dostałem list od Norma. Píše, że jest praca u niego na budowie. Mógłbym tam popracować do połowy sierpnia. Zarobiłbym wtedy na studia doktoranckie w Chicago.

– Chcesz studiować dalej?

– Jeśli ten program z Filozofii jest taki dobry, jak mi mówił Kent, to mam wielką ochotę. Nawet jeżeli stypendium pokrywa tylko część kosztów, to i tak najkorzystniejsza oferta, jaką widziałem. Ale myślałem także o tym, żeby na parę lat pójść do wojska.

Baedeker milczał osłupiały. Nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby syn oznajmił mu, że wybiera się do Szwecji na operację zmiany płci. – To tylko jeden z pomysłów – dodał Scott, ale ton jego głosu sugerował, że jest inaczej.

– „Nie podejmuj takiej decyzji, synu, dopóki nie dasz mi paru godzin... albo tygodni, żebym mógł ci to wyperswadować, zgoda? – Obiecuję. Na Boże Narodzenie jesteśmy umówieni w chacie, prawda?

– Tak zaplanowałem – odparł Baedeker.

Jechali na wschód drogą numer 520, a następnie skręcili na południe, w szosę wiodącą obok niezliczonych hoteli Cocoa Beach. Baedeker przypomniał sobie, ile razy pędził tą drogą, w dzikim

pośpiechu, by zdążyć na Canaveral.

–Jakie wojska? – spytał.

– Hm? – Scott starał się wypatrzeć podjazd do ich motelu przez szybę zalaną strugami na nowo rozszalałej ulewy. – Pytałem jakie wojska.

Scott wreszcie skręcił w podjazd i zaparkował przed wejściem. Krople deszczu rozbijały się z łoskotem o blaszany dach wozu.

–Ależ tato! – zawołał. – Czy musisz o to pytać? Do jakich wojsk mógłby pójść człowiek wychowany w rodzinie szcycącej się trzema pokoleniami Baedeckerów w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych? – Otworzył drzwi, wyskoczył na zewnątrz, po czym pochylił się na chwilę, by rzucić przez otwarte drzwi: – Myślałem o Straży Przybrzeżnej – i ruszył biegiem w stronę budynku, by schronić się pod balkonem.

W Bostonie padał śnieg i było już prawie ciemno, gdy Baedecker wziął taksówkę z lotniska międzynarodowego Logan i kazał się zawieźć w okolice bostonskiego uniwersytetu. Wciąż opalony po trzech dniach spędzonych na Florydzie, spoglądał przez mrok na brązowe, częściowo skute lodem wody rzeki Charles i trząsł się z zimna. Wzdłuż brzegu powoli zapalały się lampy. Śnieg zamieniony w brunatną breję bryzgał spod opon taksówki. Baedecker zawsze wyobrażał sobie, że Maggie mieszka niedaleko budynków uniwersyteckich, ale okazało się, że jej dom znajduje się nieco dalej na wschód, opodal Fenway Park. Cicha Niedźwiedzie Wzgórze bocznica, wzdłuż której ciągnęły się rzędy małych słupków i drzew pozbawionych liści, wyglądała na okolicę, która w latach sześćdziesiątych chyliła się ku upadkowi, w latach siedemdziesiątych została ocalona przez młodych urbanistów, obecnie zaś opierała się inwazji czterdziestoletnich dorobkiewiczów spragnionych spokojnej siedziby.

Baedecker zapłacił taksówkarzowi i podbiegł do starej bramy z piaskowca. Próbował zadzwonić z Florydy, a potem z lotniska, ale bez rezultatu. Wyobrażał sobie, że spotka Maggie wracającą z zakupów dokładnie w chwili, gdy on przyjedzie pod jej dom, ale teraz wpatrywał się w ciemne okna budynku i zastanawiał się, dlaczego spodziewał się zastać ją tutaj w piątek po Święcie Dziękczynienia. Hol na drugim piętrze był skąpo oświetlony. Baedecker sprawdził numer mieszkania na kopercie, wziął głęboki oddech i zapukał. Nie było żadnej odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz, odczekał chwilę. Następnie podszedł do końca korytarza i wyjrzał przez wysokie okno. Zobaczył grube płatki śniegu spadające na jezdnię przed sklepem z jaskrawym neonem, znajdującym się u wylotu alejki.

– Proszę pana, czy to pan pukał? – młoda kobieta około dwudziestu lat i równie młody mężczyzna w rogowych okularach wychylali się na korytarz z drugich drzwi po prawej stronie mieszkania Maggie.

– Tak – rzekł Baedecker. – Szukam Maggie Brown. – Nie ma jej. – Kobieta odwróciła się w stronę wnętrza mieszkania i zawołała: – Słuchaj, Tara, czy Maggie nie wyjechała czasem na Bermudy, z tym, jak on się nazywa, z Bruce'em? Z wnętrza dało się słyszeć jakąś stłumioną odpowiedź. – Nie ma jej – powtórzyła kobieta, gdy Baedecker postąpił krok naprzód.

– Czy nie wie pani, kiedy wraca?

– Przerwa dopiero się wczoraj rozpoczęła. Być może w przyszłą niedzielę.

– Dziękuję.

Baedecker zszedł w dół schodami. W bramie minęła go atrakcyjna młoda kobieta o krótkich brązowych włosach. Zastanawiał się, jak daleko stąd do najbliższej budki telefonicznej lub postoju

taksówek. Zimno przedostawało się przez cienki płaszcz, przygotowując go o drżenie. Ruszył w prawo ku Massachusetts Avenue.

Nie zdążył przejść nawet dwóch przecznic i buty miał już całkiem zmoczone, gdy nagle usłyszał, że ktoś go woła. – Proszę pana, niech pan się zatrzyma!

Baedecker poczekał przy krawężniku, aż młoda kobieta, z którą minął się w bramie, przejdzie przez ulicę. – Czy pan może ma na imię Richard? – spytała.

– Richard Baedecker – przedstawił się.

– Jak się cieszę, że wstąpiłam na chwilę do Becky! – zawołała i urwała, żeby złapać oddech. – Nazywam się Sheila Goldman. Rozmawiałam kiedyś z panem przez telefon. – Zdjęła płatek śniegu, który osiadł jej na rzęsach. – To było w zeszłym roku we wrześniu, na początku roku akademickiego. Maggie była wtedy u swojej rodziny.

– Ach tak – przypomniał sobie Baedecker. Była to jedna z jego najkrótszych rozmów telefonicznych. Nawet się wtedy nie przedstawił.

– Becky powiedziała panu, że Maggie wyjechała? – Tak – odparł Baedecker. – Nie wiedziałem, że macie teraz wolne.

– Becky mówiła panu, że Maggie wyjechała z Bruce'em Clarenem, prawda? – Sheila Goldman przerwała, by otrzeć rzęsy z kolejnych płatków śniegu. – Becky nie za bardzo się orientuje. Bruce kręci się tu od dawna, ale nie ma najmniejszych szans, by zabrać Maggie dokądkolwiek.

– Czy jest pani przyjaciółką Maggie?

Sheila kiwnęła głową.

– Przez jakiś czas wynajmowałyśmy razem pokój. Jesteśmy bliskimi przyjaciółkami – potarła mały nosek o rękawiczkę. – Ale Maggie chyba mnie zatłukła, gdyby się dowiedziała, że pan tu przyjechał z wizytą i... w każdym razie ona nie jest teraz na Bermudach z Bruce'em.

Jakiś samochód skręcił w alejkę, jadąc na pełnym gazie, ochlapując ich brunatną breją. Baedecker chwycił Sheilę za łokieć i odciągnął od krawężnika.

– Dokąd Maggie pojechała? – spytał. Wiedział, że jej rodzice mieszkali o godzinę jazdy z Bostonu, w New Hampshire. – Do Dakoty Południowej.

Baedecker nagle przypomniał sobie rozmowę z Maggie w Benares sprzed kilkunastu miesięcy.

– Pojechała do dziadków?

– Teraz mieszka tam już tylko Memo, babcia Maggie – powiedziała Sheila. – Dziadek zmarł w styczniu. – Nie wiedziałem.

– Tutaj ma pan adres i jak tam dojechać. – Sheila wręczyła mu żółty karteluszek. Na kartce były informacje napisane ręką Maggie. – Chce pan zajść do nas, żeby zadzwonić po taksówkę?

– Nie, dziękuję. Zadzwonię z budki, jeśli nie uda mi się nic złapać na Massachusetts Avenue.

Pchany nagłym impulsem, chwycił Sheilę za rękę i mocno uścisnął przez rękawiczkę.

– Bardzo ci dziękuję.

Dziewczyna wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Nie ma za co, Richard.

Baedecker przyleciał do Chicago tuż przed północą i spędził sześć bezsennych godzin w lotniskowym „Sheratonie”. Leżał w ciemnym pokoju wsłuchany w hotelowe odgłosy, wdychając hotelowe zapachy i myśląc o ostatniej rozmowie ze Scottem. Czekali obaj na lotnisku Melbourne

niedaleko Canaveral na połączenie do Miami, gdy nagle Scott spytał:

– Czy myślałeś kiedyś, jakie chciałbyś mieć epitafium?

Baedecker opuścił gazetę.

– Budujące pytanie na chwilę przed odlotem.

Scott uśmiechnął się i potarł dłońmi policzki. Znow zapuszczał brodę.

– Ja myślałem o swoim – powiedział. – Obawiam się, że trzeba będzie napisać coś w stylu: „Przybył, zobaczył, wykorkował”. Baedecker pokręcił głową.

– Układanie pesymistycznych epitafiów przed ukończeniem co najmniej dwudziestu pięciu lat jest surowo wzbronione. – Powrócił do lektury dziennika, lecz po chwili znow opuścił gazetę. – Właściwie niewiele to się różni od cytatu, który od lat krąży mi po głowie i który, podejrzewam, mógłby nadać się w końcu na moje epitafium.

– Jak brzmi? – spytał Scott. Za oknem deszcz ustawał i nad palmami widać już było czyste niebo.

– Czytałeś „Szkołę muzyczną” Johna Updike’a?

– Nie.

Baedecker milczał przez chwilę.

– To chyba moje ulubione opowiadanie – rzekł. – W pewnym miejscu główny bohater mówi: „Nie jestem ani muzykiem, ani wierzącym. Przez całe życie naciskam klawisze nie będąc pewny, czy usłyszę jakikolwiek akord”.

Scott siedział przez chwilę w milczeniu. Przez głośniki cały czas nadawano komunikaty o poszukujących się na lotnisku osobach oraz ogłoszenia dementujące jakikolwiek związek lotniska z członkami sekty religijnej zbierającej ofiary na terenie terminalu.

– I jak to się kończy? – spytał Scott.

– To opowiadanie? Bohater przypomina sobie czasy, kiedy jako mały chłopiec przystępował do komunii. Uczono go, by nie dotykał hostii zębami...

– Akurat! Mnie wcale tego nie uczyli u Świętego Malachiasza. – Pewnie nie – zgodził się Baedecker. – Teraz robią opłatki tak grube, że trzeba je przeżuć przed połknięciem. Właśnie to bohater decyduje się zrobić ze swym życiem pod koniec opowiadania. O ile dobrze pamiętam, ostatnie słowa brzmią jakoś tak:

„Świat to hostia. I trzeba go przeżuć”.

Scott wpatrywał się w ojca przez długą chwilę.

– Czytałeś kiedyś święte księgi wedyjskie?

– Nie.

– Ja przeczytałem ich całe mnóstwo zeszłego roku w Indiach. Myślę, że miały niewiele wspólnego z nauczaniem Mistrza, ale je lepiej zapamiętałem. Najbardziej lubiłem „Upaniszady”. Na przykład: Jestem tym światem i zjadam ten świat. Kto to wie, ten posiadał wiedzę”.

Ogłoszono, że samolot Baedeckera jest gotowy do lotu, i wezwano pasażerów do wchodzenia na pokład. Wstał, chwycił torbę lotniczą w lewą rękę, a prawą wyciągnął do syna. – Uważaj na siebie, Scott. Zobaczymy się w Boże Narodzenie, jeżeli nie wcześniej.

– Ty też uważaj na siebie, tato – powiedział Scott i nie zważając na wyciągniętą dłoń, zarzucił mu ręce na szyję. Wolną ręką Baedecker objął syna i zamknął oczy. O 7:45 rano złapał samolot United Airlines na lotnisku O’Hare – lot do Seattle, ale z planowym międzylądowaniem w Rapid

City w Dakocie Południowej. Było to najbliższe miejsce, z którego mógł w kilka chwil dostać się do rancza babki Maggie niedaleko Sturgis, bez konieczności skakania na spadochronie. Pomimo zmęczenia Baedeker zauważył, że samolot jest jednym z nowych boeingów 767, jakim jeszcze nigdy nie miał okazji lecieć. Gdy przelatywali gdzieś nad południową Minnesotą, pasażerom podano śniadanie. Baedeker spojrzał na tacę z odgrzewaną jajecznicą i parówkami, i stwierdził, że z apetytem czy bez, nadszedł już najwyższy czas, by wreszcie coś zjeść po trzech dniach głodówki. Jednak nie potrafił się przymusić. Popijał tylko kawę i patrzył przez okno na kawałki brązowego krajobrazu prześwitujące przez chmury, kiedy podeszła do niego jedna ze stewardes. – Czy pan Baedeker?

– Tak – potwierdził i nagle struchlał. Skąd znała jego nazwisko? Czy coś się stało ze Scottem?

– Kapitan Hollister pyta, czy nie miałby pan ochoty odwiedzić kabiny pilotów.

– Jasne!

Poszedł za nią przez przedział pierwszej klasy, czując, jak serce powoli zwalnia nagle przyspieszony rytm. Usilnie próbował przypomnieć sobie, czy znał jakiegoś pilota nazwiskiem Hollister. Niestety nie pamiętał nikogo o takim nazwisku, ale nigdy zbyt nie ufał swojej pamięci.

– Proszę do środka – stewardesa otworzyła przed nim drzwi kabiny.

Pilot obrócił się i przywitał go z uśmiechem. Był to rumiany mężczyzna około czterdziestki o gęstej czuprynie, uśmiechu małego chłopca i sympatycznym wyrazie twarzy.

– Witam pana, panie Baedeker. Nazywam się Charlie Hollister. A to jest Dale Knutsen.

Baedeker uprzejmie skinął głową.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadziliśmy panu w śniadaniu – rzekł Hollister. – Zauważyłem pańskie nazwisko na liście pasażerów i pomyślałem sobie, że może chciałby pan zobaczyć, jak wygląda to nasze nowe cacko w porównaniu z kabiną starego „Apollo”. – No, no – zdziwił się Baedeker. – Jestem zaskoczony, że pamięta pan moje nazwisko.

Hollister ponownie się uśmiechnął. Obaj piloci sprawiali wrażenie, jakby w ogóle nie kierowali samolotem. – Proszę – powiedział Knutsen, odpinając pasy – niech pan siada na moim miejscu. Wskoczę na chwilę do kuchni. Baedeker podziękował i usiadł na prawym fotelu opakowanym w wełniane obicie. Wnętrze kabiny pilota było bardzo podobne do kabiny pilotów wahadłowca, jedyną większą różnicą były widełki w miejsce ręcznego steru. Na trzech znajdujących się przed nim monitorach pojawiały się odczyty instrumentów, kolumny danych i kolorowe mapy. Pulpit znajdujący się pomiędzy nim a Hollisterem wypełniała komputerowa klawiatura. Baedeker spojrzał przed szybę na błękitne niebo, daleki horyzont i znajdującą się daleko pod nimi warstwę chmur. Z powrotem spojrzał na pilota. – Naprawdę jestem zaskoczony, że pan skojarzył moje nazwisko – powtórzył. – Chyba nie mieliśmy okazji poznać się wcześniej, prawda?

– Nie, proszę pana – odparł Hollister. – Ale znam nazwiska wszystkich kosmonautów, którzy brali udział w lotach. Widziałem też pana nieraz w telewizji. Mówiąc szczerze, moim największym pragnieniem w życiu było zostać kosmonautą, ale cóż... Baedeker wyciągnął rękę.

– Darujmy sobie „panowanie”. To mnie postarza. Mów mi Richard.

– Miło mi, Richard – powiedział Hollister, gdy ściskali sobie dłonie nad komputerem.

Baedeker przyjrzał się błyszczącym ekranom i widełkom sterowniczym, które poruszały się same.

– Całkiem nieźle mu idzie to samodzielne latanie – zauważył. – Czy pozwala ci w ogóle coś

robić?

– Nie za wiele – odparł Hollister, śmiejąc się smętnie. – Nuda, co nie? Najnowsze osiągnięcie w dziedzinie samolotów pasażerskich. Mogę zaprogramować cały lot jeszcze na ziemi i nie mieć nic do roboty do czasu lądowania w Seattle. Jednego tylko nie potrafi zrobić sam – wyrzucić podwozia.

– Ale przez cały czas nie leccie na sterowaniu automatycznym, prawda?

Hollister potrząsnął głową.

– Kłócimy się z liniami, że musimy przecież trzymać rękę na sterach, i mamy poparcie związków. Ale zarząd linii odpowiada na to, że po to kupili siedemset sześćdziesiąt siedem, żeby dzięki komputerowemu sterowaniu zaoszczędzić na paliwie, a za każdym razem kiedy przechodzimy na sterowanie ręczne, cały ich plan bierze w diabły. I w tym mają, niestety, rację. – Fajnie jest latać czymś takim? – spytał Baedeker. – To całkiem niezła maszyna. – Hollister wcisnął jakiś przycisk i odczyt na ekranach się zmienił. – Bezpiecznie w niej jak u babci na werandzie. Ale żeby było fajnie latać, to nie powiem. Zademonstrował Baedekerowi szczegóły automatycznego systemu sterowania, wskaźniki silników, działanie systemu ostrzegania załogi i kolorowy odczyt radaru, który pokazywał ich pozycję na mapie względem ogólnokierunkowych stacji wysokich częstotliwości, poszczególnych punktów trasy oraz wiązek radiowych przesyłających sygnały umożliwiające korzystanie z instrumentów systemu lądowania. Na tej samej mapie komputer pokazywał przebieg frontów pogodowych, podawał wciąż aktualizowane dane na temat szybkości wiatru i cały czas informował ich, w jakim kierunku lecą. – Gdybym go grzecznie spytał, na pewno byłby w stanie powiedzieć mi, z kim sypia moja żona – powiedział Hollister. – Jak to się ma do wyposażenia statku, którym leciałeś na Księżyc? – Imponujące – przyznał Baedeker, nie mówiąc nic Hollisterowi, że pracował dla spółki produkującej sprzęt dla samolotów wojskowych, wyprzedzający o parę lat świetlnych to, co mu zostało zademonstrowane przed chwilą. – Odpowiadając na twoje pytanie powiem, że mieliśmy mnóstwo staroświeckich liczników i wskaźników, a komputer naszego ładownika, od którego zależało to, czy zdołamy wynieść nasze tyłki na powierzchnię Księżyca, miał całkowitą pojemność nie większą niż trzydzieści dziewięć tysięcy słów...

– O Jezu! – Hollister pokręcił głową z niedowierzaniem. – Wyposażenie „Apolla”, w porównaniu z twoim systemem sterowania, to istny złom. W dodatku był to system zamknięty. Jeśli pojawiał się jakiś nowy problem, mogliśmy liczyć tylko na parę tysięcy słów...

– Zastanawiające, że w ogóle udało się wam tam dolecieć. – Hollister ujął stery w ręce, wyłączył coś na desce rozdzielczej i położył dłoń na dźwigni przepustnicy. – Chcesz chwilę pokierować? – Czy faceci z zarządu linii nie dostaną cholery? – Bez wątpienia – powiedział Hollister. – Ale nie będą nic wiedzieli, chyba że przesłuchają taśmę z czarnej skrzynki, a wtedy nie będzie to miało dla nas większego znaczenia. Więc jak, chcesz?

– Pewnie.

– No to masz.

Baedeker ostrożnie ujął widelki, cały czas myśląc o setce pasażerów, spokojnie popijających kawę za jego plecami. Daleko przed nimi chmury rozpraszały się na tyle, że widać było brązową linię horyzontu.

– Czy to prawda, że David Muldorff chciał, żeby ładownik księżycowy nazywał się „Wyżeł”? – spytał Hollister. – Jasne – odparł Baedeker. – Prawie udało mu się przekonać dowództwo. Mówił, że wysłanie wyżła, psa gończego, dobrze wpisuje się w logikę całego programu. Widzisz, kiedy na początku załogi zaczęły nazywać swoje pojazdy, były to imiona w rodzaju – * ju „Toffi”, „Pająk” czy

„Snoopy”. Dopiero potem, jak Neil pierwszy poleciał na Księżyc i pojawiły się te nadęte tytuły w prasie:

„Orzeł wylądował” i podobne, zaczęto nadawać bardziej poważne i pretensjonalne imiona... „Wyzwanie”, „Orion”, „Nieulekły”, „Odyseja”. W ostatniej chwili nieufność wobec zamiarów Dave’a przeważyła szalę i uparli się na „Discovery” – „Odkrycie”. – „Wyże!” im się nie spodobał?

– Właściwie, jeśli chodzi o samą nazwę, to nie było większych zastrzeżeń, ale oni dobrze znali Dave’a i w tym wypadku nie dali się nabrać. Na pewno miał w zanadrzu całą masę różnych numerów. Pewnie zaraz po wylądowaniu zameldowałby z dumą: „Houston, „Wyżeł” wylądował”. Mógłby potem zapragnąć, by człon dowodzenia nazwać „Lassie” albo coś w tym guście. Przecież to on wymyślił nazwę „Rover”* (dla łazika księżycowego i we wszystkich wywiadach mawiał, że jest to mały, niezawodny skurczybyk. Przypuszczam, że za jego sprawą przeslibyśmy do historii lotów kosmicznych jako „Wyżełki” albo „Gończe Psy”. Z całą pewnością mieli rację, wybijając mu z głowy ten pomysł, Charlie. Hollister zaśmiał się głośno.

– Pamiętam, jak oglądałem was grających we frisbee na Księżycu. Jezu, taki lot to musiała być niezła zabawa! Drugi pilot wrócił, przynosząc każdemu styropianową filiżankę z kawą. Baedeker oddał stery Hollisterowi, ustąpił miejsce Knutsenowi i stał przez chwilę oparty o tył fotela, spoglądając na ogromną połać nieba zakrytego chmurami.

– Tak – powiedział unosząc filiżankę, jakby spełniał cichy toast, i pociągnął łyk aromatycznej czarnej kawy. – Była niezła zabawa.

Lotnisko w Rapid City składało się z pojedynczego asfaltowego pasa na zupełnym pustkowiu, z dala od jakiegokolwiek miasta. Podchodząc do lądowania, przelecieli nad wypłowiącymi pastwiskami, pustymi korytami strumieni i szeroko rozsianymi gospodarstwami. Jedyne pas startowy ciągnął się na szczycie trawiastego płaskowyżu, na którym znajdował się ponadto mały terminal pasażerski, niska wieża kontrolna i niemal pusty parking.

Baedeker wsiadł do wynajętej hondy civic i zdecydował, że dość ma już tych nieustannych przelotów i wypożyczanych samochodów. Przy najbliższej okazji za część swych oszczędno—* Rover (ang.) – włóczęga, ale także rozbójnik, pirat. ści zakupi corvette 1960 i wreszcie skończy z tą tułaczką. Albo może lepiej, skoro przyszły już pieniądze, zakupi małą cessnę 180...

Zjazd do Sturgis znajdował się o czterdzieści pięć minut drogi autostradą międzystanową od Rapid City. Droga prowadziła wzdłuż pasa małych pagórków, stanowiącego przejście pomiędzy Czarnymi Wzgórzami, których ciemny zarys widoczny był na południu, a prerią i pastwiskami ciągnącymi się na północ aż po horyzont. Kolorowe budynki i luksusowe przyczepy kempingowe na stokach po obu stronach drogi wyglądały jak otwarte rany na zielonych cielskach gór.

O wpół do pierwszej zatrzymał się na stacji benzynowej niedaleko zjazdu z autostrady, aby spytać się o drogę, a tuż przed pierwszą przejechał przez drewnianą bramę u wylotu alejki wiodącej do „Rancza Wheelerów”.

Kobieta, która wyszła z domu, gdy tylko zatrzymał samochód i wysiadł, aby rozprostować kości, przypominała panią Elizabeth Sterling Callahan z Lonerock. Musiała mieć co najmniej siedemdziesiątkę, ale jej ruchy wciąż były energiczne. Siwe włosy miała związane wstążką z tyłu, ubrana była w grubą czerwoną kurtkę i niebieskie spodnie. Twarz miała pomarszczoną, ale pogodną. O krok za nią biegł owczarek collie.

– Witam pana! – zawołała. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, czy pani Wheeler?

– Ruth Wheeler – powiedziała podchodząc bliżej. Wokół oczu, intensywnie zielonych jak u Maggie, miała zmarszczki od częstego uśmiechania się.

– Nazywam się Richard Baedecker – powiedział i dał psu rękę do obwąchania. – Szukam Maggie.

– Richard... ach tak, Richard! No jasne. Maggie mówiła mi o panu. Witaj więc, Richardzie.

– Cieszę się, pani Wheeler...

– Mów mi Ruth, proszę. Och, ale Margaret się ucieszy! Nie ma jej teraz w domu, Richard. Pojechała do miasta po sprawunki. Chodź do domu na kawę.

Już miał się zgodzić, kiedy nagle obudziło się w nim jakieś nie dające mu spokoju zniecierpliwienie, przynaglające do dalszej drogi, tak jakby nie mógł się zatrzymać, jakby nie mógł spocząć ani na chwilę, dopóki nie dotrze do kresu długiej podróży. – Dziękuję, Ruth – powiedział. – Jeśli mogłabyś mi wskazać, gdzie mogę znaleźć Maggie, to chętnie pojechałbym poszukać jej do miasta.

– Znajdziesz ją w domu handlowym na Safeway albo w sklepie z narzędziami na Main Street. Margaret jeździ starym niebieskim fordem pikapem z wielką czerwoną prądnicą na przyczepie. Na tylnym zderzaku ma nalepkę z kampanii Dukakisa. – Dziękuję bardzo. Jeśli nie uda mi się jej znaleźć i przyjedzie tu przede mną, powiedz jej, że zaraz wracam.

Gdy zawrócił hondę, pani Wheeler podeszła do samochodu i oparła rękę o ramę otwartego okna.

– Jest jeszcze jedno miejsce, gdzie można ją znaleźć – powiedziała. – Margaret lubi zatrzymywać się przy Niedźwiedzim Wzgórzu. To góra zaraz za miastem. Trzeba wyjechać na północ, a potem tak jak prowadzą znaki.

* * *

Niebieskiego pikapa nie było ani na parkingu na Safeway, ani wśród samochodów stojących po obu stronach Main Street. Baedecker jeździł wolno w tę i z powrotem po ulicach małego miasteczka, w każdej chwili spodziewając się zobaczyć, jak Maggie wychodzi z któregoś ze sklepów. W serwisie prasowym o wpół do drugiej radio podało wiadomość o tajnym wystrzeleniu wahadłowca mającym się odbyć za niecałe dwie godziny. Reporter, zamiast mówić o Centrum Lotów imienia Kennedy’ego, mówił błędnie o „Przylądku Kennedy’ego”, dodając, że zachmurzenie nad tym obszarem jest duże, lecz warunki atmosferyczne nie powinny przeszkodzić w starcie promu kosmicznego.

„Zawrócił samochód koło suszarni wołowiny i ruszył w drogę powrotną do Sturgis, jadąc za znakami wiodącymi do Parku Stanowego „Niedźwiedzie Wzgórze”.

Małeńki parking był całkiem pusty. Baedecker zaparkował hondę przy zamkniętym budynku informacji turystycznej. Góra prezentowała się okazale. O ile wiadomości nabyte podczas szkolenia z geologii jeszcze nie wyparowały mu z głowy, mógł stwierdzić, że był to poddany silnej erozji stożek wulkaniczny, wznoszący się co najmniej dwieście pięćdziesiąt metrów, a może i więcej, nad otaczającą prerię. Stożek ten stał w pewnym oddaleniu od pasma wzgórz, tak więc wydawało się, że jego strome zbocza zniecka strzelają w górę pośrodku płaskich łąk. Baedecker musiał mocno wyteńczyć wyobraźnię, aby w kształcie wydłużonego wierzchołka dostrzec sylwetkę niedźwiedzia, a kiedy mu się to udało, ujrzał go pochylonego, z wysoko wypiętym w górę zadem. Pod wpływem nagłej zachcianki wziął starą kurtkę lotniczą z tylnego siedzenia samochodu i rozpoczął wspinaczkę szlakiem zaczynającym się przy ośrodku turystycznym.

Aczkolwiek tu i ówdzie, w zacienionych miejscach leżały splachcie śniegu, było dosyć ciepło i pachniało rozmarzającą ziemią. Baedeker czuł dziwną lekkość, gdy pokonywał pierwszy, stromy odcinek szlaku, nie mając żadnych kłopotów z oddychaniem. Zastanawiał się mimochodem, dlaczego przez ostatnie trzy dni nie miał wcale apetytu i dlaczego, pomimo dwóch nie przespanych nocy i pustego żołądka, czuł się wyjątkowo wypoczęty i sprawny, jakby nagle ubyło mu ze dwadzieścia lat.

Po chwili strome podejście zmieniło się w równą ścieżkę biegnącą wzdłuż grzbietu i Baedeker przystanął, aby spojrzeć ponad karłowatymi sosnami na piękny widok rozciągający się na północ i na wschód. Kiedy już przeszedł mniej więcej jedną trzecią drogi dzielącej go od szczytu, zaczął natykać się na małe strzępki kolorowego materiału porozwieszane tu i tam na krzakach rosnących wzdłuż ścieżki. Zatrzymał się i dotknął jednej z takich szmatek, poruszanych lekko podmuchami ciepłego wiatru. – Hej!

Obrócił się gwałtownie. W małej niecce poniżej skraju niewielkiego urwiska siedział jakiś człowiek. Było to idealne miejsce do biwakowania, osłonięte skałami i drzewami przed wiatrem wiejącym z północy i zachodu, ale jednocześnie dające szeroki widok na trzy strony świata.

– Hej! – odkrzyknął Baedeker i podszedł bliżej. – Nie zauważyłem pana.

Baedeker nie miał wątpliwości, że staruszek jest Indianinem. Miał skórę koloru miedzi, oczy tak ciemne, że wydawały się czarne, i zmarszczki rozchodzące się promieniście od wydatnego nosa. Ubrany był w luźną niebieską koszulę, na głowie miał ciasno zawiązaną czerwoną opaskę przytrzymującą długie siwiejące włosy, zaplecione w cienkie warkoczyki. Na palcu nosił pierścień z jakimś kamieniem o intensywnie niebieskiej barwie. Tylko zamiast mokasynów miał mocno schodzone zielone tenisówki.

– Nie chciałem panu przeszkadzać – powiedział Baedeker, spoglądając na brązowy brezentowy namiot wzniesiony obok innej małej konstrukcji z grubych pniaków, kamieni i pomniejszych gałęzi. Od razu pomyślał, że to wigwam, nie mając pojęcia, skąd to wie.

– Usiądź – powiedział Indianin. Siedział na kamieniu, nie ze skrzyżowanymi nogami, ale z nogą założoną na nogę, w wygodnej, nieco kobiecej pozycji. – Jestem Robert Słodkie Lekarstwo – przedstawił się. Jego głos był ochryply i słysząc w nim było lekkie rozbawienie, jakby zaraz miał się roześmiać z jakiegoś, jemu tylko znanego żartu.

– Richard Baedeker.

Stary Indianin pokiwał głową, jakby ta informacja była mu całkiem zbędna.

– Ładny dzień na wspinaczkę, Baedeker.

– Bardzo ładny, ale nie jestem pewien, czy wybieram się na sam szczyt.

Indianin wzruszył ramionami.

– Od dawna tu już przychodzę i nigdy jeszcze nie byłem na szczycie. To nie zawsze jest konieczne.

Scyzorykiem strugał krótki kijek. Na ziemi leżało kilka gałązek, korzeni i kamyków, a na nich kości jakiegoś zwierzęcia. Niektóre z kamieni były pomalowane na jasne kolory. Baedeker spojrzął na ciągnącą się daleko na północ prerię. Nie było widać stąd żadnej drogi, tylko nieliczne kępy drzew, rosnące wokół gospodarstw skupionych w małe grupki. Nagle zrozumiał, jakie wewnętrzne poczucie nieograniczonej wolności musieli mieć Indianie zamieszkujący te równiny półtora wieku temu, kiedy mogli swobodnie przemierzać ogromne połacie terenów pozornie ciągnących się w nieskończoność.

– Czy jest pan Siuksem? – zapytał, nie mając pojęcia, czy jest to uprzejme pytanie, ale bardzo

pragnąc usłyszeć odpowiedź.

Robert Słodkie Lekarstwo pokręcił głową.

– Czejenem.

– Myślałem, że tereny w Dakocie Południowej zamieszkują Siuksowie.

– Dobrze myślałeś. Wypędzili nas z tych ziem bardzo dawno temu. Oni myślą, że ta góra to święte miejsce. My też tak myślimy. Teraz mamy tylko dalszy dojazd.

– Czy pan mieszka gdzieś w okolicy? – spytał Baedeker. Indianin uciął kawałek młodego kaktusa rosnącego pomiędzy skałami, obrał go ze skórki i położył na języku, niczym klarncista przygotowujący ustnik przed występem.

– Nie. Muszę odbyć daleką podróż, by dostać się tutaj. Zajmuję się uczeniem różnych rzeczy młodych mężczyzn, którzy pewnego dnia będą mogli nauczyć tych samych rzeczy innych młodych chłopców. Ale mój uczeń spóźnia się trochę. – Aha. – Baedeker spojrział w dół, na widoczny w dali parking. Jego honda wciąż była jedynym zaparkowanym tam pojazdem. – Kiedy się go pan tu spodziewał?

– Pięć tygodni temu. Tsistsistas nie mają poczucia czasu.

–Kto?

– Ludzie – wyjaśnił Robert Słodkie Lekarstwo ochryłym, rozbawionym głosem.

–Aha.

– Ty też przybyłeś z daleka.

Baedeker zastanowił się chwilę, po czym kiwnął głową. – Moi przodkowie, tacy jak Mustoyef, też przybyli tu z daleka – powiedział Robert Słodkie Lekarstwo. – Potem pościli, oczyścili swoje ciała i wspięli się na Świętą Górę, aby przekonać się, czy będą mieli wizje. Czasem Maiyun przemawiał do nich. Ale częściej nic nie mówił.

– Co to za wizje? – spytał Baedeker.

– Czy znasz powieść o Mustoyefie, jaskini i Darze Czterech Strzał?

– Nie.

– Nieważne – powiedział Robert Słodkie Lekarstwo. – To i tak ciebie nie dotyczy, Baedeker.

– Mówił pan, że Siuksowie też uważają tę górę za świętą?

Staruszek wzruszył ramionami.

– Arapahowie otrzymali tu lekarstwo, które mogą palić, by otrzymać słodki dym do swoich obrzędów. Apacze otrzymali tajemnicze lekarstwo na choroby koni. Kiowa – świętą nerkę niedźwiedzia. Siuksowie mówią, że otrzymali od góry fajkę, ale ja im nie wierzę. Sami to wymyślili, bo byli zazdrośni o innych. Siuksowie często kłamią.

Baedeker uśmiechnął się i usadowił wygodniej. Robert Słodkie Lekarstwo przerwał struganie kijka.

– Siuksowie twierdzili, że widzieli na górze wielkiego ptaka, prawdziwego Ptaka Grzmotów, o skrzydłach przesłaniających niebo i głosie zwiastującym koniec świata. Ale to nie jest żadne lekarstwo. To są sztuczki Wihio. Każdy człowiek, który ma choć trochę lekarstwa, umie przywołać Ptaka Grzmotów. – A pan potrafi? – spytał Baedeker.

Stary Indianin strzelił palcami. W dwie sekundy później ziemia wokół zatrzęsła się od ryku, który zdawał się dochodzić jednocześnie z nieba i z ziemi. Po chwili Baedeker dostrzegł nad głową

coś ogromnego i błyszczącego, jakiś cień zbliżał się ku nim, kładąc się wielką plamą na stokach. Natychmiast zerwał się na kolana i zobaczył B-25H, jak skręca na północ, lecąc na wysokości nie większej niż sto pięćdziesiąt metrów, niżej niż szczyt Niedźwiedziego Wzgórza, zostawiając za sobą czarną smugę dymu z ośmiu odrzutowych silników, unosząc się leniwie w powietrzu.

–Przepraszam cię, Baedeker – odezwał się starzec. Jego żółte zęby wyglądały na mocne, tylko jednego brakowało w dolnej szczęce. – To była tania sztuczka Wihio. One przelatują tu codziennie o tej porze z bazy Ellsworth. Mówiono mi, że używają tej góry, aby sprawdzić, czy radary nie okłamują ich podczas lotu.

– Co to znaczy Wihio? – spytał Baedeker.

– To nasze słowo, które oznacza oszusta. – Czejen odciął znowu kawałek kaktusa i włożył go do ust. – Wihio, jeśli chce, staje się Indianinem, jeśli chce, zmienia się w zwierzę, i zawsze ma złe zamiary. Stać go na najbardziej okrutne żarty. Tego samego słowa używamy na oznaczenie pająka albo białego człowieka.

– Aha – powiedział Baedeker.

– Wielu z nas podejrzewa, że jest on Stwórcą.

Baedeker zastanowił się chwilę nad słowami Indianina. – Kiedy Mustoyef zszedł z tej góry... – starzec przerwał na chwilę, żeby wyjąć z ust kawałek kaktusa. – Kiedy zszedł z tej góry, przyniósł Dar Świętych Strzał, nauczył nas Czterech Pieśni, opowiedział nam o naszej przyszłości – mówił o wyginięciu bawołów i przyjściu białego człowieka, który zajmie nasze miejsce – a potem dał swym przyjaciołom strzały i powiedział „Oto ciało moje, które wam daję. Zawsze o mnie pamiętajcie”. Co o tym myślisz, Baedeker?

– Gdzieś to już słyszałem.

– Właśnie. – Indianin pociął jakiś korzeń na małe kawałki i patrzył na nie z grymasem niezadowolenia na twarzy. – Czasem nachodzi mnie obawa, że mój dziadek i pradziadek pożyczili sobie zasłyszana od kogoś historię. Ale to i tak nie ma znaczenia. Proszę, włóż to do ust – podał Baedekerowi mały kawałek korzenia obrany z cienkiej warstwy kory.

Baedeker wziął go do ręki.

– Co to jest?

– Kawałek korzenia – wyjaśnił cierpliwie Indianin.

Baedeker włożył mały patyczek do ust. Poczł lekką goryczkę. – Nie żuj tego ani nie ssij – powiedział Robert Słodkie Lekarstwo. Sam włożył do ust nieco większy kawałek. Obracał nim językiem, aż umieścił go w jednym z policzków niczym małą prymkę tytoniu. – Nie połykaj tego – dodał.

Baedeker siedział przez chwilę w milczeniu, czując ciepłe promienie słońca na twarzy i dłoniach.

– Jaki efekt ma to wywołać? – spytał w końcu.

Indianin wzruszył ramionami.

– Zapobiega pragnieniu – odpowiedział. – Moja butelka jest już pusta, a do pompy daleko.

– Czy mogę pana o coś spytać?

Starzec przerwał dzielenie kolejnych kawałków korzenia na porcje i kiwnął głową.

– Mam przyjaciółkę – powiedział Baedeker – bardzo ją kocham i przypuszczam, że jest bardzo mądra. Ona wierzy w bogactwo i tajemnicę wszechświata, ale nie wierzy w rzeczy nadprzyrodzone.

Robert Słodkie Lekarstwo odczekał chwilę.

– A gdzie pytanie? – mruknął.

Baedecker dotknął ręką czoła czując, że jest spalone słońcem. Lekko wzruszył ramionami, co od razu przypomniało mu Scotta.

– Zastanawiam się, co pan o tym myśli – powiedział. Indianin uciął jeszcze dwa kawałki korzenia i wepchnął je do ust, przesuwając językiem do drugiego policzka, po czym rzekł wolno i wyraźnie:

– Myślę, że twoja przyjaciółka jest bardzo mądra. Baedecker zamrugał. Może było to efektem kilku dni o pustym żołądku lub zbyt długiego przebywania na słońcu, a może jednego i drugiego, w każdym razie powietrze pomiędzy nim a starym Czejenem zdawało się drgać i falować, jak w upalne letnie dni nad rozgrzany asfalter autostrady.

– Nie wierzy pan w rzeczy nadprzyrodzone? W rzeczy nadnaturalne? – spytał.

Robert Słodkie Lekarstwo spojrzał na wschód. Baedecker podążył za jego wzrokiem. W dali, pośród równin, promienie słoneczne odbijały się w jakimś oknie lub szybie samochodu. – Pewnie masz większą wiedzę niż ja – rzekł stary Indianin. – Jeśli wszechświat to cały naturalny świat, to powiedz: jak dobrze go znamy? Ile z niego rozumiemy? Jeden procent? – Nie, tyle nie.

– Jeden procent z jednego procenta?

– Może – powiedział Baedecker, ale zaraz jak tylko usłyszał swoje słowa, zwałpiał w ich prawdziwość. Nie wierzył w nieskończoną złożoność wszechświata – jedna dziesięciotysięczna nieskończonego zbioru nadal pozostaje zbiorem nieskończonym – ale w środku czuł, że swoim ograniczonym zestawem praw i zasad odkrytych przez nauki przyrodnicze ludzie nie zdołali ogarnąć nawet jednej dziesięciotysięcznej wszystkich możliwych kombinacji i permutacji obecnych we wszechświecie. – Ale raczej mniej – dodał. Robert Słodkie Lekarstwo schował scyzoryk do kieszeni i rozłożył ręce. Jego rozczapierzone palce w blasku słońca wyglądały jak płatki jakiegoś kwiatu.

– Twoja przyjaciółka jest mądra – powtórzył. – Pomóż mi wstać.

Baedecker schwycił go za ramiona i chciał dźwignąć, ale Robert Słodkie Lekarstwo nie ważył prawie nic. Stary Indianin wstał bez żadnego wysiłku. Baedecker zachwiał się i omal nie upadł. Próbował odzyskać równowagę machając rękami, gdy nagle poczuł na nich krzepki chwyt palców Czejena. Baedecker miał wrażenie, że gdyby obaj nie trzymali się nawzajem tak mocno, w jednej chwili oderwaliby się od ziemi i poszybowali do góry, niczym dwa balony uwolnione z uwięzi, unoszące się nad preriami Dakoty Południowej.

Indianin uściśnął ramię Baedeckera i puścił go. – Życzę ci miłej wspinaczki – powiedział. – Ja muszę zejść na sam dół nabrać wody i skorzystać z ich śmierdzącej wygodki. Nienawidzę kucania po krzakach, to niegodne cywilizowanego człowieka.

Stary Indianin podniósł z ziemi pięciolitrowy plastikowy kanister i wolno zaczął schodzić w dół zbocza, prześmiesznie człapiąc i powłócząc nogami. Po chwili zatrzymał się i zawołał:

– Jeśli na szczycie znajdziesz głęboką jaskinię, taką bardzo głęboką, to powiedz mi o tym, jak będziesz schodził! Baedecker kiwnął głową i patrzył, jak starzec oddala się coraz bardziej. Nie przyszło mu do głowy, co mógłby powiedzieć na pożegnanie, dopóki Robert Słodkie Lekarstwo nie zniknął za zakrętem szlaku.

Wejście na szczyt zajęło mu czterdzieści pięć minut. Nie był zmęczony ani zdyszany. Nie znalazł żadnej jaskini. Widok z wierzchołka był najpiękniejszym, jaki widział na ziemi. Na południu ciągnęło się pasmo Czarnych Wzgórz, tu i ówdzie pokryty śniegiem szczyt wystawał ponad zalesione

zбочca. W górze gromady drobnych cumulusów przesuwały się z zachodu na wschód, przypominając mu stada owiec, które razem z Maggie obserwowali z płaskowyżu u stóp Uncompahgre. Na północy szerokie, falujące równiny ciągnęły się brązowozieloną płaszczyzną aż do miejsca, gdzie zlewały się z widniejącą w dali mgłą.

Baedecker znalazł wygodne siedzenie z dwóch małych gałęzi i pnia zwalonego drzewa. Usiadł na tym naturalnym krześle i zamknął oczy, czując łagodne ciepło słońca na powiekach. Przyjemna pustka, którą miał w żołądku, zdawała się rozprzestrzeniać na całe ciało i umysł. W tej chwili nigdzie się nie śpieszył, nic nie planował, niczego nie pragnął. Słońce grzało przyjemnie, ale po chwili miłe ciepło wydało mu się czymś bardzo dalekim. Wkrótce znikło nawet i to odległe wrażenie.

Zasnął. A gdy spał, przyśnił mu się sen.

Ojciec przytrzymywał go, chcąc nauczyć pływać, ale nie byli wcale na plaży nad jeziorem Michigan przy North Avenue, tylko na szczycie Niedźwiedziego Wzgórza, skapani w tajemniczym blasku, łagodnym, brązowym, a przy tym jaskrawym, jak letnie błyskawice, które kiedyś oświetlały bywalców darmowych pokazów filmowych w małym parku Glen Oak, zamrażając ich na krótką chwilę w cichym błysku stroboskopowego światła. Na szczycie nie było żadnego jeziora, ale Baedecker zauważył, że samo powietrze jest gęste i wypycha go do góry jak woda. Ojciec przytrzymywał go w pozycji poziomej, zjedną ręką pod klatką piersiową, drugą pod nogami, i mówił: „Cała sztuka polega na tym, żeby się rozluźnić, Richard. Nie bój się zanurzyć twarzy. Wstrzymaj oddech na chwilę. Będziesz się unosił. A jeśli nie, jestem tutaj, żeby cię przytrzymać”.

Baedecker posłusznie zanurzył twarz. Ale najpierw spojrzał na ojca, przyjrzał się z bliska znajomej twarzy, ustom, które poznałby wszędzie, zmarszczkom wokół ust, ciemnym oczom i włosom, których po nim nie odziedziczył, lekkiemu półuśmiechowi, który odziedziczył. Przyjrzał się swemu ojcu stojącemu w wodzie w obwisłych kąpielówkach, zobaczył linię opalenizny kończącą się na wysokości ramion, lekki brzusek, bladą klatkę piersiową, która z wiekiem, z wolna zaczynała się zapadać do środka. Baedecker posłusznie zanurzył twarz, ale najpierw, jak to robił wiele razy, podniósł wzrok na wysokość wglębienia pomiędzy obojczykami, poczuł zapach mydła i tytoniu, poczuł lekkie drapanie jednodniowego zarostu, a następnie, jak tego nigdy nie robił, właśnie tak jak tego nigdy nie zrobił, zarzucił ojcu ramiona na szyję i przytulił się do niego, opierając policzek na jego policzku, objął go mocno i poczuł, jak ojciec także przytula go do siebie.

Potem zanurzył twarz w wodzie i wstrzymał oddech, wyciągając ręce daleko przed siebie, prostując nogi, utrzymując ciało w jednej płaszczyźnie, sztywny, ale rozluźniony. I popłynął.

– Świetnie! – wołał ojciec. – To proste, prawda? Płyn dalej!

Jak będziesz miał jakieś kłopoty, na pewno cię złapię. Baedecker uniósł się wyżej, z łatwością wzlatując ponad skały i porośnięty sosnami wierzchołek góry, szybując bez wysiłku z łagodnymi prądami, i kiedy spojrzał w dół, ojca już nie było. Wypuścił powietrze z ust, a następnie zrobił głęboki wdech, po czym zaczął łagodnie machać rękami i nogami, wolno i pewnie płynąc w górę. Wyżej prądy były cieplejsze. Przemknął pomiędzy dwoma płaskimi cumulusami i płynął dalej, nie czując zmęczenia. Wznosił się coraz wyżej, góry malały mu w oczach, aż w końcu zlały się w jeden ciemny wzór, widziany w nielicznych prześwitach chmurnego kobierca, nieodróżnialny w geometrii równin, lasów, rzek i innych gór. Kiedy prądy stały się silniejsze i zimniejsze, spróbował brodzić, stając pionowo w gęstym powietrzu, lekko poruszając nogami i rękami. Długi, łagodny łuk horyzontu nie stanowił już przeszkody dla jego wzroku.

Baedecker spojrzał w dół. Zobaczył wahadłowiec ustawiony na wyrzutni i odsunięte rusztowania, a opodal niebieskie fale Atlantyku. Ludzie siedzący w ławkach obok wysokiego białego

budynku wstali wszyscy, wielu z nich z uniesionymi w górę ramionami, podczas gdy jaskrawe płomienie zapalały się pod rakieta, unosząc ją w górę. Widział, jak statek wlatuje, na początku wolno, na pojedynczym słupie ognia, potem coraz szybciej, zakreślając półokrąg, niczym ogromna strzała wypuszczona z łuku Ziemi, obracając się w miarę jak nabierał wysokości, zostawiając za sobą ognisty ślad, dzielący się na długie kolumny i bałwany wonnego dymu. Baedeker patrzył, jak rakietę leci coraz wyżej, mija go i znika w dali za odległą granicą morza i powietrza. Wtedy odwrócił wzrok i ponownie spojrzął na dół, aby odnaleźć Scotta wśród tłumu widzów. Dostrzegł go z łatwością i zobaczył, że jego syn także ma uniesione ramiona, zaciśnięte pięści, usta otwarte w tej samej cichej modlitwie, którą wszyscy odmawiali za pomyślny start białej strzały statku, i zobaczył łzy spływające po rozradowanej twarzy.

Podpłynął wyżej. Poczuł dotkliwy chłód, ale nie zwrócił na niego uwagi, pracował mocno całym ciałem, starając się przezwyciężyć wiry i nacierające fale pragnące to ściągnąć, to zepchnąć go w dół, i nagle napór ustał, dalszy wysiłek okazał się niepotrzebny, Baedeker uniósł się swobodnie do góry, widząc jak planeta znowu zamienia się w niebieskobiałą piłkę osłoniętą czarnym aksamitem, wystarczająco małą i piękną, by mógł ją objąć. Teraz jednak jego uwagę zaczęła przyciągać coraz bardziej zwodnicza bliskość jego drugiego świata, którego ospowate półkole lśniło białoszarym blaskiem. Ale mimo że obrócił się i z całych sił starał sforsować coraz krótszy dystans, wiedział, że ta jedna rzecz będzie mu odmówiona. Nie, raczej nie odmówiona. Raczej po raz pierwszy będzie mu dana. Nie będzie mógł jedynie powrócić. Unosił się ponad znajomymi białymi szczytami i cienistymi kraterami, widząc wszystko dużo wyraźniej niż wtedy.

Zobaczył rozsiewające srebrnozłoty blask urządzenia, które on i jego przyjaciel zostawili na powierzchni. Martwy, bezużyteczny złom, którego minimalne ciepło i bezmyślnie wykonywane działania ustały w ciągu wielu upalnych dni i mroźnych nocy. Ale dostrzegł także inne, ważniejsze rzeczy, które zostawili wraz z przyjacielem. Nie pochyloną flagę ani pokryte pyłem maszyny, ale własne ślady tak samo głębokie i wyraźne jak w chwili, gdy odrywali buty od powierzchni, oraz dwa przedmioty, w których odbijały się promienie wschodzącego słońca – mała fotografia i klamra od paska, ustawione frontem do półkola Ziemi. a*– j l Zanim, drżący z zimna, zdecydował się wracać, zauważył jeszcze jedną rzecz. Przecinając granicę światła i ciemności, gdzie cienie o ostrych brzegach wycinały dziury w bladej poświacie otaczającej Ziemię, Baedeker ujrzał światła. Sznury światła. Obręcze światła. Światła miast i dróg, fabryk i wiosek, niektóre ukryte, niektóre dumnie rozpraszające ciemności ziemskich mórz i gór, wszystkie wytrwale oczekujące świtu.

I wtedy Baedeker wrócił. Kilka razy zatrzymywał się, machając energicznie rękami, by utrzymać się w miejscu, ale potem znów pozwalał, aby siła ciężenia ściągała go w dół, łagodnie, acz nieustępliwie. Ale dopiero gdy pod koniec podróży na chwilę wstrzymał dech i szybując ponad ogromną rafą wzgórz zobaczył, jak u jego stóp zatrzymuje się niebieski pikap, z którego wysiada młoda kobieta i biegiem rusza pod górę, wspinając się mozolnie cieniutką nitką szlaku, dopiero wtedy naprawdę pozwolił Ziemi, by przyciągnęła go z całą mocą, dopiero wtedy zobaczył, że nie jest to tylko bezmyślne przyciąganie się materii. Gdy to zrozumiał, poczuł, że sam jest źródłem takiej siły, wpływającej z niego i przepływającej przez niego, zbliżającej do siebie i łączącej ludzi i przedmioty. Baedeker wciąż unosił się tuż ponad ziemią, ale nie przerywając lotu poczuł na twarzy ciepło słonecznych promieni, zdał sobie sprawę, że zasnął, usłyszał znajomy głos wołający go z daleka i wiedział, że za chwilę obudzi się i odpowie radosnym okrzykiem na wołanie Maggie. Ale jeszcze przez kilka sekund pozostawał zawieszony w powietrzu, nie spadając ani się nie unosząc, czekając, wiedząc, że jeszcze wiele musi się nauczyć, ale szczęśliwy, że będzie chciał i mógł się

nauczyć.

Wreszcie stopami dotknął szczytu góry, uśmiechnął się i otworzył oczy.

POSŁOWIE AUTORA

Początkowo na złożoną mi propozycję napisania „posłowia” do nowego wydania „Faz grawitacji” zareagowałem dość nieufnie, ze względu na moje głębokie przekonanie, że pisarze podobnie jak lalkarze, powinni ukrywać twarz i głos za swoimi dziełami, w przeciwnym bowiem wypadku pryska czar iluzji. Po namyśle uznałem jednak, że krótkie posłowie może się na coś przydać – można by je wykorzystać na przeprowadzenie małego ćwiczenia genealogicznego, mającego na celu odszukanie odległych „korzeni” tejże powieści, ćwiczenia zapewne fascynującego dla samego autora, a także jego najbliższych, lecz o ileż bardziej jałowego i pozbawionego akcji dla kogoś spoza rodzinnego kręgu. Dlatego, Szanowni Czytelnicy, proszę, nie czujcie się przymuszeni do kontynuowania tego spaceru pośród starych listów i pożółkłych fotografii... w salonie podano właśnie przepyszny deser... ja i kuzynowie dołączymy do Was za moment.

Miałem zamiar powiedzieć, że pomysł napisania tej powieści narodził się wiosną 1979 roku, czyli na całe dziesięć lat przed jej \ wydaniem, ale bliższe przyjrzenie się starym notatkom każe mi cofnąć się w przeszłość o jeszcze jedno dziesięciolecie, do roku 1969, w którym to roku uczestniczyłem w jedynych zajęciach z kreatywnego pisania, w jakich miałem okazję brać udział na Wabash College. W nie dokończonym opowiadaniu science fiction rozpoczętym na tych zajęciach, pewna młoda kobieta o nazwisku Baedecker, potomek pierwszego pokolenia kolonizatorów Marsa, śledzi swe drzewo genealogiczne i przypomina sobie prababkę, kobietę o żelaznym charakterze imieniem Maggie, ze zdziwieniem konstatując, że mąż owej Maggie był kosmonautą jeszcze w erze przedkolonialnej. Marsjańska opowieść nigdy nie doczekała się zakończenia, ale musiało być coś inspirującego w tym wczesnym pojawieniu się Beadeckera w moim pisarstwie. Uwaga dla przyszłych pisarzy: niczego nie wyrzucajcie! Parafrazując jedno z powiedzonek Henry’ego Jamesa możemy stwierdzić: „pisarz to osoba, która nigdy nic nie gubi”. Jeżeli nie wierzycie, możecie poszperać w moich szufladach!

Wracamy do wiosny 1979 roku. Półtora roku wcześniej wróciłem z długiego pobytu w Indiach i moje przeżycia pchały mnie do napisania o tym. Owocem moich wysiłków był pierwszy rozdział tej książki zatytułowany „Puna”. Z tego, co napisałem, dałoby się stworzyć jakieś krótkie opowiadanko, ale odłożyłem je, czując, że czegoś mu brakuje. Wykorzystałem część tego materiału do napisania mojej pierwszej powieści „Pieśń Kali”, ukończonej wiosną 1982 roku. (Słuchajcie, przyszli pisarze, traktujcie wszystkie swoje prace z podobnym szacunkiem, jaki stary majsterklepka żywi dla pięciu sfatygowanych gruchotów ustawionych na ceglach, na podwórku za domem. To najlepsze źródło akcesoriów i części zamiennych).

W 1984 roku ponownie siadłem do pisania „Faz grawitacji”, nie wiedząc, czy będzie to seria opowiadań, czy też powieść. Wiedziałem wtedy tylko, że zarówno osobowość Richarda Baedeckera, jak i pytania, na które szukał odpowiedzi, fascynują mnie do tego stopnia, iż pragnę poświęcić nieco czasu na śledzenie jego epistemologicznej odysei. Powieść „ukończyłem” jesienią 1985 roku i odłożyłem ją wiedząc, że tak naprawdę nie jest ukończona. Brakowało jakiegoś głębszego wydźwięku, głębsze pokłady zostały nie zbadane. Wtedy w styczniu 1986 roku nastąpiła eksplozja „Challengera” i samotne wędrówki Baedeckera po jego filozoficznej pustyni zyskały nowy wyraz w świetle kryzysu NASA oraz wątpliwości co do przyszłości amerykańskich podbojów kosmosu. Napisałem powieść od nowa. W tym czasie planowano ponowny start wahadłowca za sześć miesięcy (niektórzy mówili o trzech). Pamiętając o tym, co stało się po katastrofie „Apollo” w końcu lat sześćdziesiątych, ustaliłem datę ponownego lotu wahadłowca na dwa lata później, a następnie przesunąłem ją jeszcze o pół roku. Założyłem, że następny lot w ramach przywróconego programu

lotów promu kosmicznego będzie wojskową misją, która rozpocznie się w okolicach Święta Dziękczynienia w 1988 roku. Pomyliłem się o półtora tygodnia. Jeśli chodzi o wojskowy charakter misji – trafiłem w dziesiątkę.

Takie więc były początki i kręta droga tej książki. Jedyne, co mogę powiedzieć na temat samej powieści, to udzielić odpowiedzi na pytanie, które zadaje mi wielu ludzi: Czy to jest science fiction? Wielu księgarzy, czytelników, innych pisarzy oraz wydawców próbowało mi wyjaśnić, dlaczego tę powieść należy zaliczyć do gatunku science fiction, wyliczając na to wszelkie możliwe dowody, takie jak: rzucająca się w oczy łatwość w operowaniu szczegółami technicznymi, co od razu przekreśla szansę książki jako powieści „poważnej”, „realistycznomagiczna wizja w zakończeniu”, zakres pytań, które Baedeker stawia sobie i ludzkości – zagadnienia rzadko poruszane przez pisarzy „głównego nurtu” literatury pięknej, często zaś podejmowane przez autorów SF – no i wreszcie fakt, że książka zajmuje się eksploracją kosmosu, podczas gdy, zgodnie z powszechnym mniemaniem, „poważni powieściopisarze winni z pobłażaniem reagować na wszystko, co wykracza poza światek podmiejskich sypialni”.

Wysłuchałem tych wszystkich argumentów i wyjaśnień, i myślę, że nadszedł czas, aby rzecz definitywnie ustalić: „Fazy grawitacji” nie są powieścią science fiction, speculative fiction, SF czyżak się ten zaszczytny gatunek literacki nazywa. To po prostu powieść. Nie odmawiam słuszności przedstawionym wyżej dowodom, lecz chcę powiedzieć, że jest to przede wszystkim historia pewnego ludzkiego serca, pozostającego w konflikcie z samym sobą i pod tym względem nie ma tu żadnej fantastyki. Ani dudu. Nic a nic. Zero. Niet. Nada. Nichts. Niemals.

Jeśliby Was pytano, powiedzcie, że usłyszeliście to ode mnie. A teraz, wybaczcie, było naprawdę miło poprzeglądać razem stare zdjęcia i podyskutować o rodowodzie, ale niestety, muszę Was przeprosić. Pozostali goście – goście spoza rodziny – czekają już na mnie w salonie.

Dan Simmons

Spis treści

<u>STRONA TYTUŁOWA..</u>	<u>1</u>
<u>CZEŚĆ PIERWSZA PUNA..</u>	<u>3</u>
<u>CZEŚĆ DRUGA GLEN OAK..</u>	<u>25</u>
<u>CZEŚĆ TRZECIA UNCOMPAHGRE..</u>	<u>47</u>
<u>CZEŚĆ CZWARTA LONEROCK..</u>	<u>80</u>
<u>CZEŚĆ PIĄTA NIEDŹWIEDZIE WZGÓRZE..</u>	<u>139</u>
<u>POSŁOWIE AUTORA..</u>	<u>166</u>